



# HELENA SEKUŁA

# BARAKUDA

Rozciągnięty przed  
drzwiami zagradzał  
przejście. Leżał na  
wznak, całym sobą  
podany ku skłonowi-  
skarpę, rozkrzyżowa-  
nymi ramionami  
ogarniał niebo. Pod  
sierpniowym firma-  
mentem, srebrzącym  
odblaskami dalekich  
swiatow, noc wyda-  
wała się jeszcze  
czarniejsza. Natknę-  
łam się na niego  
nagle, tuż za  
olbrzymimi jałowcami  
podchodzącymi pod  
sam dom, cichy  
i ciemny. Tylko z  
jednego okna smu-  
żyło ruchomym

CZYTELNIK

Helena  
**Sekuła**  
barakuda

Czytelnik  
Warszawa  
1984

Rozciągnięty przed drzwiami zagradzał przejście. Leżał na wznak, całym sobą podany ku skłonowi skarpy, rozkrzyżowanymi ramionami ogarniał niebo. Pod sierpniowym firmamentem, srebrzącym odbłaskami dalekich światów, noc wydawała się jeszcze czarniejsza.

Natknęłam się na niego nagle, tuż za olbrzymimi jałowcami, podchodzącymi pod sam dom; mrok rozrzedzały sześciocienne umbry o szybkach z grubego szkła, umocowane po obu stronach ganku na wysięgnikach z kutego żelaza, i tylko jedno okno smużyło ruchomym szkarłatem, jakby w nim dogasała zorza minionego wieczoru. Skupiona na tym znaku życia pośród leśnego odludzia, potknęłam się i upadłam.

Wtedy go zobaczyłam.

Osunęłam się po zdradliwej pochyłości, nie na śliskich wrzosach, jak w pierwszej chwili pomyślałam. Kiedy podniosłam się i uklęknęłam przy nim, poczułam pod kolanami lepłą wilgoć, a wokół jego głowy trawa sprawiała wrażenie unurzanej w cieniu, lecz ten cień nie znikał, tężał ze zmatowiałym połyskiem zmaczonej polewy.

Ujęłam przegub. Ręka ni zimna, ni ciepła, pozbawiona tętna. Szeroko otwarte oczy patrzyły w pustkę. W źrenicach, jakby zaciągniętych werniksem, odbijały się światła latarni. Dopiero teraz dostrzegłam trochę powyżej nasady brwi cieniłą rozetkę podobną do znamienia.

Jego twarz! Wydała się znajoma. Gdzieś już musiałam widzieć tego człowieka, ale gdzie, w jakich okolicznościach, dlaczego leży pod tym domem ukrytym w gąszczu wiecznie zielonych krzewów, przeszyty grudką metalu, która pozostawiła mało widoczną ranę na jego czole?

Silniejszy powiew wiatru poruszył sosnami, przeczesał czuby jałowców, owionął żywicznym zapachem, przyniósł

woń nadrzecznych łęgów, przypadł do ziemi i legł. Taka sama cisza panowała w naturze, gdy kilka minut wcześniej wchodziłam przez gościnnie uchyloną furtę. Na zadrzewionym wzniesieniu majaczyła czarna sylweta spadzistego dachu z plamą palących się latarni pod okapem i odbłaskiem ognia pełgającym w jednym oknie. Poza tym żadnego oświetlenia, nie licząc żarówki przy bramie. Ścieżkę wiodącą ku domowi pogrążał mrok, u jej kresu potknęłam się o zabitego mężczyznę. Musiał przyjść tu niedawno, jego ręce jeszcze niezupełnie zeszywniały. Unieruchomiło mnie przerażenie.

– Nie bój się – nagle powiedział ktoś obok. Omal nie zemdlałam. Nie miałam odwagi odwrócić głowy, aby spojrzeć w kierunku, skąd usłyszałam głos.

W zasięgu kandelabrow, nie wiem skąd, pojawił się szczupły wyrostek. Z pewnością nie wyszedł z drzwi prowadzących na ganek. Źródło światła miał za plecami, widziałam tylko zarys jego sylwetki.

– Wstań – znów zanurzył się w cień, pociągnął mnie za rękę.

– A on? – podniosłam się z kolan.

– On już nie potrzebuje pomocy, a ty tak. Jesteś półżywa.

– Przecież nie można tak po prostu odejść.

– Można. Jeśli się natychmiast nie pozbierasz, znikam – tykał mnie bezceremonialnie.

– Poczekaj! – zsunęłam z nóg sandały. Tylko nie pozostać samej na tym odludziu, z martwym człowiekiem, wśród złowieszczych krzewów o smoczycy kształtach.

– Prędzej, zaraz spadną tu łapsy – podniósł moje pantofle i ruszył przodem. Zwiny, cichy jak jaszczurka. Nie poprowadził dróżką, skręcił w gąszcz, mimo to szedł pewnie, musiał znać teren.

Śpieszyłam za nim, potykałam się o korzenie, zataczałam w kłujące objęcia jałowców. Zaraz straciłam orienta-

cję kierunku, czasu, rzeczywistości. I nie czułam już nic więcej, tylko swoje płuca rozsadzane oddechem.

– Przyjechałaś wozem? – przystanął na moment.

– Tak – nie starczyło mi energii nawet na tyle, aby się zdziwić, skąd wie o aucie.

– Gdzie jest, pod bramą? – znów przyspieszył kroku.

– Nie. Pozostawiłam przy żwirówce. Myślałam, że stamtąd już blisko, ale posiadłość leży dalej od głównej drogi, niż przypuszczałam. Zawsze miewam kłopoty z oceną odległości.

Chłopiec nurkując wśród rozłożystych łap cinoi wywiódł mnie na leśny trakt. Pod stopami zachrzącał szuter. Ostre kamyczki uwierały bosc nogi. Tutaj już wyraźnie dobiegał odgłos szosy, łuny samochodowych latarni dobywały i odkładały w mrok wyolbrzymione cienie drzew. Jeszcze trochę szybkiego marszu i natrafiliśmy na moją simkę.

– Ja poprowadzę – rozporządził wyrostek. Bez sprzeciwu podałam kluczyki.

– Co za nonsens kłaść pantofle, w których nie można chodzić – rzucił mi na kolana sandały i ujął kierownicę.

– Nie dlatego, wdepnęłam w krew.

– W takim razie dobrze zrobiłaś. Inaczej zostałby fatalny trop.

Nie pomyślałam o śladach, budziła grozę człowiecza krew roznoszona na butach. Ale nie wyjaśniałam mojego punktu widzenia.

– Szykowny ten twój wóz. Może jednak nie zwrócił niczyjej uwagi – powiedział.

Z poprzeczniczy wytoczyliśmy się na pusty asfalt, połyskujący zorzą reflektorów dalekich jeszcze pojazdów, wynurzających się zza falistości terenu.

– Po co tu przyjechałaś?

– Nie twoja sprawa.

– Moja też. Razem uciekamy z miejsca, gdzie zamordowano człowieka.

– Skąd wiesz, może sam się zabił.

– Wiem.

– Jesteś dość przerażający.

– Jeśli już, to przerażająca. Jestem kobietą.

Przysięgłabym, że jeszcze przed sekundą rozmawiałam z chłopcem. Lecz odkąd się pojawił, osłaniała go ciemność. Wyraźnie widziałam tylko sylwetkę, a na skraju lasu, gdy bieглиśmy do mojej simki, raz jeden reflektory przejeżdżającego szosą samochodu wydobyły z czerni nocy jego twarz. Delikatną buzię z zapowiedzią uśmiechu w kąciakach ust, w ramie kruczych kędziorów. Wielkooką, z dziecinnie odwiniętymi rzęsami, których cieniem ruchome światło okryło całe policzki. Wdzięczna pacholeca głowa z obrazów Murilla, malarza uduchowionych świętych i uroczych chłopców.

– Wyglądasz na wyrostka.

– Czasami tak wyglądam, gdy mi zależy. Przed tobą nie muszę udawać.

– Znasz mnie.

– Trochę o tobie wiem. Gaja, tak sygnujesz swoje prace, prawda? Ale nie martw się, jestem ci bardzo życzliwa.

– Kim jesteś?

– Niełatwo powiedzieć. Człowiek wciąż siebie stwarza, przez całe życie kształtuje osobowość. Jak rzeźbiarz dokłada pecyny do lepionej bryły. Pewno wiesz, co powiedział jeden starożytny gość, kiedy zagapił się na płynącą rzekę.

– Bardzo ładnie. A mniej filozoficznie?

– Możesz mi mówić Barakuda.

– Przecież to gatunek drapieżnej ryby.

– Właśnie tak się nazywam.

Czemu nie? I takie imię może nosić to Licho nieokreślonej płci, które pojawiło się nie wiadomo skąd, jakby wyszło

z jednego z tych niesamowitych jałowców o przerażających kształtach: wielogłowych smoków, koszmarnych ja-szczurów, gadzinowatych potworów gadających ze sobą szelestem kolczastych łapek. Mieszkaniec piekielnego zwierzyńca.

– Zabity człowiek miał w notesie adres twojego mieszkania i teatru, gdzie projektujesz kostiumy – zawiadomiło Licho.

– Obszukiwałeś trupa? – Mimo woli mówiłam jak do chłopca, a Ono nie protestowało. Nie zareagowało też na moje oburzenie.

– Miał również ogłoszenie z „Życia Warszawy”.

Milczałam. Znałam treść tego ogłoszenia. Zauważyła, wycięła z gazety i przechowywała je moja matka. Ją przyprawiało o bezsenne noce, mnie uwierało jak cierni. Wydobywało wspomnienia przeżyć, których nie chciałam pamiętać.

Złościło. Budziło opór wobec natręta naruszającego zamkniętą, zdawałoby się na zawsze, sferę doznań. Choć domyślałam się, nie chciałam wiedzieć, kim jest autor ukrywający się za hasłem oferty. Od dawna skutecznie odgrodziłam się od przeszłości.

Pośród ludzi parających się kunsztami znano mnie przede wszystkim pod anagramem imienia, także anagramem podpisywałam swoje prace, nazwisko miałam po mężu, panińskiego nie używałam. Zresztą ludzi noszących je był kiedyś cały przysiółek. Przez lata rozbiegli się po Polsce, po świecie. Istniało znikome prawdopodobieństwo trafienia na mój ślad, zwłaszcza że nie mnie poszukiwano bezpośrednio. Anons brzmiał:

„Osoby posiadające wiadomości o Jadwidze Bartnik-Surażyńskiej, urodzonej w Wigajnach w Ziemi Suwalskiej w roku 1939, proszone są o napisanie do biura ogło-

szeń w Warszawie, skrytka pocztowa numer... Zwrot wszelkich poniesionych kosztów. Nagroda”.

– Nie ciekawi cię to ogłoszenie? – osaczało mnie teraz Licho, usiłując zmusić do odpowiedzi.

– Nareszcie rozumiem, dlaczego się mną zająłeś. Nie powinnam stamtąd uciekać, a już na pewno nie z tobą. No cóż, straciłam głowę. Ale źle trafiłeś, ode mnie niczego się nie dowiesz.

Zaczął się śmiać.

– Winszuję dobrego nastroju, i co cię tak cieszy?

– Kiedy ludziom naprawdę pomagam, biorą mnie za szuję.

– A nie jesteś? I to jest takie śmieszne?

– Nie mam zamiaru cię szantażować, tyle dla jasności intencji. Natomiast zabity nazywa się Wincenty Baraszko. Coś ci mówi ten szyld?

– Nie jestem pewna, ale chyba tak... – Naszła mnie myśl, czy przypadkiem nie o mnie tu chodziło. Spóźniłam się i dlatego żyję. Nigdy nie potrafię zdażyć na czas. Paradoks, czyżby uratowała mnie wada na co dzień komplikująca życie? Nie stawiałam się na własną śmierć. Tylko kto i po co miałby mnie zabijać!

– Z kim miałaś się spotkać w Orylu?

– A kto mieszka w tej ponurej daczce? – nie miałam ochoty na zwierzenia.

– Dom wcale nie jest ponury. Należy do Uthera Stunningtona, przedstawiciela kolumbijskiego konsorcjum plantatorów kawy z siedzibą w Nowym Jorku. Ale jego nie ma w Warszawie.

– Ten, kto ze mną rozmawiał, przedstawił się jako Stunnington. Imienia nie wymienił.

– Gaja, żaden Stunnington nie mógłby nastawać na twoje życie.

– Więc ilu jest tych Stunningtonów?

– Dwóch. Pendragon i Uther. Ojciec i syn.

– Skąd to wszystko wiesz, pracujesz u nich?

– Wiem. Nie pytaj skąd, nie odpowiem. Na jaką godzinę zostałaś umówiona?

– Sama wyznaczyłam czas. Miałam być o dziewiątej, ale gdy dobrnęłam na miejsce, zrobiło się grubo po dziesiątej.

– Dlaczego nie wybrałaś sobie wcześniejszej pory?

– Kiedy pracuję, nie cierpię rozrywać dnia, a mój dzień pracy jest długi. Zwłaszcza ostatnio.

– Przygotowywałaś wernisaż.

– Nawet i o tym wiesz! Zdziwiasz mnie.

– O twojej wystawie w Ameryce może wiedzieć każdy, jeśli się chociaż trochę interesuje współczesną sztuką. Pisały o tobie francuskie gazety.

– Nie gazety, tylko jeden dziennik.

– Na to samo wychodzi.

– Jutro w związku z moją ekspozycją powinnam lecieć do Stanów.

– Dzisiaj. Minęła północ. Ale dlaczego w przeddzień wyjazdu pozwoliłaś ściągnąć się do Oryla? Nie mogłaś odmówić?

– Nie mogłam. Właśnie przed wyruszeniem do Nowego Jorku koniecznie musiałam obejrzeć wiejski dom kawowego przedstawiciela, aby dobrać odpowiednie tkaniny zamówione przez niego u marchanda, z którym ja z kolei mam kontrakt.

– Country house Uthera Stunningtona jest kompletnie urządzony!

– Zatem użyto pretekstu.

Wraca obraz zabitego człowieka. Nie mogę się go pozbyć, majaczy przed otwartymi oczyma, wciska się pod przymknięte powieki. Natrętny znak zapytania.

Chociaż nie potrafię przypomnieć gdzie, ale już kiedyś musiałam widzieć tę twarz żywą. Drobną siateczkę zmar-

szczęk promieniście zbiegających ku skroniom i pionowe krechy wyraźnie zaznaczające zarys policzków.

Na tym nie koniec. Postarzałe oblicze, pokiereszowane bruzdami głębokimi jak pęknięcia, jest tylko liczmanem, spod którego wynurza się młodsze, też znajome.

– Łąka! Szpaler wykonany najprostszą techniką, od czternastego wieku znaną w Europie. Wyróżnia się oryginalnością splotu, odmiennością strukturalną, wychodzi w przestrzeń! – spiker prowadzący aukcję wymienia numer katalogowy i niczym dyrygent wznosi swoją batutę, srebrny młotek na długim trzonku z hebanowego drewna.

Ubrany w smoking z kremowego szopu, prezyduje na podwyższeniu za stylowym pulpitem w głębi sali, oddzielonej archiwoltą od części, z jakiej na niego patrzę. Wygląda jak środkowy obraz tryptyku, mając po bokach sklepienne łukami przejścia, wiodące do dalszych galerii.

– Twórcze poszukiwania nowego wyrazu przez artystkę pochodzącą z kraju, którego pisana historia liczy dzieśnięć wieków, gdzie tradycja i kunszt kobierniczy trwa od lat tysiąca... – spiker zawiesza głos, daje zgromadzonym posmakować to millennium.

Reklama.

Hermes spogląda porozumiewawczo. Nie jest ignoran-tem, nie uważa, że Polska to tylko Kościuszko, Pułaski, nowojorscy dokerzy, posiadacze stad w stanie Texas, polish jokes, komuniści, pontyfikat Jana Pawła II i Czesław Miłosz, amerykański profesor z Berkeley nagrodzony Noblem za trudne wiersze w trudnym języku. Jednak postarał się, aby podczas aukcji pewne fakty z dziejów i geografii zostały zaakcentowane. Widać sceptycznie ocenia swoją publiczność, zwłaszcza jej wiedzę o kulturze ludu żyjącego w Europie między Tatrami a Bałtykiem.

Prezentowana tkanina, jedna z moich wczesnych prac

dzianych, nie była poszukiwaniem nowego wyrazu, tylko wtedy nie miałam na krosno. Natomiast prawdziwym jej walorem jest koloryt. Gama przyćmionych tonów zieleni, wysmakowanych, delikatnych: irysowej, soczystej, malachitowej i sap green – barwy, jaką daje sok z jagód szakłaku.

Tak zaczęła się licytacja. Ogarnia mnie trema.

– Będzie dobrze, Gaja – uśmiecha się do mnie Hermes, to znaczy przychyła ku mnie głowę, bo promienieje wciąż, permanentnie. Ja także prezentuję radosne oblicze

Radosne oblicze, poza przedsiębiorcą pogrzebowym i tylko podczas pełnienia obowiązków służbowych, powinien mieć każdy: i ten, kto odniósł sukces – aby go utrzymać, i ten, co się po niego wspina – aby go osiągnąć, i ten, co go nie zdobył i nie zdobywa, i nawet nie ma widoków na zdobycie – aby zachować pozory, że nie jest z nim źle.

Chyba że komuś już na niczym nie zależy i bez oporów idzie na dno. Ale tu, w salach wystawowych Muzeum Sztuki Współczesnej przy Madison Avenue, wynajętych przez Hermesa na naszą wystawę, nie ma przegranych. Ich dziedzina rozpościera się dalej, gdzieś od ulicy Osiemdziesiątej Wschodniej, ale owych ludzi nie interesują imprezy w tej części Manhattanu, gdzie portierzy wyglądają jak generałowie, a dorożkarze powożą w cylindrach. A i Hermes nie posyła zaproszeń na wernisaże do ubogich dzielnic i z całą pewnością nie ma tam ani jednego znajomego. To ziemia groźna, groźniejsza wraz z rosnącymi numerami. Na Sto Dwudziestej zaczyna się Harlem. A do Harlemu biali już nie chodzą. Od dawna.

Nie zapytałam Hermesa, od jak dawna. Zdawał się wstydić ciemnych problemów Miasta, które kocha bezkrytycznie. Dla niego tu jest środek świata, stąd kultura, stąd sztuka, stąd największa myśl epoki – na cały glob.

PRZEŻYCIE Z ORYLA TKWI WE MNIE JAK CIERNŃ. TWARZ ZABITEGO PRZYWIOZŁAM ze sobą. Dręczy w nie spane noce, nie daje zapomnieć we dnie. Choć niedługi czas, poprzedzający dzisiejszy wieczór, miałam szczelnie wypełniony, jego obraz dopada mnie w nowojorskiej windzie, towarzyszy na ulicy, wchodzi ze mną do drugstora, czatuje późną godziną w hotelowym pokoju, gdy zamykam za sobą drzwi. Martwe oczy ścigają mnie nawet w tej sali światłami odbitymi w kryształowych soplach żyrandoli, promieniami załamującymi się w rautach flintów.

I niechęć do siebie, i moralny kac przez tę tchórzliwą ucieczkę.

– Stuningtonowie nie są twoimi wrogami. Przekonasz się – jeszcze raz zapewniło Licho zatrzymując wóz w osiedlowej uliczce na Stegnach.

Nie odezwałam się. Myślałam, dlaczego Ono zahamowało właśnie tu, na Sycylijskiej. Powiedziało, zanim zdążyłam zapytać.

– Wsiadam. Dalej będziesz musiała radzić sobie sama – znów spojrział na mnie spod wywiniętych rzęs czarnooki chłopiec z obrazu Murilla. – Zresztą stąd na Sadybę niedaleko, jezdnie puste, a ty jesteś już dostatecznie opanowana.

Ono wiedziało nawet, gdzie mieszkam.

– Trzymaj! – wcisnęło mi w rękę wymiętą kopertę ze skrawkiem papieru. – Lepiej dla wszystkich, jeśli tego ogłoszenia nie znajdą przy nieboszczyku.

Nie zapytałam, kim są ci wszyscy.

– Twoje pantofle sama wyrzucę, żebyś ich w ostatniej chwili nie pożałowała – rozporządziło Ono. I jeszcze z dłonią na kłamce: – Jedź prosto do domu i nie zrób jakiegoś głupstwa po drodze. Żadnego meldowania milicji, bo wsiąkniesz w niekończące się wyjaśnienia i z wyjazdu do Stanów nici. A w Orylu i bez twojego wstawiennictwa

z pewnością już są gliny i zrobiją, co mogą, to znaczy niewiele. Ale ty nie daj zmarnować sobie szansy.

Nikt mnie nie musiał przekonywać. Termin przybycia zastrzegł kontrakt. Niedotrzymanie warunków pociągało dotkliwe kary umowne. Nie mogłam komplikować odlotu, na który miałam rezerwację, i zaprzepaścić wernisażu! Nie stać mnie było ani finansowo, ani psychicznie na zmarnowanie możliwości, jaka trafiała mi się po raz pierwszy w życiu. A skończyłam już czterdzieści trzy lata.

Rano wsiadłam w samolot do Nowego Jorku. Razem ze mną przybył cień ZABITEGO I SIĘGA WSZĘDZIE, GDZIE JESTEM.

W naszych salkach robi się coraz ludniej.

Od jak dawna biali boją się przekroczyć sto dwudziestą wschodnią? Za czasów mojego dzieciństwa, kiedy gnieździłyśmy się z matką na Lower East Side, poniżej Czterdziestej Wschodniej, do wojny i jeszcze po wojnie dzielnicy emigranckiej nędzy, gdzie pospołu tłoczyli się w zagęszczonych domach w jednakim szarym niedostatku Włosi, Żydzi, Chińczycy i Polacy, nie baliśmy się dzielnicy Negrów.

Ja, mały przybysz ze sponiewieranej, ograbionej, wygłodzonej Europy, wtedy nie odczuwałam nowojorskiej egzystencji jako biedy. Byłam rówieśnicą wojny, liczyłam tyle samo lat. Jak sięgałam pamięcią, cierpiałam skrajną nędzę. To znaczyło: zawsze. Pojęcia obfitości nie znałam nigdy.

Kiedyż to się zdarzyło?

W innym życiu i wczoraj, na innej planecie i tutaj, kiedy nie nazywałam się Gaja, tylko Jadźka, a czasem pogardliwie polish jokes, i nawet w najśmielszych snach nie mogłam wymarzyć, bo snów takich nie miewałam, że w wiele lat później urządzi mi wernisaż Hermes, jeden z najpoważ-



niejszych marchandów z Madison Avenue, którego nazwisko jest stemplem wysokiej jakości w dziedzinie wszelkich sztuk pięknych tutaj na wschód od Piątej Alei.

Amerykanin greckiego pochodzenia, piąte pokolenie przybyszów znad Morza Jońskiego, którzy nad Hudsonem odrzucili swą greckość jak piętno.

– Niepiśmiennym góralom z Peloponezu Grecja kojarzyła się tylko z ubóstwem, jakie wyгнаło ich z piargów półwyspu. A bieda w Ameryce jest hańbą. Znaczący, że nie potrafiłeś odnieść sukcesu, zdobyć powodzenia. A więc alboś gnuśny, albo gamoń, albo nieudacznik. Paradoks. Spadkobiercy wielkiej kultury, ciemni, pozbawieni świadomości dziedzictwa, ulegali angielskiej legendzie żywiołowej na ziemi amerykańskiej, bo angielska legenda nadaje ton kontynentowi. Wabił ich cudzy etos, etos lepszych – usprawiedliwiał przodków Hermes, tłumacząc pochodzenie swojego boskiego imienia, on już bez kompleksów, dumny ze swej genezy etnicznej.

Hermesa poznałam w Warszawie.

Najpierw pojawiła się forpoczta, zwiad marchanda z Madison Avenue.

– Gaston – przedstawił się niepozorny Francuz o mordce strapionego rezusa. Nie przyszło mi do głowy, że to właśnie ten Gaston, krytyk sztuki, instytucja kreująca i konsekrująca talenty na stałej kolumnie paryskiego dziennika, rzetelny augur, prawie nie ulegający koniunkturom.

Znakomitość obejrzała moją wystawę w Kordegardzie na Krakowskim Przedmieściu, zażądała przedstawienia innych moich prac, kupiła jedną tkaninę, targowała się niczym Fenicjanin i znikła, jak przybyła.

Niebawem nadeszła żółta koperta, nadana z redakcji francuskiego dziennika. Zawierała egzemplarz gazety z dwiema szpaltami tekstu. To było o moich makatach. Recenzja ciepła jak owcza sierść, z jakiej splatam kobierce.

Dwa razy powtarzało się słowo: remarquable – wybitne. Jeszcze nie zdążyłam przywyknąć do swej nowej kondycji osoby odkrytej przez Gastona, kiedy pojawił się herold Olimpu.

– Jestem Hermes – dla niepoznaki bóg nosił szykownie podszmaczone farmery, a na nogach holenderskie saboty zamiast uskrzydłonych patricius. Zdradzała go głowa w aureoli loków koloru bladego złota, profil jak na fryzie Partenonu i smukła sylwetka rzeźby Praksytelesa.

Właśnie prałam.

Z opadającymi pasmami włosów, ze spoconą nagą twarzą i w wypchanych starych portkach poczułam się niezręcznie w konfrontacji z tą urodziwą młodością. Zaczęłam coś bąkać od rzeczy po angielsku, co go bardzo ucieszyło, bo chociaż, jak przystało na boga, jest poliglota i włada biegle kilkoma językami, polskiego nie zna. Zrozumiał z mego zakłopotania, że jego imię niczego mi nie wyjaśnia.

– Przyjechałem z Nowego Jorku. Firma Hermes na Madison Avenue – ujawnił się bóg handlu, nie zrażony moją ignorancją. – Nadal nic to pani nie mówi?

Szef galerii z Madison – tyle wiedziałam. Ta ulica ma swoją markę na świecie wśród ludzi parających się kunsztami. Lecz wprowadził w zdumienie sam boss. Nie tak sobie wyobrażałam poważnego marchanda. Właściwie nie zastanawiałam się dotychczas nad kimś takim, salony sztuki Manhattanu były dla mnie tak odległe jak gwiazdozbiór Andromedy. Ale sam tytuł brzmiał powagą wieku dojrzałego, znawstwem wypracowanym latami doświadczeń. Jednym słowem, dostojny przyk, a nie chłopiec z głową w złotych puklach. Hermes ma lat trzydzieści cztery, wygląda o dziesięć mniej.

I czy poważny człowiek rzuca wszystko i leci gdzieś na antypody, aby obejrzeć wełniaki mało znanej nawet we własnym kraju plastyczki?

Przyzwyczajona do mecenatu państwowego, sprawo-

wanego na co dzień przez urzędników nieruchomości, nieprzystępnych, pysznych i obojętnych, celebrujących z wysoka czasami tylko pozory działania, a tak naprawdę zajętych własną karierą, dążeniem do rang i honorów, czujnych na każde drgnienie koniunktury, tak świetnie samowystarczalnych, że gdyby zniknął ostatni twórca, nie zakłóciłoby to ich funkcjonowania. Nadal rozdzielaliby stypendia, nagrody, miejsca w domach pracy twórczej, wyjazdy zagraniczne i odznaczenia. Urządzali jubileusze, wernisaże, witali i odprawiali delegacje i pisali świetne sprawozdania.

Zżyta z takim modelem protektora, w pierwszej chwili nie wzięłam poważnie niekonwencjonalnie prezentującego się marchanda.

Hermes współpracuje z liczącymi się krytykami sztuki na całym świecie, jego agenci docierają zarówno do głośnych pracowni, jak i zapoznanych talentów. Płyną na Madison różnojęzyczne sprawozdania z wystaw, wykwinne foldery, ilustrowane albumy tłoczone na czerpanym papierze i najdrobniejsze gazetowe wzmianki.

Przełożone na kod perforowanej taśmy trafiają do komputera, który czyta, selekcjonuje i streszcza, przystosowując bezmiar informacji do percepcji personelu liczącego razem z szefem osób dwie. Tak powstaje geografia przedsiębiorstwa. Zawędrowała tam także wiadomość o moim wernisażu w Kordegardzie na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

– Musiał mnie ten komputer mocno wyróżnić, kropką, ekstra ptaszkiem albo jakimś ażurkiem. Jak zaistniałam na mapie firmy? – byłam ciekawa.

– Ulotka z warszawskiej galerii.

Te ulotki zostały wydane jako karty pocztowe z barwną reprodukcją moich prac. Wyszły dość interesująco, chociaż kolor mógłby być lepszy. Zawiniła marna jakość kartonu i farb.

Hermes zaproponował wystawę połączoną z aukcją. Zażądał opcji na trzy miesiące, wyłączności sprzedaży wszystkich moich prac powstałych po zawarciu porozumienia przez następne pięć lat i prawo pierwszeństwa do odnowienia kontraktu.

Zaczynałam rewidować swoje wyobrażenia o marchandzie z głową w złotych lokach. Właśnie! Także w całej ikonografii patron handlu Hermes Agorajos zawsze przedstawiany jest jako młodzieniec.

ZACHOWUJĘ SIĘ JAK STRUŚ I NIE PYTAM HERMESA, CZY TO Z JEGO POREKI zwrócił się do mnie właściciel wiejskiego domu ukrytego pośród nadbużańskich jałowców. A on też nie wspomina o poleceniu mnie klientowi z daczą w mazowieckich lasach.

Teraz, nie śpiąc po nocach, słowo po słowie odtwarzam przebieg rozmowy z kimś, kto przedstawił się jako Stun-nington, i nie znajduję niczego, co mogłoby wzbudzić nieufność.

– Poleciałem Hermesowi zakupić dla mnie pani tkaniny.

– Miło słyszeć.

– Porozumiałem się z Hermesem, zatrzyma te, które pani wybierze.

– Aby doradzić, muszę coś wiedzieć o wnętrzu, do jakiego są przeznaczone.

– Dlatego telefonuję. Dom znajduje się pod Warszawą na kolonii wsi Oryl.

– Ależ ja jutro odlatuję do Nowego Jorku.

– Wiem. Z tego powodu dzwonię dzisiaj.

– Trochę czasu mogę znaleźć dopiero wieczorem.

– Dostosuję się do pani rozkładu dnia. Dokąd pani każe przysłać samochód?

– Dziękuję. Przyjadę swoim.

Ani słowa o przeszłości! Związły, uprzejmy, obojętny

tekst wypowiedziany tonem nawykłym do wydawania poleceń, głosem nieznanym, ale w jaki sposób miałabym ów głos rozpoznać, skoro zupełnie nie przypominałam sobie jego brzmienia.

Dotrzymałam pola, swobodnie, bez zająknięcia podjęłam rozmowę, gdy bez żadnego uprzedzenia zadzwieczało w słuchawce: – Mówi Stunnington, i umówiłam się z nim na spotkanie. Tylko przez cały czas natrętnie pamiętałam o ogłoszeniu wydrukowanym przed rokiem w „Życiu Warszawy”.

Stunnington. Niechętne wspomnienie z niezmiernie odległego i jakiegoś innego, nie mojego czasu. Niby dawno zasłyszane, co się zdarzyło komuś zaledwie znanemu.

Jak fala przyboju przyniosło z odległego brzegu, o którym już się nawet zwątpiło, czy w ogóle był, zatarty pozór tamtego istnienia. Wprawdzie obudziło pamięć, ale nie wskrzesiło treści, jakie przecież musiało zawierać w odległym cudzym życiu, nie do wiary, przecież przeżytym przeze mnie.

Wykreślony rozdział.

Nie odczuwałam żadnego związku między mną dziś a dziewczyną sprzed ćwierć wieku, wtedy przemieszczoną nagle, jak w niezwykłej opowieści, z poddasza starej czynszowej kamienicy przy Lower East Side do białego malowanego domu w podmiejskiej osadzie nad zatoką. Opowieści rodem stąd, powielanej przez masowe media kultury, tak bardzo w stylu welfare state – państwa dobrobytu.

Zajrzałam do warszawskiej książki telefonicznej. Był Uther-Caradoc Stunnington. Dwa numery, dwa adresy. Oryl i ulica Sycylijska na Stegnach.

Uther-Caradoc, imiona zupełnie nieznanome. Jednak nie On. Może najwyżej ktoś z Jego rodziny, zupełnie obojętny, nigdy nie widziany zwykły klient mojego marchanda. Wrócił mi spokój.

Przestałam rozmyślać, kto powołując się na Hermesa

oczekuje mnie w swojej podmiejskiej willi. Bez wrażenia jechałam na spotkanie z człowiekiem noszącym dość pospolite angielskie nazwisko. Szłam tam inna, samodzielna i niezależna. Niemłoda. Obywatel świata ludzi myślących, chroniona przed upokorzeniem moją sztuką.

Pozór.

Pendragon – nazwało go Licho, które objawiło się w Orylu, jakby wyszło z wnętrza potworowatych jałowców, a opuściło mnie przy ulicy Sycylijskiej na Stegnach. Sprawilo przykrość brzmienie rzadkiego imienia, które właściwie nie jest imieniem, tylko tytułem plemennym wodzów starych Brytów. Teraz już nie mogłam się ludzić, że to ktoś zupełnie nieważny.

Pen. Ileż lat temu był więcej niż dojrzałym mężczyzną, obecnie jest sędziwym człowiekiem. A wszystkie rachunki ze mną zamknął dwadzieścia pięć lat temu jednym pociągnięciem pióra. Skąd więc się tutaj wziął, z jakiego powodu mnie szukał, kaprys bogatego starca, ciekawość?

Poruszyła niepamięć wiadomość, może przeczytana w gazecie, o mojej wystawie na Madison i nagle zapragnął zobaczyć nigdy nie przeczuwaną metamorfozę osoby kiedyś mu nieobcej. I aby nie mogła uchylić się od przybycia, posłużył się marchandem przygotowującym wernisaż. Ale co zaszło tuż przed moim przyjściem, dlaczego zabito człowieka POD DRZWIAMI JEGO DOMU?

– Przyszedł cały Nowy Jork – uśmiecha się do mnie Hermes.

Nawet on nie przewidział takiego powodzenia aukcji, chociaż panuje opinia, że mój Grek nie obejmie mecenatu, nie będzie lansował żadnego nazwiska, jeśli nie jest pewien sukcesu i dużego dochodu. Podobno nie myli się w wyborze, a już z całą pewnością ma smak, gruntowne wykształcenie i coś, co można nazwać intuicją lub siódmym zmy-

słem, pewnego rodzaju talentem, bez czego nie będzie dobrego kupca w tak ulotnej materii, jak sztuka.

Hermes nie jest bezinteresownym miłośnikiem kunsztów, tego, co robi, nie traktuje jak posłannictwa ani posłannictwa nie udaje. Obrót artystyczną substancją jest jego zawodem, lubianym, ale który musi przynosić zyski. I wcale tego nie ukrywa. Nie osłania celu wzniosłym bełkotem.

Stoję wysunięta na pół kroku przed Hermesa na czymś w rodzaju podium i sama czuję się eksponatem umieszczonym obok kruchego rokokowego stoliczka z rozłożoną na nim księgą pamiątkową, oprawną w cielejącą skórę. Mogę wesprzeć rękę na poręczy stylowego fotelika obitego oliwkowym jedwabiem, lecz nie powinnam siadać, chyba gdybym zasłała, chociaż też lepiej nie.

Jeśli już muszę zemdleć, powinnam zemdleć na stojąco i pozostać w pionie, aby nie zepsuć kompozycji, jaką tworzymy: ja, mebelki, Hermes i foliał.

Wbrew pozorom niewymuszonej swobody, kameralnego, domowego klimatu, bo taki jest najkorzystniejszy dla moich kilimów adresowanych do ludzkiej codzienności, do człowieczej sadyby, więc mimo tej atmosfery luzu i odprężenia, przytulnej miękkości, nic tutaj nie jest przypadkowe. Wszystko zostało starannie obmyślane i wyreżyserowane, nawet ja nie jestem ja, to tylko element widowiska przygotowanego przez Hermesa w najdrobniejszym szczególe, tylko Gaja, bo moje nazwisko jest nie do wymówienia dla Amerykanów, artystka tworząca w tkaninie. Właśnie tak: tworząca w tkaninie.

Z prostotą, mistrzowsko operująca kolorem i techniką, nie ulegająca modom, indywidualność z obsesją dwóch tematów. Miasta i łąki. Oczywiście w całym bogactwie niezliczonych motywów.

Jeszcze wiele innych podobnych opinii Hermes zamieś-

cił w ilustrowanym programie, małym arcydziełku sztuki graficznej, wykwiutnym albumie wydrukowanym minuskułą anglosaską na welinie o barwie delikatnej, zgaszonej zieleni – podobnej w tonie do wyciągu z kwiatu irysa – korespondującej z zielenią łąk na makatach, pigmecie trudnym do wyprowadzenia.

Strawiłam wiele dni nad jego uzyskaniem, zanim dobrałam odpowiednie proporcje bieli, szarości i zieleni, nadające prostej owczej wełnie ten jedyny odcień, żywy, a nie jaskrawy, subtelny i niezmienny w różnym oświetleniu.

Wystawie patronuje łąka reprodukowana na afiszu, a w prospekcie umieszczona obok weduty „Deszczowego Miasta”, utrzymanego w srebrzystych beżach. Pod nimi tekst Hermesa.

Fascynacja dwoma biegunami przeżywanej rzeczywistości. Miastem, egzemplifikacją współczesnej cywilizacji, i urzeczenie jej przeciwieństwem, nie skażoną naturą, jaką symbolizuje łąka.

Prawda jest mniej intelektualna.

Moją wyobraźnią władają dwa doznania. Wspomnienie sapów i płanin spod wsi między rzeką a lasem, zastygłe w kolorycie i kształcie jak na starych obrazach przymglo-nych przez czas z miejsc, których nie widziałam i do których nie tęskniłam od prawie czterech dziesięcioleci. Lecz tak dobrze znane w najwcześniejszym dzieciństwie, aż zdawałoby się niezauważalne: pięciornik i mniszek, mak, głóg i łożynia, krwawnik i ostróżka, i gorzkie, niepozorne kwiaty piołunu, po doświadczeniach wśród pustyni Miasta zakiełkowały, rozkrzewiły się na moich makatach z nie krempłowanego owczego runa, mnie na ukojenie, ludziom na radość.

I pamięć Miasta blichowanego słońcem, opasanego nieskończoną niebieskością, a na tej niebieskości mewy zbite w srebrzyste obłoki, mewy podobne rybitwom znad jeziora

tamtej wiejskiej ziemi i podobne grzywaczom liżącym, białą pianą cembrowiny pirsów i odarty z gałęzi wysokopienny bór – maszty portowych żurawi.

Światy, które mnie stworzyły i ukształtowały. Mnie człowieka i mnie artystkę.

Hermes nie wie, bo i skąd, o moim dzieciństwie i wczesnej młodości przeżytej tutaj. Rozdziału liczącego dwanaście lat nie uwzględniłam w biografii twórczej podyktowanej do wytwornego folderu

Po raz pierwszy przybyłam tu na zardzewiałej krypte, dziurawej jak durszlak, która niewiadomym zrządzeniem losu przebrnęła Atlantyk, w czas niełaskawy dla zmęczonych statków, porą, gdy ocean orzą sztormy.

Moja matka, zaszczuta, ogłupiona nieszczęściami i nędzą, przerażona wędrowką, bezmiarem gniewnej wody wzburzonej od horyzontu po horyzont, leżała krzyżem i odmawiała nowenny między atakami morskiej choroby. Najpierw na intencję szczęśliwej podróży, później już tylko prosiła o miłosierną śmierć i odpuszczenie grzechów, a zwłaszcza ostatniego kłamstwa, za które, jak sądziła, została pokarana straszliwą zemstą bezlitosnego żywiołu.

I uczyniła ślub: jeśli szczęśliwie dojrnie z dzieckiem do amerykańskiego brzegu, jeśli dane jej będzie stanąć na jakiegokolwiek twardej ziemi, nigdy już nie skala się fałszem.

Bóg długo dał się błagać.

Wreszcie po niespełna dwóch tygodniach otwarła się przed nami zatoka i przestało rzucać, wgniatać w fale, strącać w otchłanie. Po trzynastu dniach zamknięcia w brzuchu lewiatana wychynęliśmy na pokład, a matka uklękła i głośno podziękowała Stworcy za przyjęcie jej przyrzeczenia.

Nasz pierwszy statek w życiu. Skąd miałyśmy wiedzieć, że to pływający złom, wytwór przestarzałej produkcji brytyjskich stoczni, do cna sterany wojną; przetrwał kon-

woje, ominęły go bomby, ominęły miny, torpedy, oszczędziły tajfuny i doczekał demobilu, aby w pierwszym cywilnym rejsie przepłynąć przez ocean kobietę i dziecko. Było więc coś z cudowności w naszym przebyciu wielkiej wody.

Ale wówczas ów znużony transportowiec wydawał się wspaniały i groźny, a jego oszalały taniec pośród żywiołu przypisywałam gniewowi Boga za zniewagę wyrządzoną Mu naszym kłamstwem, które matka ślubowała odwołać.

NIE MUSIAŁA NICZEGO ODWOŁYWAĆ, TAM JUŻ WIEDZIANO.

W mojej pamięci przetrwał duży pokój wyłożony puszystym dywanem i wymurowany książkami od podłogi po sufit. Dotychczas nie widziałam ścian z książek i bałam się, aby nie runęła powała tak niepewnie podparta. Ale jeszcze bardziej bałam się mężczyzny, który uważnie słuchał, co w niezrozumiałym dla nas języku mówił drugi mężczyzna, a potem już w mieszanym ze swojskim krzyczał na moją matkę.

– You are a liar! Zaprzaniec! – Miał potężne ramiona, kapelusz zsunięty na tył głowy, wielki jak przetak z odwinęty po bokach kresą, i jasne, wcale nie złe oczy.

– Dopuszczcie mnie, panie, do starszej pani, Anny – godnie prosiła matka.

– I kogo chciałaś cyganić, kobieto?!

– Niejaki Baraszko Wincenty, co jako pomocnik u słynnego mecenasa w Suwałkach służywał, nas wysłał. Ja nie uczona, panie, robiłam, co kazał. Biedę my wielką cierpieli, mężów i ojców nam wybili. Do roboty przybyłam, a i dzieciak pomoże, chociaż ona nieduża jeszcze, ale do pracy od maleńkości przyłożona.

– Dalej kręcisz jak pies ogonem. It's a shame! Sromota! Żadnej w tobie skruchy ani pożałowania za niegodziwość, tylko chytrność. Boga się nie lękasz, kobieto!

– Bóg o nas zapomniał, panie.

– Jak się nazywasz? – przyjrzał mi się surowo.

– Jadwiśka – dygotałam ze strachu.

– Nawet takie, takie very small dziecko łąć nauczyła! Jadwiśka Surazyńskich dawno nie żyje. Pon Stunnington przez agencję zbadał, zanim wy zdążyły przybyć, chociaż udało wam się podejść litosierną paniom starszom. Jak się nazywasz naprawdę? – Przybliżył do mnie swą gniewną twarz. Zmartwiałam.

– Jadźka – wyszeptałam zdrewniałymi ustami, z przerażenia nie mogłam nawet płakać. Wołano mnie Jadźka, ale tutaj kazano mi być J a d w i ś k ą Bartników-Surazyńskich, przezywanych Nikodemowymi, którą, wiedziałam bardzo dobrze, żandarm w wojnę zabił. Ale ten w kapeluszu w ogóle nie chciał uwierzyć, że mam takie samo imię: J a d w i g a, i identyczne nazwisko.

– A na chrzcie dano jej Jadwiga. I papier na to jest z parafii wzięty.

– Jedno cygaństwo, wy i wasze papiery.

– Wiedźcie mnie przed panią starszą! Wszystko jej wyznam.

– Pani starsza nie będzie z wami rozmawiała. Pan Stunnington nie dozwolił. Już dosyć nażywałaś na jej łatwowierności, babo!

– Wiedźcie mnie przed pana Stunningtona.

– Damn! Mówi do onej jego mecenas, a ja przekładam. I nikt inny nie zamiaruje z tobą, kobieto, gadać.

– Będzie, co ma być. Wola boska – poddała się losowi matka.

– Robotę onej dadzą. Ratami strąci się wam piniundze. jakieście wyciągali z pani starszej. Jak spłacicie, to sobie uskładacie na powrót, jeśli będziecie chcieli nazad, a jak nie, to nie. Ale pamiętajcie, niczego już nie dostaniecie od naszego dziedzica! I módlcie się za niego, inny by was do cyrkułu i do tiumy za te oszukaństwa wyprawił.

– Będę się modlić, panie.

– Zawierzy się onej jeszcze trochę piniundzów, abyście

zaś mieli za co komorę nająć. Ale też musicie oddać, rozumiecie?

– Rozumiem, panie.

– No to podpiszcie ten papier – złagodniał. Mnie we-  
tknął do ręki kawałek czekolady, matce podsunął rewers, mocą którego zobowiązywała się spłacić co do centa sumę wyłożoną przez mrs Annę Stunnington. Tak rozporządził jej syn.

Niewarte dlań zachodu przewinienie mojej matki skończyło się umoralniającą przemową – z przywołaniem bo-  
jaźni bożej i imienia pana Stunningtona – wygłoszoną dziwną gwarą przez mężczyznę w kapeluszu przypominającym przetak. Takie skojarzenie nasunął mi pierwszy raz widziany stetson, noszony przez Steve'a, zaufanego człowieka Pendragona Stunningtona.

Ale wydatkowany kapitał należało wycofać z doliczeniem odpowiednich procentów. I nie miała znaczenia suma przy jego stanie posiadania, mniej zauważalna niż pył. Milion czy cent musiał przynosić właściwy do swej mocy dochód.

Nawyk skrupulatności, jakiś wewnętrzny mechanizm, jakim go obdarowała natura albo wychowanie, nie poddający się żadnym ustępstwom, kazał wszystko policzyć i wystawić rachunek, i dopisać odsetki. Dla nas OZNA-  
CZAŁO TO DWA LATA SKRAJNYCH WYRZECZEŃ.

Kiedy ułagodzony ocean przestał nami miotać i gdy wycieńczona morską chorobą, uczepiona matczynej spódnicy, zastrachana wieśniaczka wychyłam na pokład, odurzył nas słony powiew bryzy, przytłoczył bezkres wodnej równiny z ginącą bruzdą, redloną kilem statku za nami, a przed naszymi oczyma jawił się ogromny fresk.

Nowy Jork.

Spiętrzone kamienne bryły, sześciany, igły, kopuły, wie-

życe. Wszystko wyostrzone jaskrawym słońcem, obrysovane wyraźnym konturem na tle rozlanej ultramaryny, niemal bez głębi, płaskie jak makieta zawieszona w nie-skończonej niebieskości, bo barwa morza zlewała się z barwą nieba.

Poczułam się strasznie mała.

W miarę zbliżania się ku ujściu Hudsonu gładka dekoracja nabierała waloru i otwierała się perspektywa na mosty zawieszane nad rzeką. Miasto olbrzymiało, rozrastało się, przysłańało horyzont, aż zapanowało wszechwładnie, wspaniałe, straszne, porywające. A ja wciąż malałam i zrobiłam się jak łebek od szpilki. Nie byłam pewna, czy poza matką jeszcze ktokolwiek mnie widzi.

Długo prześladowało mnie to uczucie, kiedy ciśnięta w emigranckie getto znalazłam się w różnojęzycznym skupisku prostych, biednych ludzi, zahukana jak i oni, bo zaradni, bardziej aktywni odwarstwiali się i znikali z Lower East Side. Pozostawali ci z pierwszej fali powojennej wędrowni, w jakiś sposób naznaczeni wojną, psychicznym inwalidztwem, bez siły przebicia.

Takie we mnie zapadło to Miasto. Ucieleśniony sen gigantomana, fascynujący olbrzym z neurasteniczną architekturą, piękne, nieludzko obojętne. Zawążyło na moim losie, odcisnęło swój gmerk.

Właśnie pod młotek idzie „Miasto o zmierzchu”.

Duży szpaler utrzymany w konwencji wedyuty, w pastelowych tonacjach pustynnego piasku i gamie odcieni bladego bzu. To jest stary Nowy Jork. Pierwsze drapacze Luisa Sullivana, dwie jednakowe wieże World Trade Center i jeden z najwcześniejszych wieżowców, drapacz Singera z cylindryczną nadbudową, i hieratyczny wieżowiec Woolwortha, echo po gotyckich kasztelach, i Empire State Building, i drapacz Chryslera nakryty szpiczastym hełmem, całym w złotych łuskach.

Ta kopuła na mojej makacie jest w najbardziej nasyc-

nej piaskowej barwie, wycieniowanej żółcieniem szafranowym, otrzymywanym z soku płatków krokusa, dającym ton złocisty, podkreślony wplotem z miedzianego filigranu.

Ale Oni tego nie widzą.

Dla nich to jeszcze jedna odmiana tematu, Miasto u schyłku dnia, wyraz fascynacji autorki współczesną cywilizacją, zaprawionej egzystencjalnym niepokojem, które sublimuje, oswaja, humanizuje i splata w epicką opowieść snutą owczą przędzą.

WIOSNĄ MIASTO JEST JESZCZE DO ZNIESIENIA, ZIELEŃ W CENTRAL PARKU soczysta, a powietrze nie obezwładnia parną duchotą. Lato jest tu ciężkie jak w tropikach, wysysa siły wraz z lepłą wodą spływającą z ciała, dręczy ciągła zmiana aury, kiedy wprost z klimatyzowanych pomieszczeń wychodzi się na wilgotny upał ulicy, a pozbawione regulacji temperatury mieszkanie na poddaszu przypomina kocioł w pralni.

Ale tego dnia w cieniu biurowców Park Avenue rześki ranek niosła bryza od oceanu i gdzieś tam w górze nad ogrodami, krzewiącymi się na dachach wieżowców, świeciło łagodne słońce.

Skończyłam czyścić przypadające na mnie kilometry podłóg, wykładzin tkaninopodobnych i zwykłych, mebli pokrytych dekorfolią, mebli powleczonych plastlakiem, na stelażach z giętych metalowych rur. Pierwsze piętro, dział szeregowych kancelistów.

Drewno, parkiet, pluszowe mokiety, dywany z prawdziwej wełny pojawiają się i rosną w gatunku wraz z kondygnacjami i rangą zatrudnionych. Także zarobki sprzątaczek.

Wychodziłam, kiedy urzędnicy zaczynali swój dzień. Po otrzymaniu pracy zapisałam się na kursy tkactwa artystycznego. Ratami spłacałam chesne.

Odpowiedziałam na pozdrowienie portiera i zatrzymałam się, bo coś mówił, nieważne co, pewno coś zabawnego, bo śmiałam się, zresztą nie musiało być szczególnie dowcipne. Wtedy w ogóle łatwo się śmiałam, z upodobaniem obserwując wrażenie, jakie robię na mężczyznach.

Odkrycie niedawne. Interesujące.

Podobałam się; szare oczy błękitniejące, jeśli ubrałam się w coś niebieskiego, i włosy jak snop żytniej słomy, o odcieniu, o jaki próżno starali się najlepsi producenci dla swoich farb i płukanek. Miałam włosy jak ideał z reklamy o stuprocentowej amerykańskiej dziewczynie, zdrowe zęby, białe i równe, i twarz nie tkniętą szminką.

Taką mnie zobaczył. Młodą, nieskomplikowaną, towarzysko nieliczącą się dziewczynę, nie znaną nikomu z jego znajomych.

– Dzień dobry, mister Stunnington – powitał go portier, ze zręcznością kuglarza chowając w rękawie zapalonego papierosa.

Odpowiedział na pozdrowienie, jego brunatne oczy zatrzymały się na mojej lnianej grzywie, spadającej na plecy grubym pasmem i związanej błękitną wstążką w koński ogon, dotknęły ust, omiotły płócienną sukienkę barwy wyblakłego nieba i nogi w beżowych sandałkach.

Znałam już podobnie nostalgiczne spojrzenia. A to schlebiało szczególnie. Ten wielki pan, który kiedyś nawet nie raczył osobiście krzyknąć na moją matkę i nigdy nam się nie pokazał, i nigdy więcej nie zainteresował naszym losem, odkąd Steve umieścił ją jako sprzątaczkę tu w biurach firmy, teraz mnie zauważył i tak patrzył.

Odwrócił wzrok, minął mnie bez słowa i poszedł do windy zastrzeżonej dla generalnych dyrektorów, elegancji, wysportowany, z mocno opaloną twarzą i lekko osrebrzonymi skroniami. Mężczyzna o trudnym do określenia wieku, jak większość ich tutaj na Park Avenue supermenów po czterdziestce, konserwujących się po tajemniczych

uzdrawialniach, korzystających z pomocy chirurgii odmładzającej, kosmetyków, kwarcówek, masażu, szkieł kontaktowych, peruk, tupetów, kuracji hormonalnych.

ZA WSZELKĄ CENĘ ZATRZYMAĆ MŁODOŚĆ. TUTAJ STAROŚĆ JEST NIETAKTEM.

– Gobelin wykonany techniką haute-lisse! – spiker objaśnia raport splotu, zwraca uwagę na miękkość rysunku i barwienie naturalnymi pigmentami.

Oni przechodzą nieśpiesznie od tkaniny do tkaniny, smakują koloryt, fakturę, jedyną w swoim rodzaju sprężystą szorstkość, jaką odznacza się tylko żywe tworzywo, napawają oczy żmudną, wypracowaną ręczną robotą. I to jest główny powód, jeśli nie jedyny, dla którego przyszedł tu cały Nowy Jork.

Oczywiście przenośnia. Nowy Jork wprawdzie stanowi jeden organizm administracyjny, lecz kilka, a nawet kilkanaście różnych miast. W każdym z nich można przeżyć życie i nie znać innych, nawet nie wychodzić poza jego obręb.

Jest Nowy Jork włoski i serbski, austriacki i węgierski, polski i chiński, Nowy Jork żydowski i jugosłowiański. I Nowy Jork rozsiadły na wschodnim Manhattanie wśród ulic o niskiej numeracji, gdzie mieszkają ludzie bogaci.

To oni zaludniają dziś sale wystawowe Muzeum Sztuki Współczesnej, oni, mieszkańcy dystyngowanych real estate w otoczeniu gwarantującym good neighbourhood – dobre sąsiedztwo.

W takiej enklawie nie wynajmie się mieszkania kolorowym, a także białym, którzy z różnych względów nie odpowiadają obowiązującym tu kryteriom. Jeden wyłom w obwarowaniu, a na dzielnicę spada niesława i uciekają z niej dotychczasowi lokatorzy. Właściciele mogą spisać swe wykwintne domy na straty.



Towarzystwo skończone siedziby nieuchronnie oblegną biedni Jugosłowie, Serbowie, Polacy, Chorwaci i liczne nacje Wschodniej i Środkowej Europy, przyjdą też jak tamci ubodzy Włosi, a za Włochami zawsze ciągną niebogatych Żydzi, a niebogatych Żydów trzymają się Murzyni.

Później fala przyboju wyniesie na dostępny już brzeg ludzi żółtych i skośnookich, o karnacji cynamonowej, rozbielonej czekolady i kremowych jak słoniowa kość.

Będą się mrowić w przeludnionych izbach, na ulicach, w nieustannej krzątaninie, w pogoni za kawałkiem chleba, za większym dostatkiem, za szczęściem, za sukcesem, będą się kochać i płodzić dzieci, nienawidzić i pogardzać drugim, bo biedniejszy, bo inny, będą chorować i umierać, będą się dorabiać i ciućać i jeszcze bardziej deklasować, wykolejać, popadać w apatię, narkotyzować i uczyć, rabować, modlić i zabijać.

Melting pot – tygiel, w którym, jak twierdzą tutejsi socjolodzy, mieszają się i amerykanizują wszelkie narodowości.

Takie było przed ćwierćwieczem Lower East Side, poniżej Czterdziestej Wschodniej na Manhattanie. Teraz nie spotkałam tam ani jednego znajomego człowieka, ani jednego znajomego domu. Na ich miejscu zastałam kolonię eleganckich rezydencji. Rzadka zabudowa, duże ogrody, a w nich rozpasanie kwiatów. Róże, hortensje, rododendrony, azalie, lilie i tuberozy.

Asfaltowe jezdnie bez chodników dla pieszych. Przechodniów nie przewidziano w dzielnicy, gdzie roczny czynsz wynosi kilkuletni dochód średnio uposażonego obywatela, a akt własności – zarobki całego życia. Na większość tych budynków nie ma amatora. For rent – do wynajęcia, for sale – do sprzedania, informują wywieszki.

Miasto jest skrachowane, dręczone ujemnym bilansem, nie ma pieniędzy na służby komunalne, socjalne, nie ma pieniędzy na komunikację, nie stać go na dostateczną ilość

policji, aby zapewnić ochronę ludziom. I coraz więcej mieszkańców, zwłaszcza bogatych, osiedla się w pobliżu metropolii albo migruje w głąb kontynentu.

– Nie wychodź sama wieczorem, zawsze bierz wóz albo taksówkę i zawsze noś przy sobie drobne, kiedy idziesz pieszo. Jeśli ktoś zażąda, daj mu je – instruował Hermes, gdy tylko przyjechałam. Brak pięciu dolarów albo odmowa może kosztować cios nożem lub cięcie brzytwą, może kosztować życie.

Czuwał nade mną.

– Gaja, dokąd? – zatrzymał mnie, gdy chciałam na chwilę wymknąć się z przyjęcia dla dziennikarzy wydane-go przez firmę w przeddzień wernisażu. Tu bardzo dba się o publicity.

Kiedyś, skazana tylko na siebie, tęskniłam do gromady, zazdrościłam innym przyjaciół, znajomych. Z latami samotność stała się moją naturą. Są wprawdzie ludzie, których bardzo lubię, ale paradoks, już po krótkim obcowaniu męczą mnie, po dłuższym doprowadzają do rozpaczki nawet milczącą obecnością.

Uciekłam od zgiełku w ciszę pustej pracowni dekoratorskiej, oddzielonej od salonów ekspozycyjnych całą kondygnacją. Mruczała klimatyzacja, pachniało kurzem, farbą. Swojsko. Panował dobrze znany bałagan towarzyszący wszelkim kunsztom.

Stały tu drabiny, szczątki starych dekoracji, rulony falistej tektury, płótna, papier-mâché, sterta makulatury.

I nagle z tego stosu ugodziło mnie dawne życie, zjawa z przeszłości na strzępie starej gazety.

„THE MURDER OF DOKTOR ORLANO HARROCKS” – uderzyła w oczy gruba trzcionka ze stronicy pozbawionej początku i końca, poniżej fotografii mężczyzny z oddartą dolną połową twarzy.

Widok okaleczonej podobizny i brzmienie nazwiska wytłoczonego czarną farbą wyzwoliły wspomnienia mi-

nionego czasu, zdawałoby się tak pogrzebanego w świadomości, jakby nigdy nie istniał. Przerwały obronną niepaamięć, runęły udręką, poraziły bólem, jakby tamto działo się wczoraj, a nie dwadzieścia lat temu.

MOJE DZIECKO URODZIŁO SIĘ I ODESZŁO W TEJ TAJEMNICZEJ PRZEDRANNEJ godzinie, kiedy najślabiej bije puls świata, kiedy najczęściej umierają chorzy, starcy i noworodki.

– Dziewczynka. Nie udało się utrzymać jej przy życiu – zawiadomił mnie doktor Orlano Harrocks. Trzymał na ręku spowity w płótno maleńki, żaloszny tłumoczek.

WIADOMOŚĆ ZROZUMIAŁAM, ALE MNIE NIE PORUSZYŁA. NIE CZUŁAM NIC. NIE DOTYCZYŁO MNIE SPOCZYWAJĄCEJ POD NIEWIDZIALNYM KLOSZEM ŚRODKÓW OSZAŁAMIAJĄCYCH.

– Kompozycja strukturalna, wyjście w przestrzeń... – spiker prezentuje jedną z prac wykonanych metodą aplikacji z drobnych elementów. – Różnorodność wzoru tworzy płaszczyzny i wypukłości, przydaje fakturze głębi, upodobnia do rzeźby.

Spiker ciągnie po wiekach, czego tam nie ma! Szlak bursztynowy, pasy słuckie, baczmagi, kurdybany, karabele, bucharskie opony, w ogóle kultura magnacka. Włos się jeży.

– Zagada, zanudzi publiczność – niepokoję się.

– Ludzie lubią patynę – mówi pewny siebie Hermes.

Spiker wydobywa się z dygresji o wpływach bizantyjskich, perskich i tureckich, widocznych w polskim stroju szlacheckim, zatrzymuje się przy inspiracji Wschodu w naszym kobiernictwie, podkreśla znaczenie tradycji.

Tradycja.

Ziemia, które mnie wydała, nie wykształciła ani stroju

ludowego, ani znamiennej architektury, może na to za uboga, może zbyt płynna etnicznie, ale przez całe pokolenia tkano tam w każdym domu. Własny kunszt odziewał, oblekał grzbiet konia, mościł dom i ozdabiał.

Pewno nosiłam owo rzemiosło we krwi, jak dobrotliwą bakterię albo dziedziczną chorobę. A w najwcześniejszych, dziecinnych jeszcze próbach gorliwie i nieudolnie naśladowałam matkę.

„U nas każda kobieta robiła samodziały. To był mus powszechny, jak pobór mężczyzn, ale wielka tkaczka rodziła się raz na wiek. Po okolicy prędko rozchodził się słuch o niej i ona już nigdy nie zaznała przednówka. Z najdalszych stron ludzie wełnę wieźli i na dywany od takiej tkaczki, bywało, cierpliwie czekali i po parę lat” – marzyła dla mnie matka o sytej karierze, jaką znała ze swych rodzinnych stron, dzieląc kukurydziany chleb, do którego nie mogła przywyknąć, ale nie stać jej było na inny.

Skazana na dzielnicę nowojorskiej biedy, podwójna emigrantka z kraju i ze środowiska, jeszcze bardziej obca przez swą świeżą wiejskość, jak zwierzę ratujące się w chorobie instynktownie wynajduje właściwe ziele, grzyby czy porosty, tak ona czepiała się rzeczy najbardziej jej bliskiej, swojskiej.

Uciekała w tkactwo przed pogardą, obojętnością, ksenofobią otoczenia, uciekała przed nostalgią, o której, nie znając właściwego słowa, mówiła, że ją boli ziemia rodzinna.

Świtem podejmowała dalekie, napawające lękiem wyprawy do zamożnych dzielnic, gdzie, zanim przybyli śmieciarze, przeglądała wyniesione przed furtki worki z czarnego plastyku napelnione odpadkami. Wybierała stamtąd barwne szmaty, prała je, cięła w paski i zwijała w motki, aby kiedy uskłada na krosno, utkać z nich derki, chodniki, kapy.

Ale pieniądze jej się nie imały.

I skąd wziąć krosno na południowo-wschodnim Manhattanie? Nie wiedziała. O pomon poszła do sąsiada, który w tym oceanie cudzoziemskości był istotą swojską. Mówił mową zrozumiałą, kędziory barwy oszadziałej grudy przykrywał czarną jarmułą z wytartego aksamitu, świętował w soboty, w piątkowe wieczory jego samotny cień chwiał się na ścianie poruszany pełgającymi płomykami świec zatkniętych w wieloramienny lichtarz.

Smutny prorok objawiony w suterenie naszej kamienicy, spowity kadzidłem oparów z wrzących klejów i pokostów, brodzący w obłokach złocistych strużyn spływających spod hebla.

Swojski, bo podobny dobrze znanym krawcom, czapnikom, stelmachom, rymarzom, zaludniającym kiedyś ciasne podwórka ubogich kamieniczek w rynku Miasteczka położonego blisko Wsi rodzinnej, miasteczka zamordowanego w wojnę, jak i wieś.

Stolarz.

Ostrugał i wypolerował drewniane listwy, nawiercił otworkami. Uczynił najprostszy warsztat tkacki. Krosienko tabliczkowe. Znane z dzieciństwa. W jej stronach, oprócz własnoręcznie uszytej lalki ze strzępu płótna, jedyna zabawka dziewczynek. Nie zamierzona dydaktyka ćwicząca przyszłe tkaczki.

– Niech nie płaci, bo nie ma czym – burknął, gdy supłała miedziaki. – Utki mi derkę, u nas też takie robili. – Pochodził gdzieś spod Grodna, przybył do Nowego Jorku po pierwszej wojnie światowej. Tu przeżył życie. Pochował żonę. Wykształcił jedynaka.

Lata nauki syna ojciec przesłęczał nad markietarzem. Płaty okleiny przemieniał w intarsje o delikatności koronki, malował miniaturowe obrazy substancją wielorakiego drewna. Ileż jesionu, brzości, jaworu, ileż grusz i czereśni przetworzył, zanim syna wykierował na inteligenta. Uło-

żone w sagi sięgnęłyby korony białej bogini czuwającej u nabrzeży Miasta.

Syn został inżynierem, otrzymał pracę w koncernie ITT. Ożenił się z Amerykanką, ale ona nie chciała, aby w ich eleganckim domu z basenem i strzyżonymi trawnikami mieszkał taki niemodny ojciec, co za nic nie chciał rozstać się ze swoją stolarnią, jarmułą i menorą – obrzędowym świecznikiem. Więc żył sam, tylko coraz trudniej było mu kleić markieterie. Osłabły oczy.

Moja matka nawlekała osnowę z grubych jutowych nici, rozkręconych resztek starych lin, wyproszonych w porcie, i nocami plotła szmaciaki. Jakiś mus kazał jej zarywać noce przy tych dziurkowanych deszczułkach.

Tak się broniła. Pozór życia znanego i rozumianego, niosącego powiew lasu, oddech dzikiej rzeki w bordiurach trzciny i tataraku, w ramionach czarnych olch, a nie betonowych cembrowin, innego niż tutaj czasu, innej niż tutaj przestrzeni, innego słońca i obyczajów.

Wytoczonym z drewna, grubym szydełkiem, tam w jej stronach nazywanym kulką, działa szmaciane makaty, łachmanowe arrasy oszalałe od barw i kształtów. Kwitły i owocowały gałganiane kwiaty, pleniły się zioła, stały wielkie bory i pasły się zwierzęta. Jak w raju, pospołu te domowe i leśne.

Nie, nie była wielką tkaczką. Mnie, dziecku jedynemu, jakie jej ocalało z rzezi, wieszczyła mistrzostwo ucząc pierwszych ściągów.

– Może ty, córko, otrzymasz ten dar, bo przedza cię nawidzi, każde włókno legnie do twoich rąk.

Teraz tu, w Muzeum Sztuki Współczesnej, stałam trochę i w jej imieniu, a w folderze wymieniano i ją, moją pierwszą nauczycielkę. Satysfakcja przyszła za późno, już nie potrafiła ani się bardzo cieszyć, ani smucić, ani mocno przeżywać.

Moja matka.

Wykolejona wieśniaczka z twarzą spękanej gemmy, z rozbitą osobowością, zamordowana przez wojnę i dwa-  
naście nowojorskich lat. Zmiażdżona przez świat, którego  
nigdy nie zrozumiała i w którym zatraciła instynkt. Naiw-  
na i przebiegła, wspaniałomyślna i chciwa, wielkodusznna  
i małostkowa. I zupełnie bezbronna.

Pokonało ją Miasto. Nie obroniło krosienko.

W nowojorskich slumsach rozsypał się do reszty prosty  
świat mojej matki. Jego miejsce zajął schemat powielany  
przez masowe media kultury. A poniżej Czterdziestej  
Wschodniej największą hańbą stanowiła bieda.

Podziwiano i zazdrozczono temu, kto się stamtąd po-  
trafił wydostać. Trawiła obsesja sukcesu. Materialnego.  
Wymiernego w rzeczach i liczbach. Tu nikt niczym się nie  
gorszył, niczemu nie dziwił, ludzie żyli w różnych ukła-  
dach, żyli niepocziwie, żyli bezmyślnie ze zwichniętą  
skalą wartości.

WZIEŁAM ZAPROPONOWANE PIENIĄDZE. PODPI-  
SAŁAM, JAK ŻĄDANO, ZRZECZENIE wszelkich rosz-  
czeń finansowych i moralnych, teraz i na zawsze. Otrzy-  
małam odszkodowanie za moje martwe dziecko. Odebra-  
łam czek z rąk tego samego adwokata, który przed laty  
krzyczał na moją matkę za pośrednictwem Steve'a mówią-  
cego dziwną, nawet dla nas nie zawsze pojętą gwara,  
a teraz był uprzejmy i zwracał się do mnie po angielsku,  
a ja doskonale go rozumiałam.

Kupiłyśmy standardowy domek w podmiejskiej osadzie,  
zamieszkałej przez drobnych urzędników, rzemieślników,  
subiektów, domek biały, z pomalowanymi na czarno  
okiennicami i futrynami, ze splechotkami trawnika obsa-  
dzonego żywopłotem z bukszpanu.

Matka upodobiła się do sąsiadek.

Obcięła warkocz, kunsztownie ondulowała włosy, nosi-

ła jaskrawe albo kwieciste sukienki, malowała paznokcie  
na krwistoczerwony kolor, paliła papierosy, piła alkohol.

Zawarła znajomości, nie stroniła od mężczyzn, z zado-  
woleniem kłaniała się znajomym paniom i one jej się  
kłaniały, czasami zapraszały się na kawę albo na kieli-  
szek.

Nie tknęła już szmaciaków, a miejsce po tej pasji zostało  
puste. Nie zapełniły go ani zabiegi wokół własnej powierz-  
chowości, ani nietrwałe związki z mężczyznami zagubio-  
nymi jak i ona, ochwaconymi światem rzeczy, życiem  
w pogoni za rzeczami i dla rzeczy, stanowiącym miarę  
wszystkiego, pozbawionym innych treści, nie wiedzącymi,  
co począć z czasem wolnym, z tym darem ciężkim jak kula  
u nogi, więc zabijali go dodatkową pracą i alkoholem.

Odwiedzała naszą starą dzielnicę, obnosiła spiętrzone  
z loków fryzury, wymyślne stroje, swoją nową kondycję  
osoby, której się powiodło. Wracała rozczarowana.

Po krótkotrwałym zawistnym podziwie przestano się  
nią interesować. Przestała być stąd. I nikomu jej tam nie  
brakowało. Ta społeczność jak ruchome piaski wypełniła  
miejsce po niej tak dokładnie, jakby ona nigdy nie istniała,  
jakby nie przeżyła wśród nich dziesięciu lat.

Znów wszędzie obca.

Ponownie zaczynała biografię od zera. Od wejścia do  
białego domku z czarnymi żaluzjowymi okiennicami. Ale  
tak naprawdę nie została tu zaakceptowana. Zbyt odmien-  
na, zbyt prosta, za często nietrzeźwa. Trochę tragiczny,  
trochę śmieszny, starzejący się wamp-neofita.

W odwet za obojętność świata, który jej nawet nie  
odrzucał, tylko nie zauważał, idealizowała ludzi, naturę  
i zwierzęta pozostawione w jej dalekiej wsi. Coraz częściej  
piła, coraz częściej wspominała o powrocie.

Ale łatwiej przyszło znów przemierzyć ocean, niż poko-  
nać ostatnie trzysta kilometrów z Warszawy do Wigajń.  
Nie przebyła ich nigdy, chociaż z początku wybierała się

tam ciągle, tylko zawsze wyrastały jakieś trudności nie do przezwyciężenia. Niedobra pogoda, brak modnego ubrania, złe samopoczucie, moja szkoła, moje nieudane małżeństwo, mój i wód, później urządzenie mieszkania na Sadybie, pielęgnowanie grządek. Nizała preteksty. Z czasem przestała szukać usprawiedliwień.

Przeszkoda była w niej.

Świadomość przegranej, surowy osąd życia, jakie wiodła. I nie miało znaczenia, że większość ludzi z kręgu rodzinnej wsi wymarła, rozpierzchła po świecie, a reszta nie wiedziała nic o kolejach naszego losu. Poczucie klęski, naganność postępowania i wstyd przed opinią liczącego się dla niej środowiska nosiła w sobie.

I we mnie tkwiły opory i niechęć do naruszania utartego stanu rzeczy i wzgląd na zastrzeżenia matki, i powody nieuświadomione, a najpewniej jeden, nazbyt wczesne wykorzenienie z tamtej ziemi.

Lecz do końca nie zrozumiałam wszystkich przyczyn, jakie najpierw odgradzały od mego najpierwszego miejsca na świecie, by później, pod wpływem gazetowej wzmianki, przekształcić się w przymus, który mnie tam pogał, bo przecież nie sama tylko obawa i ciekawość przewidywanego oddźwięku, wywołanego faktem ukazania się mojego rodzowego nazwiska w ogłoszeniu prasowym, zamieszczonym we wszystkich pismach regionu.

Nie powodując nostalgii przez lata, trwał we mnie zastygły w swym kształcie, delikatny, malowany pastelami obraz stron rodzinnych. Płanin i sapów, mrocznego boru, chabrowego oka jeziora i pleniących się traw. Teraz zastałam inną rzekę, inną łąkę, inny las, niż te wytrawione w pamięci. Powabny, obcy pejzaż. I bliższy pozostał tamten, nie istniejący.

Nie poczułam się tutaj u siebie, jak nie czułam się u siebie na Lower East Side, jak nie czułam się u siebie

w białej willi z czarnymi żaluzjami pośród azalii, rododendronów i żywopłotu z bukszpanu.

Może jestem u siebie w Warszawie w domu ze splechciem ogródka, może w pracowni scenografa, ale prawdziwie, najpewniej jestem u siebie tylko w moich makatach. Uciekam w nie od zawodów, rozczarowań ludźmi, OD NIEUBLAGANIE MODELUJĄCEGO MNIE CZASU, OD UDREKI DNIA CODZIENNEGO.

Nieustannie émi obawa o matkę i Hannę, moją córkę. Same zostały w Warszawie. Nieodpowiedzialna stara kobieta pod opieką czternastoletniej dziewczyny.

Hanna ma wielki i dobry wpływ na babkę. I pewno dlatego Hanna jest zbyt poważna na swój wiek. I nazywamy ją Hanną, gdy o babce, między sobą, przywykłyśmy mówić Stenia.

Nad tymi dwoma bezbronnymi istnieniami, oprócz których nie mam nikogo, usiłuję teraz zdalnie czuwać przy pomocy telefonicznego kabla i za każdym razem, gdy przez niewidzialne łącza nasze głosy pokonują dzielący nas ocean, doznaję uczucia uczestniczenia w cudzie.

– Dziękuję ci, córko – powiedziała ceremonialnie moja matka. – U nas wszystko w porządku. Ja jeszcze sobie siedzę, a Hanna śpi.

– Dlaczego śpi? – Już w oszalałej wyobraźni choroba, klęska, nieszczęście. I nagle nic więcej nie istnieje, tylko straszliwie daleka i bliska obecność w membranie.

– Przecież jest noc – szemrze głos mojej matki.

Znów rusza serce, powoli ustępuje z gardła dławiąca obręcz. No przecież, jakież to proste, u nich jest noc. Zapomniałam o sześciu godzinach różnicy w czasie dzielącym mnie od domu na Sadybie.

Hermes wymienia nazwiska, jakie sprowadziła na mój wernisaż magia pracy ręcznej, która owcze runo przetworzyła w nić, nasyciła ją naturalnymi pigmentami i utkała w harmonijne kompozycje o delikatnym kolorycie.

– Jutro będziesz znana w Nowym Jorku – zapewnia. Właśnie weszli popularni dziennikarze telewizyjni, Walter Cronkit i dziewczyna nazywająca się podobnie – jak powszechnie lubiana warszawska prezenterka – Barbara Walters.

Wciąż stoję na podium, nalewam armaniak do kryształowych kieliszków, bo ja tu jestem gospodynią – tak zdecydował Hermes – więc nalewam po odrobinie ciekłego bursztynu z francuskich winnic w cięty w rauty flint z czeskosłowackiej huty.

Koniak roznoszą po salach śliczne jak z obrazka hostesy, wynajęte przez Hermesa w doskonałej agencji reklamowej, prowadzącej biuro w sąsiedztwie jego firmy przy Madison Avenue. Jak łagodny golfstrom opływa nas ruchomy, ludzki nurt. Hermes przedstawia przechodzących: polityka, sztuka, giełda, literatura, przemysł.

Establishment!

Odwonieni dezodorantami Yardleya, Niny Ricci, Heleny Rubinstein, napachnieni perfumami Yardleya, Niny Ricci, Heleny Rubinstein, namaszczeni pomadami Yardleya, Niny Ricci, Heleny Rubinstein, ubrani starannie w smokingi i suknie o bezbłędnym kroju, ubrani z wystylizowaną abnegacją w efektowne gałgany, ubrani w niby bezpretenjonalne szmaty – lecz i te nobliwe, i te łachmaniarskie kupili w bardzo eleganckich i drogich magazynach u Altmana na Piątej Alei, w firmie Bonwit Teller albo u Saksy czy Taylora, a najpewniej w którymś z malenkich boutiques rojących się przy Madison Avenue, gdzie każdy z takich strojów kosztuje majątek.

Mnie Hermes też chciał przyodziać, abym godnie repre-

zentowała jego galerię na wielkim widowisku, jakim w końcu stał się wernisaż.

– Trzeba ci dać oprawę – orzekł zatrzymując się przed sklepikiem, w którym zazwyczaj oprawiał wszystkie swoje klientki.

Za kryształową szybą na podściółce z fiołkowego aksamitu leżała niczym rzadki klejnot jedyna bluzka z kremowego floretu, cała pokryta tchnieniem ręcznego haftu w takim samym kolorze. Jedyna bluzka, przy której nie podano nawet ceny.

Zaparłam się przed wystawą wyglądającą jak etui na biżuterię i nie dałam zawlec do środka. Znałam zwyczaje owych wykwinnych sklepiczek. Strzeżcie się takich, co nie raczą wymienić kosztu eksponowanego łauszka. To rozbójnicy.

– Too expensive! Za drogo – zbuntowałam się po raz pierwszy.

Dzielnie znosiłam weliny, grawiury, armaniak z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego, słowa nie powiedziałam przeciwko pierwszej jakości ciałom, czyli hostessom kosztującym trzydzieści dolarów za godzinę.

Nie protestowałam, chociaż moim zdaniem, zamiast dostatego koniaku mogła być żytnia. Autentyk. Na ziemi, z jakiej pochodzę, nie uprawia się szczepu winnego, tylko zboże i niekoniecznie podając gorzałkę musiały się uśmiechać najkosztowniejsze pyszczki w Mieście. Cierpiałam te szaleństwa, chociaż pożerały wpływy, ale nie dam się obłupić w boutique'u na Madison. Po moim trupie.

– Ubranie jest moją prywatną sprawą – stanęłam okoniem. Jeszcze jak prywatną, w tej cholernej umowie stoi jak wół, że sama ponoszę wszelkie koszty osobiste związane z reprezentacją. Nie będzie mnie Hermes ubierał za moje pieniądze!

Pieniądze.

Przyjechałam tutaj ze stu pięćdziesięcioma dolarami obywatelskiej wyprawki i Hermes od razu otworzył mi kredyt, z którego czerpałam bardzo oszczędnie, bo do wszystkich udreń, jakie przywlokłam ze sobą, doszedł niepokój, czy mój dochód ze sprzedaży wystarczy przynajmniej na pokrycie należności za pobyt. Przerazały nakłady na reklamę, oprawę i lokal.

– Nie będziesz mi dyktował, co mam na siebie włożyć.

– Jest zastrzeżone w kontrakcie.

– Tak? Nie zauważyłam – łągałam.

– Widać nie czytałaś uważnie. warto ci się spierać o drobiazgi?

– Warto. Too expensive – upierałam się z cierpliwością muła. – To, co przywiozłam ze sobą, nie jest gorsze.

Umowę i scenariusz wystawy Hermes przysłał do Warszawy, jadąc tu, dobrze wiedziałam, czego się po mnie oczekuje. Powinnam także stylem ubioru podkreślać moją kondycję twórcy przedmiotów pięknych. A w przekonaniu Hermesa najwyższą klasę także w dziedzinie mody zapewniał tylko Nowy Jork.

A naprawdę cały świat zalewa tania seryjna tandeta, zuniformizowana i bez wyrazu, taka sama w Paryżu, Nowym Jorku, Tokio, Madrycie czy Melbourne. Taka sama, bo produkowana w tych samych zakładach należących do międzynarodowych koncernów, lokowanych na obszarach, gdzie podatki najniższe, a siła robocza najtańsza.

Indywidualizacja przedmiotów zaczyna się od określonej ceny, wprawdzie zróżnicowanej, lecz przeważnie niedostępnej dla przeciętnej kieszeni. Są to rzeczy piękne, wykwintne, wyrafinowane, w doskonałym gatunku. Wytworzane przez rękodzielników w pracowniach, warsztatach i niewielkich zakładach.

I w tej mnogości wszelakiego rzemiosła Nowy Jork jest bardzo paryski, tylko wszystko jest w większej skali. Ma

swój odpowiednik Boulevard Saint Antoine – całą dzielnicę ebenistów, ma swój odpowiednik Belleville, obsadzoną przez krawców i kaletników, ma Faubourg Poissonnière – ulicę kuśnierzy i białoskórników, i wiele, wiele innych.

Przybywali i wciąż przybywają na ziemię amerykańską rozbitkowie z różnych stron świata, przywożą swoje obyczaje, urazy, swoje fobie, swoje upodobania, przyzwyczajenia, swoje potrawy i umiejętności. Ciągają swoje nostalgie, swoich bogów, swoje uprzedzenia i swoją mądrość.

Wyrzucani z kadłubów samolotów na płyty lądowisk, wyrzucani spod pokładów statków na pirsy u ujścia Hudsonu, bez pieniędzy i znajomości języka, bezradni jak głębinowe ryby wydobyte na powierzchnię, przeważnie nie migrują dalej na kontynent, pozostają w tym jedynym Mieście, w tej wieży Babel, skupisku wszelkich narodowości, ras i koloru skóry. Przygarniają ich kolonie wcześniej osiadłych rodaków, wchłaniają dzielnice biedy, etnicznie wymieszane.

Nie ma barier języka, obyczaju czy rasy dla cudownie zdolnych rąk biegłych w kunszcie. Więc wynajmują swoją sztukę manualną, swoją wyobraźnię, swój talent. Kształtują srebrną blachę, splatają ażury ze złotego drutu cienkiego jak włos dziecka, wycinają światy w ziarnku ryżu, obrabiają lakę, miedź, perłowiec i drewno.

Pamiętam Hindusów rzeźbiących słoniową kość, Włochów ślepnących nad baśniowo misternym filigranem, których prace sygnuje swoim gmerkiem firma jubilerska usadowiona przy Moście Złotników we Florencji dłużej, niż liczy historia Stanów na ziemi amerykańskiej.

Pamiętam starych Żydów o pergaminowych twarzach, zbiegów z całej Europy, poliglotów mówiących wszystkimi językami świata i żadnym dobrze, powoli zabijanych diamentowym pyłem, wielkich, bezimiennych artystów – szlifierzy brylantów. Ich czułe palce nie zmieniały naturalnej

proporcji struktury szlachetnego minerału, chociaż cięty i sto pięćdziesiąt faset na powierzchni wielkości siemienia. Diament jest dziełem natury, brylant tworzy szlifierz.

Obrabiali cenny kamień na zlecenie najsłynniejszych na świecie pracowni z ulicy Pelikanów w Amsterdamie, a ich sztuka, opatrzona stemplem tych pracowni, trafiała do magazynów jubilerskich Nowego Jorku, Los Angeles, Waszyngtonu.

– To jest bardzo piękne – powiedział Hermes, kiedy obejrzał moją suknię z kremowej greży, połyskującej naturalną barwą oprzędu jedwabnika; przybraną koronką z ciemniejszego o ton, najcieńszego tramu, zrobioną szydełkiem przez matkę.

Na ażurowej siateczce koloru baldaszków kwitnącej lipy rozkrzewiły się jakieś bezimienne rośliny z ogrodu jej młodości. Pantofelki Matki Boskiej, a może puchaty kwiat przelotu z nastrzępioną główką jak miniaturowa chryzantema albo gwiazdki o pięciu płatkach ze złotym okiem w środku, zbite w śnieżne wyspy u brzegów jeziora, nazywane w jej stronach anemonami.

Może były to przetworzone w jej pamięci zioła z czasów, kiedy nie znała smaku papierosów ani alkoholu, ani zbrodni, ani pogardy tak wielkiej, aż zadającej śmierć, ani umarłych nadziei, ani nie spełnionych pragnień. Powstała w jej dłoniach rzecz wielkiej urody z bezbłędnym wycuciem faktury, kolorytu i kompozycji.

– Podobały się moje wstawki? – pytała, gdy do niej telefonowałam.

– Bardzo. Ubiorę się w tę suknię w najważniejszym dniu.

– Ładnie napisali o twojej scenografii – matka z pewną rezerwą wymawiała słowo, którego długo nie potrafiła obłaskawić. – Hanna wycięła recenzję z gazety.

– Ale o jakiej scenografii, mamó?

– No, do tego Hiszpana.

## KORONKI, SCENOGRAFIA!

Ależ tak, przypominam sobie, gdzie widziałam człowieka zabitego w Orylu. Jego twarz wynurza się z zawsze mrocznych zakamarków w suterrenach na zapleczu sceny, do których wiodą karkołomne schody z wyszczerbionym stopniem.

– Uważać na trzeci schodek! – ostrzega się nowych, i nie ma mocnych, aby go naprawić. Trzeci schodek jest jakiś bezpieczny i nikt się do niego nie przyznaje, chociaż terytorium teatru podzielone jest między władców absolutnych.

Zaległam w mojej klitce, zupełnie serio nazywanej pracownią scenografa, i projektuję oprawę plastyczną do „Don Carlosa”. Tło umowne, zaznaczone najprostszymi środkami. Cały wyraz należy do koloru i oświetlenia, cały akcent – na kostium.

Przepych. Feeria barw i światło wzbogacające walor, wyrażające nastrój, wydobywające osobowość postaci, podkreślające gest. Coś z klimatu art impossible – sztuki niemożliwej.

Maluję mięsisty połysk atlasu i głęboką matowość aksamitu, w myśli ustawiam punktowce i reflektory sceny. Światło powinno stwarzać złudzenie materii, czegoś, co da się dotknąć. Teatralny elektryk potrafi osiągnąć każdy efekt. Ale skąd wezmę safian, altembas, bisiory i złotogłów, strusie pióra i pozór koronek rosellino, skoro nie mam nawet strzępu najskromniejszego gipiuru.

I w te myśli jak dysonans – rumor na schodach. Czy dyrekcja czeka, aż ktoś skręci kark na trzecim stopniu?

Pukanie do drzwi.

– Jak ja tego nie lubię! – wołam zamiast zaproszenia.

W takich chwilach nienawidzę gości i wszyscy koledzy o tym wiedzą, oni też nienawidzą, ale nikt z nas z innymi się nie liczy i wchodzimy do siebie, kiedy chcemy, i przeszkadzamy sobie bez skrępułów.

Lecz to nie był nikt z kolegów. Wszedł handlarz. Dźwi-



ielką uszată torbę. wysłużoną i brzuchatą, spod  
mkniętego eklera wystawał kęs tkaniny.

stawca garderób teatralnych.

en z tych smutnych, samotnych osobników, wyprze-  
y przebrzmiałe stroje z dna jakiegoś czarodziejskiego  
, który niewiadomym zrzędzeniem boskim przetrwał  
ek caratu, zmierzch monarchii austro-węgierskiej,  
wojny i Drugą Rzeczpospolitą.

iwacy, fanatycy teatru, gatunek rzadki i przez sceno-  
w niezmiernie ceniony, zwłaszcza w Warszawie,  
autentyczna zawartość wiekowych sepetów trafia  
częściej.

nieciekawej starzyzny, jaką przyniósł, wyłowiałam  
i metrów pysznej blondy i kawał całkiem znośnego  
adownictwa Malines, przyszytych do zetlałego łach-  
a, będącego niegdyś suknią.

oserwował mnie ukradkiem, jego uważne spojrzenie  
do jak czułki owada nie znaną przeszkodę. Wtedy  
lałam, że z wyrazu twarzy, ze sposobu, w jaki wygła-  
n zmurszałe materie, chce wyczytać, ile skłonna jestem  
acić za rzeczy, które wybiorę.

igdy więcej się nie pokazał.

im był? Handlarzem starzyzny, nałogowcem teatralnej  
ły, opuszczonym człowiekiem wyprzedającym wspom-  
nia na progu starości? Jeśli zawodowym dostawcą,  
gł zapisać mój adres, bo nie zawsze pracuję w klitce za  
ią. Ale jakimi drogami trafiło do niego ogłoszenie  
azety obojętne osobom postronnym i po co je zabrał  
woją ostatnią wyprawę, skończoną pod progiem wiej-  
ego domu bogatego cudzoziemca, czy chciał je sprzedać,  
sprzedał mnie koronkową falbanę, tylko wiadomość

zała się mniej warta niż nadjedzona przez mole frywo-  
?

spod wielu warstw pamięci wyłania się ta sama, chociaż  
ia twarz dostawcy garderób teatralnych. Oczyszczona

ze znamion wieku. Młoda: Czy to ktoś z mojego najwcześ-  
niejszego dzieciństwa, czy z Lower East Side? I dlaczego  
kojarzy się ze stukotem kół pociągu, drogą, oceanem, ktoś  
z naszej wędrowki na drugą czy z drugiej półkuli? Nasz  
powrót. Chciała go matka, ja tylko zmiany.

Było mi wszystko jedno, gdzie zacznę od nowa. Nie  
tęskniłam do Polski, odnalazłam ją znacznie później. Zie-  
mia nie znana poza oderwanymi obrazami, jak ze złego  
snu, ognia, salw, lamentu, zastygłymi w najdawniejszej  
pamięci, we wspomnieniach matki ograniczona do jej wsi,  
a panująca tam bieda wyłaziła z każdego słowa opowieści,  
choćby nie wiem jak upiększanej.

Nie, nie budził sentymentu i nie ciekawił daleki kraj i nic  
nie wiedziałam o jego życiu, zamknięta w świecie poniżej  
Czterdziestej Wschodniej w społeczności zajętej bez reszty  
tylko swoim dniem codziennym, odizolowanej, ciemnej jak  
i my.

Dopiero gdy zaczęłam godzić się na wyjazd, chciałam się  
czegoś dowiedzieć o tej obojętnej mi Ojczyźnie i wtedy  
najbardziej ujęły mnie zdobycze socjalne, zwłaszcza bez-  
płatne nauczanie. Bo już tyle wiedziałam, że mój dar  
plastyczny i manualny muszę podbudować solidną wiedzą  
przedmiotu.

Później, w warszawskiej szkole, w mojej miękkiej,  
śpiewnej mowie znad wschodniej rubieży, prostej mowie  
mojej matki – dopatrywano się przywiązania do narodo-  
wej tradycji, brano mnie za któreś tam pokolenie urodzone  
na obczyźnie, a ja nie prostowałam pomyłki, usprawiedli-  
wiała moją wręcz doskonałą nieznajomość historii rodzin-  
nego kraju, jego geografii i kultury.

Chwalono za zachowanie języka. Zaczęłam zrec-  
książki.

Próżno jednak brnę przez tamten czas, nie odnajduj-  
w nim twarzy człowieka zastrzelonego pod jałowcem  
nadbużańskiej posiadłości. I dlaczego zabito go własni

m, i jaką rolę rozpisano mnie, sprowadzając pod wylud-  
ony dom?

2

Jak tylko sięgał pamięcią, sekwoje rosły tu zawsze i były  
ż takie potężne, zanim powstała jego pamięć i on sam.  
pawała nabożną grozą myśl, że kiedyś nie istniał. Jak to  
żliwe, jak to jest nie istnieć? Nie potrafił ogarnąć  
obraźnią świata bez siebie. Z zawistnym podziwem  
oglądał na mamutowe drzewa. Wieczne. A jednak one  
: kiedyś nie istniały, lecz tak dawno, tak bardzo dawno,  
nie można uwierzyć.

Nie ma nikogo, kto widział owo miejsce bez nich ani jak  
wały się większe. Nawet Granni, która jest niewypo-  
edzianie stara i też żyła zawsze, nie znała sosnogromów  
ymi, niż są teraz. Nawet ci, co tutaj spoczywają, nie  
zarzyszyli narodzinom sekwoi.

Spoczywają – druga bardzo ważna i bardzo delikat-  
sprawa, tak samo przyprawiająca o dreszcz trwogi,  
szta łączy się z nieistnieniem, którego widomym zna-  
m jest biała rotunda. Wysoko nad nią leciutko kołyszą  
gałązki olbrzymów z ciemnozielonymi szydełkowatymi  
mi.

Ia tle potężnych, godzących w niebo pni, pokrytych  
ą pożłobioną grubymi pęknięciami, podobnymi rozpa-  
iom, pawilon wydaje się zbudowany z filigranu, w oto-  
niu przytłaczających gigantów obcych jego rodzinne-  
pejżazowi, broni się doskonałością proporcji, szlachet-  
nią linii, elegancją kolumn wspierających kopułę wolu-  
i z liści akantu. Słońce zapala na jej łuskowatym dachu  
małych słońc, ile jest płytek.

Pozłacane – objaśniała Granni. Uroczysty ton syгна-

lizował coś niezwykłego, bo sens słowa, chociaż słyszanego  
niejednokrotnie, wtedy dla niego jeszcze nie oznaczał nic.

– Grobowiec – mówiła z szacunkiem zatrzymując się  
przed rotundą, a on wiedział, że ten niepodobny do niczego  
wyraz oznacza właśnie ową białą budowlę z jarzącą się  
tysiącem błysków wypukłą czaszą i napisem nad portalem:

## MAUSOLEUM RODZINY STUNNINGTON

Wiedział, co wyraża, zanim poznał alfabet. Za każdym  
razem powtarzała go Granni, kiedy zbliżali się do wrót po  
dwunastu niepokalanie białych stopniach.

Dopiero gdy nauczono go składać zgłoski, opanował  
poprawną wymowę budzącego lęk słowa, albowiem Gran-  
ni nigdy nie posiadała umiejętności czytania po angielsku.  
Ale to ona wyjawiała chłopcu, czemu służy okrągły budynek  
z kopułą promieniującą w słońcu tak bardzo, że poraża  
oczy.

Monopteros – pawilon ogrodowy. Zapytany nauczyciel  
użył greckiego terminu, dając przy tym zgrabny wykład  
przystosowany do inteligencji i cierpliwości pięcioletniego  
słuchacza. Och, nauczyciel był erudytą, zręcznie wybrnął  
z kłopotliwego pytania. Ojciec chłopca nie życzył sobie,  
aby synowi mówiono o śmierci, chorobach, transcendencji  
i nekropoli pod sekwojami. Mały był przewrażliwiony,  
skłonny do egzaltacji, z nieokiełznaną wyobraźnią podsyc-  
aną opowiadaniem niepiśmiennej babki.

Dlaczego on kłamie? – zastanawiał się mały z buzią  
wyrażającą zainteresowanie wywodem preceptora, nawet  
nie domyślającego się, jakie postępy w udawaniu poczynił  
już jego uczeń.

Dlaczego kłamie dziecku? – myślał chłopiec słowami  
Granni. Słyszał, jak w ten sposób o nim mówiła, więc  
myślał o sobie: dziecko.

Dziecko już niejednokrotnie przyłapało wychowawcę

na mętniactwie, wieloznaczności interpretacji, odpowiedziach niezupełnie na temat, ale jego ambiwalentne wyjaśnienie dotyczące białego budynku pod sekwojami pogrzebało ostatecznie zaufanie chłopca.

Odtąd pogardzał nauczycielem i nie szanował jego nauk. Ukrywał to jednak starannie. Jeśli jego lekceważenie stanie się zbyt widoczne, ojciec zmieni nauczyciela, a inny może okazać się gorszy i bardziej domyślny.

Najbliższa ze wszystkich była Granni. Ufał jej bezgranicznie również i dlatego, że traktowała go poważnie, zawierzała wielkie tajemnice, rotunda stanowiła jedną z nich.

Wolno przemierzał schody zgodnie z rytmem kroków starej kobiety, trzymającej go za rękę, i wstępowanie po wypolerowanym marmurze stanowiło część misterium poświęconego spoczywającym, misterium powtarzanego często i nigdy nie spowszedniałego.

Za każdym razem z modlitewnym uniesieniem przystawał przed wejściem i patrzył, jak ciemne palce Granni, palce jakby wyrzeźbione z kory eukaliptusa, dotykały przycisku ukrytego w żłobkowaniu pilastru dźwigającego nadproże. Ażurowe wrota uplecione z liści akantu rozsuwały się i bezszelestnie kryły w ścianach. I już nic nie oddzielało od nieistnienia. W tym momencie groza sięgała szczytu, w krtani dławiło, jakby tam uwiązał orzech w skorupie, i zamierało serce. Stara kobieta przygarniała go ramieniem słabym i suchym jak skrzydło ptaka, lecz gest ten miał wielką moc, dawał poczucie bezpieczeństwa, poczucie zespolenia w jedną istotę. Mijało napięcie, uspokajał znajomy szept:

– Wieczne odpoczywanie... – Granni nizała dźwięki znajome, chociaż niezrozumiałe, szeleszczące jak szpilki sekwoi. Długo nie zastanawiał się, czy miały inne znaczenie oprócz tego, jakie on im przypisywał. Na chwilę niegroźna stawała się myśl o nieistnieniu, bez lęku odtwarzał

w pamięci wielokroć powtarzane przez Granni imiona tu spoczywających.

„Deborah i Angus Stunington. Potomkowie pionierów założycieli Nowej Anglii przybyłych na korabiu »Mayflower«, zmarli od moru w majątku Roselido u podnóża Sierra Madre w roku pańskim 18...”

„Zdjąłem brzemień z barków twoich, dłonie są wolne od dźwigania kosztów. Psalm 81”

głosiła inskrypcja utrwalona w kamieniu pod portretami, na których widniały podobizny prawie naturalnej wielkości. Najbardziej interesowało, co to jest mór i korab, a kiedy Granni uporała się z objaśnieniem, nie rozumiał, dlaczego nie użyto po prostu nazwy: statek. Lecz wcale nie ciekawiło, kim była para wyobrażona na nagrobku, upozowana i wystrojona w stylu z epoki wiktoriańskiej. Nie pytał, a Granni powtarzała tylko tekst epitafium, nic nie dodając od siebie.

Przychodzenie tutaj należało do postępów zakazanych i objętych najgłębszą tajemnicą między nim a Granni, która miała jeszcze jedno niezwykle i obce imię: b a b c i a. Mógł ją nazywać tak jedynie wówczas, gdy byli sami. Należało do takiego samego ścisłego sekretu, jak i ich misteria w rotundzie. Zdradzenie się groziło rozdzieleniem z babcią na zawsze. A z a w s z e pochodziło z tej samej budzącej grozę dziedziny, co i nieistnienie.

Tylko raz popełnił nieostrożność, przyplacili ją cierpieniem i długotrwałą rozłąką. Więcej takiego błędu nie zrobił. Nawet po jej pogrzebie, gdy ojciec przyprowadził go do rodzinnego panteonu, niczym nie dał poznać, że tu kiedykolwiek był, chociaż z b a b c i a rozłączony został na zawsze tak bardzo, jak nigdy dotychczas. Spoczywała jak ci wszyscy tutaj w pawilonie pod kopułą przykrytą połączoną łuską.

Gdy odeszli od krypty Granni, ojciec przedstawił mu przodków. Pani w sukni z tiurniurą, w olbrzymim kapeluszu strojnym w rajery, wdzięcznie wsparta na rączce wysmukłej parasolki obszytej falbaną, i pan w cylindrze i halsztuku pod sztywnym kołnierzykiem – to jego pradziadkowie.

– Protoplaści rodu – powiedział, co odróżniało ich od innej pary ulokowanej w mniej eksponowanym miejscu, także pradziadków, ale skromniejszych, bez dodatku protoplaści. I w ogóle ledwo ich wspomniał. Chłopiec zrozumiał, że dla jego ojca są mniej ważni.

W wiele lat później, kiedy zaciekle tropił historię rodziny, odkrył, że po Deborze i Angusie nie zachowała się żadna podobizna, a wytworną parę na nagrobną stelę skopiowano z ilustracji pisma: „Jeździec Angielski”, Londyn 1875.

Lecz kiedy przychodził tutaj z babcią, wyobraźnię zaprzętało coś znacznie bliższego niż wizerunek damy z kokardą na ponad miarę wypukłym siedzeniu i dżentelmena w pantalonach ze strzemiączkami.

Przystawali przy kolejnych spoczywających. Na ich epitafiach, także z marmuru, ale o niewyszukanym kształcie, nie było portretów, nie wspomniano o korabiu „Mayflower”. Wytrawiona w kamieniu inskrypcja głosiła:

„Steve i Jenni Kardastch.”

„Zgromił morze... tak że wyszło/ i przeprowadził ich przez głębiny jak przez pustynię. Psalm 106.”

Babcia tutaj zazwyczaj dłużej szeptała swoje szeleszczące słowa, które z czasem zaczął rozumieć. Nie dziwiło nawet, dlaczego Granni prosi o wieczne odpoczywanie dla Stanisława i Janiny, a nie dla Steve’a i Jenni. Ona w ogóle przekręcała angielską transkrypcję, a poza tym bardziej frapowało: morze, które wyszło. Lecz nigdy nie

zdażył się nad tym dłużej zastanowić, bo babka wiodła go dalej.

Zatrzymywali się przed epitafium z podobizną młodej kobiety w sukni z gipiurkowym gorse, opinającym pierś, szyję i zachodzącym na podbródek, w sznurze paciorków zamotanych na tej wydłużonej szyi, z ciężkim kokiem, zwiniętym na czubku głowy.

„Becky Stunnington. Nieodżałowana małżonka Johna. Pani majątku Roselido w Sierra Madre. Żyła lat dwadzieścia cztery.”

„Uther-Caradoc Stunnington, syn Becky i Johna. Żył dwa dni.”

„I ujmij się za tą winoroślą / i szczepem, który zasadziła prawica twoja. Psalm 80”

– głosił napis.

– To jestem ja? – pytał, za każdym razem przeżywając na nowo utratę i odzyskiwanie siebie. Doznanie wstrząsające i piękne. A Granni powtarzała, że tamten Uther-Caradoc był synem dziadka z jego pierwszego małżeństwa z Becky, dopiero po jej śmierci ożenił się z babcią.

Chłopiec mocniej zaplata rączkę na dłoni starej kobiety, a jej suche palce oddają porozumiewawczy uścisk. I zaraz przyklekają przy kolejnej krypcie.

„John Stunnington. Pan majątku Roselido w Sierra Madre.”

Nagrobnny portret ukazuje gładko wygolonego jegomościa w czarnym fraku i białej pikowanej kamizelce. Siedzi z wytwornie skrzyżowanymi nogami w spiczastych lakierkach. Plebejska twarz, kwadratowe ramiona rozpychające ubranie, duże ręce wciśnięte w jasne rękawiczki glacé, lekko wsparte na gałce trzcinki. Złota dewizka ciężka od

breloków, perła w gorsie – dandy. Promieniuje krzepą i sukcesem. Wieczny sukces głosi inskrypcja:

„Będzie on jako drzewo zasadzone nad strumieniem wód, / wydając swój owoc we właściwym czasie, / którego liść nie więdnie. / A wszystko, co uczyni, powiedzie się. Psalm 1”.

– Pomódł się za swego dziadka, Uther – mówi Granni i dodaje w tym swoim języku przypominającym szelest osypujących się liści: – Boże, nie pamiętaj mu pychy!

– Boże, nie pamiętaj mu pychy! – będzie powtarzało dziecko, zanim nauczy się rozumieć znaczenie tych słów.

I tak oto zbliżyli się do najważniejszego.

„Anni Stunington...” – głosił napis. Nie ma portretu i nie ma daty śmierci, bo to jest miejsce dla Granni, kiedy już będzie spoczywała.

Chłopiec podnosi rączkę i powtarza jak rotę przysięgi, czego nauczyła go na tych tajemnych misteriach niewypowiedzianie stara babcia w ich sekretnym języku:

– Tu spoczywa Anna Stunington z domu Surazyńska, urodzona Roku Pańskiego 18... w Wigajnach w ziemi Jaćwingów, zmarła na obczyźnie po... – tu wstawić, po ilu latach – recytowało dziecko – i prosi o Zdrowaś Maryja.

– Wszystko to uczynię, kiedy dorosnę – przyrzekał żarliwie i łamał mu się głos na widok łez złościących drobną twarz Granni, ciemną, małą, jak oblicze indiańskiego totemu.

– Wnusię – obejmowały go kruche ramiona. Dziecko wtulało się w nie, szloch wsiąkał w babciną suknię pachnącą werbeną.

Nie potrafiło wypowiedzieć uczucia, jakie je przepęłniało, bolesnego szczęścia, że kiedyś w przyszłości będzie mogło spełnić jej pragnienie, a chciałoby jej podarować nie tylko słowa na kamiennej płycie, ale i „Mayflower”, i ko-

rab, i dla niej „zgromić morze tak, aby wyschło”, i pychę dziadka Johna, nazywanego przez nią Janem.

Stara kobieta kochała dziecko i wiedziała, jak bardzo jest małemu droga i jak bardzo potrzebna. Chciała widzieć go już dużym i silnym, a przynajmniej odchowanym z lat dziecinnych. I z rozpaczą liczyła przemijające dni, jej odejmowane przerażająco szybko, a chłopcu przybywające niezmiernie powoli. Co rano stawała do przegranej walki z wyczerpującym się życiem i, jak umiała, uczyła dziecko prawd prostych a niezmiennych jak dekalog.

Nie widziała nic niewłaściwego w obarczaniu wnuka takim testamentem, bo w jej starym Kraju nie skazywano nieżyjących na banicję przemilczenia, a dzieci nie izolowano od wspomnień i mogił zmarłych. A poza małym nie było nikogo, komu mogłaby zawierzyć ostatnie życzenie z przekonaniem, że zostanie spełnione.

Po odprawieniu tajemnego obrzędu nad kryptą oczekującą spoczynania Granni oboje odczuwali zmęczenie aurą sanktuarium i oboje pragnęli powrotu do świata żywych.

Już tylko, aby wszystkich sprawiedliwie obdarować pamięcią, zatrzymywali się przy Kate, nigdy nie zapomnianej żonie Pendragona Stuningtona, zmarłej tragicznie w dwudziestej wiosnie życia. Poświęcali chwilę uwagi Ruth Stunington z domu Stunington. Nie zapominali o Aniołkach: Annabel, Arturze, Eneaszu, Sally – czworgu dzieciach zgasłych we wczesnym niemowlęctwie, dzieciach Pendragona z Kate i Vanessą.

– Kobiety i dzieci nie darzą się w tej rodzinie – zamiast wiecznego odpoczynania szeptała Granni nad epitafiami Aniołków. – Becky umarła w połogu, Kate... Ruth przy powiciu dziecka – z zabobonnym fatalizmem wymieniała imiona niewiast z dwóch pokoleń.

– A jaka mnie powiła? – pytał mały, nie żeby mu specjalnie zależało na tej informacji, ale skoro, jak słyszał,

każde dziecko, żeby istnieć, musi się urodzić, chciał wiedzieć, kto się przyczynił w jego sprawie. Gdy miał lat pięć, pojęcie: matka było mu obce tak dalece, że nie kojarzyło się z kobietą, która go wydała na świat.

W Roselido, skąd do dziewiątego roku życia chłopiec nigdzie nie wyjeżdżał, nikt z nielicznej służby, złożonej z samych mężczyzn, nie tknął w jego obecności tematu zastrzeżonego przez ojca. A babka, jedyna osoba lekceważąca różne zalecenia dotyczące dziecka, chociaż nigdy nie przeciwstawiała się wprost, w tym przypadku zachowała lojalność.

Albo nie miała odwagi złamać zakazu, albo podzielała racje syna, a może w starczej zaborczości nie chciała dzielić się z nikim uczuciem wnuka. Po latach niepodobna dociec motywacji, w każdym razie, póki żyła, zastępowała chłopcu matkę. A jego pamięć połączyła z osobą babki doznania najsilniejsze. Poczucie bezpieczeństwa i miłość, niezbędne dziecku jak pożywienie.

Więc kiedy pytał o kobietę, która go urodziła, nie tęsknił do niej i nie odczuwał całej złożoności przeżyć, jakie wzbudza osoba matki. Osierocenie skutecznie rekompensowała wielka czułość sędziwej Grandmother.

– Ona tu nie spoczywa. Żyje. Jest gdzieś w świecie – odparła babka.

– A jak się nazywa?

– Vanessa – Granni wymieniła jej imię z rezerwą i to było wszystko, co miała o niej do powiedzenia. Wyjątek w jej zwyczajach. Wyraźnie miała do Vanessy urazę i dziecko, emocjonalnie zespolone z babką, podzieliło jej niechęć. Z lojalności wobec Granni przestało o tamtą pytać aż do czasu, kiedy poczuło się pasierbem losu, wyzutym, zubożonym o człowieka najbliższego.

– Rozejrzyj się, Uther, masz młode oczy – mówiła Granni, gdy opuszczali rotundę z zachowaniem największych ostrożności. Chłopiec wypatrywał, czy gdzieś w pobliżu

nie widać znajomej sylwetki nauczyciela. On był najgroźniejszy. W zamyśle ojca miał sprawować opiekę nad dzieckiem, równoważyć, a z czasem przyćmić autorytet babki. Niczego nie równoważył, dla chłopca pozostał co najwyżej osobą, przed którą należy mieć się na baczności.

Nigdy ich nie przyłapał.

– Nikogo nie widać – stwierdzało dziecko szeptem łamiącym się od emocji i była to także najpyszniejsza zabawa, jaką znał.

Babka uruchamiała mechanizm, a mały rzucał się w szparę między rozstępujące skrzydła drzwi i biegł do żywopłotu z opuncji. Tu zaprzężony w mały wózek spał stojąc mądry kłapouch Sierotka, wychowanek Granni, zwierzę z charakterem, czyniące pewne ustępstwa jedynie na rzecz starej kobiety.

Teren neutralny, stąd prowadziła ścieżka do upraw Granni, więc chłopiec dreptał wolno, udając zainteresowanie kwiatami, pęczkami kolców pokrywających mięsiste liście lub poszukując, już bez udawania, jadalnych nasion kaktusa. Lubili je obaj, on i Sierotka.

Potem osioł i para spiskowców wielce z siebie rada, ręka w rękę, kopyto w kopyto ruszała w stronę babcinych grządek położonych dobre dwie mile dalej.

– Dla zdrowia – mówiła Granni.

W dolinie na słonecznym zboczu rozpościerał się stworzony przez nią Eden. Początki sięgały czasów jej przybycia. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że pozostanie tu na zawsze. Następnie przez siedemdziesiąt pięć lat przeżytych w Roselido temu skrawkowi ziemi poświęciła każdą wolną chwilę.

Stał się ucieczką przed nostalgią, przed upokorzeniem i poczuciem mniejszej wartości, azyłem przed światem, w który nigdy nie wrosła, gdzie czuła się źle i obco, traktowana jako coś więcej niż służąca, ale znacznie mniej niż pani domu, zaślubiona przez bogatego człowieka nie

załującego pieniędzy na pozłacany dach nekropolu, ale jej wydzielającego skąpo na dwie niewymyślne suknie rocznie.

Chroniła się przed tym wszystkim w rzeczywistość bliską i znaną, rządzoną rytmem kwitnienia i owocowania. Rozumiała rośliny, jak zwierzęta i dzieci, a one odwzajemniały bujnością i plonem.

– Zawsze mi się darzyły – zwierzała się dziecku, pierwszej ludzkiej istocie poświęcającej jej serdeczną uwagę po latach dojmującej samotności. – Moje cytrusy i winogrona zakasowały wszystkie inne. Nawet ogrodnik, człowiek uczony i wypraktykowany w tutejszej naturze, nie zbierał takich urodzajów.

– I dziadek się zdziwił, i ciebie zrobił ogrodnikiem! – mały brał żywy udział w opowieści słyszanej niejednokrotnie i niezmiennie trzymającej w napięciu.

– Jeszcze jak się zdumiał! – znowu smakowała sukces sprzed dziesiątków lat, na powrót świeży dzięki oddźwiękowi, jaki budził u wnuka. I czuła się nagrodzona u schyłku swych dni miłością tego dziecka za wszystkie poniżenia, gorycze i tęsknoty.

– I babcia dostała do pomocy podogrodnika – cieszył się chłopiec – iii... – przygasał wspominając następstwa triumfu Granni – iii dziadek wyrzucił ogrodnika, iii on musiał szukać innej pracy... – milknął, bo dalej wyglądało coraz gorzej, wprost beznadziejnie. Liczył też, że może wreszcie Granni zlituje się nad ogrodnikiem, znajdzie mu jakieś zajęcie i wszystko dobrze się skończy. Ale babka ciągnęła nieubłaganie:

– A o robotę było trudno, bo trwał kryzys – smutniała – i tak moja radość obróciła się na szkodę bliźniemu. Nawet te trochę szczęścia zapaskudził chciwy, okrutny człowiek, niech mu ziemia lekka będzie.

– Nie lubię dziadka – mściło się dziecko za ciężki los ogrodnika, za krzywdę Granni.

– Musisz go zrozumieć. Całe życie niby muł chodził w kieracie. W takim trudzie człowiek twardnieje jak łyko i nie ma w nim miejsca na delikatność czy miłosierdzie. Ale wszystko, co dostał twój ojciec i co przypadnie tobie, dziadka dorobek. Nie zasłużył, abys właśnie ty jego nie lubił. Zresztą to już nie ma znaczenia, umarłych nie ma sensu lubić lub nie. Im żadna różnica, ale nie wspominaj go źle, boś jego wnuk i wielka w tym jego zasługa, że żyjesz jak kniaź i cieszysz oczy swej babki na starość.

– Jestem słońcem twoich oczu.

– Nie bądź próżny, Uther – karciała surowo.

– Przecież sama tak mówiłaś, słyszałem.

– Ale tobie nie przystoi tak mówić. – Tłumaczyła, jaką wadą jest próżność.

Cierpliwie przeczekał moralizatorski napad babki, co zdarzało się rzadko i zwykle trwać krótko. Jednocześnie stosowanie kilku różnych systemów dydaktycznych uruchomiło odruch warunkowy, wyłączający uwagę, jeśli zaczynało zbyt intensywne wychowywanie. Naturalna obrona organizmu przed sprzecznymi metodami, często znoszącymi się wzajemnie.

Babka ścinała ukwiecone kłoski werbeny. Starczały jej za perfumy i całą kosmetykę. Werbeną przesiąkł jej pokój, werbeną pachniały jej suknie.

– Dziadek lubił lawendę – zwierzała się wnukowi, więc sadziła także lawendę, grządki drobnych krzewów kwitnących niebiesko i fioletowo. Ususzonymi w cieniu kwiatami napełniała płócienne poduszcзки, rozkładała po szafach, szufladach i różnych zakamarkach. Delikatnym zapachem nasiąkały sprzęty i obicia, tapety i dywany. Woń lawendy na zawsze splotła się Utherowi ze wspomnieniem domu.

W południe Granni dzieliła zabrane zapasy. Najpierw otrzymywał swoje Sierotka. Krył się przed upałem w kępie gęsto ulistnionych orzechowców, skąd wypływało źródło,

i nie dawał się stamtąd wywabić ni prośbą, ni rozkazem wcześniej niż przed wieczorem.

– Próżniak jesteś, ale też stworzenie boskie – wygarniała kłapouchowi prawdę w oczy i pilnie dbała, aby pozostawić mu obrok w zasięgu mordy. Osioł kiwał mądrym łbem i zasypiał stojąc.

Po zadbaniu o Sierotkę chronili się w klimatyzowanym pawilonie. Z chłodzonej baterią torby, która przyjechała na wózku ciągnionym przez tego obiboka Sierotkę, Granni dobywała pieczoną wołowinę, kawałek kurczaka lub inne niewymyślne jedzenie. Nigdy nie nabyła przekonania do żywności z puszek, wyjątek stanowiły soki, i tylko na tyle interesowała ją spizarnia pawilonu.

Na zakończenie chłopiec dostawał owoce i maślane różki nadziane konfiturą z róży, upieczone przez Granni wczesnym rankiem przed wyprawą, a ona zapalała cienkie beżowe cygaro.

– Świństwo, ale do czego w tej Ameryce człowiek nie przywykł – wzdychała obłudnie, z upodobaniem wydmuchując smuzkę dymu. Popijała przy tym niemal wrzącą kawę, napój pachnący i smolisty, podobnie jak palenie odradzany przez lekarza. Z rozkazu syna powściągliwie wydawano jej używki. Nie kwestionowała tych ograniczeń. W pawilonie ukrywała wciąż odnawiany zapas ciemnego ziarna i jasnej, smukłej hawany „Monte Christo Special”. Z satysfakcją łamała wszelkie zakazy.

– Kawę też polubiłaś w Ameryce? – zagadywał lojalny współnik i świadek wszystkich jej szaleństw. W pawilonie była cudownie niepedagogiczna i przez to jeszcze bardziej kochana.

– Pić cappuccino nauczyła mnie Włoszka. Tutejsi odbierają smak kawie, bo ją gotują.

– A co piłaś w twoim kraju? – badał mały nigdy nie syty wiadomości stamtąd.

– Maślanek, kwas chlebowy dla chłodu trzymany w stud-

ni albo w ładyszkach w sklepku, loszku wykopanym w ziemi, do którego schodziło się po stopniach z polnych kamieni. Piło się też napój z owoców głogu i napar miętowy zimą, a od święta prawdziwą herbatę z cukrem odłupywanym z bryły nazywanej głową.

– A co jadłaś?

– Barszcz z botwiny i kaszę ze szperką, pyzy z makiem i pyzy ze słoniną i wiele innych potraw nie znanych w Kalifornii, jak na przykład bondka z duszą.

Utrudziła się, zanim zdołała wyjaśnić, że bondka z duszą to wyskrobana z dzieży reszta ciasta z razowej mąki, nadziewanego kawałkiem solonej wieprzowiny i upieczonego w piecu na liściach chrzanu lub kapusty, tak samo jak chleb.

Nigdy nie nauczyła się zbyt dobrze języka nowej ojczyzny, a gdy opowiadała wnukowi o swej odległej młodości, wiele przedmiotów nazywała w swojej dawnej mowie.

Dziecko szybko chwyciło sens nie znanych słów, a ich cudzoziemskie brzmienie dodawało uroku i niezwykłości Granni i jej tajemniczej krainie, o której nie należało wspominać ani nauczycielowi, ani tacie.

– Opowiadaj jeszcze – zachęcał chłopiec mioszcząc się babce na kolanach.

– O czym? – drożyła się, chociaż dobrze wiedziała, o czym ma mówić, kiedy są tylko we dwoje. I byłoby jej niewypowiedzianie smutno, gdyby dziecko nie pragnęło jej opowieści.

– O Jadzigach.

– Nie Jadzigach, tylko Jać-win-gach – rozdzielała na sylaby trudny, egzotyczny wyraz.

– Albo mów o zimie! – niełatwy wybór spośród tylu frapujących tematów.

Zimą krainę Granni otulał śnieg. Domy stały w czapach z białego puchu, na nagich drzewach leżała okiść. W nie-



działę jechało się na sumę koniem zaprzęgniętym do parady, malowanych sanek, wygiętych z przodu jak łabędzia pierś.

Konia zakładano w hołoble i pod duhę, a wzdłuż szorów przytwierdzone były szargańce, rzędy dzwoneczków ze spiżu o tonie czystym i dźwięcznym jak sygnaturka.

W rozległych lasach żyły rysie, małe tygrysy z uszami zakończonymi pędzelkami z sierści, a nocami w krainie Granni powstawali z kurhanów polegli przed wiekami jaćwiescy witezie. Zaś wiosną, kiedy stopniały śniegi i spłynęły wraz z krą, o świcie w rzece kąpały się dzikie gęsi odpoczywające w przelocie na północ. W promieniach wschodzącego słońca ich mleczone pióra mieniły się różowo.

Barwy, zapachy, obrazy zapamiętane i dopowiedziane dziecięcą wyobraźnią splatają się nierozzerwalnie z pamięcią babki o jej ziemi ojczystej, najpiękniejszej na świecie bo malowanej tęsknotą.

Kiedy w piętnaście lat później Uther przybędzie do kraju jej urodzenia, obeznany już z jego historią, literaturą, geografiami i językiem, dozna pewnego zawodu, bo mimo całej książkowej wiedzy miał nadzieję ujrzeć także pola obsiane werbeną i lawendą i dużo sędziwych kobiet piekących maślane rożki nadziewane konfiturą z róży.

Lecz zimą krainę babki znalazł taką samą, jak w jej opowieściach, a konie zaprzężone w hołoble i pod duhami jeszcze wciąż ciągnęły śmigłe sanki o łabędzich kształtach i niósł się za nimi daleko wysoki głos szargańców. Mogiły jaćwieskich witezi badali archeolodzy, w przetrzebionych lasach wciąż jeszcze żył mały tygrys z wiechetkami na koniuszkach uszu, od narodzin Anny Stunington z domu Surazyńskiej mijał rok sto i dziesiąty.

Lecz wtedy, w Kalifornii, gorącym południem, gdy milły nawet owady zmorzone upałem, chłopcu po przeżyciach poranka także kleiły się oczy, babka układała go na

posłaniu i zanim zasnął, nuciła słabym, miłym głosem jedną ze swoich pieśni stamtąd.

Mówiły o Edwinie, rycerzu krzyżowym, i czekającej na niego ukochanej, o kozaku niosącym życie pod tatarskie brzeszczoty i Hannie proszącej go o sznur koralu albo o witeziu, co miał gotowego rumaka i zbroję, a od dziewczyny żądał, aby go uścisnęła i podała miecz.

Najbardziej spodobała się dziecku ballada, której bohaterem także był rycerz, cóż zrobić, widać nie ma tam zwyczajnych facetów, jak nauczyciel czy tata, ale ten rycerz wyruszył w świat nie porzucając żadnej płaczącej dziewczyny, tylko aby dziewczynę znaleźć i pojąć za żonę.

– Granni, każdy musi kogoś pojąć?

– Nie każdy, tylko ten, kto chce.

Widocznie ten rycerz z ballady chciał, ale chciał żony mądrej, więc najpierw napotkanym niewiastom zadawał kilka pytań. Po długich poszukiwaniach znalazł jedną, co prawidłowo odpowiedziała na test.

„Piorun głośniejszy nad dzwonów dzwon. / Piekło jest głębsze nad morską toń. / Miecz jest ostrzejszy nad rybią ość. / Szatan jest źlejszy nad panny złość.”

Rycerz wielce rad z mądrości dziewczyny kazał grać muzyce, wyprawił wspaniałą ucztę i zaraz ją pojął.

Utherowi także się podobała replika rozumnej panny, a obcojęzyczne brzmienie dodawało balladzie nieodparte-go uroku. Zapomniał o ostrożności i popisował się w domu, aż posłyszał tata i rozpętało się piekło.

– Nie należy tego śpiewać, synku. Barbarzyńskie! – powiedział z hamowanym gniewem, a dziecko poczuło się zdrajcą. Wydał jedną z tajemnic Granni, chociaż ostrzegła go, aby nigdy, zwłaszcza przy nauczycielu i tacie, nie wspominał o babcinej mowie stamtąd, o pieśniach, opowieściach i o bywaniu w rotundzie.

Z ciężkim brzemieniem winy stał z opuszczoną buzią nie śmiąc spojrzeć w oczy Grandmother.

– Nieprawda! – zaprotestowała Granni głęboko dotknięta. – To bardzo stara, piękna i godna pieśń. Śpiewano ją w moim kraju, gdy jeszcze słyhu nie było o Stunniingtonach, zanim urosło drzewo, z którego zbudowano szkatę, na jakiej tu przybyli.

– Mój syn ma być Amerykaninem, jak ja! Nie życzę sobie, aby powtarzał bezmyślne przyśpiewki ciemnych polskich chłopów!

– Wyrodku, a skąd ty się wiesz! – babce z obrazy trzęsły się usta. – Tylko dzięki naszym kobietom istnieje ten wasz angielski ród. Bóg was pokarał za pychę! I nie wyzywaj losu, który uśmiercił wam tyle dzieci w kolebce, a zachował jedyne. Nie wyzywaj losu, mówię ci ja, twoja matka! – w miarę słów babki bieląca twarz ojca.

– Nie będziesz mącić w głowie mojemu synowi!

– Przebaczyłam twojemu ojcu to, co uczynił z ciebie. Lecz jeśli ty tak samo pokierujesz małym, przeklę cię. Spod mogilnego kamienia wyciągnę rękę i przeklę!

Ciskali w siebie złymi słowami, ranili się wzajemnie jak wrogowie, zbyt już zajęci wypominaniem rzeczywistych i urojonych krzywd, aby powstrzymała ich obecność dziecka. A on trząsał się i płakał bezgłośnie z sercem rozdartym między babkę i ojca, przerażony, że wyrzekli się go oboje. Zapomniany przez nich w tej chwili, jakby nie istniał.

Rzucił się na ziemię, bił w nią nogami, krzyczał. Protestował. I po raz pierwszy zrozumiał, jaką miał nad nimi władzę. Umilkli. Ojciec wyprzedził Granni i porwał go na ręce.

– Mężczyzna nie płacze – mówił tata, jak zwykle na widok jęgotów. Pragnął wychować syna na mocnego, amerykańskiego supermana.

„Dżentelmen zachowuje umiar w wyrażaniu uczuć, tak samo jak nie manifestuje potrzeb naturalnych” – powie-

działby nauczyciel, hołdujący brytyjskiej powściągliwości.

„Nie wstydź się płakać, natura dała łzy tak samo mężczyznom, jak i kobietom, znaczy, potrzebne są i jednym, i drugim” – usłyszałyby od babki, kobiety prostej, wiedzącej swoje: w zmartwieniu jak człowiek popłacze, to mu lżej.

Teraz w ramionach ojca, szczęśliwy z odzyskanej zgody ze światem, próbował spełnić oczekiwania wszystkich, lecz nie potrafił zachować się jak mężczyzna, tylko ryczał niby Sierotka, gdy bywał z czegoś niezadowolony albo kiedy stęsknił się za Granni.

Nazajutrz po tych przeżyciach obudził się pośród znajomych sprzętów, lecz nie w swoim pokoju. Przez inne okno widział inną część ogrodu i inne drzwi, umieszczone w innym miejscu – nie prowadziły do pomieszczeń Granni.

– Dzień dobry – nachyliło się nad nim olśniewające zjawisko, podobne do wrózek namalowanych w obrazkowych książeczkach z ruchomymi ilustracjami. Przyglądał się spod rzęs, niepewny, czy to jeszcze nie sen.

– Nie śpisz już, przecież widzę – powiedziała wróżka i wyciągnęła do niego ramiona. Od uśmiechu w jej policzkach powstawały dołeczki, a włosy miała ze światła.

– Dlaczego mnie tu przyniosłaś?

– Teraz masz pokój obok taty. Gdy wróci, pierwszy go powitasz, nie cieszysz się?

– Cieszę – grzecznie przyznał mały, zbyt oszołomiony tyloma wrażeniami naraz. – Dokąd pojechał tata?

– Jak zwykle, pracuje.

– Tylko jeździ i jeździ, za mało dba o dziecko – powtórzył opinię zasłyszaną od Granni. – A kto ty jesteś? – wreszcie ośmielił się zadać pytanie nurtujące go, odkąd otworzył oczy i objął ją za szyję. Była bardzo przyjemna w dotyku, wszędzie mięciutka, pachniała pięknie, chociaż obco.

– Jestem Cor, będę się tobą opiekować. Mieszkam blisko ciebie, tutaj – wskazała te inne, cudze drzwi.

W kąpielowym, także innym niż jego dawna łazienka, znalazł swoją flotyllę zwierzątek do zabawy w wannie, ale przegrywały w konkurencji z Cor. Wszystko w niej było nadzwyczajnie interesujące. Gładkie ręce z dołeczkami na nadgarstkach u nasady palców, którymi go namydłała, złote loki, teraz odgarnięte za opaskę, i dwie intrygujące wypukłości z przodu.

– A dlaczego ja nie mam? – zaniepokoił się, gdy już mu odpowiedziała na pytanie o te wypukłości.

– Takie piersi mają tylko kobiety, a ty jesteś chłopcem.

– Jesteś bardzo piękna – ocenił swą pierwszą w życiu kobietę. – Chodź, pokażę cię Granni.

– Granni wyjechała – zawiadomiła Cor.

Milczał zaskoczony wydarzeniem tyleż niespotykanym, co niepojętym. Ojciec wyjeżdżał – tak. Wracał pod koniec tygodnia. Naturalne jak występowanie dnia po nocy, ale babka zawsze znajdowała się blisko, jak sięgał pamięcią, nie opuściła go dotychczas ani razu.

Jeszcze nie przeczuwając nic złego obraził się na babkę, lecz żal minął, kiedy Cor zaproponowała spacer do Stockersfield. Wydarzenie bez precedensu w jego pięcioletnim życiu. Dotychczas nie opuszczał granic Roselido.

Pomknęli w tę niezwykłą przygodę otwartym samochodem górską drogą nad brzegiem oceanu. Ze zbocza obsadzonego winnymi szczepami zjechali w dolinę, a wstążka asfaltu prowadziła przez plantacje śliw, pomarańczowych drzew i figowych krzewów, mijali szpalery eukaliptusów pachnących przenikliwie i niezbyt mile, wysokich i cienkich jak minarety, z liśćmi karbowanymi i płatami odpadającej kory.

Chłopiec przejęty udziałem w czymś, co dotychczas widywał tylko w telewizorze albo na ekranie domowego

kina, zasypywał nauczyciela pytaniami. Bogactwo dóbr znał domagało się interpretacji.

Stockersfield.

Pierwsze widziane w życiu miasto wydało się Utherowi ogromne i ruchliwe. W rzeczywistości, spokojne małe miasteczko, ukryte w bujnej zieleni, położone blisko Roselido, zamieszkałe w przeważającej części przez rencistów ściągających ze wszystkich stron kraju do Kalifornii. Miasteczko pełne kwiatów i trochę senne, siedziba kilku sekt religijnych i jednej szkoły średniej, kilku filii banków i popularnych marketów, służących okolicznym plantatorom.

Lunch zjedli w tanim barze.

– Wybierz, na co masz ochotę – Cor położyła przed nim kartę, gdzie obok napisów, jeszcze dla małego nieczytelnych, namalowano potrawy sugestywnie i kolorowo. więc wskazał obrazki, jakie najbardziej mu się podobały.

Podano tarte kartofle ułożone w okrągłą kulę z wgłębieniem na wierzchu wypełnionym tłuszczem, sałatę z siekanymi burakami, polaną sosem jabłecznym, pieczonego królika i przekładaniec z winogron.

W drodze powrotnej zmęczony przeżyciami usnął w mięciutkich ramionach Cor. Wycieczką do zwykłego miasta, jedzeniem zwyczajnych potraw w zwyczajnym barze młoda opiekunka rozpoczęła wychowanie społeczne chłopca. Nastąpiły dalsze niecodzienne wydarzenia, zapoczątkowane jej pojawieniem się w Roselido.

– Będiesz miał gości, Uther. Odwiedzą cię dzieci z sąsiedztwa – zawiadomiła Cor przy porannym myciu.

Przyjechało troje: sześciolatek Patrick, jego pięcioletnia siostra Jo i także pięcioletnia Suzy – córeczka opiekunki rodzeństwa Levingston.

Wtedy wśród ludzi bogatych panowała moda na wychowywanie z własnym potomstwem, w tym samym wieku, co dzieci powierzane opiece. Ideałem była matka chłopca

i dziewczynki. Współzycie w rówieśniczej, acz nie tylko rodzinnej grupie, miało zapewnić wszechstronny rozwój osobowości małym dziedzicom fortun dostatecznie dużych, aby ich właściciele mogli sobie pozwolić na utrzymywanie takich domowych przedszkoli.

Tata Stunnington nie uległ trendowi na dietną nurse.

– Będzie dbała o własne kosztem mojego – podejrzewał i kazał zaangażować dziewczynę samotną, o przyjemnej aparycji, oczywiście pod względem zdrowia, usposobienia, inteligencji i przygotowania zawodowego produkt najwyższej jakości.

Referencje Cor, opinia lekarska i wyniki testów na badanie intelektu przynosiły zaszczyt nie tylko jej, ale i branżowej agencji pośredniczącej. Uther miał jednak szczęście, bo Cor posiadała również walory niesprawdzalne przy pomocy komputera. Prawy charakter i coś, co zwykło nazywać się sercem.

Przebywanie Uthera z rówieśnikami także należało do nowego programu wychowawczego, lecz na posłanie małego do przedszkola tata nie wyraził zgody. Bał się niebezpieczeństw codziennej jazdy po górskich drogach do Stockersfield i potencjalnych skutków obcowania na co dzień z dziećmi farmerów, drobnych urzędników i sprzedawców sklepowych.

– Ma przebywać z takimi, wśród których będzie żył i pracował – postanowił ojciec i sam zajął się wyszukaniem odpowiedniej elity w najbliższym otoczeniu.

Levingstonowie byli rodziną starą, z tych, o których mawiano: White – American – Christian – Protestant. Gorące i nie w pełni osiągnięte pragnienie dwóch pokoleń Stunningtonów.

Mieli Levingstonowie jeszcze dwie zalety. Mieszkali o międzę z Roselido i legitymowali się mniejszą ilością zer na koncie niż Stunnington, jeden z generalnych dyrektorów Standard Oil.

Ojcu Uthera sprawiało satysfakcję przeświadczenie, że ciężar jego majątku wyrównuje wyższe notowanie towarzyskie Levingstonów.

– Doskonale – ucieszyli się z propozycji. – Będzie miło, jeśli nasze dzieci nareszcie się poznają i zaprzyjaźnią.

W taki prosty sposób spotkali się mali Levingstonowie i Suzy z małym Stunningtonem, pod opieką dwóch wykwalifikowanych wychowawczyń, na bieżąco zorientowanych w najświeższych osiągnięciach współczesnej psychologii i dydaktyki.

Małe dzieci, jeszcze nie ujarzmione tresurą, mają cudowną łatwość zawierania znajomości. Już w minutę po spotkaniu cała czwórka runęła w szaleństwo wspólnej zabawy. W pomieszczeniu, wyłożonym od stropu po podłogę elastycznymi matami, dzieci łąziły po drabinkach, z których mogły bezkarnie skakać, spadać, zwisać. Wywiły kozły, urządzały galopady. Nurkowały w skrzyni wypełnionej piłeczkami ping-pongowymi, a kiedy znudziła im się zabawa w sali, z nieopisanym zgiełkiem wypadły do ogrodu. Na przedzie pędziła Suzy z dwoma złotymi pędzelkami związanymi przy uszach błękitną wstążką, w kusej niebieskiej sukieneczce, takiej samej jak Jo.

Dzieci gnały za Suzy. Uther najbliżej. Wychowawczynie wymieniały fachowe uwagi popijając coś chłodnego w cieniu ogrodowego parasola.

– Z łatwością się adaptuje. Oczywiście jest trochę dziki – mówiły o chłopcu. – Nic dziwnego, izolowany od naturalnego środowiska, zdany na opiekę, pozał się, Boże, sędziwej damy bez wykształcenia i nauczyciela bez autorytetu.

Niech się dzieci wykrzyczą. Normalne. Nie tłumić podczas zabawy naturalnych instynktów. Ale nagle od strony piaskownicy nad ten zmasowany harmider wzbila się ostra, pojedyncza wokaliza.

– Suzy! – rozpoznała głos swego dziecka opiekunka Levingstonów. Pobiegly obie z Cor i zobaczyły, jak Patrick

z całej mocy trzyma miotającą się dziewczynkę, a Uther zdiera z niej tę śliczną niebieską sukieneczkę.

– Wampir! – wrzasnęła matka Suzy, zapominając o teorii nieposkramiania naturalnych odruchów dzieci. – Dlaczego nie uprzedzono mnie, że on jest nienormalny? – trzęsła się z oburzenia tuląc do piersi małą, dygocącą od płaczu. – Patrick, jak mogłeś pomagać temu zboczeńcowi?!

– On chciał ją obejrzeć, nigdy nie widział dziewczynki – usprawiedliwiał się drugi obwieś.

Uther milczał przerażony gwałtownością interwencji, chociaż w swoim postępowaniu nie widział nic złego. Nieraz widywał dziewczynki, zwłaszcza w Stockersfield, na ulicach i w drug-storze, dokąd wchodzili z Cor na lody, ale zupełnie co innego patrzeć na nie z daleka, a mieć je na wyciągnięcie ręki. Fascynowały go, a Suzy nieodparcie, podobna do jednej z jego lalek.

Było to elektroniczne cacko japońskiej sztuki zabawkarskiej, prawie tak duża jak Uther, z prawdziwymi jasnymi włosami, uczesanymi w kucyki. Lalka mówiła pięćdziesiąt słów po francusku, umiała płakać, karmiona jadła prawdziwe potrawy i robiła kupki. Uther ciekaw, co ona ma w środku, rozebrał ją na części, ale się rozczarował.

Nie wiadomo, czy podobna idea przyświecała mu przy zdzieraniu sukienki z Suzy, ale dziewczynka stawiała opór, więc mały despota nieprzyzwyczajony, aby mu czegoś odmawiano, użył siły.

– Degenerat z obsesją erotyczną – nie mogła się uspokoić wychowawczynie małych Levingstonów.

– Jest po prostu nieobyty – tłumaczyła Cor.

– Nie mogę pozwolić, aby ten jaskiniowiec uczył się obycia na naszych dzieciach, chyba rozumiesz! – zagarniała swoje stadko, wyciszone już i smutne.

Cor zrozumiała, że tamta jest idiotką, lecz mimo to zaniepokojona zachowaniem Uthera, wzięła małego pod klucz w miękkiej sali. Chłopiec najpierw prosił o otwo-

rzenie, wołał, krzyczał, walił w drzwi, szalał. Wyciągnęła go stamtąd rozżalonego i splakanego.

– Dlaczego mnie zamknęłaś, Cor? – szlochał przytulony do niej.

– Tak się odczuwa przemoc, Uther.

Po pierwszej klęsce towarzyskiej tata zaniechał na razie zapraszania małego kolegów z innych dobrych domów.

– Niech potrenuje na malcach farmerów – zdecydował i kupił synowi przedszkole.

Na skraju posiadłości odgrodzono kawałek terenu i wzniesiono prawie z dnia na dzień budynek, urządzonego i zaangażowanego przedszkolankę. Mikrobus, pomalowany na wesoły zielony kolor, przywoził z wyklę dzieci z najbliższej okolicy. Uther nie podlegał tutejszym rygorom, przybywał bawić się w gromadzie i opuszczał ją, kiedy chciał. Już nie próbował rozbierać dziewczynek.

Atrakcje zorganizowane przez ojca znudziły chłopca nadspodziewanie prędko i nastał dzień, w którym kategorycznie zażądał powrotu babki.

Marudził, płakał, krzyczał – jawny bunt. Stał się złośliwy, nieposłuszny, dokuczał Cor – walczył. Zapomniał o żalu do Granni za zdradę opuszczenia i coraz rozpaczliwiej za nią tęsknił. Codziennie kładł się spać z nadzieją, że kiedy się obudzi, zobaczy babkę, lecz zjawiała się tylko Cor, więc mścił się na niej za nie spełnione marzenia, codziennie nieszczęśliwszy.

– Jeśli się nie zmienisz, będę musiała odejść, Uther – ze ściśniętym sercem rzucała na szalę przywiązanie dziecka, wiedząc, że to kropla na rozszalały pożar. Nie trzeba było wytrawnego pedagoga, aby dostrzec, co się z małym dzieje. Rozłączenie z babką ugodziło w podstawy jego jestestwa, zachwiało harmonię świata, odebrało poczucie bezpieczeństwa.

Na groźby Cor reagował różnie.

– Idź sobie! – krzyczał. – Nie chcę cię! – tak zachowywał

się wówczas, kiedy podejrzewał, że przez Cor nie powraca babka.

– Będę dobry – obiecywał innym razem i kurczowo przywierał do ostatniej bliskiej istoty, jaka mu pozostała. Cichł, przyczajał się jak zwierzątko i bezskutecznie poszukiwał sposobu, aby nie tracąc Cor, odzyskać Granni.

Cor użyła wszystkich środków perswazji do przekonania Stunningtona o fatalnych skutkach rozdzielenia małego z babką.

– Chłopiec jest rozpieszczony, należy ująć go w karby rozsądnej dyscypliny – kategorycznie sprzeciwiał się ojciec. – Nie wszystko się otrzymuje, czego się żąda, musisz go o tym przekonać.

– Nie jestem oprawcą, proszę sobie wynająć strażnika więziennego! – postawiła się zdesperowana Cor.

Stunnington cenił sumiennych pracowników. Mimo krótkich pobytów w Roselido, dokąd przyjeżdżał tylko na weekendy, zdążył zauważyć jej szczerą troskę o małego. Ustąpił. A i bez utraty twarzy mógł pojednać się z matką.

Rano, gdy mały obudził się, owionął go znajomy zapach werbeny i objęły ramiona kruche i lekkie jak ptasie skrzydła. A wraz z Granni powróciła równowaga świata, jego ład. Dziecko odżyło. Nie odstępowało babki na krok, często budziło się w nocy i sprawdzało, czy nie znikła z sąsiedniego pokoju. Lekki sen starej pani przerywał tupot bosych pięt, gramolił się do niej i zasypiał z głową na jej poduszce.

Nie zapomniał o Cor. Dotkliwie doświadczony pamiętał, że ona pojawiła się, gdy zniknęła babka. Teraz starał się zapobiec odwrotnej konfiguracji. Ale ojciec nie zamierzał usuwać Cor, a Granni odniosła się do niej z sympatią. Nawiązała się nić porozumienia między prawnuką szwedzkich emigrantów, wieśniaków ze Skanii, a polską chłopką znad Rospudy.

Granni umarła, kiedy miał dziewięć lat. Nie chorowała,

nie legła złożona śmiertelną niemocą. Nieraz wzdychała w swojej mowie:

– Żeby tylko Bóg nie dał długiej pościeli.

Uther nie pytał o znaczenie słów, ale zapamiętał je podobnie, jak jej modlitwy za zmarłych. Kiedy dorośnie i opanuje język babki, też nie zrozumie tego zdania. Jego sens wytłumaczają mu dopiero w rodzinnych stronach Anny Stunnington.

Granni prosiła Boga o skonanie szybkie i łaskawe, nie poprzedzone zniedołężnieniem, otępieniem umysłu, obłożną chorobą. Została wysłuchana. Zgasła cicho, jak żyła. Nie podniosła się z popołudniowej drzemki.

Przed Utherem ukryto jej śmierć. Nie zobaczył babki w trumnie. Nie uczestniczył w pogrzebie. Ojciec oszczędzając chłopcu żałobnej ceremonii pragnął złagodzić czekający go wstrząs.

Cor wywiozła małego z Roselido. Po raz pierwszy w życiu znalazł się dalej niż w Stockersfield, w innym prawdziwym mieście, w Los Angeles, odbierającym mu tatę co poniedziałek.

– Cor, dlaczego my tu nie mieszkamy? – dziwił się oglądając obszerny dom z frontonem ujętym w dwa boczne ryzality, otoczony dużym ogrodem. Z jednej strony, daleko za wysokim parkanem, szumiał bulwar, z drugiej nie odgrodzony, pod łagodnym skłonem wzgórza, omywając łachę złotego piasku szemrał Pacyfik.

– Roselido jest dla ciebie zdrowsze. Tak uważa ojciec – powiedziała Cor.

Istniał jeszcze jeden powód. Ten przeszło sześćdziesięcioletni wówczas mężczyzna miał również drugie życie, chociaż znaczące dla niego o wiele mniej niż to w Roselido. Starannie izolował od siebie oba światy.

Faworyta, czyniąc zadość pozorom, zajmowała apartament z osobnym wejściem w skrzydle budynku. Oszczędny z natury Stunnington nie uważał za konieczne prowadze-

nie oddzielnego gospodarstwa, skoro bywał tu cztery dni w tygodniu. Cztery, bo w każdy piątek o pierwszej, kiedy prawie cały kontynent kończy tydzień pracy, prosto z biura wyjeżdżał do Roselido.

Po nagłej śmierci starszej pani, zanim Cor z Utherem przybyli do Los Angeles, na telefoniczne zarządzenie szefa jego doradca prawny zdażył kupić lokal z dala od Willi Stunningtona i w przeciągu kilku godzin ślad po damie nie został. Nigdy już tu nie powróciła.

Pod koniec tygodnia przyjechał ojciec i zabrał syna do Roselido.

– Twoja babka umarła. Bardzo cię kochała i nie chciałaby, abys z jej powodu rozpaczał – powiedział.

Chłopiec siedział nieporuszony i ani jednej łzy.

– Ludzie nie żyją wiecznie. Każdy z nas musi umrzeć, a Granni żyła długo, doczekała sędziwego wieku – Stunnington pożałował swojej niekonsekwencji. Teraz musiał sam zwalić od razu w świadomość dziecka okropną prawdę o starzeniu się, przemijaniu, śmierci, przed czym strzegł syna jak przed chorobą. I bał się gwałtowności jego reakcji.

Chłopiec milczał. Wszystko to wiedział od dawna, ze sprawami ostatecznymi oswajała go babka, być może i w przewidywaniu chwili, kiedy osieroci wnuka. Wiedział, lecz katastrofy z nieistnieniem spotykały innych, tych, co spoczywali pod sekwojami, podobny wypadek nie mógł przydarzyć się ani jemu, ani ojcu, ani Granni, ani nikomu bliskiemu. Oczekująca na babkę krypta z jej imieniem na płycie niczego w tym rozumowaniu nie zmieniała.

Teraz nagle Granni nie ma i nigdy już nie będzie. Nigdy – potrafił pojąć. I nie mógł sobie darować beztróskich dni w domu nad Pacyfikiem, właśnie wtedy gdy Granni odchodziła w nieistnienie, by spoczywać na zawsze.

– Pójdziemy do niej, Uther. – Tak samo milczący szedł obok ojca. Z dłonią w jego dłoni przemierzył dwanaście

niepokalanie białych stopni, przekroczył wrota z wici akantu, dał się prowadzić drogą tylekroć przebytą z Granni. Aż zatrzymali się nad stelą, wtedy zapłakał. A ojciec po raz pierwszy nie żądał od niego, aby zachowywał się jak mężczyzna. Milczał.

Przez łzy Uther czytał inskrypcję, bo puste miejsca w napisie zostały już wypełnione, a znaną całość uzupełniono nowymi słowami:

„Anni Stunnington z domu Bartnik-Suragyhka małżonka Johna. Szlachcianka polska, zmarła w Roselido...”

Chłopiec powtórzył w myśli, co przyrzekł jej umieścić na nagrobku, gdy dorośnie. Nie, z pewnością niczego o szlachciance polskiej. Dobrze pamiętał.

Sama nazwa nie brzmiała obco, chociaż pozostała niejasna. Przewijała się we wspomnieniach Granni o Wigajnach, nazywanych wsią albo zaściankiem.

Żyła tam szlachta zagrodowa, wszyscy tak samo się nazywali, a większość pisała się nawet z taką samą partykułą. Tym się głównie różnili od innych. I czynownik gubernialny, aby uniknąć pomyłek, kazał ich ponumerować, bo zdarzało się, że Jana syna Jana po dziadku Janie Surażyńskim pognano na Sybir za sąsiada Jana syna Jana z dziadkiem też Janem Surażyńskim. Tyle z tych opowiadań zrozumiał.

– Dlaczego kazałeś napisać szlachcianka polska? – bał się ojca.

– Twoja babka pochodziła ze szlachty.

Ojciec postępował niekonsekwentnie. Chłopiec nie zapomniał jeszcze, jak krzyczał na Granni za balladę w jej języku.

– Wstydzisz mnie, bo prostego człowieka ma za nic – wyjaśniała babka zapytana po powrocie z wygnania o przyczynę gniewu ojca. – Pycha zaślepia i odejmuje rozum, pamiętaj o tym, Uther.

Wtedy wyobrażał sobie pychę jako rodzaj zaraźliwej choroby, może nawet roznoszonej przez muchy.

Pamiętając to wszystko, nie rozumiał, dlaczego ojciec niechętny wspomnieniom, pogardzający rodzinną ziemią, mową i obyczajem starej pani, teraz po jej śmierci kazał pochowanie swej matki wytrawić w kamieniu.

Dopiero gdy podrósł, zauważył zabiegi ojca o splendor rodziny. Pendragon Stunnington, tak samo jak i jego ojciec, bardzo pragnęli należeć do warstwy starych Amerykanów. Granni za życia prosta i niereprezentacyjna nie nadawała się na ozdobę rodu, ale po śmierci pochodzeniem z europejskich nobili podbudowywała świeżą przynależność Stunningtonów do amerykańskiej elity.

Uther dowie się kiedyś, skąd ojciec zaczerpnął natchnienie do napisu na steli babki. W wiele lat później w Paryżu na Père-Lachaise zatrzyma się przy grobie pod pomnikiem dłuta Lesingera i przeczyta:

„Fryderyk Szopen syn emigranta francuskiego ożenionego z panią Krzyżanowską, córką polskiego szlachcica”.

Od przyścia do krypty babki u boku ojca Uther chodził do rotundy codziennie, nie kryjąc się i nie pytając o zezwolenie. Nikt nie śmiał mu w tym przeszkodzić.

– Zamieszkamy w Los Angeles – po kilku tygodniach zaproponował ojciec. Chciał oderwać dziecko od miejsc wypełnionych wspomnieniami. – Jesienią zapiszesz się do college’u – postanowił. Wolał już posłać syna wcześniej do szkoły, niż patrzeć, jak godzinami przesiaduje w nekropolu.

– Dobrze. Zabiorę ze sobą Sierotkę – zgodził się zadziwiająco łatwo i zaniechał pielgrzymek pod sekwoje. Ojciec nie wiedział, co myśleć o zmiennym, kapryśnym usposobieniu syna.

Chłopiec chodził tam w nadziei odnalezienia babki. Nie,

nie w jej zwykłej postaci, wiedział, że to niemożliwe, ale podobnie obecnej jak za życia. Lecz nie odnalazł nad stelą Granni żadnej więzi, żadnego poczucia bliskości. Przekonał się – jej tam nie było.

Nie odnalazł jej także na kwaterach werbeny i lawendy ani w całym opuszczonym przez nią Edenie, dokąd chadzał z Sierotką, ani w ogrodowym pawilonie, chociaż w im tylko znanym schowku wciąż leżał zapas ciemnego kawowego ziarna i jasnej, cienkiej hawany „Monte Christo Special”.

Wtedy zrozumiał. Granni żyć będzie już tylko w jego sercu. Więc bez oporów porzucił Roselido, nawet cieszyła go odmiana, wyjazd do dużego miasta i perspektywa szkoły. Nie pozostawił tylko towarzysza ich wypraw, kłapoucha wychowanego od małości przez babkę.

Pobiegły lata, wspomnienie Granni przestało wzbudzać dojmujący ból, przestało być rozpaczą, uwolnione od cierpienia spoczywało przechowywane w pamięci, niby cenny, przymglony dagerotyp.

Chłopcem zawładnęła inna nostalgia.

Wszyscy koledzy i koleżanki mieli matki. Niektóre z nich mieszkały oddzielnie, żyły w innych rodzinach, pojawiała się nowe potomstwo, ale te pierwsze dzieci widywały je albo przynajmniej o nich wiedziały. Tylko on jeden nie. Nawet w pamięci nie mógł wywołać obrazu kobiecej twarzy, dotyku dłoni, echa głosu. Nic.

Jego matki nie wspomniano. Teraz domyślił się w tym woli ojca. Lecz dlaczego skazano ją na niebyt w świadomości syna? Co uczyniła, że zamknęło się nad nią milczenie szczelniejsze niż wieko trumny?

Już to samo mogło poruszyć wyobraźnię i skłonić do drażenia tajemnicy. A przecież tęsknił i czuł się upośledzony brakiem matki, uboższy od innych, wyzuty z czegoś, co dane jest nawet zwierzęciu. Więc chciał wiedzieć dlaczego.



Nigdy nie słyszał o niej bodaj słowa. Tylko raz jeden od Granni. Pamiętał jej niechętną, powściągliwą i jakby zażenowaną odpowiedź, kiedy zapytał, wówczas pięcioletni, o kobietę, która go urodziła.

Vanessa! Nigdy nie widziana, żyjąca gdzieś w świecie. Tyle powiedziała babka. Na jej świat składało się Roselido, odległe od niego o piętnaście mil Stockersfield i Wigajny w Starym Kraju. A świat, o jakim uczył się Uther, był ogromny.

Gdzieś w świecie! Takiego zlecenia nie przyjmie żadne biuro detektywów. O detektywach wtedy wiedział już wszystko.

Na przeszkodzie stała jednak nie tylko nieznajomość adresu i bliższych danych, ale też małość i brak pieniędzy. Nie posiadał ani centa.

Otrzymywał, czego tylko zapragnął, o czym wspomniał czy wskazał w stercie zawsze świeżych katalogów regularnie nadsyłanych przez świetne firmy. Więc miał wszystko oprócz najdrobniejszej chociażby monety. Zawsze płaciła Cor, przeważnie czekiem. Dostęp do pieniędzy mógł mieć tylko przez nią. Długo się namyślał, czy wtajemniczyć Cor. Nie znalazł innego wyjścia.

– Chcę odnaleźć matkę, Cor – zdecydował się wreszcie, miał do niej zaufanie.

– Nie mogę ci pomóc, Uther. To sprawa nie tylko twoja, również twojego ojca.

– Nie chcę mówić ojcu. A od ciebie potrzebuję jedynie pieniędzy i nie musisz o niczym wiedzieć.

– Nie mogę ci ich dać na ten cel bez zgody mister Stunningtona.

– Mister Stunnington rozdzielił mnie z babką tylko za jedną piosenkę śpiewaną w języku, do którego nie lubi się przyznawać. Nie lubi też mojej matki, skoro nie pozostawił mi o niej nawet wyobrażenia, tylko czysty blank – miał lat ponad trzysta, pasjonował się kamerą, zużywał setki

metrów taśmy, z upodobaniem posługiwał się słownictwem zapożyczonym od filmowców. Blank oznaczał puste klatki na końcu rolki.

– To poważniejsza sprawa niż ballada, Uther. Z pewnością ojciec kiedyś sam ci wszystko powie.

– Rozumiem. Jesteś lojalna względem faceta, który ci płaci.

– Oczywiście, Uther. Twój ojciec nie upoważnił mnie do dysponowania jego pieniędzmi w takiej sprawie.

– Powinnaś mieć wzgląd na moje dobro – dopominał się rozczarowany i wściekły. Zawiódł się na Cor, ale opanował rozgoryczenie. – OK. Możesz zapomnieć o naszej rozmowie?

– Nie powtórzę jej mister Stunningtonowi, Uther.

Dotrzymała obietnicy, jak dotrzymywała zawsze. Lecz od tej pory nigdy już nie dopuści Cor do spraw najbardziej dla siebie ważnych i taki pozostanie. W przyszłości ze wszystkimi zamierzeniami będzie się zmagał sam.

W tamtej chwili wymknął się Cor zupełnie, czego nawet nie przeczuła. Chłopiec pozostał pozornie w niczym nie zmieniony. Przyszło mu to bez trudu. Zawsze już będzie służył trening zdobyty przy babce. Potrafi udawać i milczeć, zwodzić i przekonująco kłamać, jeśli tylko kłamstwo przybliży do celu.

Śladów Vanessy zaczął szukać w domu. Nie zauważony wślizgiwał się do pomieszczeń zajmowanych przez ojca, zakradał się do gabinetu, lecz nie mógł przeniknąć szuflad i półek w zawsze zamkniętym sejfie. Przeglądał worki z odpadkami, wystawiane wieczorem przed bramę, przeszedł starą korespondencję, wreszcie pośród śmieci trafił na strzęp welinu barwy bladego bzu. Pochodził od Vanessy.

Ogarnął go nie znany dotychczas rodzaj szczęścia, dostępny łowcom i hazardzistom. Drżały ręce, kiedy wygrzebywał skrawki, z których złożył kopertę wąską i wytwor-

na, wionął z niej jeszcze jakby cień ulotnego zapachu. Tak zdobył adres żony ojca.

List do matki układał przez bezsenną noc, aby rano podrzeć i spalić szczątki. List do matki pisał przez następny tydzień i niszczył bruliony, bo wszystko, co przekształcił w słowa, wydawało się płaskie, banalne albo zbyt miękkie, skomlenie niegodne trzynastoletniego mężczyzny. Wreszcie wysłał zaledwie kilka zdań, oględnych i nie takich, jakie dyktowało serce.

„Mamo, bardzo chcę Ciebie zobaczyć. Przez wiele lat nie wiedziałem o Tobie. Później poznałem tylko imię. Przez pół roku zdobywałem Twój adres, bo nie chciałem wtajemniczać nikogo w swój zamiar i nie wiedząc, jakbyś się na to zapatrywała. Napisz do mnie, Mamo, proszę. Abyś nie była skrepowana, listy kieruj na poste restante. I bądź spokojna, bez Twego zezwolenia nikt i nigdy nie dowie się, że do siebie pisujemy”.

List ofrankował znaczkiem z klasera, bardzo pięknym, emitowanym okolicznościowo z okazji rocznicy przybicia karaweli „Santa Maria” do kolumbijskiego wybrzeża. Oczekiwał, żył jak w transie.

Codziennie zaglądał na pocztę. Vanessa nie odpisała nigdy. Nie zdążył stracić nadziei na odpowiedź z Nogent-Sur-Marne, kiedy zawołał go ojciec.

– Siadaj, Uther – ojciec podniósł głowę znad papierów. W kręgu światła padającego spod abażuru lampy stojącej na biurku leżała wąska, wytworna koperta z bżowego welinu. Nie musiał widzieć adresu nadawcy, aby rozpoznać jej pochodzenie. Nawet chwycił nozdrzami ten ulotny, jakby zwietrzały zapach perfumowanego papieru.

A więc dla niej nie był wart nawet listu, a przynajmniej dyskretnego milczenia. Doniosła ojcu. Dziwka – pomyślał

o niej – co za dziwka! I nie mógł wyjść poza tę myśl z upokorzenia, żalu, wściekłości. Chciało mu się płakać i miotać najbardziej obelżywe wyrazy, jakie znał.

– Vanessa nie jest twoją matką, Uther – ojciec położył dłoń na kopercie. Tym gestem pokwitował wszystko, co poprzedzało jej otrzymanie. Żadnych pytań ani słowa wyrzutu. Uther poczuł wdzięczność za tę delikatność.

– A w ogóle skąd pomysł, że to ona?

– Na steli nagrobnej Eneasza widnieje jej imię. Eneas syn Pendragona i Vanessy – zacytował zdanie z inskrypcji, nawet teraz nie zdradził Granni.

– Nie rozumiem. Są tam również imiona Ruth i Kate – ojciec wymienił kobiety z kwatery Aniołków.

– Żadna z nich nie mogła być moją matką! – Uther uprzedzał, jak sądził, kłamstwo ojca. Chciał oszczędzić im obu wstydu i goryczy wynikających z oczywistej nieprawdy, którą demaskowały daty ryte w kamieniu. Miał je wytrawione w pamięci.

Bał się niepotrzebnie. Jego ojciec nie posłużyłby się tak łatwym do odkrycia fałszem. Z czasem przekona się, że on nigdy nie kłamał zupełnie, tylko retuszował fakty.

– Nie jesteś synem Ruth ani Kate. Ruth umarła nie mogąc wydać na świat dziecka. Kate z bliźniętami zginęli w wypadku samochodowym. Stało się to na dwadzieścia trzy lata przed twoim urodzeniem. Gdyby żyli, miałbyś już bardzo dorosłe rodzeństwo.

– Albo bym nie istniał – pojęcie niesione przez owo słowo nie przestało fascynować, nawet nie potrafił ogarnąć wyobraźnią świata bez siebie.

– Dlaczego tak myślisz? – twarz ojca wychylną z neutralnego cienia za lampą, uważnie przyjrzał się chłopcu.

– Miałbyś tamte dzieci – umilkł. Od dawna zdawał sobie sprawę, że urodził się w późnych latach swojego ojca. Rówieśnicy Uthera mieli już dziadków w tym wieku, ale

też dawno zauważył, jak ojciec nie lubi mówić o starości. – Gdzie byłeś w czasie wypadku? – zapytał.

– Razem z nimi. Prowadziłem wóz. Rozgniółł nas kontenerowiec. Szofer zasnął nad kierownicą. Jemu nie stało się nic. Ja przeżyłem. Oni nie.

W miarę odpowiedzi tężała twarz ojca. Uther umilkł. Poczł się winny za wywołanie okrutnych wspomnień. Współczł ojcu, chciał mu okazać przywiązanie. Nie potrafił, wstydzł się. W tym czasie wciąż siebie kontrolował i obserwował bez życzliwości oczyma kogoś obcego. Niezgrabny draęał o zbyt długich kończynach sprawiających wrażenie, jakby działały niezależnie od siebie. Mutował. Gesty dzieciństwa, znany im z ojcem szyfr serdecznego porozumienia, przeżyły się, wprawiały w zakłopotanie, innych nie odnalazł, jego sposób wyrażania uczuć, jak i jego głos jeszcze nie dojrzały.

– Nie chciałem ci zrobić przykrości – zamruczał, czując się wielki i niezręczny.

– Wiem – ojciec znów skrył się poza krąg światła zakreślonego czaszą abażuru. – Nie rozumiem tylko, dlaczego upierasz się przy Vanessie, a nie przy Lucienne.

– Kto to jest Lucienne!

– Nie widziałeś swojej metryki, Uther – wreszcie domyślił się ojciec.

– Nie widziałem – burknął zbity z tropu. Nie uważał za potrzebne, ba! nie przyszło mu nawet na myśl szukać potwierdzenia słów Granni. Były jak opoka, wierzył jej bezgranicznie.

– Oto skutki, gdy wszystko załatwia biuro prawne. Trzynastoletni mężczyzna nigdy nie trzymał w ręku swoich dokumentów! – roześmiał się ojciec. Poczł ulęę. Chłopcic nie dlatego wybrał Vanessę, bo poddawał w wątpliwość osobę Lucienne, tylko nie wiedząc o istnieniu Lucienne wybrał Vanessę.

– Proszę, tak wygląda twój certyfikat – ojciec wydobył kartę formatu in folio i podał ją chłopcu.

– Uther-Caradoc, urodzony z Lucienne Berville... – przeczytał junior Stunnington. Nie ulegało wątpliwości, jego matka miała na imię Lucienne, pochodziła z Bostonu. Pomieszanie uczuć. Radość, nie matka wzgardziła jego listem. I poczucie klęski. Granni skłamała. Pierwsze pęknięcie na idealnym portrecie babki, jaki nosił w sercu.

Przypomniał sobie jej skrępowanie, nienaturalną małomówność, kiedy osiem lat temu odpowiadała na jego pytanie o matkę. A może terroryzowana przez ojca inaczej postąpić nie mogła? I teraz sam już nie wiedział, co sądzić o zachowaniu Granni, której proste prawdy stały się jego własnymi.

A jednak skłamała, nadużyła zaufania! Mimo wszystko wolał wierzyć, że chciała tylko odsunąć na później temat zbyt poważny i za trudny do zrozumienia przez małe dziecko. Przecież jego matka nigdy nie była poślubiona ojcu, co wynikało wyraźnie z aktu urodzenia.

– Vanessa nadal jest moją żoną. Żyjemy w separacji, ona stale mieszka w Europie. Nieszczęśliwa, niezrównoważona kobieta, okrutnie doświadczona przez los. Skomplikowane i bardzo smutne sprawy, ale ciebie w żadnej mierze nie dotyczą. Ona nigdy cię nawet nie widziała. Nie rozwiodłem się, aby nie pogarszać jej sytuacji psychicznej, lecz pozostawiliśmy sobie zupełną swobodę.

– Dla spokoju Vanessy nigdy nie ożeniłeś się z moją matką?

– Jej nie zależało na małżeństwie. Lucienne Berville pozostawiła ciebie i odeszła. Nie wiem, gdzie się znajduje, i przyznam – nigdy nie starałem się dowiedzieć. Z chwilą gdy nas porzuciła, przestała dla mnie istnieć. Nie chciałem, abyś o tym wiedział.

– Może jednak trzeba ją odnaleźć. Ułatwić powrót.

– Pragniesz złudzeń?

Zaprzeczył, ale gdzieś w głębi siebie beznadziejnie chciał nie iluzji, lecz żeby prawda okazała się mniej okrutna, piękniejsza. Podobnie jak kiedyś, pięcioletni, oczekiwał odmiany w losie ogrodnika z opowieści Granni.

– Ile miałem lat, gdy nas opuściła?

– Sześć tygodni.

– Jak odeszła? – z każdym pytaniem, z każdą odpowiedzią umierała żalosna nadzieja ukryta na dnie serca, nadzieja na chociaż trochę mniej ciemny portret kobiety, która dała mu życie.

– Bez uprzedzenia. Zniknęła ze swoją książeczką czekową. Zostawiła list. Nie wróci nigdy i nie życzy sobie, abym jej szukał, bo nie ma mi nic więcej do powiedzenia.

– Gdzie wtedy mieszkaliście?

– W Bostonie. Tam się urodziłem.

– Gdzie wtedy przebywała Vanessa?

– Kiedy poznałem twoją matkę, Vanessa od wielu lat mieszkała już w Europie. I nawet się nie widywaliśmy.

– Pokaż fotografię matki. Chcę wiedzieć, jak wyglądała.

– Nie zachowałem żadnej.

– A powinieneś. To mi się należało. Pozostała moja matka, jak ty ojcem. Jakim prawem pozbawiłeś mnie czegoś, co ma każdy?

– Niczego ci nie odebrałem. Uspokój się. I nie krzycz jak rozhistryzowana Murzynka.

– Rasista! – nie panował nad sobą, nie chciał panować. Starął się ojca dotknąć, obrazić, zadać ból. Wspomnienie Lucienne Berville, niedobrej matki, wzbudziło niechęć do ojca, mścił się na obecnym za tamtą nieuchwytną, której nie potrafił dosięgnąć, dla której nic nie znaczył, której nic nie obchodził. Jak ojciec powiedział? Odeszła z książeczką czekową! Sprzedajna wyrachowana dziwka.

– Nie jestem rasistą, o czym dobrze wiesz – ojciec nie dawał się sprowokować.

Prawda. Chłopiec nigdy nie słyszał od niego słów pogardy dla ludzi o odmiennym obyczaju czy kolorze skóry. I nigdy nie odmawiał swego podpisu przeciwko segregacji.

– A ciemni polscy chłopcy?

– Pamiętasz? – z przykrością zdziwił się ojciec. – Powiedziałem tak w gniewie. Życzyłem sobie, abys rósł na Amerykanina, aby nie przeszkadzały ci sentymenty do jakiegoś skrawka ziemi na drugiej półkuli.

Uparta pamięć Uthera podsuwa wspomnienie Granni. Drobnymi łykami popija smolisty napar. Ulotny zapach werbeny miesza się z aromatem kawy i wysmukłej, eleganckiej hawany. Babka podnosi na chłopca ciepłe brązowe oczy, których nie przygasił wiek, otacza się kłębem pachnącego dymu, mówi:

– Wigajny stały o miedzę od Prusów, tam z przemytem chodził mój ojciec i ojca ojciec, i ojca dziad, na tamtą stronę konie wodzili, na naszą – norymberszczyznę nieśli. Nie tylko moi, cała wieś owym rzemiosłem się trudniła. Bywało, chłopak z ogierem poszedł i tam został, bywało, dziewczyna ichnia na naszą stronę z pasmanterią przybyła i ostawa.

My, ludzie z pogranicza, wymieszani jak w kotle. W naszych familiach różne nacje pospołu siedzą. W Suwałkach cmentarzy było pięć: polski, rusiński, żydowski, tatarski i luterskiego Boga. A za Filipowem nad rzeką jarem płynącą, na jednym stoku na mogiłkach krzyże rzymskiego wyznania, a po drugiej, też na górcie, kierkut, kamienne tablice mojżeszowe. A mieszkali tam jeszcze i Litwini, i Cyganie, Ormianie i Rumuni.

Moja prababka, Mazurka, z Prusów się wiodła, zaś ojцова babka z tatarsko-rusińskiego rodu. A cała ta ziemia po Jaćwingach. I w pieśni starej stoi, jak jaćwieskich witezi wybili do nogi, a najeźdźcy ich córę pojęli.

Takie jest wasze dziedzictwo, twoje i twego ojca, tak jak i we mnie wszystkie owe nacje pospołu siedzą, i chociaż o nich wiedzieć nie chce, przecież nie pozwalają, żeby on, ich spadkobierca, Murzyna czy Meksykana w pogardzie miał. Tylko mowy mojej się wstydi – milkła markotniejąc.

– Babce po polsku nie pozwalałeś rozmawiać! – wykrzykuje teraz mściwie Uther, za smutek babki, za swoje sieroctwo, za żal do matki.

– A Conrad Korzemm... Korze... – ojciec nie potrafi wymówić nazwiska i daje za wygraną. – Conrad pochodził z Polski, ale sam uważał się za angielskiego pisarza i pisał tylko po angielsku! Nie słyszałem, aby ktoś miał mu za złe.

– Popatrz! A ja myślałem, że twoja lektura to wyłącznie gazeta giełdowa.

– Dzięki mojej gazecie ty możesz czytać Conrada i co tylko chcesz. Inaczej zamiatałbyś ulice w Los Angeles. Nie zapominaj o tym, synu.

– Nie zapomnę, że bękart Lucienne Berville tobie zawdzięcza brak wspomnień o tej dziwce!

– Słuchaj, rozwydrzony gnojku, potrafię z tobą inaczej rozmawiać! – nareszcie skruszył opanowanie ojca.

– Co mi zrobisz? Rozdzielisz z babką, zniszczysz pamiątki po mojej matce, możesz mnie jeszcze pozbawić deseru, telewizji. Możesz mnie wydziedziczyć. Tak, wyrzeknij się mnie, jak się pośpieszysz, masz szansę splodzić następnego spadkobiercę.

– Chodź ze mną, chłopcze – głos ojca złagodniał. Odłożył okulary, używane tylko do pracy, i zmęczonym ruchem potarł oczy.

– Wtrącisz mnie do ciemnicy? – Uther nie ruszył się, niepokorny i zbuntowany.

– Niemądry jesteś. Pokażę ci jej portret.

– To dlaczego doprowadzasz człowieka do szału! – zawstydział się, miał wrażenie, jakby dał się wciągnąć w grę, która okazała się grą na niby.

– Miałem okazję usłyszeć, co o mnie myślisz.

– Byłem wściekły, chciałem ci dokuczyć.

Jak pamięcią sięgał, owo malowidło wisiało w małym pasażu. Zastany element wnętrza. Nigdy nie zatrzymywał się przed nim i nie przyjrzał uważniej. Obrazy godne oglądania eksponowano w dużej galerii na piętrze, leżącej na osi budynku. Od czasu do czasu przybywał nowy, wówczas nauczyciel zabierał Uthera i dawał popis erudycji. Takim lekcjom często i z upodobaniem przysłuchiwał się ojciec.

– Twój dziadek kazał mnie uczyć tylko dziedzin niezbędnych w zawodzie, ale mój syn będzie wszechstronnie wykształconym człowiekiem – mawiał nie ukrywając dumy.

– niesprawiedliwość, abym uczył się za siebie i za ciebie – protestował Uther. Inteligentnemu chłopcu nauka przychodziła bez wysiłku, lecz od rana do nocy tłoczono w niego najróżniejsze wiadomości, więc się buntował.

Teraz stał z ojcem w małym pasażu i myślał, dlaczego żaden impuls nie przywiódł go, bodaj na chwilę, ku temu portretowi bardzo młodej i bardzo pięknej kobiety, raczej dziewczyny przedstawionej w naturalnej wielkości. Złote włosy ostrzyżone modą lat pięćdziesiątych, twarz drobna jak pyszczek kota i małe pełne usta. Dominowały przedłużone do skroni oczy, mieniące się zielono i niebiesko. Ich błękitną barwę podkreślał jedyny klejnot, olbrzymi szafir leżący na piersi w głębokim wycięciu sukni koloru indygo. I nie wiadomo, czy korund nasycił się pigmentem oczu kobiety, czy tęczęwki czerpały go ze szlachetnego minerału.

– Nie tak ją sobie wyobrażałem – Uther nie odczuł żadnego wzruszenia. Nie odpowiadał mu wygląd młodej osoby. – Wcale do niej nie jestem podobny – zauważył trochę jednak rozczarowany.

– Co mnie nie martwi – powiedział ojciec. Już wtedy

Uther przypominał go uderzająco. Obaj wysocy, mocno zbudowani, mieli brązowe oczy i ciemne włosy Anny Surażyńskiej, tylko starszego były mocno osrebrzone.

– A jednak należy jej poszukać – nie ustępował chłopiec.

Ojciec się zachnął.

– Ledwo odrosłeś od ziemi, wyprawiałeś dzikie brewerie z powodu babki, a później Cor. I znów rozczuliłeś się nad sobą. Biedny. Nie musiało być ci najgorzej z ojcem, skoro brak mamusi zauważyłeś dopiero teraz. Uprzedzam, nie będę jej szukał i nie dam na to ani centa. Gdy dorosisz, postanowisz, jak zechcesz.

– Ona odeszła z innym mężczyzną?

– Jesteś bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o ciebie, ale żadnych względów dla ojca. Dajmy już spokój. Jestem zmęczony.

– Uraziłem cię nienaumyślnie – Uther zyskał pewność, że trafił w sedno.

– Pewno nieumyślnie.

– Nie będę jej szukał – obiecał. Niełatwym dla siebie postanowieniem wyrażał nie tylko przyrzeczenie, ale i solidarność względem ojca.

I znów nad kobietą, która urodziła chłopca, zamknęło się milczenie, zdawałoby się, ostateczne. Stała się bardziej nieobecna niż wówczas, kiedy syn nic o niej nie wiedział. Uther obiecał sobie nie starać się nigdy odnaleźć i w ogóle zapomnieć o Lucienne Berville, zdradliwej kochance i nieczułej matce.

W trzy lata później przy okazji wyjazdu w sprawach firmy ojciec zabrał go do Nowego Jorku. Nie towarzyszyli im ani nauczyciel, ani Cor.

– Bez nianiek – zażądał Uther, podkreślając swą od niedawna wywalczoną autonomię.

Skończył lat szesnaście, wyglądał na starszego, rosły, wysportowany, mistrz pływacki szkoły i zupełnie niezły

już żeglarz. Jak ojciec, miał niskie, ciepłe brzmienie głosu, przez telefon nie sposób ich było odróżnić. Za rok kończył college, czuł się dorosły i doświadczony.

– Sam nie będziesz się nudził?

– Nigdy nie nudzę się w swoim towarzystwie – zapewnił z powagą.

W tym czasie oceniał siebie bardzo wysoko. Uważał się za intelektualistę.

– Przyślę ci hostesse, będziesz miał przewodnika po mieście – próbował jeszcze ojciec.

– Ani się waż, wyrzucę ją za drzwi. Słuchaj, tata, zgodziłem się na szofera, ale nie dam obstać nursami. – Uther rozumiał uraz ojca, odkąd Kate z bliźniętami zginęła w katastrofie, i dla jego spokoju przyrzekł tutaj, na nieznanym terenie, nie siadać za kierownicę. Korzystał z wozu i usług Jimmiego z agencji wynajmu.

Ojciec dał za wygraną i zrezygnował z przydania synowi opieki, a Uther, jak przystało na człowieka głębokiego, o bogatym życiu umysłowym, pospieszył korzystać z mnogości propozycji kulturalnych metropolii.

Strand Bookstore.

Pierwsze kroki skierował do słynnej księgarni obwieśzonej uciesznymi podobiznami współczesnych pisarzy. Wieczorami teatru Broadwayu, w dzień muzea i galerie.

Metropolitan Museum, zespół budynków wypełniony zbiorami ze wszystkich epok, labirynt umarłych cywilizacji, nieustająca wystawa sztuki ludów wszelkich ras, wszelkich ziem – od czasów najdawniejszych.

Muzeum Guggenheima. Niezwyczajna architektura, bez sal, schodów, korytarzy. W całym gmachu tylko rampa wznosząca się pierścieniami ku górze, wzdłuż niej na ścianach umieszczono dzieła.

Muzeum sztuki nowoczesnej: arte povera – sztuka biedna. Kompozycje z kawałków cegły, odłamków ceramiki, suchych gałęzi, gałganów, odpadków metali, kości.

– Szkoda życia na oglądanie, jeśli każdy wariat potrafi to zrobić! – zdenerwował się Jimmie na widok ekspozycji art brut – sztuki surowej, prac stworzonych przez ludzi umysłowo chorych lub działających pod hipnozą.

Uther uważał za niedemokratyczne, aby człowiek taki sam jak on czekał godzinami przykuty do samochodu, więc włączył go wszędzie ze sobą. Jimmie snuł się osowiały, ziewał jak hipopotam i długo nie protestował, doceniając dobrą wolę młodego przybysza z Zachodu, aż śmiertelnie znudzony monotonią jego zainteresowań zaproponował:

– Jutro w Atlantic City kończą się wybory Miss America. Jest na czym oko zawiesić. Pięćdziesiąt jeden najpiękniejszych dziewczyn, po jednej z każdego stanu. Skoczymy?

Utherowi, chociaż po raz pierwszy był na Wschodzie, nazwa miasta nie brzmiała obco. Co roku, w pierwszych dniach września, po Labour Day, doniesienia i serwisy fotograficzne z Atlantic City prawie przez tydzień nie schodziły z pierwszych stron gazet, transmisje stamtąd wypełniały programy telewizyjne.

Ale w jego college'u szerzyła się w tym czasie moda na intelekt. Pod grozą utraty czci człowieka myślącego nie należało przyznawać się do uczestnictwa w takim widowisku.

– Mądrości nam nie uciekną, a eliminacje na królową skończą się jutro.

– Trzeba poznać, aby odrzucić – na poczekaniu dorobił ideę szesnastoletni hipokryta, nie mogąc oprzeć się pokusie obejrzenia dennego dna z bliska, a z dala od pręgierza opinii szkolnych mózgowców.

– Co proszę? – nie zrozumiał Jimmie, chłopak prostoduszny, umysłowo niewyrafinowany i pozbawiony snobizmów intelektualnych.

– Jedziemy do Atlantic City.

Miasto położone niedaleko Nowego Jorku, na wyspie

Basecon na Atlantyku, architekturą przypominało bezładne pomieszanie teatralnych dekoracji. Wszelkie repliki europejskich stylów. Obok siebie siedziby szkockich Tartanów jak z Waltera Scotta, francuskie zamki znad Loary, niemieckie burgi, pałace Wenecji. Kopie gotyku, baroku, secesji – piernikowe i nierzeczywiste. Disneyland na poważnie.

Atlantic City proponowało przybyszom wyścigi koni i psów, spacer po corso zaprzęgami kuców w koszach na kółkach, wesołe miasteczka, parki grozy, ruletę, bary, restauracje i nocne lokale.

Uther znalazł się pośród tłumów na Bordwalku, drewnianej promenadzie ciągnącej się wzdłuż brzegu oceanu, deptaku obsadzonym kramami sprzedającymi, jak wszędzie, tandetne suweniry i nieodłączne atrybuty festynów.

– Salt water toffi – Jimmie wynurkował z ciżby z paczką cukierków. Jak okiem sięgnąć, wszyscy tłoczyli się, gapili, spacerowali zaopatrzeni w torby z charakterystycznym napisem. – Częstuj się – zachęcał Jimmie – tutaj specjalność! – Karmelki okazały się zupełnie dobre, chociaż smakowały słonawo-gorzka słodyczą.

Jimmie, jak przystało na przewodnika, opowiedział przybyszowi z Zachodu miejscową przypowieść.

Kiedyś fala morska zalała pozostawione na noc w nadbrzeżnym kramie łakocie. Rano dziewczynka przyszła kupić irysów, ale sprzedawca nie miał innych i dał jej te przesiąknięte słoną wodą. Niebawem przybiegły gromady dzieci i chciały tylko salt water toffi. Okazały się świetne, przekupień został milionerem.

Bordwalkiem przeciągała parada kandydatek na Miss America. Dziewczyna wybrana w Atlantic City nie ma prawa do udziału w międzynarodowych konkursach. Prezentuje wzorzec amerykańskiej kobiety, jest dla tutejszych, nie na wynos. Otrzymuje sto, niekiedy więcej, tysięcy dolarów, za co w ciągu rocznej kadencji ma obowiązek

przemierzać kontynent, reprezentować, udzielać wywiadów, być miła, uśmiechnięta i szczęśliwa. Jest własnością ogółu, żywą maskotą kraju. Różne firmy płacą jej wysokie honoraria za reklamowanie wyrobów.

Konno, w odkrytych landach ciągnionych przez kuce, pięćdziesiąt jeden pięknych, wspaniale zbudowanych dziewczyn promenowało po corso.

– Keep smiling! – wołano z tłumu, domagano się uśmiechów. Więc uśmiechały się, przesyłały całusy i pozdrowienia. Przez sześć dni zabiegały o popularność, o sympatię publiczności.

Finałowa gala odbywała się w sali kasyna gry. Jimmie nie bez trudu zdobył bilety na numerowane miejsca blisko podium. Kosztowały potrójnie u bookmacherów nie gardzących i takim zarobkiem.

Zasiedli wieczorem w szczelnie wypełnionej, największej na kontynencie sali. Kandydatki prezentowały różne talenty, śpiew, grę na instrumentach, tańce, odpowiadały na mądre pytania. Wreszcie ogłoszono werdykt jury i intronizowano królową, miss stanu Connecticut. Widownia zagrzmiała oklaskami, wybuchła wrzawą i wiwatami, zakwitła wyspą baloników, olbrzymich wachlarzy, wstęp i transparentów z napisami: Connecticut. Krajanie święcili sukces rodaczki.

Najpiękniejsza dziewczyna Ameryki kłania się w ceremonialnych reweransach. Złotą głowę omotuje tęczą. Wielkie szafiry gorzej w diademie, naszyjniku, bransoletach opasujących nadgarstki, migocą brilloletty uczepione uszu.

Światła punktowców niecą błyskawice w fasetach podwójnych rozet oprawnych w delikatną platynę. Korund pulsuje błękitną krwią, rozacza aureolę.

– Grande Duchesse! – nad szmer sali wzbija się z megafonów męski głos. Tak nazywa się biżuteria, w jaką przybrał królową na ten wieczór wielki nowojorski złotnik.

Spiker podkreśla rzadką piękność kamieni, kunszt szlifowania, wylicza karaty. Zaraz po nim poleca usługi zakładu asekuracyjny, opowiadając publiczności, na ile ubezpieczono wypożyczone na tę uroczystość koronacyjne insygnia pierwszej panny United States.

– Wracamy – Uther nie słyszał już reklamowych sloganów. Dziewczyna z podium sugestywnie przypominała tamtą z portretu wiszącego w małym pasażu w domu nad Pacyfikiem, chociaż wcale nie była do niej podobna. Wystarczył kształt i rodzaj noszonego przez nią klejnotu, by poruszyć wszystko, co zdawało się raz na zawsze pogrzebane przed trzema laty.

Nazajutrz pojechał do słynnego jubilera.

Zanim fotokomórka uchyli stalowe drzwi, gość sławnej firmy musi przejść przez hall, gdzie prześwietli go specjalna aparatura, czy nie posiada przy sobie materiałów wybuchowych, broni lub innych niebezpiecznych przedmiotów.

Potem automat otwiera drogę do sąsiedniego pomieszczenia, na progu wita klienta grzeczny, barczysty i uzbrojony dżentelmen. Razem przekraczają pancerne wrota i wchodzą do obszernego, cylindrycznego szybu ze spiralnie wznoszącymi się stopniami. Nad biegiem schodów ciągną się nisze. Za pancernym szkłem, odpornym na stłuczenia, kule, ogień i substancje trawiące, spoczywają na podściółkach z atłasu albo aksamitu, odpowiednio oświetlone, szlachetne kamienie baśniowej urody.

Można się przed nimi zatrzymać, przyglądać, kontemplować, nie należy witryny dotykać, nawet muśnięcie uruchamia czujniki optyczne, dźwiękowe i strażników.

Przy każdej wnęce – wystarczy przystanąć – fotokomórka automatycznie włącza taśmę z informacją.

– Szecherezada, Królowa Śniegu, Kropla Rosy, Zorza Poranna, Wenus Galipygos... – imiona własne szmaragdów o barwie majowej zieleni, brylantów o chłodnych ogniach



tęczującego lodu, pereł szarosrebrnych i opalizujących różem konchy.

Z ostatniego podestu klienta i jego przewodnika winda znowu uwozi na parter. Jeśli gość życzy dokonać zakupu w zacisznym gabinecie, wciąż w asyście tego samego mięśniowca, wrzuca dowód tożsamości w brzuch komputera.

Elektronowy mózg błyskawicznie bada autentyczność dokumentu i przekazuje do kantorku opinię o jego posiadaczu. W pamięci ma zakodowane i uzupełniane spisy stałych klientów, klientów ewentualnych, a także osobników, których do salonu sprzedaży wpuszczać nie należy.

– Serdecznie prosimy – wyświetlił komputer, zwracając prawo jazdy Uthera, bo dysponował tylko takim dowodem.

Z nieodłącznym towarzyszem znów unieśli się na piętro. W hallu, po opuszczeniu dźwigu, Uthera poraziło wzruszenie. W głębi na ścianie ujrzał portret Lucienne Berville.

Lucienne Berville namalowana przez innego malarza, inną manierą i w innym czasie. Uczesana i ubrana modą lat siedemdziesiątych, w ciężkim, bogatym naszyjniku i dużych zausznicach z kamieniami wielkimi jak ziarna bobu.

Lucienne znacznie starsza od tamtej dziewczyny z szafirem, na portrecie w małym pasażu. Sercowata twarz stała się jeszcze bardziej sercowata, mocniej zarysowały wydatne kości policzkowe, czas bardziej wytrawił nieregularne rysy. Usta większe, podbródek cięższy, a jej dwubarwne oczy czerpały pigment z berylu i mieniły się zielono. Nadal bardzo piękna, lecz melancholijną urodą przejrzałego kwiatu, urodą jesieni.

Lucienne, postarzała, smutna i zmęczona, wydała się Utherowi bliższa niż tamta. Zapatrzył się na nią ogarnięty uczuciami sprzecznymi i trudnymi do wyjaśnienia. Opanowany wzruszeniem i wielką czułością, myślał: mamó,

i wydawało mu się, że wszystko, co robił przez ostatnie trzy lata, wiodło go tutaj, gdzie trafił na ślad matki.

– Właściwie nie przyszedłem nic kupić – wyjąkał speszony po znalezieniu się przed damą o głowie dostojnie srebrnej, twarzy bez zmarszczek, obleczonej w wytworną czerń podkreślającą wspaniałą figurę. Nosila tylko raz zamotany na szyi jeden długi sznur pereł, o ziarnach grubych i kształtnych, doskonale dobranych wielkością i odcieniem.

– Czym mogę panu służyć, mister Stunnington? – uśmiechnęła się życzliwie i zaproponowała coś do picia. Zachowywała się, jak pani domu witająca miłego gościa, nie przypominała sprzedawczyni, tak jak wykwinny salon nie przypominał sklepu.

– Portret wiszący w hallu... mam taki w domu, tylko z szafirem – zaczął nieskładnie.

– Poszukamy szafiru – pomyślała, że interesuje go klejnot, i otworzyła przed Utherem katalog z kolorowymi fotografiami biżuterii.

– Bardzo przepraszam, ja tylko chciałem dowiedzieć się, kim jest ta pani namalowana w naszyjniku ze szmaragdów!

– Nasza modelka.

– Nazywa się Lucienne Berville? – zamarło serce i świat zatrzymał się w obrocie, kiedy głośno wypowiedział jej imię.

– Nie. Oona Sullivan, Miss Ameryki z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, i od tamtego czasu nasza modelka.

– Ależ to Lucienne Berville, przecież... – omal nie powiedział, że niepodobna, aby jego ojciec się mylił.

– Osoba o takim nazwisku nigdy nie pracowała dla naszej firmy.

– Łudzące podobieństwo – opanował się.

Jak czerw zaległo się podejrzenie: ojciec kłamał. Nie

zachował nawet zdjęcia Lucienne Berville, a gdy on, Uther, trzy lata temu nagle zaczął domagać się wyjaśnień, zbył go wskazując portret Oony Sullivan.

W salonie słynnego jubilera Uther na zawsze pozostawił zaufanie do ojca. Ani słowem nie wspomni o dokonanych odkryciach i nigdy już nie poruszy przy nim tematu matki. Odtąd będzie go obserwował uważnie i bardzo krytycznie.

W rok później Uther ukończył college i złożył egzaminy na wydział ekonomiczny uniwersytetu w Berkeley. Tego dnia otrzymał od ojca książeczkę czekową na swoje imię z sumą dość skromną, ale on, dotychczas nie posiadający ani centa, poczuł się wolny i bogaty, bo z tych pieniędzy nie musiał składać rachunku. Wyjechał na swoje pierwsze samodzielne wakacje.

– Wybierzemy się razem do Indii – namawiał ojciec.

– Chcę zobaczyć Amerykę. Nie znam swojego kraju. –

Poza tamtym wyjazdem do Nowego Jorku nie był nigdzie więcej. Wiedział też, że ojciec nie zrezygnuje z Indii, aby wędrować z nim po Ameryce.

Do Indii ojciec jeździł niezupełnie turystycznie ani też dla interesów. Tam dość skutecznie walczył z objawami starości, oddając się co roku na kilka tygodni w ręce orientalnych lekarzy stosujących doświadczenia i przekazy tysięcy. Wracał rzeczywiście odmłodzony i jakby łagodniejszy, bo z latami rósł jego despotyzm.

Steve, nieodłączny towarzysz ojca, opowiadał o tajemniczych klinikach w niczym nie przypominających lecznic czy sanatoriów białych kontynentów. Zwłaszcza fascynował Dom Zdrowia w Kaya Kalpa, gdzie w izolatkach z dala od słońca, czasami w zupełnych ciemnościach, poddawano bogatych starców głodówkom, dietom ziołowym, pławiono w tajemnych oliwach, pojono dekoktami, przywracając zwiótczonym ciałom elastyczność, a zgorzkniałym duchom pogodę.

– Uwalniaś się ode mnie – melancholijnie zauważył

ojciec, kiedy zawiodły wszelkie pokusy roztoczone przed Utherem, aby jeszcze chociaż o rok odwlec jego niezależność, jakby własną osobą, faktem bycia przy nim mógł zasłonić go przed losem.

Wciąż obsesyjnie obawiał się dla syna dróg rojących się rozpędzonymi samochodami, powietrznych szlaków pełnych samolotów mknących z szybkością dźwięku, a nawet pociągów i zdawał sobie sprawę z niemożliwości wyłączenia go z czasu i cywilizacji, w jakich przyszło mu żyć.

– Będę do ciebie telefonował – obiecał chłopiec. Coraz bardziej ciążyła zaborcza miłość, od zarania dni otaczająca szczelnie niby kloszem, chociaż ojciec stwarzał pozory, że ten klosz nie istnieje.

Uther ruszył w kraj oszołomiony swobodą. Za nim opiekun wynajęty przez ojca, aby dyskretnie czuwał nad chłopcem i wspierał w razie trudności. Student z najstarszego rocznika uniwersytetu Berkeley po drodze zaznajomił się z powierzonym jego pieczy trampem i tak Uther, nieświadomy, wędrował ramię w ramię ze zmaturalizowaną troskliwością ojca.

Boston.

Przez rok zepchnięta w podświadomość, z całą ostrością odżyła pamięć o Lucienne Berville. Chłopiec nie tylko nie zapomniał o nieczulej matce, lecz nagromadził wiele pytań, na które szukał odpowiedzi, bo po odkryciu mistyfikacji z portretem zachwiała się wiara Uthera w prawdomówność ojca. To była jego prawda o Lucienne Berville, ale on, Uther, musi poznać także prawdę Lucienne Berville, usłyszeć, co Ona ma do powiedzenia, zanim ostatecznie osądzi ją w swoim sercu.

Nie bardzo zdając sobie sprawę, całą włóczęgę wymyślił tylko dlatego, aby przyjechać do Bostonu, miasta swojego urodzenia, miasta Lucienne Berville, i aby ukryć przed ojcem właściwy cel wędrowki.

Jedynie dostępne Utherowi dane o matce zawierała jego

metryka. W bostońskim Urzędzie Stanu Cywilnego wrzucił do automatu przewidzianą takse.

– Pełny wypis – podyktował komputerowi fakty wyszczególnione przez instrukcję i w kilka minut otrzymał żadaną informację.

Dotychczas nie widział swego pierwszego w życiu dokumentu w całkowitym brzmieniu. Ze zdziwieniem przyjął do wiadomości miejsce, w jakim przyszedł na świat. Dotychczas nigdy o nie nie pytał. Wydawało się oczywiste, kojarzyło z jakąś posiadłością w pobliżu Bostonu lub domem w mieście, w żadnym wypadku ze szpitalem czy nawet najelegantszą kliniką.

Wszystkie Aniołki, czworo przyrodniego rodzeństwa Uthera, jak głosiły inskrypcje na stelach w rotundzie pod sekwojami, urodziły się w Roselido lub w Los Angeles w domu nad Pacyfikiem. Tylko on, jak się okazało, ujrzał światło dzienne w lecznicy o nazwie jak hotel Sheratona: „Continental”.

Widział w tym fakcie coś uwłaczającego, niewątpliwie miało związek z sytuacją cywilną matki. Ojcostwo ojca wobec tamtych dzieci wynikało z uznanego prawem związku obojga rodziców. Istnienia Uthera ojciec mógł nie przyjąć do wiadomości. Wprawdzie przyznał się do niego natychmiast, o czym niezbitnie świadczyła metryka, ale teraz owa rzeczywistość nie miała wpływu na doznania chłopca.

Znieważony kliniką o nazwie brzmiącej niczym hotel utożsamiał się z nie zaślubioną. Jak nigdy dotychczas poczuł się synem Lucienne Berville, panińskiej matki, poddanej Bóg wie jakim poniżeniom, zanim porzuciła dziecko.

To znosiło lojalność wobec ojca, zwalniało z przyrzeczenia nieszukania Lucienne Berville. Obowiązek syna nakazywał odnaleźć ją, aby wynagrodzić krzywdę i upokorzenia, jakich jej pewno nie oszczędzono.

Poza nazwiskiem nie dysponował żadnymi danymi na temat Lucienne Berville, co wykluczało pomoc biura adresowego. Mózg elektronowy mrugał pustym ekranem, nie mogąc uporać się z zadaniem. Jako ostatni swój atut Uther podał bezradnej maszynie nazwę szpitala, w którym się urodził, i wtedy pojawiła się informacja.

– Lucienne Berville... zamieszkała... zawód: pielęgniarka – zaszeleściła perforowana taśma, ze szczeliny usłużnie spłynęła szaroniebieska zadrukowana bibułka.

Uther zastygł pod naporem sprzecznych doznań. Radość, wielka czułość dla odnalezionej, trema przed spotkaniem i... rozczarowanie. Nastawiony na trudne, długie poszukiwania, nie był psychicznie przygotowany na tę łatwość, z jaką odkrył ślad Lucienne Berville. Oto w zasięgu ręki miał jej adres.

Oddał wystający z kasety kawałek papieru i schował jak relikwię. Nieczuły na otaczający świat, błąkał się po mieście tocząc z matką rozmowy, układając, co jej powie, a tyle miał do powiedzenia.

Przysiadł, aby uładzić myśli. W parku publicznym, pod zielonymi koronami drzew, bieleły posągi Channinga, Kościuszki, Cassa, Philipa, lecz nie starczyło zainteresowania dla Alei Zasłużonych, nogi niosły na ulicę, gdzie mieszkała Ona. Przystawał tam i obserwował skromną czynszową kamienicę, gdzie żyła Ona.

Przyglądał się wchodzącym i wychodzącym kobietom, zgadywał, która z nich mogła być Nią. Marzył, że serce jej podpowie, kto na nią czeka, lecz żadna nie podeszła i nie powiedziała: – Synu!

– Czego tu szukasz, chłopcze? – Trzeciego dnia zwrócił uwagę policjanta uruchomionego przez jakąś starszą panią, wystraszoną uporczywym pojawianiem się młodego człowieka. Niepokoiły natarczywe oczy ze szczególnym, nawiedzonym wyrazem, z jakim odprowadzał niemal każdą kobietę.

– Przyjechałem do matki! – odpowiedział skwapliwie, z radością, szczęśliwy, że może z kimś podzielić takie niezwykle, takie zwyczajne wydarzenie. – Przyjechałem do matki! – powtórzył wsłuchany w muzykę słów, uśmiechał się jak szalony albo święty, w twarzy miał światło.

– To idź do niej – poradził stróż porządku.

– Mam wielką tremę – zwierzył się, wciąż z tym samym nieprzytomnym uśmiechem.

– Nie możesz tu wystawać, synu, ona z pewnością na ciebie czeka. Idź do niej – policjant pchnął go lekko. Nieszkodliwy wariat – pomyślał.

– Tak, idę – Uther ruszył do tego domu, który od trzech dni stał mu się bliski jak Roselido, jak dom w Los Angeles. Wypełniało go szczęście i miłość. Niósł matce swoją tęsknotę, swoje przywiązanie i zgodę na wszystko, co się dotychczas wydarzyło. Żadnych wyrzutów.

Wreszcie nacisnął dzwonek pod wizytówką z jej nazwiskiem. Cisza. Stłumione miauczenie kota. Z głębi mieszkania narastające kroki. Huk własnego serca.

– Pan do kogo? – zapytała kobieta, prawie niewidoczna w szparze uchylonych drzwi zabezpieczonych od wewnątrz.

– Do Lucienne Berville – nie tak wyobrażał sobie swoje wejście, nie te słowa przygotował jako pierwsze. Zniweczyła je ostrożność, rezerwa. Strącony z wyżyn uniesienia nie potrafił powiedzieć badawczemu oku w szczelinie: mam, jak sobie wymarzył, więc tylko wymienił jej nazwisko.

– Kim jesteś?

– Uther-Caradoc Stunington, junior. Przybywam z Kalifornii – wyrecytował przestraszony, aby podejrzliwa służka nie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Szczęknięt opuszczony łańcuch.

– Wejdz, proszę. – Kobieta wpuściła go do ciemnego

przedpokoju, powiodła w głąb mieszkania, wskazała fotel obity angielskim kretonem, sama usiadła w drugim.

Jeszcze zauważył białe tiulowe firanki, poruszone lekkim wiatrem, i pastelową w barwie, jedwabną suknię podkreślającą kształtną, pełną figurę kobiety.

– Słucham cię, Uther-Caradoc? – badawczo przyglądały mu się oczy koloru łupku, oczy o egipskim wykroju z twarzy dojrzałej i pięknej, o barwie rozbielonego brązu.

– Chciałem rozmawiać z missis Lucienne Berville. – Na co czeka ta tępą służącą, niecierpliwił się.

– Ależ słucham cię! – w uśmiechu błysnęła bielą pysznych zębów. Spoglądał na nią niemądrze, jeszcze nie rozumiał, że ma przed sobą Lucienne Berville.

Był synem czarnej kobiety, był kolorowy! Zdruzgotany odkryciem, nie mógł się odezwać. Z zamętu uczuć nie nazwanych i takich, jakich lepiej nie nazywać, wyłoniło się żenujące doznanie. Zupełnie nie to samo przeciwstawiać się dyskryminacji Murzynów, a nagle stać się jednym z nich.

Nie żywił żadnych uprzedzeń do ludzi o odmiennej barwie skóry, był szczerze przeciwko segregacji rasowej, a jednak w tej chwili dałby wiele, aby jego matka okazała się białą kobietą. Pożałował, że jej szukał, wstydził się tego żalu przed samym sobą i zaraz wybuchła ostra niechęć do ojca.

Skoro uznał syna – Mulata, dlaczego ukrywał przed nim jego pochodzenie? To przez ojca, nieprzygotowany, wychowany na białego sahiba, przeżywa teraz hańbiące uprzedzenie i protest wobec inności rodzonej matki, upokorzenie, którego w sobie nawet nie przeczuwał, uprzedzenie poniżające jego godność, poddające w wątpliwość jego człowieczeństwo.

Jak ratunek wspomniął Granni i wszystkie nacje z pogranicza jej starego kraju, o którym opowiadała i z którego on się wiódł. Przywoływał ich teraz na pomoc, tych Jać-

wingów, Polaków, Tatarów, Litwinów, Żydów, Rusinów i Prusów, aby go wsparli w godzinie próby, aby się nie upodlił niechęcią do własnej matki, tylko dlatego, że jest czarna.

Czuł na sobie jej uważne spojrzenie, nie mógł oderwać oczu od swych rąk. Szukał na nich negroidalnych śladów, przecież powinny być. Zwłaszcza przy nasadzie paznokci ciemny pigment zdradzający nawet najbardziej jasnego mieszańca.

– Jesteś moją matką, Lucienne – powiedział wreszcie. Nie zdobył się na: Mamo, jak sobie wymarzył, i nienawidził się za to.

Teraz ona oniemiała.

– Takie personalia matki mam zapisane w metryce – pokazał jej druk otrzymany z komputera. – Proszę, przeczytaj!

– Ach, rozumiem, urodziłeś się w klinice doktora Orlano Harrocksa, ja tam kiedyś pracowałam, no i zbieżność nazwiska – przebiegła oczyma podany jej kawałek niebieskiej taśmy. Odetchnęła jakby z ulgą. – Byłam pielęgniarką w „Continentalu” i nazywam się Lucienne Berville, ale nie jestem twoją matką, Uther.

– Nie wierzę ci – wewnętrzna walka, jaką stoczył, zamieniła się w czułość do czarnej matki, nie chciał już innej. Doznawał uczucia, jakby ją nie tylko odnalazł, ale i trochę stworzył.

– Ależ, Uther, dlaczego miałabym się wypierać własnego dziecka?

– Ze strachu przed moim ojcem.

– Czarne matki są odważne. Stulecia pracowały na ich odwagę.

– Mój ojciec jest człowiekiem bezwzględny – po raz pierwszy wypowiedział głośno wobec kogoś innego surową opinię o ojcu – potrafi złamać odwagę każdej kobiety.

– Przyjrzyj się sobie, nie jesteś Mulatem. Przecież to od razu widać, chociaż masz czarne włosy i smagłą cerę.

– Dlaczego odeszłaś z „Continentalu”? – zapytał. Dopiero teraz dotarło do niego, że nazwa szpitala, w którym się urodził, podana jako fakt posiłkowy bezradnemu z braku dostatecznych przesłanek komputerowi, zdecydowała o wyselekcjonowaniu przez maszynę byłej pielęgniarki tej kliniki.

Miotła nim rozczarowanie, żal i wstyd za małoduszność, za ciemne uprzedzenia i coś jak cień ulgi, że to jednak nie ona. Nienawidził się za tę ulgę, pogardzał sobą, rosła uraza do ojca.

– Byłam nocną pielęgniarką. Czarni pracują w „Continentalu” tylko na nocną zmianę. Po kilku latach musiałam zmienić rytm. Szkodził.

– Pamiętasz moją matkę?

– Nie pracowałam na położniczym.

– Możesz podać jakieś nazwisko spośród personelu wówczas tam zatrudnionego?

– Nie. Ale porozmawiaj z doktorem Harrocksem.

Doktor Orlano Harrocks, wysoki, szczupły mężczyzna, wyglądał na świetnie utrzymaną sześćdziesiątkę i człowieka życzliwego. Przyjął młodego gościa w sposób ujmujący, ale Uther odniósł wrażenie, że o powodach, jakie go tutaj sprowadziły, doktor został już uprzedzony.

Z pancерnej kasy, wmurowanej w ścianę gabinetu nie przypominającego w niczym pokoju lekarza, wymoszczonego perskim dywanem, urządzonego antykami, ozdobionego dziełami znanych malarzy, więc z tego sejfu obłożonego palisandrem, aby nie naruszał harmonii dookólnego markietażu, ordynator kliniki wydobył opasłą księgę, rozłożył ją i wskazał odpowiednią stronicę zapełnioną łacińskim tekstem.

– Oto pierwszy zapis stwierdzający twoje urodzenie. Przeczytać ci? – pieściwie gładził kartę pokrytą ręcznym kaligraficznym pismem.

– Wolę sam – Uther przysunął kronikę lecznicy o nazwie brzmiącej jak hotel Sheratona i dukał w myśli, przekładając na angielski zapisane tu łacińskie słowa. Treść adnotacji, oprócz wagi noworodka, nie zawierała nic poza tym, czego by nie wiedział z wypisu aktu urodzenia, sporządzonego przez komputer.

– Pamięta pan moją matkę? – natychmiast pożałował pytania. Zaczynał pojmować, że traci czas. Tutaj niczego się nie dowie. Równie dobrze mógł rozmawiać z ojcem.

– Nie pamiętam. Minęło szesnaście lat, Uther. Od tamtej pory przez „Continental” przewinęło się bardzo wiele pacjentów.

– Ona umarła przy moim urodzeniu? – badał, niejasno zdając sobie sprawę, że chciał przyłapać doktora na kłamstwie.

Ordynator zawahał się przez mgnienie, za szkłem jego okularów wyteżona uwaga Uthera złowiła gotowość potwierdzenia, która jednak natychmiast zgasła.

– Kto ci to powiedział? – zdziwił się. Soczewki, oprawne w cienkie wykwintne złoto, teraz błysnęły dociekliwie.

– Nikt. Tak tylko pomyślałem – wycofał się Uther. Oceniał, że postąpił naiwnie, odkrył całą swoją niewiedzę, i odeszła go chęć dalszych pytań.

Zrozumiał. Nie otrzyma żadnej odpowiedzi wybiegającej poza tekst z kroniki tak skwapliwie przedstawionej do wglądu. Sytuacja wydawała się Utherowi nienowa, nieobcy także ten wytworny pan, delikatny i przyjazny. Nie, nie widział go nigdy dotychczas, ale jego zachowanie układało się według znanego chłopcu schematu. Tak się do niego odnosili ludzie podporządkowani woli ojca.

Opuścił „Continental” z poczuciem popełnionego błędu. Nie powinien tu przychodzić, a już z pewnością nie powi-

nien rozmawiać z doktorem Orlando. Był pewien, że on zawiadomi ojca, gdy ten powróci z Indii.

A więc jeśli chce uzyskać, co sobie obmyślił, musi działać szybko. Zaraz. I nie sam. W książce telefonicznej wyszukał adres prywatnego detektywa, specjalisty od spraw cywilnych.

– Chcę znać nazwiska matek, które w „Continentalu” urodziły dzieci w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym – podał dzień i miesiąc swego urodzenia.

– Poszukiwanie rodziców, ustalenie ojcostwa? – sondował fachowiec od spraw dyskretnych.

– Nic ponadto, co powiedziałem.

– Bardzo ekskluzywna klinika, oni dobrze strzegą zawodowych tajemnic. Środkami oficjalnymi niczego tam nie wskóram. Będą duże koszty.

– Skłonny jestem zapłacić dwa tysiące i ani grosza więcej – oferta zabrzmiała stanowczo, suma, nawet jak na tak delikatną usługę, znaczna. Wszystko, co Uther posiadał.

Zlecenie przyjęto, ustalono termin wykonania. Uther przedstawił się zmyślonym nazwiskiem, wpłacił jedną czwartą należności i wyjechał do Nowego Jorku. Ogołocił konto do zera i dopiero stamtąd zatelefonował do biura ojcowej firmy w Los Angeles.

– Zgubiłem wszystkie pieniądze. Nie mam nawet na powrót – łągał gładko. Pewności siebie dodawała nieobecność ojca. Gdyby był na miejscu, mógłby przybyć sam, przysłać Steve’a albo inną niańkę. Tamci tego nie zrobią, tylko uruchomią środki.

Oczywiście, poinformują ojca. Ale że junior jest gamoń albo kręt, jeśli przejrzą kłamstwo, tata dowie się dopiero po powrocie z Kaya Kalpa. Błahym, bądź co bądź, wydarzeniem w żadnym razie nie zakłócą szefowi kuracji w indyjskiej odmładzalni.

Nie omylił się. Telegraficznie odtworzono stan jego

ostatniego salda, ani o centa więcej i z zastrzeżeniem wysokości jednorazowej wypłaty.

Uther powrócił do Bostonu, zatrzymał się w hotelu pod tym samym nieprawdziwym nazwiskiem, jakie podał detektywowi, i czekał.

W umówionym terminie, najpierw upewnił się telefonicznie, a następnie stawiał przed fachowcem do sekretnych usług. Uregulował pozostałość rachunku, w zamian otrzymał kopertę, lecz nie zdobył się, aby otworzyć ją na miejscu. Bał się swoje rozczarowanie czy triumf wydać na pastwę obcych.

– Nawet pan nie zajrzy, co jest w środku? – fachowiec nieufnie zmierzył dziwnego klienta.

– Wierzę panu – wymamrotał Uther i uniósł łup z dala od cudzych oczu. Dopiero kiedy znalazł się sam w hotelowym pokoju, odczytał cztery nazwiska opatrzone lakonicznymi notami.

„Mrs Pasguelina Ewans i mrs Elizabeth Arno-Winter, bank i przemysł miedziowy Bostonu, urodziły synów. Pierwsza o godzinie trzeciej pięć, druga dziesięć minut później.

Lucienne Berville, czarna pielęgniarka tejże kliniki, powiła o godzinie drugiej osiem chłopca, nadano mu imię Baldwin.

Jadwiga Bartnik-Suragyzka, sprzątaczką nowojorskiego oddziału Standard Oil, o trzeciej piętnaście wydała na świat dziewczynkę. O trzeciej dwadzieścia dwie dziecko zmarło. Ochrzczono je z wody według obrządku rzymsko-katolickiego i nadano imię Cynthia.”

Uther był wstrząśnięty. Nie istniał w spisie, chociaż zgodnie ze swoją metryką urodził się w klinice Harrocksa tej samej nocy, co tamte dzieci. Jednocześnie zastanawiały inne fakty.

Czas urodzenia i waga noworodka zapisane w jego curriculum vitae, umieszczonym we wspaniałej księdze

podsunętej mu tak skwapliwie przez Orlando Harrocksa, księdze przesztychowanej sznurami opatrzonymi pieczęcią godną traktatów państwowych, zgadzały się co do joty z godziną przyjścia na świat i wagą dziedzica przemysłu miedziowego, Douglasa Arno-Winter.

Lucienne Berville wyparła się związków z oddziałem położniczym „Continentalu” tak zupełnie, że nawet nie wspomniała o urodzonym tam synu, rówieśniku Uthera. Sprzątaczką z Nowego Jorku nosiła rodowe nazwisko Granni.

Postanowił odnaleźć tę kobietę.

3

Niefart zaczął się w Wiedniu.

Przyjechaliśmy tam we troje. Messer, Prinz i ja. Pieniądzy mieliśmy niewiele, więc aby szybko zdobyć środki, Messer przygotował klasyczny numer: rodowe klejnoty.

Schemat jest prosty i komuś, kto nie widział nas w akcji, nie został wciągnięty w grę stając się przedmiotem i podmiotem działania, może się nawet wydać naiwny. Bo to my osobowością, aktorstwem, siłą przekonywania, czy jak to nazwać, stwarzamy klimat, nadajemy aranżowanym sytuacjom pozory rzeczywistości. Uzwyczajniamy niezwykle. Mamy też dar niezbędny wielkim przywódcom i szarlatanom, budzimy zaufanie i sympatię, nawet jeśli się specjalnie nie staramy. Stąd przezwisko Witka – Messer. Prinz zawdzięcza swoje wyglądowni i manierom. Do mnie przylgnęła Barakuda, bo jeśli już upatrzą łup, dostaną go i obiorę do czysta.

Stanęli u Ritza.

Witek, jako krewny po mieczu carów Bułgarii z dynastii Sachsen-Coburg-Gotha, z Prinzem, oddanym starym kamerdynerem. Jedyna postać, jaką w tym układzie Prinz

mógł kreować ze względu na swoją koszmarną niemczyznę. I tylko wieku nie musiał udawać.

Ja bezbłędnie mówię wiedeńskim dialektem, więc zostałam doradcą prawnym księcia pana, dependentem znanej tu kancelarii Rambitscha, mieszczącej się w okazałym domu na Praterze. Ani przeczuwał szacowny członek pałasty, kto użył sobie imienia jego firmy.

Wierny sługa wystawiał zwierzyńcę. Znalazł amatora rodowych klejnotów, odbyto wstępne rozmowy. Przy okazji nie mogły ujść uwagi dyskretne względy, jakimi u Ritza otaczano potomka świetnego rodu, spokrewnionego niemal ze wszystkimi panującymi domami Europy. A to zawsze sprzyjało dobremu samopoczuciu naszych klientów. I jeśli tresowany gatunek buldogów, jakim jest hotelowy personel, kupił naszego księcia, amator nie mógł mieć żadnych wątpliwości.

Gość przybył z zadatkami, w jego obecności skomunikowano się telefonicznie ze mną. Dlatego warowałam w podłym pensjonacie, aby wezwana przybyć jako Rätin Berta Schmidt z umową mniej wartą niż papier na nią użyty, ale wyglądającą jak najprawdziwsza.

I zaczęło się. Bez zapowiedzi wtargnął drugi mężczyzna. Lekko utykał.

– Pan się powtarza, mości książę – powiedział przybyły ze ślicznym nadwiślańskim akcentem.

– Nie przypominam was sobie, mój dobry człowieku – wycedził Witek swoją elegancką austriacką niemczyzną. – Proszę wyjść!

– W Warszawie eksceleńcja latał za Radziwiłła, tutaj za rodowodowego Bułgara z przydługą niemiecką przezwą. Denerwujesz, książę, moich ludzi – kulas przeszedł na niemiecki.

– Nie miałem pojęcia, że to pańscy ludzie – zapewnił Witek.

– Pan wie, kim jestem? – stropił się nasz kulawy los.

– Pan jest ten, co rozdaje tu karty.

– Nieźle powiedziane. Dokąd? – przybysz zawrócił z drogi do drzwi Prinza szwarcującego się powolutku i mimochodkiem. Pchnął go brutalnie, aż stary hamował nosem. Spojrzeliśmy na siebie z Witkiem, zważyliśmy w Prinza. Ze strachu zdechł w nim duch.

– Mój ojciec ma chore serce – powiedziałam ponuro. Kulawy diabeł nie wyglądał na faceta, którego można wzruszyć. – Czego pan chce?

– Pieniądzy – zaśmiał się Kulawy, przypochlebnie zawtórował milczący dotychczas nasz rzekomy klient. – Inaczej zawiadomię, kogo trzeba.

– Szantaż – skrzywił się Messer wracając do swego książęcego sposobu bycia.

Przynajmniej wiedzieliśmy już, kto zastąpił nam drogę. Zwyczajne ścierwniki. Policji to oni nie wezwą, z pewnością sami nie posiadają czystej hipoteki. Tylko nie możemy zdradzić stanu naszej kasy. Bez grosza przedstawiamy mniejszą wartość niż skóra zdechłego psa. Ze zwykłej złości za niepowodzenie gotowi nas pobić, obrabować z resztek i na dodatek poszczuć policją, oczywiście anonimowo.

– Jaka suma was zadowoli? – zapytał Messer. Miał minę przedstawiciela banku Morgana. Też zrozumiał tę prostą prawdę. Nie stracił orientacji, tylko Prinz wciąż siedział sflaczały jak porzucona kukielka.

– Gdzie macie pieniądze? – badał Kulawy.

– W hotelowym depozycie – Witek grał na zwłokę. Guzik mieliśmy w hotelowym depozycie, guzik mieliśmy w ogóle. Ale sejf stwarzał pretekst do wyjścia. Tylko oni nie wypuszczą nas razem, najwyżej pojedynczo. W ten sposób mogło uciec wyłącznie jedno z nas. Sytuacja pozostałych stałaby się beznadziejna. Odpada!

Zmierzyć się z nimi niepodobna, fizycznie jesteśmy przegrani. Messer, chociaż nie zdechłak, wygląda przy



nich na kurczaka, nie ma żadnych szans. To neandertal. Prinz się nie liczy, nawet gdyby nie umarł ze strachu. A ja! Cóż ja. Zawsze podziwiałam dziewczyny z ekranów rzucające chłopem jak workiem. Nie znałam najprostszych chwytów. Pracuję głową, nie piąchą.

Właśnie, głową!

Kulawy i jego asystent są to zwykłe młotki, nie na tyle jednak, aby wypuścić nas wszystkich. Każdego z nich oddzielnie można unieszkodliwić, zwłaszcza działając z zaskoczenia. Więc powinnam wyprowadzić i zgubić jednego, niech Witek radzi sobie z pozostałym.

Messer zażarcie targował się o wysokość okupu, coraz dorzucając trochę do sumy, jakiej nigdy nie widzieliśmy na oczy. Ale Kulawy chciał w s z y s t k o. Coś, co w ogóle nie istniało, a co już wmówił mu Messer.

W tym momencie Prinz wszedł do akcji.

– O Jezu – jęknął. Przysięgłabym, że posiniał; osunął się na kanapkę, na której wędnął, odkąd tak brutalnie Kulas zawrócił go od drzwi. W pierwszej chwili nawet ja uwierzyłam. Starego szlag trafił ze strachu. Ale zaraz zrozumiałam – Prinz rozwijał podrzucony temat: chore serce.

– Nitrogliceryna! – rzuciłam się do sąsiedniego pokoju, wchodzącego w skład apartamentu księcia. Asystent Kulusa posterował za mną. Wzięłam nieszkodliwy środek uspokajający, małe proszeczki podobne do nitro, i położyłam Prinzowi pod język.

– Wezwijcie pogotowie! – błagałam, a łzy ciekły mi ciurkiem. Nawet nie musiałam się tak bardzo zmuszać do płaczu.

– Najpierw pieniądze, potem możecie telefonować po karetkę – Kulas był niewzruszony.

– Mamy z ojcem dziesięć tysięcy szylingów – użyłam sobie, co mi tam. – A na niego – wskazałam Witka – nie mam wpływu. Który z was pojedzie ze mną?

Młotki popatrzyły po sobie.

– Gdzie są wasze pieniądze? – zmierzył mnie spojrzeniem Kulas.

– Przecież nie u Ritza. W kasie u Frau Bauer „Pod Złotą Kotwicą” – wymieniłam nazwisko szefowej i prawdziwy adres tej Arki Noego. Młotki mogły mieć namierzony mój pensjonat, zbyt wiele ryzykowałabym kłamiąc. Co tracę na sobie. Trudno, szmaty rzecz nabyta, ważna cała skóra.

– Wytrzymaj oczy. Idziemy – zdecydował Kulas.

– Wezwijcie do ojca lekarza. Błagam! – Koślawy, czułam, zaczynał brać poważnie moją rozpacz. Łzy nadal toczyły się jak groch po mojej nieruchomej twarzy.

– Tylko dasz pieniądze i sama wezwiesz spod „Złotej Kotwicy” – nie ustępował Kulas.

– Pośpiesz się, córko – na przydechu wychrypiał Prinz. Jedyna odzywka, odkąd dostał a t a k u. Jego piękna głowa, oprószona dystyngowaną siwizną, poruszyła się z wysiłkiem, z uchylonych ust znów dobywał się tylko ciężki oddech. Nie za ciężki jednak. Prinz grał półtonami. Klasa!

– Jeśli ojciec umrze, nie wyciśnięcie ze mnie ani grosza. Przysięgam! – przestałam płakać, przemieniłam się w desperatkę.

– Nie umrze. W razie pogorszenia kolega wezwie lekarza. – Kulas machnął dłonią w kierunku kamrata. – Słowo!

Kupił moją determinację, niespokojny o pieniądze, do których już się przywiązał, czuł je prawie w kieszeni, dlatego dawał swój szmalcowniczy parol, mniej wart od nieżywej myszy.

Obyś zdechł! razem z kamratem, a ja klnę się na twoje kaprawe oczka, prysnę ci sprzed nosa, tylko muszę pozostawić trochę czasu Witkowi i zwiędłemu z mojry starcowi, który tak jest moim ojcem, jak ty matką.

Obwieś miał na dole wóz. Szpana rozjeżdżała peugotem. Wsiedliśmy. Niedobrze, jeśli mają jeszcze kogoś w odwo-

dzie. Ale nic nie mogłam poradzić. Jedno wiedziałam: Witek na pewno sprawi się prędko.

Droga „Pod Złotą Kotwicę” zajęła kwadrans. Chwila zeszła, zanim odświeżyłam kredką usta i przypudrowałam twarz. Kulas nie protestował, wolał, abym usunęła ślady łez. Toteż nic nie podejrzewał, gdy wyciągnęłam flakon perfum i rozpyliłam odrobinę, próbując pulweryzator. A potem siknęłam mu w oczy.

Potrzeba jest matką wynalazku. Nigdy dotychczas nie stosowałam w takim celu wonności Coty'ego, ale poskutkowały. Ścierwnik chwycił się za twarz. Wyskoczyłam na ulicę, za rogiem trafiłam taksówkę.

Strzał z pachnidła zwiększył o kilka minut szanse Witka. Kulas, zanim przejrzy, nie ruszy z powrotem do Ritza.

Po raz pierwszy przydał się awaryjny punkt zborny, jaki zawsze na wszelki wypadek ustanawialiśmy przed podjęciem akcji. W Wiedniu wybór padł na Poczta Główną czynną całą dobę. Kiedy tam wbiegłam, już obaj czekali, podobnie jak ja, bez bagażu, tylko Prinz trzymał wykwintny teczeko-neseser firmy Polskór z miękkiej, cielejącej glacie, sakwojaż do niczego, niepakowny, niepraktyczny i pewno dlatego wielce ceniony przez Prinza. Wyglądał, jakby naprawdę przebył zawał. Witek był zielony.

– Na lotnisko – Messer zawrócił nas ku obrotowym drzwiom. Przez trzy turnikiety wlewała się i wylewała nieustanna ciżba. – Wsiadamy w pierwszy samolot, na jaki zdążymy.

– Aż tak źle?

— Gorzej nie można – jęknął Witek.

– Zostawiliśmy jatki – wymamrotał Prinz.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Złapaliśmy taksówkę z duszą na ramieniu opuszczaliśmy miasto. Oprócz rozwścieczonej, nie wiadomo jak licznej hewry, lada moment mogliśmy mieć na karku policję.

Skrywały nas świeże dokumenty, bo do numeru z księ-

ciem mieliśmy inne, i wygląd. Witek bez charakteryzacji był, czym był, młodym szatynem o miłej powierzchowności. Prinz, po zdjęciu srebrzystej czupryny, łysym gościem po sześćdziesiątce, z zapadłymi policzkami. Dla lepszej mimikry wyjął sztuczną szczękę, co zmieniało układ twarzy i dykcję.

Mnie nie widywano u Ritza, a „Pod Złotą Kotwicą” z zasady starałam się nie wchodzić ludziom w oczy. Na wszelki wypadek pozostawiłam w ulicznej śmietniczce blond perukę i zmyłam dyskretny makijaż, jaki nosiłam jako młoda mecenaska. Bez retuszów miałam twarz tysiąca, ani brzydką, ani ładną. Twarz, z którą można zrobić wszystko.

To nas chroniło, ale ścierwnikom już nic nie przeszkadzało natychmiast wykonać anonimowy telefon do najbliższego komisariatu. A jeśli policja trafiła do Ritza, już na nas polują posterunki na dworcach i w aeroportach.

Do kas na lotnisko weszliśmy oddzielnie, w samolocie także udawaliśmy obcych. Zdążyliśmy na rejsowy lot do Paryża.

Zamieszkaliśmy w Marais.

Przytuliła nas stara czynszówka, żarta przez grzyb i karakony. Witka z Prinzem w suterenie. Mnie pod samym dachem w kojcu nieco większym niż gołębnik. Nie znosiłam mieszkania w gromadzie, a i taktycznie lepiej było oddzielnie. Wolałam facjatkę z uchylanym stropem z grubego szkła w metalowej ramie, a Prinz bał się ośmiu pięter bez windy. Witkowi nie robiło różnicy, więc zapadli jak krety.

Nadciągała jesień dmąca zimnymi wiatrami, jeszcze zwiększającymi wieczne przeciągi w tunelach metra, rozsząca Paryż deszczami, nieraz po kilka razy dziennie, czego nie podawano nigdy i nigdzie w żadnych reklamowych edycjach zachęcających do odwiedzania stolicy świata.

Byliśmy wolni, bez ubrania, bez pieniędzy.

Prinz dostał różyczki. Dotychczas myślałam, że to choroba dzieci. Na zmianę trząsał się w febrze, miotał rozpalone pod wielbłądzim pledem, jaki wbrew protestom obu mężczyzn kupiłam na pchlim targu. Tanio. Kontrabanda z Maroka.

Resztę zasobów rozszarpał lekarz do spótki z apteką. A musiałam lepiej karmić Prinza powoli przychodzącego do zdrowia. Z Witkiem obywaliliśmy się byle czym. Żywiłam nas najtaniej, jak można, jadaliliśmy biblijnie: garść oliwek, kawałek sera albo puszka sardynek i po szklance wina na cały dzień. Mimo to reszta pieniędzy topniała przerażająco prędko.

Nic nie zarabialiśmy.

Witek tylko w bieliźnie, oszczędzał jedyne ubranie, zawinięty w koc, wylegiwał się po całych dniach ze spojrzeniem utkwionym w sufit. Nie odzywał się, apatyczny, jakby ciągle śpiący. Nawet jedzenia, żebym nie podstawiła pod nos, nie wzięłyby sam. Popadł w depresję.

– Straciłeś węch, jesteś do niczego. Jak mogłeś nie rozpoznać ścierwnika – ożył Messer, kiedy Prinz trochę wydobrzył.

– Też nie rozpoznałeś – bronił się stary.

– Ty wystawiałeś zwierzynę. Nie mogłem być wszędzie – wypominał Witek. Szukał winnego, musiał mieć winnego, żeby usprawiedliwić niepowodzenie, które zachwiało jego wiarę we własną gwiazdę. Neurasteniczny, chorobliwie ambitny, zadufany w swoje mistrzostwo, przesądny jak szaman. Cierpiał.

– Pójdiesz do konsulatu jako ofiara kradzieży. Uwierzę. Odeślą cię do kraju na koszt ojczyzny. Twoja głupia morda to twój jedyny atut – znęcał się Messer.

Nieprawda. Prinz miał wygląd intelektualisty i mimo czterdziestu lat uprawiania szalbierstwa nigdy nie dał się złapać.

– Nic niewart, pechowy i nielojalny – oskarżał Messer. – Naprowadza ścierwnika, a potem ucieka, nas porzucając na pastwę.

– Chciałem się wydostać, zrobić zamieszanie. Trochę dymu na korytarzu, pali się! panika. Nie wyszło. Ale jak dziewczyna – tak mnie nazywał, moje przezwisko czemuś mu nie odpowiadało – podrzuciła zawał, zaraz robiłem zawał.

– Lepiej ćwicz ataki padaczki. Jak znalazł na przyszłość – miałam już dość tych sfrustrowanych chłopców i codziennego pytania, skąd wziąć na obiad.

– A Messer karate. Żał się, Boże, co z niego za karatek – odgryzł się, na ogół potulny Prinz.

Zaraz po moim wyjściu z Kulawym Witek rozwijał temat: złamał się, pójdzie po pieniądze, jeśli ścierwnik wezwie pogotowie.

– Nim odbiorę gotówkę, lapiduchy wywiozą starego – przekonywał Messer – a ty możesz iść ze mną.

Tamten się wahał.

– Pozwól, sam zatelefonuję – Messer potrzebował pretekstu do przejścia kilku kroków dzielących go od ścierwnika.

– Dobra, zadzwonię – zdecydował się obwieś. Pochyłego nad aparatem Messer zdzielił kantem dłoni w kark. Asystent Kulasa upadł, ale zaraz próbował wstać i byłby to zrobił, tylko przytomnie interweniował Prinz kominkowym ożogiem i ścierwnik zalany krwią runął jak wór z piaskiem, a Prinz oszalał. Tłukł leżącego, zanim Witek zdołał wydrzeć mu pogrzebacz.

– Ze strachu chyba zabił faceta. – Messer robił się chory na samą myśl, co pozostawiliśmy za sobą w Wiedniu. Ja też.

– Może miałem czekać, aż nas wymorduje – płaczliwie usprawiedliwiał się Prinz. On z nas trojga bał się najbardziej.

– Nie musiałeś walić jak w bęben – wypominał Messer. Od chwili przyjazdu do Paryża codziennie kupowałam wiedeńskie popołudniówki. Dopiero po kilku dniach przeczytaliśmy:

„Porachunki perwersów w apartamencie opuszczonym przez rzekomego księcia i jego kamerdynera! – krzyczał tytuł. – Uwagę detektywa hotelowego zwrócił dziwnie wyglądający, bardzo mocno uperfumowany mężczyzna. Później w toku śledztwa laboratorium policyjne ustaliło nawet rodzaj wonności używanych przez podejrzanego. Był to fiołek parmeński, zapach dla pań, firmy Coty.

W numerze, z którego uciekał mężczyzna stosujący kobiece perfumy, znaleziono jego ofiarę z pękniętą podstawą czaszki. Sprawca zaprzecza, jakoby był pederastą, lecz nie potrafi wyjaśnić, co robił i dlaczego zbiegł z pokojów samozwańczego księcia. Człowiek zapisany w recepcji jako dziedzic wielkiego nazwiska znikł razem ze służącym, zapominając zapłacić rachunek. Podany przezeń adres zamieszkania okazał się fałszywy.

Prowadzący śledztwo inspektor Zeno Kansky podejrzewa, że są to porachunki ludzi z marginesu społecznego. Życiu poszkodowanego już nie grozi niebezpieczeństwo. Śledztwo trwa.”

– Niech go ospa zatłucze, byle nie my. Odpukać – mruczał Prinz i bębnił w spróchniały filong, z którego złuszczyła się farba.

– Pomódl się za jego ozdrowienie – odetchnął Messer na wiadomość, że ścierwnik ocalał.

Poczuliśmy się lepiej. Z doniesień prasowych nie wynikało, aby inspektor Zeno Kansky miał szanse dobrać się do nas. Podarłam na strzępki i wyrzuciłam wiedeńskie dzienniki i na wszelki wypadek postanowiłam zmienić rodzaj

perfum, gdy już będę miała je za co kupić. A tamte długo popamięta ścierwnik i inspektor Zeno Kansky.

Messer przestał napadać na Prinza, już nie wysyłał go do konsulatu po bezpłatny bilet do ojczyzny, tylko w najlepszej zgodzie zaczęli razem wychodzić do miasta. Z jednej z wypraw przynieśli jesienne okrycia w zupełnie ładnym gatunku. Mnie przypadła w udziale szykowna peleryna z lekkiej angorskiej wełny. Odwrócona na lewą stronę i uzupełniona paskiem z miękkiego zamszu przekształciła się w płaszcz w beżowo-wrzosową kratę.

– Szalbierstwo u Lafayette’a – poinformował Prinz. – Razem dostaliśmy jeszcze przeszło półtora tysiąca reszty.

– Kompletna deklasacja, co? – niby zakpił Messer, ale rzeczywiście czuł się jak zdetronizowany szach perski.

Wieczorem poszliśmy do „Wesołego Barana”, arabskiej knajpy na sąsiedniej ulicy, i każdy dostał jagnięcy szaszłyk z górą ryżu i karafką wina.

Podniesieni na duchu i obżarci jak pytony powróciliśmy do swoich kojców, jednak następnego dnia znów wdrożym dietę i znów siedzieliśmy cicho. Ale nie mogliśmy czekać, aż nas wygoni prawdziwy głód.

I tak przedstawiało się dostatecznie źle, startowaliśmy spod kreski. Dobry kant to natchnienie, okazja, na którą niekiedy trzeba długo czekać. Najlepiej, gdy trafia w jakieś zapotrzebowanie lub jeśli się owo zapotrzebowanie zainspiruje. My byliśmy na przymusie. Aby działać w środowisku posiadającym pieniądze, potrzebowaliśmy pieniędzy. Perpetuum mobile. Tymczasem walczyliśmy o przetrwanie. Musieliśmy skoczyć, urwać kęs największy, jaki się dało, i znowu zalec.

Messer zarządził akcję „narkoman”. Ja wystawiałam zwierzyne. Pomysł nie epokowy, ale miał pewne zalety. Niewielkie nakłady i mimo wszystko, jeśli oczywiście nie przeholować, bezpieczniejszy od sztuczek w wielkich do-

mach towarowych obwarowanych okami kamer, fotokomórką i specjalną służbą.

Ale przy tym uderzeniu w razie porażki oscylowaliśmy między wściekłością policji a zemstą facetów biorących procent od dziewczyn uprawiających nierząd zawodowo.

O powodzeniu decydował wybór odpowiedniego klienta, co zależało wyłącznie ode mnie, od mojej znajomości ludzi. A ja ich znam. Z tą wiedzą chyba przyszedłam na świat. Zmysł! Jak słuch, wzrok czy węch. Albo jak kalectwo, często przeszkadza. Człowiek jest bardzo samotny widząc innych odsłoniętych, przezroczystych. Przezierają myśli, pragnienia, cała ta psychiczna fizjologia. Bebechy.

Wkroczyłam w okolice placu Madeleine, w dzielnicę elegancką, gdzie w enklawie uliczek w pobliżu Champs Élysées, w równie eleganckich hotelach, wynajmuje się pokoje na godziny.

Promenowałam, jak to czyniło kilka dam, trasą w kształcie nieregularnego rombu, skąd po zrobieniu rundy trafiałam pod pensjonat „Rose” na Faubourg Saint Honoré.

– Nowa? – zatrzymała mnie dziewczyna ubrana nie wyzywająco, jak zresztą one tu wszystkie w pobliżu Madeleine. Ich zawód, gdy chciały, zdradzał sposób poruszania się, gest, spojrzenie, a nie przesadny makijaż czy strój.

– Tak, madame.

– Nazywają mnie Pudel – wymieniła ksywę.

– Barakuda – zrewanżowałam się – ale możesz mi mówić: Fela.

– Na naszym wybiegu taksa siedemset franków. Dwadzieścia pięć procent bierze Armand. Zapytasz o niego pod koniec dnia w barze „Rose”. Nie ma sensu kręcić. Hotelowe pedle nie przeoczą żadnego klienta. Powodzenia!

Weszłam do „Rose”. W recepcji, pod tablicą z kluczami, dęgniasty kantorem czytał gazetę starszy pan.

– Proszę odliczyć – położyłam pieniądze na blacie –

przyjdę najpierw z jednym klientem, a w ogóle będzie trzech.

– Rozumiem – tego już nic nie mogło zdziwić.

– Dwaj wejdą oddzielnie. Płochliwi.

– Słuchaj, mała, nigdy cię nie widziałem. Pamiętaj, to przyzwoity hotel, żadnych awantur!

– Biegam w barwach Armanda.

– W porządku – uśmiechnął się porozumiewawczo.

Nie trwało długo i trafiłam gościa, jakiego potrzebowaliśmy. Wyglądał na średniego bourgeois z prowincji. Przy okazji załatwiania interesów w stolicy przyszedł na porubstwo dyskretne, lecz nie za kosztowne, inaczej kupiłby sobie wieczór z call-girl.

Ubranie w najlepszym gatunku, ale niezbyt modne, złoty zegarek oprawny w złotą, grubą bransoletę, dyndającą na przegubie, i sygnet z czerwonym okiem. Jaśniejszy pasek na serdecznym palcu zdradzał miejsce po zdjętej obrączce. Jakby ten naiwny wybieg był mu potrzebny na bulwarze Saint Honoré albo uwalniał od lojalności wobec kobiety, z którą żył najpewniej związany porządnym katolickim małżeństwem.

Poczucie winy i chęć użycia leżały mu na gębie, mało-miasteczkowy mister Jekyll i Hyde. O-Hyde-k ma sobie za złe pobłażanie skłonnościom uważanym za naganne, lecz nie może się im oprzeć. Teraz, kiedy już się zdecydował, mimo wszystko rad z siebie dreptał dziarsko ku zakazanym rozkoszom.

– Ceny stałe, płacisz z góry – powiedziałam, gdy usiłował się targować.

Weszliśmy do „Rose”.

W recepcji uregulował należność za pokój i pochyłony nad księgą gości marudził wymyślając fałszywe nazwisko, jakie zamierzał wpisać do rejestru. Pedel mrugnął do mnie i za plecami mojego klienta uniósł rękę pokazując capa. Środkowe palce przyciśnięte do dłoni kciukiem, wskazu-

jący i mały wyprostowane jak różki. Gest obelżywy, oznaczający rozacza.

Ledwo zdjęłam zakiet nobliwego kostiumu wiedeńskiej mecenaski – innej sukienki jeszcze nie miałam – który razem z właścicielką schodził na psy, kiedy do pokoju wtargnął Messer z Prinzem.

– Policja obyczajowa. Dokumenty proszę – zażądał Witek jak najprawdziwszy glina i mignął nam znaczką spod klapy płaszcza, firmową plaketką domu towarowego, podobną w kształcie i kolorze do policyjnej.

Prinz przekręcił klucz w zamku i bez słowa oparł się o futrynę. Pewno, jego francuski był, jak i jego niemiecki. Więc mógł wystąpić tylko drugoplanowo jako małymówny pomocnik.

– Dégueulasserie! Tak płoszyć klienta – byłam eleganczką dziewczyną w wytwornej dzielnicy, klęłam z umiarem. Podałam Messerowi paszport. On wyrwał mi z rąk torebkę, wytrząsnął z niej drobiazgi i drapieźnie chwycił szklaną fiolkę, którą sama jeszcze wczoraj napełniłam pod korek kwaskiem cytrynowym. Biały, miutki proszek wyglądał rasowo.

Mój o-Hyde-k przyglądał się scenie z osłupieniem, widok rurki z sypką zawartością przyprawił go o panikę. Trzęsącymi się rękoma, poblądły, wyszarpywał z kieszeni swój certyfikat.

Witek schował nasze dokumenty.

– Co pan robi, monsieur le commissaire? – jęknął nie-szczęśnik.

– Jestem sierżantem – skromnie sprostował Wicio. – Idziemy do komisariatu.

– Pan nie ma prawa! – Messer wysłuchał, czego nie ma prawa robić policja Republiki, a przede wszystkim nie ma prawa zatrzymywać jego, monsieur takiego i takiego, cukiernika z Alençon.

– Pan nie został zatrzymany – zapewnił Messer. Otóż

obywatela fatyguje się na chwilę dla złożenia wyjaśnień, drobna formalność administracyjna. W komisariacie spisz się personalia jego i dziewczyny uprawiającej nierząd zawodowo i podejrzanej o handel narkotykami.

– Złożę skargę! – dławiał się oburzeniem obywatel Alençon. – Ja nie mam z tym nic wspólnego! Niech ona sama powie! – żądał zrozpaczony i wściekły.

– Jej świadectwo nie ma żadnego znaczenia, jest zatrzymana. Odprowadzić! – skinął na Prinza.

– Idziemy – powiedział Prinz jedno z niewielu słów, jakie wymawiał z dobrym akcentem, i otworzył przede mną drzwi.

Na Witka zaczekaliśmy „Pod Wesołym Baranem”. Przyjechał zaraz. Cukiernik z Alençon okupił się kilkunastoma tysiącami.

Przysięgam sobie nigdy więcej tego nie robić i nie pokazywać się w pobliżu Madeleine. Tylko wieczorem pojechałam dopełnić zobowiązań finansowych wobec Armanda. Nie należało prowokować go do poszukiwań mnie. Osobliwy syndykat, jaki reprezentował Armand na bulwarze Saint Honoré, konsekwentnie dba o dyscyplinę, a nieposłusznych karze okrutnie. Jeszcze okrutniej zostałabym potraktowana, gdyby ujawniono prawdę. No, ale pewna byłam, mój o-Hyde-k nikomu się nie zwierzył z przygody, zwłaszcza w „Rose”, skąd Witek wyprowadził go dyskretnie, a on nawet poczuł wdzięczność dla rzekomego policjanta za jego takt.

– Ça va! – przywitał mnie w barze „Rose” brodaty blondyn o wyglądzie kontestatora. Siedział nad kieliszkiem wina, ubrany w międzynarodowy uniform, spodnie amerykańskich farmerów, z brelokami na łańcuszkach, podzwaniającymi na norweskim swetrze.

– Zgadza się – Armand przeliczył podane pieniądze i dziobnął palcem w notes, żebym nie przeoczyła jego doskonałej ewidencji. Przy pierwszej literze mojego imie-

nia podanego Pudlowi miał zapisaną cyfrę trzy i należy procent.

– Zostaniesz w naszej dzielnicy?

– Zastanowię się – powiedziałam. Nigdy, pomyślałam. Tu można zapolować raz, częstsze kłusowanie jest samobójstwem. Za płoszenie klientów w takich rezerwatach na całym świecie karze się bezlitośnie.

– Zawsze będziesz mile widziana – uśmiechnął się jak gwiazdor i już wołał swoje „Ça va!” – do jakiejś innej, która właśnie pojawiła się w drzwiach baru.

Namyślaliśmy się, co dalej.

– Boję się – powiedział Prinz. I ja się bałam. W naszym fachu można się bać po fakcie, jeśli przed, lepiej nie zaczynać, łatwo się potknąć.

Co się stało? Żadna moja gra nie była bezpieczna. Zawsze poruszałam się między dwoma ostrzami. Policją i wściekłością oszwabionych, a nigdy nie doznawałam strachu przed robotą. Trema – tak, pewne miłe nawet spięcie – tak, przy całej świadomości konsekwencji, ale nie to obezwładniające uczucie, jakbym stanowiła nieruchomy cel na idealnej płaszczyźnie. Aż tak zaszkodził mi Wiedeń?

– Więcej nie chcę podrabiać policjanta – odrzekł się Prinz i odpukiwał w ten swój oblazły z farby filong. – Weźmy coś zupełnie spokojnego. Rozmiana pieniędzy albo pomyłka kasowa – podsuwał ograne chwytły małych szalbierzy. Jeden polegający na zręczności manualnej, drugi na wmówieniu, a nawet udowodnieniu, że należy się reszta z banknotu o wyższym nominale, niż się wpłaciło.

– Zupełne dno – zachnął się Messer.

– Beze mnie – poparłam go. Przy tego rodzaju wyłudzeniach, praktykowanych w ruchliwych sklepach, jedno musi grać bezstronnego świadka, najlepsza jest młoda kobieta przy nadziei albo objuczona zakupami gospodyni

domowa. Chwył psychologiczny, te postaci budzą największe zaufanie i są poza podejrzeniem o zmoję.

– O co wam chodzi? – denerwował się Prinz.

– Są pewne rzeczy, których nie robię. Nieliczne, ale są. I to jest właśnie taka rzecz.

– Ona ma się za coś lepszego od zwykłego oszusta! – obruszył się Prinz.

– Oczywiście. Jestem oszustem niezwykłym.

– Zwłaszcza na deptaku Faubourg Saint Honoré błyszczałaś niezwykłością! A wiesz, z ilu to paragrafów!

Princ był specjalistą od kodeksów karnych kilku państw europejskich. Czytał biegle w wielu językach, ale w żadnym nie potrafił się wysławić porządnie. Gdyby nie ten mankament, ominęłaby nas bieda w Wiedniu, bo ja jako sekretarka księcia pewnie bym przejrzała ścierwnika, a Prinz w charakterze plenipotenty prezentowałby znakomitość.

– Gość idący na dziwki godzi się z pewnym ryzykiem, natomiast kasjerka nie szuka przygody. Odpowiada materialnie. Nie będę jej odbierała chleba.

Znów siedzieliśmy cicho.

Uchodziliśmy za ludzi znających się tylko z sąsiedztwa, więc i z tego powodu nie spotykaliśmy się za często. Ale jeśli nie łączyło nas wspólne działanie, w ogóle nie przepadał za swoim towarzystwem. Próznawaliśmy bardzo odmiennie. Prinz, jeśli nie spał albo nie perorował przed szerszym audytorium, czytywał dzieła prawnicze. Messer po całych dniach włóczył się po mieście. Podpatrywał ludzi i domy. Jak pies musiał wszystkiego dotknąć nosem.

Ja przesiadywałam w Centrum Kultury, przezywanym Rafinerią, wzniesionym w miejscu odeszłych w legendę hal. Nigdy ich nie widziałam. W Paryżu popasałam po raz pierwszy.

W Centrum, pomijając jego bryłę – jednych zachwyca,

inni plują – zgromadzono wiele rzeczy, o których nabiera się wyobrażenia dopiero wówczas, gdy widzi się je w oryginale. Zwłaszcza dzieła sztuki. Centrum nie nudząc uczy. A ja jestem samoukiem. Na piątym piętrze umieszczono kawiarnię, gdzie można też zjeść bardzo tanio. I wszędzie jest ciepło. Spędzałam tam całe dni, żywiłam się frytkami i kulturą. Dopiero na noc ściągałam do Marais.

– Zaproś mnie do siebie – zaczepił mnie młody mężczyzna podczas jednego z takich wieczornych powrotów.

– A wiesz, nie ma mnie w domu – chciałam go wyminąć.

– Nie szukam dziewczyny.

– Masz pecha. Nie jestem chłopcem.

– Potrzebujesz pieniędzy – ciągnął niezrażony.

– A ty chcesz je dać, tak?

– Możesz u mnie zarobić.

– Dlaczego właśnie ja!

– Masz dużo czasu i mało kapitałów – powiedział. –

A na Faubourg Saint Honoré też się nie obłowiłaś.

– Nie, nie obłowiłam. Jesteś od Armanda? – ścierpłam, czyżby namierzyli moje kłusownictwo! Rozglądałam się, gdzie by tu prysnąć.

– Nie. Przypadkowo zwróciłem na ciebie uwagę. Wyglądałaś na debiutantkę. Zaciekawiałaś mnie, później przyglądałem ci się jeszcze trochę.

– Łaziłeś za mną! – Niedobrze, na bulwarze Saint Honoré miałam inny kolor włosów, byłam tylko przez jedno popołudnie i chwilę wieczorem w barze „Rose”. Mimo to wytropił mnie aż na Marais. Niepokoiłam się, jakie też już informacje zgromadził o mnie.

– Muszę coś wiedzieć o człowieku, zanim zaproponuję robotę – powiedział.

Od wielu dni obserwował mnie w Centrum, wiedział nawet, co jadałam. Znał adres. Przesiadywanie w Rafinerii i na okrągło frytki zorientowały go dość dokładnie w mojej

sytuacji. Teraz zaczepił mnie pod domem i zaprosił się na moją mansardę. Nie miałam odwagi spławić go, a i potrzebowałam grosza.

– Nie interesuje mnie, co cię łączy z mężczyznami mieszkającymi w suterenie, ale żądam absolutnej dyskrecji.

– Jasne. Co masz dla mnie?

– Od czasu do czasu zanieśiesz paczkę pod wskazany adres. Za każdym razem otrzymasz tysiąc franków.

– Hojny jesteś jak herszt złodziei. Mało.

Milczał. Przyglądał mi się, potem wymownie omiół wzrokiem moją nędzę. Jedyne płaszcz na kołku, ramiączko z sukienką na zmianę, samotną parę pantofli przy progu i frotowy szlafrok przerzucony przez szczytek łóżka. Nie wyglądałam na osobę mogącą dyktować warunki.

– Nie stawiaj się. Masz coś lepszego?

– Mam. Picasso i Celnik Russo, Wasilij Kandijskij i Marcel Duchamps w Rafinerii. Dwa tysiące! Za mniej nie tknę twoich paczek.

– Nie wiem, czy jesteś dość dobra. Musiałbym się przekonać.

– Owszem. Jestem. Ale dotkliwie brak mi pieniędzy i tylko dlatego możesz mnie mieć za dwa. I nie targuj się, bo z pewnością każesz na każdą rajzę inaczej się ubierać i udawać, że ja to nie ja.

– Skąd wiesz?

– Jestem myślącą trzcina. Tak powiedział o człowieku jeden tutejszy. A kto o tym wie, jest inteligentny. Ergo, jestem inteligentna. To znaczy, na moją szatnię wyłożysz oddzielnie. Wspomniana suma stanowi wyłącznie honorarium.

– Należy bardzo uważać na policję.

– Domyślam się. Zwyczajnym tragarzom nie płaci się dwóch tysięcy za kurs.

– Jeszcze ci ich nie dałem.

– Ale dasz, bo tak tanio nie trafisz nikogo. Tylko jeśli



już nie będę miała chęci biegać za posłańca, zastrzegam sobie możliwość spokojnego porzucenia zajęcia.

– Jeszcze nie zaczęłaś, a już myślisz o zaniechaniu!

– Nie znoszę niewoli. Muszę mieć zgodę na rozstanie w każdej chwili. Inaczej nie podejmę tej pracy.

– No, nie tak od razu. Po uprzedzeniu osoby, której będziesz dostarczać towar. Nie pytasz, co?

– Jeśli mam wiedzieć, sam powiesz. – Nie powiedziała i ja wolałam pozostać nieświadoma.

Przystąpiła na moje warunki, więcej go nie widziałam.

Nadal przesiadywałam w Rafinerii, co jakiś czas, zawsze o innej godzinie, przy którymś ze stolików, gdzie jadło się na stojąco, odszukiwał mnie ktoś nieznajomy.

Do mnie należało zająć dwa miejsca i położyć na wierzchu torebkę. Nosłam duże, kopertowe, akurat modne. Nigdy nie czekałam, łącznik przychodził co do sekundy.

– Pozwoli pani wypić kawę – mówił wskazując to wolne miejsce. Odzywka nie była żadnym hasłem, znaczyła, co wyrażała.

Przyzwalałam, gość łykał zawartość filizaneczki trochę większej od naparstka i znikał. Pozostawiałam jeszcze trochę. Odchodząc, tak podnosiłam torebkę, aby razem zabrać niepostrzeżenie wsuniętą pod nią tabliczkę, czasami dwie, czekolady Sucharda, za każdym razem pozostawianej przez przelotnego gościa. Tak wyglądały przesyłki, ładując uformowane i opakowane na obraz i podobieństwo wyrobów znanej firmy.

Oddawałam je w restauracji hotelu „Rose” przy Faubourg Saint Honoré. Nieraz widywałam tam Pudła, mijala mnie obojętnie, i Armanda, nigdy nie obdarzył mnie swoim: „Ça va!” Nie poznawał. Widział mnie raz, wieczorem, upodobnioną do jego dziewczyn. Teraz przychodziła do „Rose” osoba niepozorna, nijaka, nie zwracająca niczyjej

uwagi. Albo imperium, jakiemu służyła, wykluczało wszelką poufałość.

Uprzedziłam Messera. Trzymali się ode mnie z daleka, ale nie przerywałam ryzykownego zajęcia. Podobnie rzecz ma się z jedzeniem słonych paluszków albo łuskaniem pestek – wciąga.

Jeszcze jeden raz, mówiłam sobie odbierając zapłatę przy barze w „Rose”, razem z wydawaną resztą, bo po przekazaniu czekolady zawsze zamawiałam kieliszek pernoda, czego nie znosiłam. Należał do reguł ustalonych przez faceta, który mnie zaangażował. Nie wiem, czemu nie mogło być co innego zamiast ohydnej zielonkawej cieczy, bielejącej jak mleko po dobraniu wodą, zajeżdżającej anyżkiem. Cyfry na rachunku za ten specjał informowały o dniu i godzinie mego następnego spotkania z łącznikiem w Centrum.

I doczekałam się.

Zgarnięto nas z Rafinerii. Trochę się pośpieszono albo bardziej zależało im na łączniku niż na mnie. W każdym razie on nie umieścił jeszcze tabliczek Sucharda pod moją torebką i dowód obciążał tylko jego. Teoretycznie pozostawiałam czysta, lecz nie przeceniałam szczęśliwej okoliczności. Mogli za mną chodzić od dawna. Zupełne wyłganie przedstawiało się problematycznie.

Jestem cudzoziemką, nie muszę się chwalić swoim francuskim, będę go kaleczyć i źle rozumieć. I nie mam pojęcia, o co chodzi. Jeśli się tylko nadarzy sposobność, dać nogę – ustawiałam się, kiedy mnie wieźli.

– Proszę dokumenty – zażądał szpakowaty pan w pokoju z oknem zabezpieczonym siatką, ponurym jak cela.

– Nieporozumienie, mon commissaire. Mam ważną wizę i pozwolenie na pracę – podsunęłam mu papiery, moje znakomite papiery. Dziobałam palcem w odnośne rubryki i bełkotałam w zmurzyniałej francuszczyźnie, gęsto wtrą-

cając serbskie zwroty. Zgnębiona, zdezorientowana i przerażona. No, nastroju nie musiałam udawać, w takie opały dostałam się po raz pierwszy.

– Obywatelstwo? – szpakowaty kartkował paszport. Przecież nie dam się złapać na abecadle, tylko dlaczego od razu podejrzewa mnie o nieprawdziwy patent. Rutyna, rysopis z Wiednia czy jeszcze co innego, czego nie potrafię odgadnąć.

– Jugosłowiańskie. Z pochodzenia Serbka. Lica Milo-  
vić. Studentka.

– Kim jest mężczyzna, z którym się spotkałaś? – chciał wiedzieć szpakowaty. Ja też.

– Garçon, jamais! Jestem porządną dziewczyną! – oburzyłam się. Niedostatecznie znając język mogłam właśnie tak zinterpretować jego pytanie. – Studentka! W Center pomoce naukowe korzystać. Kasety video, taśmy, doskonałenie mowy, sztuka.

– Niczego nie rozumiesz! – Zaczynaliśmy gadać jak gęś z prosięciem. Nieźle. Niech się wścieknie i dojrzeje do tłumacza.

– Co studiujesz?

– La Sorbonne – nadełam się triumfalnie i sypnęłam w niego serbskim.

Na pusty blat biurka z prostokątem kiedyś zielonego sukna cisnął kartonową teczkę. Wyciągnął fotografie.

– Skąd go znasz? – wyskandował wolno i podsunął mi zdjęcie. W dwóch ujęciach, en face i z profilu, nad potylicą policyjna miarka, nad ogoloną głową numerek. Gęba zwyrodnialca. Na tych kryminalnych podobiznach nikt inaczej nie wygląda. Pierwszy wyrok feruje obiektyw urzędu śledczego. Coś o tym wiem, mój tatuś miewał podobne.

– Kto to może być? – mruzczałam po serbsku. Wpatrywałam się w degenerata długo i uważnie, demonstrując bezmiar dobrej woli. Patrz, Fela, patrz! Jeśli nie stanie się

cud albo czegoś nie wymyślisz, zrobią ci takie samo z podziałką i szykowymi cyferkami.

– Nie wiedzieć – potrząsnęłam głową. Prawie nie kłamałam. Wynaturzeniec w kadrze bardzo odlegle przypominał łącznika, z którym mnie nakryli.

Szpakowaty wyciągnął inne portrety podobnych okropków różnej płci. Paru dałoby się rozpoznać. Doręczali albo odbierali owe tabliczki w opakowaniu Sucharda, ale gapiłam się tępo w tę plejadę gwiazd, gotowa prędzej dać się zamknąć, niż przyznać bodaj do jednego.

Zwłóczyłam.

Nie miałam pojęcia, jak się mam ratować i czy uda się czegokolwiek dokonać. Zysk na czasie na pewno nie zaszkodzi i może się coś sprzyjającego wydarzyć. Niech komisarz popadnie w bezradność i zażąda tłumacza. Chyba nie ma pod ręką nikogo ze znajomością serbskiego. Byłby to wyjątkowo jadowity pech.

Niespodziewanie ryknął, jakby usiadł na pinezkach. Na mnie. Dla większej grozy huknął pięścią w stoczone przez korniki biurko. Myślałam, że buchnie z niego tuman próchna, z biurka, nie z komisarza. Ale wytrzymało.

– Pan się nie gniewać, mon commissaire, ja niewinna! – zawołałam z rozpaczą i przerażeniem. Wypadało bardzo się przestraszyć, skoro wyraźnie tego sobie życzył.

Załamał się. Nacisnął dzwonek umieszczony na owym wyleniałym meblu. Wszedł młody w golfie.

– Przekłęci cudzoziemcy! – zżymał się mój komisarz. – Znam angielski, hiszpański i włoski, ale ta idiotka mówi tylko po serbsku, no i wydaje się jej, że umie po francusku.

Właśnie dlatego, mon commissaire, lubię pochodzić z małych narodów, których języki jeszcze się nie zbanalizowały wśród glinnych sfer Europy.

– Ktoś zna u nas serbski? – Golf wątpił. – Zostaw ją w poczekalni i znajdź tłumacza – zdecydował komisarz.

Poczekalnia nie miała okien, zresztą fakt bez znaczenia. Znajdowaliśmy się na piętrze. Pomieszczenie mimo późnej pory ruchliwe, kształtem przypominało żołądek, przewężający się z dwóch stron w korytarze.

Golf wskazał mi miejsce na drewnianej ławie, podobnej do konfesjonału, z wysokimi poręczami i oparciem wypolerowanym do połysku przez zastępy zacnej i szemranej klienteli komisariatu.

Właśnie przez obrotowe drzwi zaczęły wchodzić dziewczyny. Naliczyłam ich coś z dziesięć, pochód zamykała Pudel spod hotelu „Rose”. Towarzyszący im dwaj policjanci poupychali je w tych błyszczących konfesjonałach. One śmiały się, mówiły złośliwości eskorcie, puszczały im w nos kłęby dymu.

Duch we mnie zdechł. Byłam pionkiem, drobniutkim trybikiem w jakiejś dennej sprawie, o której nic nie wiedziałam. Prawdopodobnie zanosilo się na konfrontację. Wreszcie znajdą tłumacza i już nie umknę za barierę języka. Jeśli nic nie powiem, zgnoi mnie policja. Jeśli powiem, co wiem, zgnoją mnie tamci.

Jak się ratować?

W polu widzenia miałam drzwi wiodące do toalety. Musiała mieć kilka kabin, wciąż tam ktoś wchodził i wychodził. A teraz urządziły sobie zabawę panienki z bulwaru Saint Honoré. Kiedy jedna wracała, następna znikwała w przejściu.

Miałam na sobie beżową pelerynę z angorskiej wełny, z której po odwróceniu robił się płaszcz w pastelową kratę. Oczywiście przypadek, ale uznałam go za pomyślny omen, przychylną wskazówkę losu! Pewno jeszcze nie przyszła moja ostatnia godzina, może nie sądzona jeszcze francuska tiorma. Pryskać stąd, zaraz! Wprawdzie pozostaną u komisarza moje świetne dokumenty, ale trudno. Wiać, w Imię Boże!

Wstałam.

– Dokąd? – ujawnił się po sąsiedzku mundurowy, niewidoczny, bo zakrywał go uszaty bok ławy.

– Tam – pokazałam drzwi z rysunkiem dziewczynki. Damy z hotelu „Rose” wciąż jeszcze kursowały w tę i z powrotem.

– Możesz iść.

W toalecie wciąż szumiała woda w spłuczkach, weszłam do wolnej kabiny. Płaszcz na drugą stronę, ściągnęłam go paskiem, peruka do kieszeni, odkleiłam sztuczne rzęsy i starłam cały makijaż, torebkę zbyt znaczną wsunęłam za muszlę, zabrałam tylko pieniądze i drobiazgi. Z lustra nad umywalką spojrzała na mnie prawie nie znana twarz. Moja własna.

Przejdę?

Pchnęłam drzwi. Minęłam poczekalnię, nie spojrzałam w stronę ławy, gdzie czuwał mój opiekun, moja dusza uciekła w krtań, nogi niosły zdecydowanie. Skreśliłam ku schodom, zeszłam na dół i opuściłam komisariat. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi.

Stacja metra. Zbiegłam w podziemia. W chwilę później kolejka poniosła mnie w kierunku dworca Saint Lazare. Byłam wolna, pozbawiona tożsamości. Miałam trochę pieniędzy i sforę na karku.

Do świtu przetrwałam w kinie non stop w pobliżu „Odeonu”. Ruszyłam stamtąd rozsądnym rankiem.

– Wiesz przynajmniej, co się dzieje, widział cię kto? – zwiądnął na mój widok wystraszony Prinz, kiedy z drugiej strony zaułku przekradłam się do naszej kamienicy piwnicznym korytarzem, ciągnącym się pod amboną stróżki.

Już mnie tam szukano. Wywiadowcy pojawili się w nocy. Gdy tylko odeszli, konsjerżka przyszła do chłopaków.

– Były fliki, dowiadywały się o panienkę z poddasza, co się z panami zna.

– Pani im to powiedziała?

– Nie mówię, o co nie pytają. Lecz jeśli ona tu się

pokaże, będę musiała zawiadomić policję – przestrzegano stróżka, nie wiadomo, jakimi intencjami kierowana. Żałowała mnie czy lojalna wobec policji, chciała jednak zachować neutralność z obawy przed ludźmi, na zlecenie których lekkomyślnie nosiłam przeklęte paczki.

Tego samego dnia Messer zamówił dla mnie nowe papiery. Średniej klasy i średniej ceny. Brakowało pieniędzy i miejsca, gdzie mogłabym spokojnie czekać, aż szpana handlująca tożsamością upoluje i dostarczy paszport idealnie odpowiadający cechom mojej osoby. Wzięłam, jaki się nadarzył, bez zezwolenia na pracę, z wizą na ukończeniu. Oczywiście można było załatwić fałszywe wpisy, ale nie należało tego robić, jeśli chciało się mieć dokument, a nie malowanekę. Przy wszystkich mankamentach wystarczył jednak do wynajęcia dachu nad głową.

Przeniosłam się na peryferie Paryża, jak najdalej od Marais. Przytuliła mnie mansarda na czwartym piętrze kamienicy w pobliżu końcowej stacji metra. Opoдал zaczął się lasek Vincennes, a za nim rozpościerała podmiejska osada Nogent-Sur-Marne, cicha i wykwinna dzielnica ludzi bogatych, których stać, aby czerpiąc z uroków wielkiej metropolii nie narażać się na jej niedogodności.

W Paryżu przede wszystkim się zarabia, w Paryżu się wydaje, w Paryżu nawet się żyje, lecz w Paryżu się nie mieszka. Po to są właśnie na obrzeżach miasta piękne, małe enklawy z cichymi alejkami, przy których w rozległych ogrodach stoją wielopokojowe, rzadko zaludnione wille, a cena ziemi, bez przenośni, równa się wadze złota.

Nazywałam się teraz Mercedes Amado, Katalonka, pochodziłam z Barcelony, ale nie znałam ani słowa po hiszpańsku, więc zabrakło mi odwagi, aby pójść do prefektury i ubiegać się o przedłużenie pobytu.

Na lepszy patent na razie nie mogłam sobie pozwolić, należało szybko opanować hiszpański. Zresztą musiałam coś robić, żeby nie wściec się z bezczynności. Nie miałam

widoków na żadne zajęcie na bliżej określonej przyszłość. Nadeszła wiosna. Lodowate zimno na moim poddaszu wypędzało z domu. Zabrałam książki i poszłam pod ruiny zamku w Vincennes. Tu grzało słońce.

Na sąsiedniej ławce przysiadły głuchonieme kobiety. Rozmawiały gestami. Rozleniwiona ciepłem gapiałam się na ich ruchliwe dłonie porozumiewające się w języku niepodobnym do żadnego z tych, jakie znałam.

Pośród szpaleru rozrosłych platanów pojawił się stary Chińczyk, poprzedzany parą przepięknych rosyjskich chartów. Obie kobiety podbiegły do niego i podawały jakieś papiery. W trójkę powrócili na tę samą ławkę.

– Madame przyjedzie za dwa miesiące – mówił wolno, wyraźnie. One wpatrywały się w jego usta, czytały z układu warg. Z tego, co zdołałam zrozumieć, wynikało, że szefowa Chińczyka chce zatrudnić głuchoniemą służącą. Kitaj upoważniony do selekcji, tutaj spotykał się na wstępną rozmowę z polecanymi przez karmelitanki kandydatkami. Zostały jednak odprawione, ponieważ nie znały masażu, stanowiącego jeden z warunków przyjęcia.

Też nie znałam, ale wydawał mi się najmniejszą przeszkodą w otrzymaniu tego miejsca, które spadało jak z nieba.

Ostrożnie poszłam śladem starego. Wspaniałe psy o srebrzystej sierści w złociste łaty z daleka wskazywały drogę. Po drugiej stronie lasu Vincennes w Nogent-Sur-Marne zamknęła się za nim ciężka furta w wysokim murze, pokrytym spadzistym okapem z łupku, skrywającym stylowy dom stojący w głębi ogrodu przy ulicy imienia Antoine Watteau. Obok przetrwała kamieniczka, w której na początku osiemnastego stulecia ów malarz spędził resztę życia.

Tak się znalazłam pod bramą siedziby Vanessy Stunington, lecz zanim zaczęłam staranie o pracę u niej, zebrałam nieco informacji o Związku Głuchoniemych. Dopiero

obeznana z formami jego działania, znalazłam numer w spisie abonentów i zatelefonowałam na rue Watteau. Odezwał się Czen.

– Tu Dominique z Instytutu Głuchoniemych. Jakie warunki ma spełniać osoba poszukiwana przez madame?

Wyliczył: młoda, o przyjemnej powierzchowności, inteligentna, znajomość pisania i czytania po francusku, angielski mile widziany, ale niekonieczny, umiejętność masażu, podstawowe wiadomości z zakresu kosmetyki i fryzjerstwa. Świadcstwo lekarskie stwierdzające absolutne zdrowie, oczywiście poza ułomnością wrodzoną. Język migowy obojętny, ale musi umieć odwarzać mowę z ruchu warg.

– Mamy Katalonkę posiadającą takie kwalifikacje, lecz znajduje się poza Paryżem. Może przyjechać dopiero za pięć tygodni. Przysłać ją? – poleciłam sama siebie, rezerwując minimum czasu na przygotowanie.

– Pani nie wróci przed upływem dwóch miesięcy, a ja codziennie rano przechodzę koło zamku Vincennes, naprzeciwko stacji metra. Łatwo mnie rozpoznać, jestem Chińczykiem. Spaceruję z dwoma chartami – powiedział Czen.

– Nie wiem, czy zechce przyjechać, skoro nic wiążącego nie mogę jej przekazać.

– Proszę, niechaj się zgłosi. Zaczekam z poszukiwaniem innych. Zostanie przyjęta, jeśli spełnia wymagania.

Nie spełniałam, musiałam się wszystkiego nauczyć, i to migiem. Czasu miałam tyle co nic. W pierwszym rzędzie wzięłam się za trening najcięższego. Niemoty. Ale i najdłuższe ćwiczenia nie przyniosą wiele, jeśli przede wszystkim nie utożsamię się wewnątrznie ze światem, do którego chcę przeniknąć. A pogrążenie się w absolutną ciszę było doświadczeniem najtrudniejszym i niepodobnym do żadnego z dotychczasowych przeobrażeń.

Z odizolowanymi uszami chodziłam po mieście. Siady-

wałam w barach, gestami zamawiałam jedzenie. Z ruchu ust otaczających ludzi usiłowałam odczytać rozmowy. Z podręcznika uczyłam się pojęć alfabetu migowego, chociaż go nie żądano.

Codziennie przekradał się do mnie z Marais i pomagał Prinz. Hartował na nagłe odgłosy, rzucając za moimi plecami hałasujące gadzety, zaskakiwał pytaniami, na które człowiek odbierający wrażenia dźwiękowe odpowiadał odruchowo.

Messer wystarał się o sprokurowanie przez znanego mu specjalistę rekomendacji z klasztoru Karmelitanek z Barcelony z odręcznym pismem polecającym do zakonu tej samej reguły w Lionie, gdzie rzekomo dotychczas miałam przebywać. A w moim nieświetnym paszporcie, w rubryce znaki szczególne, wkomponowano: głuchoniema.

Tak zaopatrzona, po pięciu tygodniach spotkałam się z Chińczykiem. Na powitanie pozdrowiłam go znakami ludzi ze sfery wiecznego milczenia.

– Nie znam mowy rąk – uspokoił moje palce brunatną dłonią.

Odetchnęłam. Tego bałam się najbardziej. Zanim jednak stanęłam przed przyszłą szefową, nauczyłam się zupełnie znośnie porozumiewać w tym niezwykłym języku.

Tak trafiłam do szalonej Vanessy.

Ciężko zarabiałam na chleb. Z początku trwałam w ciągłym napięciu, ani na moment nie zapominając, że u d a ję głuchoniemą.

Raz na tydzień miałam dzień wolny. Przychodziłam na swoje poddasze, które zatrzymałam, i śpiewałam do ścian, rozmawiałam z wieszakiem, gadałam do lustra. I zaraz zasypiałam kamiennym snem, bo w Nogent-Sur-Marne przedrzemywałam noce, czujna na najmniejszy szmer, chociaż zamykałam się w swoim pokoju na klucz. Bałam się zdradzić przez sen.

Z czasem niemota stała się moją drugą naturą, jakby rozdzieliła się osobowość. Pomogła kontemplacja Zen. Doszłam do niezłych wyników. Potrafiłam tak odgrodzić się od świata dźwięków, jak najprawdziwsza głuchoniema.

Ale znacznie ciekawiej było słuchać. Mój status osoby pogrążonej w izolującej ciszy dawał przewagę nad otoczeniem. Tak weszłam do gry.

Kiedy tam nastalam, nic jeszcze nie zapowiadało późniejszej lawiny, może zresztą już zaczynała się toczyć, tylko nieświadoma znaków, nie potrafiłam dostrzec jej zapowiedzi, a może i ja mam swój udział w potrąceniu przysłowiowego kamyka.

U Vanessy trwał stan małego obłączenia.

Nie dziwiła ochrona prywatności mieszkańców rue Watteau w Nogent-Sur-Marne. Inaczej ich wytworne drzwi nie zamykałyby się od domokrażców, akwizytorów, wszelakiego rodzaju wydrwigroszy, od pomyślonych artystów, maniakalnych wynalazców poszukujących pieniędzy na urzeczywistnienie swoich rojeń, od instytucji jałmużniczych i zwyczajnych samoobsługowych żebraków.

Dom mojej Amerykanki był nieprzenikalny. Wstęp mieli tylko nieliczni wybrani, też nigdy bez uprzedniej zapowiedzi. Środki ostrożności, jakie podejmowała, sugerowały coś więcej niż tylko zwykłe uszczelnienie przed natrętami.

Jeśli wyjeżdżała, zanim wyprowadziła samochód za bramę, Paul, gastarbeiter pełniący w czasie wolnym od grubych robót obowiązki portiera, najpierw sprawdzał, czy ulica w pobliżu jest pusta, dopiero później miał prawo otworzyć wierzeje. Dziwactwo? Zbyt dobrze znałam zachowanie ludzi żyjących w jakimś zagrożeniu, aby jej ostrożność odebrać jako narowy.

Zanim zdążyłam rozeznac się w obyczajach, chwycić orient w powikłanych układach szefowej, zobaczyłam młodego mężczyznę pod niegościnną furką. Trwał nieru-

chomo z zadartą głową, kilka kroków od wysokiego muru, co pozwalało zobaczyć piętro willi i uchylone teraz okno ubieralni Vanessy.

Zaciekawiona przystanąłam obok niskiego parapetu. Miałam wrażenie, że on patrzy wprost na mnie. Złudzenie. Nie mógł mnie widzieć ukrytej za głęboką framugą, osłoniętej kolorowym cieniem witrażowych szyb.

– Podaj beżowe rękawiczki – zażądała szefowa. Już gotowa do wyjścia, odprawiała przed lustrem dotknięcia kredką, muśnięcia pudrem, kryształowym koreczkiem umaczanym we flakonie perfum. Rytualne gesty, jak obiata składana tajemniczym bogom.

– Prosiłam o rękawiczki!

Nie ruszyłam się, nie powinnam nawet drgnąć. Odwrócona do niej bokiem nie mogłam widzieć i odczytać jej polecenia z ruchu warg. Nie zżyłam się jeszcze ze swoim trudnym wcieleniem, wciąż obawiałam się błędu, ze strachem rejestrowałam takie odzywki szefowej. Może mnie sprawdza? Chociaż raczej nieprawdopodobne, bo gdyby miała cień podejrzania, nie przyjęłaby mnie do pracy.

A ona po prostu wówczas jeszcze nie przywykła do głuchej służącej i zapominała robić użytek z trzcinki, którą sprawiła sobie właśnie dlatego, aby przywoływać moją uwagę. Laseczka była długa, a ja miałam raz na zawsze zapowiedziane pozostawać w jej zasięgu.

– Co tam wypatrujesz? – podeszła i stanęła przy mnie. Zakłęła, gwałtownie odsunęła się od okna. – Ależ on mnie prześladowuje, dłużej tego nie zniosę! – wybiegła z ubieralni wykrzykując coś o synu. Podążyłam za nią.

Po raz pierwszy, odkąd u niej nastalam, wybierała się do Szwajcarii, a przez młodego człowieka, długo wartującego na ulicy, spóźniła się na samolot.

Pomyślałam, że chłopiec spod furki jest jej synem, którego za jakieś niewyobrażalne przewinienia karała wzbraniając jak włóczędze wstępu do domu, odmawiając

swojego widoku. A ona klęła, złorzeczyła, miotała przezwy na swojego męża i bękart, lecz nie wymieniała jego imienia.

Później wiele jeszcze razy widziałam i słyszałam, jak uporczywie i bezskutecznie bękart zabiegał o spotkanie z Vanessą i jak ona udaremniała jego wysiłki. Było to także kategorię życzeniem ojca, męża Vanessy, z którym musiała się liczyć bardziej, niż się do tego przyznawała sama przed sobą, ale wtedy jeszcze prawie nic nie wiedziałam o seniorze Stunnington. Natomiast junior przychodził pod nieżyczliwą furte, a niezależnie od tego cierpliwie ponawiał próby nawiązania kontaktu przez telefon.

– Mówi Uther-Caradoc Stunnington...

Słuchawkę podejmował Czen.

Vanessa pierwsza nie podchodziła do aparatu, urządzenia tak skonstruowanego, że przy włączonym głośniku słyszała każde słowo, gdziekolwiek znajdowała się w domu, bez względu, czy rozmowę przyjmował Chińczyk, czy elektroniczna sekretarka.

Za szansem Chińczyka, niezwruszonego jak automat, i automatu, poprawnego jak Chińczyk, Vanessa Stunnington stawała się niedostępna. Dla nie chcianych nieosiągalna.

Czen miał zapisane nazwiska takich ludzi i od razu ich spławiał. Na tę listę, podczas pierwszej wiosny mojej służby u Vanessy, trafił także mecenas Oskierko z Warszawy. Umieściła go w rejestrze prohibitów tylko dlatego, ponieważ próbował rozmawiać w imieniu Uthera.

– Teraz twój syn nasłał na mnie jakiegoś polskiego adwokata – przez ocean doniosła natychmiast Stunningtonowi.

– Na pewno z polecenia Uthera? – pytano zza morza.

– Oczywiście. Powołał się na twój syn – powiedziała, znów mocno podkreślając zaimek dzierżawczy.

Wieczorem piła koniak „Imperial”.

– Pewno mi zazdrościsz, biedna kaleka dziewczyno – już dobrze na bani zaczęła przemowę, z której wynikało, że jestem szczęśliwa, bom głucha, niema i goła. Ale nie kazała czytać z ruchu warg, nawet siedziała w taki sposób, abym nie mogła widzieć jej ust. Pewno w swojej przyćmionej świadomości wybrała złoty środek między absolutną dyskrecją a neodpartą potrzebą mówienia do żywego człowieka.

– Zazdrościsz klejnotów, sukni od Cardina, niezależności. I nie masz pojęcia o mojej nędzy, o mojej niewoli. Stokroć mi gorzej niż tobie, chociaż jesteś upośledzona i musisz za pieniądze służyć od nocy do nocy sześć dni w tygodniu. I co wiesz o upokorzeniu, chociaż jesteś pariasem i żyjesz z dobroczynności?

Miała jednak świetne mniemanie o sobie. Orała we mnie jak w woła, płaciła symbolicznie i nawet po pijanemu uważała się za filantropkę.

– Ile zniosłam, ile wycierpiałam, jakimi ustępstwami, jakimi wyrzeczeniami okupiłam, aby moje dziecko mogło żyć blisko mnie, tutaj w Europie. Tego parweniusza, tego gangstera – to było o mężu i raczej z lżejszego repertuaru nazwań, jakie dla niego rezerwowała – chłopiec nie obchodzi nic a nic, a że Artur jest także jego synem, przypomina sobie tylko wtedy, gdy znowu chce nas czegoś pozbawić.

Artur. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam imię syna Vanessy. Nigdy go nie widziałam. Nigdy nie zabierała mnie ze sobą nad Lago Maggiore, gdzie stale przebywał. On też nie odwiedzał matki i nie telefonował. Czasami, rzadko, ona dzwoniła do Szwajcarii, zamykała się w sypialni, po takiej rozmowie płakała.

– Potwór. Swojemu synowi zabrał matkę i ukrywa przed nim brata. Ale ja jego matkę odnajdę na złość potworowi, nawet na końcu świata. Niech pocierpi, stary jest, ale z długowiecznych. Może pożyć jeszcze i ćwierć wieku. Tyle lat życia to mało, tyle lat piekła to wieczność.

Wiem coś o tym. Sama tkwię w piekle, przez niego! Ale nie dałam zrobić z siebie Sary.

Nie zwróciłam uwagi na ten biblijny zwrot, wydał się figurą stylistyczną, lecz zrozumiałam jej inferno, kiedy podpatrywałam, jak słucha głosu syna. Z taśmy. Mróz szedł po plecach od chrypliwych dźwięków zamkniętych w kasecie, jeszcze bardziej przerażała ekstatycznie zaszuchana Vanessa, jakby rozbrzmiewały serafickie pienia. Mater Dolorosa bez aureoli, bez świętości, bez nadziei. Zaczynałam rozumieć, dlaczego on nie pokazuje się w domu przy rue Watteau.

Z okruchów jej bezładnych monologów wyłowiłam ciekawe rzeczy dotyczące Uthera. Nie, nie wzruszyła jego historia. Wtedy, na początku.

Kochany przez ojca, przystojny, bogaty, czego mógł jeszcze pragnąć? Brakowało mamusi, w tym wieku? Fana-berie panicza. Albo jest słaby, niedojrzały i ucieka w chimerę, albo chce dopiec tatusiowi.

Wręcz napraszał się, aby go oskubać. Grzech byłoby nie skorzystać. Wprawdzie nie mogłam dostarczyć sensownej wiadomości o mamusi, przynajmniej na razie, ale nie znany brat też nie najgorszy początek.

Trafiłam do Uthera bez żadnego zachodu. Przede wszystkim zajrzałam do spisu abonentów telefonicznych Paryża. Figurował. Numer 239181, mieszkał przy rue Blaise 5 w Dzielnicy Łacińskiej.

Zebrałam trochę wiadomości. Zdawał się z tych, o których mówią: poważny. Pęd do oświaty, buldog na naukę. Tam u siebie skończył ekonomię i jeszcze mu mało, na Sorbonie zakuwał biologię. Ciekawe, na co mu biologia. Cała rodzina siedzi w nafcie. Ale może on chce robić petrosalami. Już gdzieś słyszałam o takich pomysłach.

Poszłam do niego bez zapowiedzi, wieczorem w swój wolny dzień. Idąc zadzwoniłam z ulicznego automatu, aby

się zorientować, czy jest w domu. Był. Odwiesiłam słuchawkę nie dając głosu.

– Co za to chcesz? – zapytał, kiedy wyłożyłam, co miałam do powiedzenia, i podałam szwajcarski adres jego brata. Nie zdradził żadnego uczucia, jakie moja wiadomość przecież powinna wywołać.

– Na co liczysz? – powtórzył. Przyglądał mi się chłodny, nieprzenikniony. Zbyt chłodny i zbyt nieprzenikniony. Wytrenowany spokój.

– Na nic – żywiłam ambitniejsze zamiary niż jednorazowe zaczerpnięcie z kasy petro-jedynaka. Najpierw niech dobrze pozna osobę bezinteresowną. Tylko czy uwierzy w bezpłatną szlachetność? Jego pokazowa rezerwa kryła podejrzliwość i nieufność. Pewno dostał już szkołę, a ja nie byłam pierwsza w starciu do jego portfela.

– Przecież na coś liczyłaś? – nie ustępował.

– Nie – zabierałam się do odejścia.

– Poczekaj! Nie chciałem cię urazić. Powiedz, dlaczego mi robisz taką przysługę? – ciut odtajał.

– Pewno dlatego, że jesteś samotny jak ja. Lecz ja swój los wybrałam świadomie, a ty chyba nie. Przynajmniej tak mi się wydaje – niezupełnie kłamałam, miałam lat niewiele ponad dwadzieścia, byłam wciąż sama, nie miałam przyjaciół, tylko dwóch wegetujących w suterenie na Marais współników.

– Skąd te wiadomości o mnie?

– Nie powiem. – Wolałam nie mówić, że jestem u Vanesy, oni wszyscy bardzo nie lubią nielojalnej służby, chociażby należącej do wrażego obozu. – Ale jeśli się czegoś dowiem, co cię może obchodzić, powiem ci.

– Nawet wiesz, co mnie obchodzi?!

– Szukasz matki i robisz to dość głośno. Usłyszałam.

Milczał. Pewno zastanawiał się, jakimi drogami dotarło do mnie coś, czego nie rozgłaszał.



– Muszę już iść – nie należało przedłużać spotkania. Niechaj się z moją bezinteresowną życzliwością oswoi, niech przemyśli wiadomość i potwierdzi jej autentyczność w Szwajcarii.

– Zobaczę cię jeszcze?

– Tak. Ale jeśli spotkamy się kiedyś przypadkowo, nie znamy się. Nie miej mi za złe i niczemu się nie dziw. Układy – ze wszystkich moich odzywek, nie wiadomo dlaczego, ta go ujęła najbardziej.

– Przyjdź, tak zwyczajnie, bez żadnego powodu – powiedział na pożegnanie. Zaskoczył. Zaciekawiałam go. Nie spodziewałam się prawie z marszu osiągnąć aż tyle.

Nie powiem, start był całkiem niezły, tylko zanim się spostrzegłam, zaczęłam zbierać guzy i wrobiłam się w park grozy, bo wchodząc do gry wzięłam prawie wszystko w rachubę oprócz tego, że karty dawno rozdano przede mną, i oprócz głupiego, sentymentalnego serca. Okazało się obecne i nierozsądne.

4

Siedział na stopniach kolumny w przedsionku Sorbony, za sobą miał trzy pary podwójnych, przeszklonych wrót, na wprost spiżowe popiersia największych mózgow kilku stuleci i łuk wiodący w głąb budynku.

Jadł bagietkę. Z płatkami wędliny, sera lub jednym z niezliczonych rodzajów pasztetów – ten olbrzymi sandwicz zrósł się z pejzażem paryskiej ulicy, jak frytki czy prażone kasztany.

Sprzedawany na każdym kroku ze straganów, wózków, kiosków, parapetów otwartych barowych witryn. Powszechny w Dzielnicy Łacińskiej, masowo pożerany w gmachach uniwersytetu, gdzie w licznych kafeteriach można

go otrzymać z automatu, podobnie jak nieszczęśliwą kawę – jedyną marną kawę w Paryżu – i wodniste kakao.

Rwał wielkimi kęsami świeżą bułkę i czytał książkę wspartą o kolana. Tłum studentów jak wyspę opływał filar, przy którym zacumował, czasami ktoś przystanął i spojrzął na arkusz brystolu nad jego głową, przytwierdzony do kolumny taśmą klejącą. Jeden z licznych anon-sów, jakie tapetowały każdy wolny skrawek przedsionka, gazeta, szpalta ogłoszeniowa, odbicie potrzeb i zaintereso-wań akademickiego mikroświata.

Na owym anonsie czarnymi wołami napisano po polsku:

„Student, inteligentny, poszukuje towarzysza do konwersacji w języku polskim. Czekam na oferty poniżej ogłoszenia”.

Aby nie było wątpliwości, poprowadzona strzałka go-dziła jak pikujący samolot w autora.

– Ty jesteś ten inteligentny? – trąciłem go w ramię.

Przełknął ostatni kęs, złożył gruby tom. Mały słownik języka polskiego wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy – odcyfrowałem litery spelzłym złotem wytłoczone na sfatygowanej okładce.

– Ja! – dał głos. – Z tzech stzech wyczło czmili tzech, a tszownice pieczchały na Antarktydę, gdzie nima antre-prenera – wyrecytował badając wrażenie.

– Bardzo ładnie. Co jeszcze potrafisz?

– Prawie świetnie język biernie. Dużo citam. Kłopoty wymowa i konwersacja.

– Masz tu doskonałych lektorów na językach słowiańskich. Czego jeszcze szukasz?

– Oni uczą język literacki.

– A ty łakniesz kminy, grypsery, żargonu.

– Ono tyż może być, ale ja chcę mówić potocznie, żeby mnie nikt nie odróżnił od rdzennego, i chcę poznać warun-

ki kraju, a zna je człowiek, co tam jest. Ty zawsze żyjesz w Polsce?

– Jakbym stale tam żył, nie byłoby mnie tutaj.

– Się rozumi, ale jesteś stamtąd i jak się nastudiujesz, będziesz powrotny. Oto co chciałem wyrazić.

– Będę – obiecałem. – Ale jeśli ci nie robi różnicy, odcumuj od kolumny, bo muszę kupić bułę, inaczej rozmnoży się smok, co mieszka w moim brzuchu.

– Wawelski? – Widać, wiedział już nieco o historii legendarnej mojego kraju. Dobył z torby dwa monstrualne sandwicze i jeden sprezentował mnie. – Ciągle tu jestem głodny – powiedział opychając się od nowa. – Chodźmy stąd, pogadamy – przeszedł na francuski, mówił jak paryżanin.

– Jesteś Francuzem?

– Amerykaninem. Nazywam się Uther-Caradoc Stunnington. Próżno szukać w Biblii lub w jakimś cywilizowanym kalendarzu moich imion, od trzech pokoleń w mojej rodzinie jest ich w obiegu nie więcej niż pięć. Bo jesteśmy starożytni. Jak utrzymuje ojciec, nasze nazwisko jest zapisane w Red Book, pewno nie słyszałeś, co to takiego!

– Czerwona księga – przełożyłem dosłownie. Jako tako radziłem sobie także z angielskim. Podstawy wbili mi do głowy u Metodystów w Warszawie.

– Oficjalny rejestr osób piastujących urzędy dworskie i pobierających pensje od króla. Od czterech pokoleń, to znaczy od przybycia mojego pierwszego przodka do Ameryki, rzekomo na korabiu „Mayflower” – co jest taką samą prawdą, jak i figurowanie w Red Book – w mojej rodzinie mężczyźni nie nazywają się inaczej, tylko Pendragon, Artur, Uther, Caradoc lub Eneas.

– Eneas, protoplasta Brutusa Trojańczyka, pierwszego legendarnego króla Brytów – błysnąłem erudycją. Miałem dwadzieścia trzy lata, uważałem się za wybitnie inteligentnego i byłem zarozumiały jak młody koń.

– Właśnie. W naszej rodzinie nadaje się miana tylko starobrytyjskie, a ponieważ zna się ich niewiele, w grobach leży już kilku Eneaszy, Arturów i nawet jeden Uther-Caradoc.

A w domu roi się od nieprawdziwych pamiątek. Falszywych fotografii i falszywych dokumentów, nie naszych miniatur i nie naszych przyborów toaletowych z kości słoniowej, nie naszych szpad i srebrnych serwisów, nie naszych starych fajansów i dagerotypów i nie naszych kapeluszy tricorne pozbieranych z całego świata przez nowojorskich antykwariuszy z Madison Avenue, aby nikt nie wątpił w odwieczną angielskość naszego domu, gdzie sam czuję się nierzeczywisty i skłamanym, nowszy bibelot zakupiony nie wiadomo gdzie.

Uprzedzam cię o tym, bo jeśli zdecydujesz się uczyć mnie polskiego, nie unikniesz straszego snoba, który jest moim ojcem, a chcę, abyś wiedział, że uwiera mnie sfalszowana tradycja i wymyślne imiona.

– Nie przejmuj się, nie pytano nas o zdanie wybierając nam nazwy. Moja jest nie lepsza.

– Bej? – ożywił się. – Tytuł tatarski, jesteś Tatarem?

– Skrót od Bartłomieja. Skutki mody na krzepkie, czerstwe imiona. O Tatarach w rodzinie nic mi nie wiadomo, ale niewykluczone, że którąś z moich prababek dogonił Tatar. Mój kraj leży na gościńcu Europy, kilka razy na stulecie maszerują po nim z zachodu na wschód i odwrotnie mordujące się armie, a przy okazji burzą nasze domy, gwałcą nasze kobiety, zabijają naszych starców i dzieci. Nasi mężczyźni natomiast umierają wyłącznie na polu chwały. Takie przynajmniej jest powszechne przekonanie i tak podają nasze podręczniki historii.

Owionęły korzenne zapachy i woń pieczonego mięsa. Znaleźliśmy się na uliczce greckich knajpek, czynnych od popołudnia przez noc do białego dnia. Wzdłuż chodników uchylone szyby wystawowe o wystających parapetach

wabiły wzrok i powonienie warkoczami czosnku, wiązkami papryki, strąkami tureckiego pieprzu, wiankami cebuli.

Ulica droga, obliczona na turystów, którym sugeruje się tu atmosferę le Quartier latin, będąca tylko nostalgią tutejszych Greków za austeriami Pireusu.

– Dla frajerów – Uther ogarnął gestem martwe natury witryn i restauracyjne godła nad wejściami. – Oskubują ich jak kapłony i karmią dość paskudnie. Ale ja mieszkam blisko i często bywam „Pod Tarczą Achajów”, więc nie traktują mnie jak przelotnego gościa i dają jeść przyzwoicie. – Chodź, oblejemy naszą znajomość! – dodał po polsku z bardzo dobrym akcentem.

„Pod Tarczą Achajów” powitano Uthera wylewnie, a on zamówił ostrygi i butelkę chablis. Poczuję się nie-swojo.

– Przypadkiem nie jesteś Rockefeller, incognito?

– Nie jestem, chociaż branża podobna. Też robimy w nafcie. Można powiedzieć, duża stacja materiałów pędnych w dobrym punkcie.

– Ale ja nie mam stacji benzynowej, więc zarządzaj jedzenie proste, dużo i tanio.

– Wcale tu nie jest drogo.

– Dla mnie jest.

– Ależ to ja ciebie zaprosiłem.

– Nie stać mnie na rewanz.

– Przepchniemy to przez bufet! – rozpromienił się. – Czy teraz jest dobrze?

Zaczęliśmy się śmiać i pochłaniać małże. Chłodne, wytrawne chablis zamiast podkreślać wykwintny smak delikatesu, budziło niesamowity apetyt, jakby w ogóle trzeba było go pobudzać.

– Kto cię tych powiedzeń nauczył?

– Twój rodak. Wyznawca Diogenesa, beczka bez dna.

Miał zawsze kaca i potrzebował klina. Więc szedłem po klina, często kilka razy jednego wieczoru. Alkohol wsiąkał w niego jak w gąbkę.

– Jak go znalazłeś?

– Zaprowadziła mnie konsjerżka. Zalegał z czynszem, ona miała do niego słabość, chciała wydostać należność bez drastycznych środków. A propos, jakie są twoje warunki?

– Nie zajmuję się daniem korepetycji. Nie biorę pieniędzy.

– Twój poprzednik brał.

– Ale ja nie jestem mój poprzednik.

– Polacy są dziwni.

– Dziwni. Nie wyciągaj wniosków po poznaniu jednego opoja i jednego studenta. Ale w ogóle ani lepsi, ani gorsi od innych.

– Interes jest interesem. Będę płacił za czas, jaki mi poświęcisz. I to jest sprawiedliwe. Musisz zdobyć środki na utrzymanie, rzecz normalna. W podobny czy inny sposób radzą sobie studenci na całym świecie. Dlaczego z taką nonszalancją ofiarowujesz swój czas, nie mogę przyjąć takiego podarunku. Time is money!

– Piła z ciebie, Ami, nie wiem, czy potrafię, a nie chciałbym być wspomniany jak poprzednik. Widzisz, mnie, jak większości moich ziomków, wydaje się, że Bóg nam powierzył honor Polaków. Doznanie irracjonalne, czuję się odpowiedzialny za tego pijaka.

– Bo co sobie o nas pomyślą! – Uther zacytował swojego poprzednika. – Niepotrzebnie o nim wspomniałem. Zresztą zupełnie sympatyczny alkoholik i nawet mnie czegoś nauczył.

– Pogadamy o pieniądzach, jak cię czegoś nauczę.

– Pogadamy teraz. Pięćdziesiąt franków za godzinę, będzie w porządku?

- Zawsze robisz takie świetne interesy?
- Od interesów jest mój ojciec - zamilkł i zaraz zmienił temat.

Nie chce mówić o swoim autorze. Zdarza się. Nie domyśliłem się istoty rzeczy. Jeśli chciał żyć wśród normalnych ludzi i być traktowany jak zwykły człowiek, a chciał, nie mógł przyznawać się do owej niesamowitej góry pieniędzy, bo natychmiast budziła niesamowite reakcje: nienawiść, serwilizm, zazdrość, żebranię.

Kiedyśmy się trochę zżyli, wspominał o zabitych przyznaniach i nie narodzonych miłościach, bo jego status odmieniał ludzi jak przekleństwo. Żyłowali go bezlitośnie, eksploatowali brutalnie. Więc uciekał od nich z żalem, niesmakiem, pogardą. Bał się dnia, w którym zaakceptuje lewizę ojca: wszystko ma swoją cenę.

Czy jestem lepszy? Nie odczuwam nadmiernego posiadania rzeczy, nade wszystko cenię niezależność, w hierarchii wartości nie stawiam posiadania na pierwszym miejscu, zaś wszelkie pasożytnictwo jest mi wstrętne.

Nigdy nie zastanawiałem się, jak wygląda młody milioner. Kiedy podjąłem się uczyć Uthera, niedużo o nim wiedziałem. Student, jakich w Paryżu wielu, z zamożnego domu, trochę zbuntowany przeciwko mieszczaństwu i snobizmowi rodziny, nie na tyle jednak, aby nie korzystać z jej zasobów. Myślący i bardzo samotny, dlatego wyczuł na najłżejszy objaw życzliwości.

Mieszkałem wtedy w starej siedmiopiętrowej oficynie, stojącej w głębi wąskiego jak kiszka podwórka, w dziupli na poddaszu powstałej po przedzieleniu większego pomieszczenia przepierzeniem z tektury.

Po drugiej stronie symbolicznej przegrody, której nieważność skrywała oklejająca ją tapeta, kwaterował niebożyczny Szwed, niepospolitej siły i łagodności. Bardzo ko-

opinii o chłodnym usposobieniu mężczyzn północnego klimatu.

Młody Wiking, jasny, złotorudy, z głową i brodą w takich samych pierścieniach, o oczach jak modraszki i ciele gladiatora, prawem kontrastu uwielbiał i był uwielbiany przez kobiety Orientu, śniade i zupełnie czarne.

W rezultacie ożenił się z Marokanką, kruchą i delikatną jak porcelanowa figurka. Mają dwoje czarnowłosych dzieci z chabrowymi oczyma i skórą koloru brzoskwini. Od tamtych paryskich lat nie straciliśmy ze sobą kontaktu.

Wtedy w Paryżu, jeszcze nic o sobie nie wiedząc, prawie równocześnie wprowadziliśmy się do sąsiednich klatek. W nocy obudził mnie metaliczny pisk spiralnie wkręcający się w uszy.

W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, dlaczego nie potrafię wydobyć się z pościeli. Kiedy zapaliłem światło i wygrzebałem się spod rumowiska fibry i podartej tapety, ujrzałem zaparkowane obok łóżko z nikłowymi gałkami, na nim śliczną dziewczynę kakaowego koloru i białoskórego olbrzymia naciągającego szatki.

- Sven - przedstawił się, okrywając nagość. - Jesteśmy sąsiadami - wskazał dziurę, jakby nie było oczywiste, skąd się tutaj wziął. Wyglądał mocno zmartwiony.

- Kramarze! Nie dość, że wynajmują nam zapluskwione strychy z kocimi gównami, nie sprzątanymi od stu lat, jeszcze ściany robią z papieru - mrucał rozgoryczony.

Jego obszerne łóżko, podobnie jak moje - sprzęt solidny, sporządzony na początku wieku, gdy wierzono jeszcze w trwałość i niezmienną twórczość świata - nogi miało zakończone kółkami. Igrce skandynawskiego hipopotama z arabskim kwiatem lotosu zamieniły legowisko w pojazd, czemu sprzyjał lekki spadek podłogi. Nabrawszy przyśpieszenia, po staranowaniu tekturowej przegrody wtoczyło się do mojej dziupli, łamiąc żeliwnym szczytkiem krzesło i umywalkę.

– Za to samo wyrzucili mnie z poprzedniego miejsca – ponuro uzalił się Wiking i zaczął dźwigać pozostałości przepierzenia.

– Nie przyszło ci do głowy odkręcić kółka?

– Przyszło. Ale przecież mebel nie należy do mnie.

– Nadmierny szacunek dla cudzej własności. Trzeba zdjąć kółka, w przeciwnym razie na takich samobieżnych łóżkach objedziesz Paryż i skończą ci się kwatery.

Przesiedliliśmy mahoniową dziewczynę, która z przesieradła upięła na sobie efektowną szatę, na moje posłanie, jedyne wolne miejsce po zagęszczeniu powierzchni przez ich leże, i przetoczyliśmy landarę na jej dawne stanowisko, przy czym pozbawiliśmy wyro samokroczących właściwości. Nazajutrz podnieśliśmy z ruiny forszówkę, otwór zastawiliśmy dyktą oklejoną podobną tapetą.

Tak poznaliśmy się ze Svenem i z czasem adaptowaliśmy część sklejki na odsuwana klapę. Dziura wybita wezwłóciem łoża poczęła służyć nieskrępowanej międzysąsiedzkiej komunikacji. Zupełnie odsłonięta podwajała naszą przestrzeń podczas wydawania przyjęć, okazywała się niezastąpiona, kiedy któryś z nas cierpiał na nie wyjaśnione płatności u portierki.

Sven nie był źle sytuowany, ale nigdy nie regulował komornego. Co kilka miesięcy przyjeżdżał do niego ktoś z domu, im pozostawiał troskę o swój najem. I nieodmiennie powtarzał się ten sam tekst.

– Chcecie mi zrobić radochę? – Chcieli. – To zapłaćcie przynsz. – Płacili. Tylko jeden raz jakiś wyrodek powiedział, że nie chce. Ale okazał się dalekim krewnym.

Studiującym we Francji cudzoziemcom pozwalano zaobkować, ale o pracę nie kolidującą z rozkładem uczelni było trudno. Dzięki Svenowi dostałem zajęcie w barze szybkiej obsługi. Zmywałem naczynia, sprzątałem lokal kilka razy w tygodniu. Nikogo nie obchodziło, o której

w nocy zaczynałem i kończyłem porządki, ważne, aby knajpka lśniła na szóstą rano.

Raz do roku Wiking odnawiał z właścicielem kontrakt na okrągłe dwanaście miesięcy, a ponieważ ni chciał, ni musiał harować wieczór w wieczór, podzielił robotę ze mną i Otokarem, jugosłowiańskim Macedończykiem studiującym na wydziale filologii romańskiej i zupełnie nie wspieranym z domu.

Uther przystał do nas, przychodził często, czasami nocował. Klucze pozostawialiśmy pod słomianką, mógł wejść zawsze i coraz bardziej z tego korzystał. Do siebie nie zapraszał. Nie wspominał dlaczego, lecz sprawiał wrażenie, jakby swoje mieszkanie miał za ostatnie miejsce, gdzie można przebywać z ludźmi czy w ogóle żyć.

Czasami znikał z horyzontu bez słowa i tak samo powracał. Nie pytaliśmy o przyczyny, jak nie prowokowaliśmy wyjaśnień żadnego z nas. Nie tolerowaliśmy wścibstwa i nie dziwiła żadna odmienność, tyle jej było naokoło w Paryżu.

– Mógłbyś pojechać ze mną do Szwajcarii? – O nieprzypoicie rannej godzinie przyszedł Uther i wyciągnął mnie z łóżka.

– W kantonie Grisons pewno już spadł śnieg, do Davos ściągają narciarze. – Chociaż zaspany, znalazłem się jak erudyta. Nigdy nie widziałem tego kraju, nie odczuwałem wzruszeń ucząc się geografii, ale niezmiennie fascynowały nazwy przeżyte wraz z nastrojem książki Manna.

– Mam sprawę nad Lago Maggiore. – Perły przed wieprze. Zajęty własnym wnętrzem Uther nie zwrócił najmniejszej uwagi na moje obycie literackie. Mnie natomiast nie przyszło do głowy, że właśnie zostałem obdarzony zaufaniem.

– Kiedy chcesz jechać?

– Zaraz. Jest tam Artur, mój brat. Wczoraj odkryłem jego istnienie.

– Go ahead!

Przed południem lądowaliśmy w Locarno. Wynajętym samochodem ruszyliśmy w stronę włoskiej granicy, skąd skręciliśmy na wykutą w skale drogę. Pięła się zakosami ku górze nad krawędzią krzesanicy, aż skończyła platformą, na której pozostawiliśmy wóz. Wyżej jeździła już tylko kolejka zębata. Wysiedliśmy na końcowym przystanku na zielonym płaskowyzu. W perspektywie na łagodnym zboczu pośród alpejskiego lasu wznosiła się kolonia parterowych przeszklonych pawilonów.

– Sanatorium? – domyśliłem się.

– Tak. Podobno on jest cokolwiek przerasowany – uśmiechnął się niepewnie.

Ale to było coś znacznie gorszego.

Ze stężałej, niedbale ulepionej twarzy patrzyły brązowe oczy, nieprzenikliwe i bez wyrazu, mętne kleksy o barwie mazutu, zastygłe pod nieproporcjonalnym czołem. Ciemne włosy starannie ostrzyżone, wymodelowane z zamiarem poprawienia proporcji, niczego nie korygowały, przypominały skalp zdjęty z prawidłowo sklepionej głowy.

Duże ciało, jak zbyt wyrośnięte ciasto, obleczone popelinową bluzą, od połowy okryte lekkim pledem, spoczywało na lśniącej niklami konstrukcji spełniającej rolę łóżka, fotela, leżaka i wózka. Jedyne metalowy sprzęt w pokoju urządzonym zbyt kownie i ze smakiem, z podłogą wystaną starym persem.

– Ecce Homo – wyszeptał wstrząśnięty Uther. Pewno bezwiednie przyszły mu na myśl słowa zapamiętane z modlitewnika babki, chociaż nalane ciało, wypełniające elastyczny materac, wcale nie przypominało ukrzyżowanego Galilejczyka. Podobne wielkiemu krabowi, trwało poddańcze słonecznemu ciepłu, nieczułe na dźwięki, zapachy i jeden z najpiękniejszych widoków roztaczający się u jego stóp.

– Biedny homunkulus! – Utherowi mierzchła twarz, walczył ze łzami.

Odwrociłem się i odszedłem pod ścianę ze szkła, jej skrzydła obracające się na osi otwarte były na taras obrośnięty wistarią, pnąciami wiciokrzewu i purpurowymi baldachami różanecznika, jak tratwa pośród kęp geranium, rododendronów, paproci i żarnowca, przetkanych ciemną zielenią abides retica i sosen pinastrów. Za nim piętrzyły się Alpy.

Spowite mgiełką oddalenia, odbijały promienie słońca czapami wiecznego lodowca i jęzorami firnu na skłonach. Niżej, na południu, leżało Lago Maggiore z nitką wijącej się nad brzegiem szosy.

Czy chory je widział? Nie jest pewne, czy w ogóle widział, może odbierał obrazy rozsypane jak garść szkiełek w zepsutym kalejdoskopie. Porażone martwością oblicze nie uzewnętrzniało żadnych uczuć.

– Bracie! – Uther klęczał przy tej kolebce z chromowanych rur, obejmował spoczywającego ramionami. – Bracie – szeptał i płakał nad odnalezionym, płakał z udręki i litości nad nim i nad sobą, i trochę nad swoim ojcem. Potworem doświadczonym przez los, ukrywającym starszego syna jak hańbę.

Nie było odzewu. Nie drgnął nawet żaden wymanikiowany palec tłustych rąk ułożonych wzdłuż korpusu.

– Nie trzeba rozpaczać, on nie jest nieszczęśliwy – powiedział kobiecy głos. To zjawiała się szarytka. Stała przy Utherze z dłonią na jego ramieniu. Jak wielki bielinek chwiała się nad jej głową skrzydła kornetu.

Nie słyszałem, jak nadeszła. Oni tu wszyscy chodzili w obuwiu na elastycznych podszwach, nie wydających szmeru i nie pozostawiających śladów na wypolerowanych posadzkach, sterylnych chodnikach korytarzy, na kobiercach moszczących luksusowe izolatki zamieszkałe przez istoty najgłębiej upośledzone, pochodzące z rodzin mają-

cych jednak dość pieniędzy na opłacenie tej kosztownej przechowalni ludzkich braków, położonej w cudownym zakątku i elegancko zwanej sanatorium.

– On nie ogarnia swojego stanu – dodała zakonnica.  
– Żadnych doznań? – Uther już się opanował.  
– Odczuwa ciepło, chłód, pragnienie. Cieszy go jedzenie i słoneczne światło. Na swój sposób rozpoznaje opiekunów.

– Korona stworzenia – nie mógł pogodzić się Uther.  
– Tylko ludzie w swej zarozumiałości tak o sobie sądzą.  
– Czy on też ma nieśmiertelną duszę? – wyraźnie chciał dokuczyć szarytce.

– Ma. A teraz muszę panów przeprosić. To pora karmienia i toalety – otworzyła drzwi łazienki wyłożonej kafelkami, z basenem wpuszczonym w podłogę. Przekręciła kurki.

– Ga, ga, ga – zagulgotało stworzenie do wtóru strumieniowi płynącemu z kranu. Pulchną twarz opromieniło coś jak uśmiech.

Niemowlęce gaworzenie dojrzałego mężczyzny wydało się potworniejsze od deformacji ciała, katatonicznego bezruchu i bezmyślnego spojrzenia.

– Pomyśleć, on leży ciurkiem od trzydziestu dwóch lat. Straszne. Nie miałem wyobrażenia o jego stanie. Inaczej nie narażałbym ciebie na taki widok. Przepraszam.

– Nie bądź osioł. – Wracaliśmy do kolejki.

– W dzieciństwie miałem bardzo mądrego osła, wychowała go moja polska babka, bo coś się stało z jego matką, ponieważ z moją też się coś stało, wychowała i mnie.

W jego wspomnieniach ożyła stara pani ukradkiem ćmiąca hawanę „Monte Christo Special”, długie i cienkie cygaro z jasnego tytoniu, popijająca mocną kawę i uprawiająca w Kalifornii zagonek modrego lnu. Kobieta niewykształcona, prosta i nieprzeciętna.

Ożyły Wigajny sprzed stulecia, kraina jej wczesnej młodości, kraina, jakiej nie ma i nigdy nie było, zrodzona

z nostalgii i oddalenia w sercu człowieka samotnego i wykorzystanego, który nigdy nie wrósł w nowe miejsce.

Swoją arkadyjską wizję ziemi niezwyklej i jedynej zaszczerpiła wnukowi, a gdy teraz zbyt dokuczają mu problemy bieżącej chwili, ucieka na planetę dzieciństwa z opowieści babki, do kraju nie istniejącego. Tak pomyślałem.

– Nawet nie wiem, kim jestem.

– A kim chciałbyś? – nie rozumiałem. Wydało mi się, że mówi o swoim miejscu w życiu.

– Może wyląłem się w probówce. Do niedawna nie miałem pojęcia nawet, skąd pochodzili moi dziadkowie, chociaż mam rodzinny nekropol z połączonym dachem, a na steli babki wyryto inskrypcję niemal żywcem ściągniętą z nagrobka Szopena.

I wcale nie jestem pewien, czy ci inni, którym fundował płyty mój dziadek, naprawdę pod nimi spoczywają. Ich ciała pewno pozostały na roponośnej działce, jaka dała początek całej forsie. Przenosić – koszt. Co za różnica, czy jest w krypcie garść truchła, czy nie? Jakże znaczenie może mieć kupka spróchniałych kości? Dopiero kawał wypolerowanego marmuru, odpowiedni napis i koniecznie portret dają właściwe wymiary nieboszczykowi.

Próbując przejrzeć tajemnicę swojego pochodzenia uparcie tropił dzieje rodziny. Rozpoczął od kamiennego podgórza, gdzie pierwsi Stunningtonowie, Angus i Deborah, hodowali kozy na kwaśnych połoninach Sierra Madre.

Wiedział, gdzie leżała ich farma. Miał dziesięć lat, gdy zawiózł go tam ojciec i pokazał początki dziedzictwa. Miejsce niczym nie przypominało majątku z ojcowych opowiadań i nie wiadomo już nawet któredyś przebiegały jego granice, bo cały obszar od blisko stu lat włączono do ciągnącego się setkami kilometrów terenu należącego do konsorcjum Standard Oil.

Widok monotony.

Pola aż po horyzont obsadzone lasem żurawi pompują-

cych ropę. Wstęgi rur zbiegających się w węzły, a od nich odchodzące inne pasma przewodów, tylko o grubszym przekroju. Krakingi, rafinerie, olbrzymie kuliste cysterny na wspornikach wysokich na kilkanaście pięt. Cisza i zupełny brak ludzi. Tyle zapamiętał z tamtej panoramy.

„Stare Roselido było dużym majątkiem” – mówił z dumą ojciec.

Gospodarstwo, którego hipotekę w kilka lat później Uther z niemałym trudem odgrzebał w notarialnym archiwum w Birmingham City, nie nosiło żadnej nazwy, tylko numer katastru.

Ojciec opowiadał o domu pierwszych Stunningtonów, jak gdyby w nim spędził dzieciństwo, chociaż zburzony został na długo przed jego urodzeniem. Ten nigdy nie widziany dom przedstawiał synowi jak starą angielską siedzibę, przeniesioną gdzieś z okolic Dartmoor Forest z osiemnastowiecznej Anglii, pełną świetnych pamiątek po kornwalijskich szlachcicach, przesyconą atmosferą dworskiej tradycji aż po dziurki od nosa.

„Zajmowali się hodowlą”. Nad źródłem utrzymania potomków pionierów z „Mayflower” Pendragon Stunnington nie rozwodził się, kóz nie zaszczycił nawet wzmianką, natomiast w jego opowieściach rżały po stajniach folbluty, groom podprowadzał wierzchowca, a pod opieką hundsmana ujadała psiarnia.

I w ten starobrytyjski pejzaż – wtręt z zupełnie innego sztychu, innego obyczaju i innego czasu. Na widok sztucera podnosił się z ganku legawy, przychodził służący w lnia-nej świtce, kłaniał się nisko i mówił: „Wielmożny panie!”

Dopiero gdy chłopiec dorośnie, zwróci uwagę na tę niespójność obrazu. Jakby nałożyły się na siebie dwie różne ryciny.

Zaraz po części legendarnej ojciec przechodził do interesów i na scenie pojawiał się wspaniały dziadek John. Man of action, człowiek sukcesu! I nastawał rok tysiąc

osiemset dziewięćdziesiąty, wielkim gejzerem biła ropa, nazywana wówczas olejem skalnym, i okazywało się, że Stare Roselido pływa na niezmiernym bogactwie, w samym środku roponośnych pól, stanowiąc centralny punkt i znikomy ułamek całego obszaru.

Ale ten dar boski należało jeszcze utrzymać. I nadzwyczajny dziadek zrobił to. Obronił majątek przed drapieżnymi spółkami, nie dał sobie wydrzeć ziemi za jednorazową opłatę. Sponad paru tysięcy właścicieli gospodarstw tylko trzech weszło w skład zarządu konsorcjum, jednym z nich został dziadek John, a self-made man, człowiek mądry, chociaż niewykształcony, znający się na nafcie. A man of his hands!

Aby całej fortuny nie opierać na ropie, przezornie umieszczał pieniądze i w innych przemysłach, a także kupił posiadłość, nazwał ją Roselido, kazał wznieść dom i zbudował grobowiec rodzinny. Legł tu w wieku lat dziewięćdziesięciu ośmiu, pod płytą, na której za życia kazał wyryć inskrypcję po wsze czasy mającą służyć jego sukces: „Będzie on jako drzewo zasadzone nad strumieniem wód,/ Wydając swój owoc we właściwym czasie,/ Którego liść nie więdnie./ A wszystko, co uczyni, powiedzie się.”

We wspomnieniach ojca dziadek był dobry, sprawiedliwy, wspaniałomyślny. Ale Uther pamiętał też dziadka Johna z opowiadań babki i te dwa wizerunki niezupełnie do siebie przystawały. Długo nie mógł odkryć, skąd się ten człowiek wziął.

Nie figurował w księgach gruntowych z nazwiskami farmerów, którzy sprzedali lub wydzierżawili spółce działki, zanim jeszcze przekształciła się w konsorcjum naftowe. Znalazł tam tylko Angusa, męża Deborah, i jeszcze Sarę Stunnington. Skojarzył owo imię z epizodem z dzieciństwa.

Zdarzyło się to w Los Angeles. Uther mógł mieć wtedy jedenaście lat, znalazł się na przyjęciu urodzinowym, gdzie



spotkał dziewczynkę trochę 5d siebie młodszą, nazywała się Amy Stunington.

– Nie wiedziałam, że zapraszasz przybłędy – powiedziała mała dama do małego gospodarza po przedstawieniu jej Uthera i ostentacyjnie odwróciła się od chłopca.

Uther właśnie skrajnie pogardzał babami, uważał dziewczynki za rodzaj domowego zwierzęcia o znikomej przydatności, więc niewiele myśląc huknął impertynentkę w kark, poprawił po lokach.

Podniosła lament. i rzuciła się z paznokciami, więc jeszcze raz jej przyłożył. Teraz Amy darła się wniebogłosy:

– Ty przybledo!

Ryk małej oderwał od brydza w sąsiednim salonie rodziców urodzinowych gości.

– Milcz! – zawołała ostro jej mama słysząc wyzwiska, ale Amy do przybłędy dołożyła jeszcze polskiego włóczęgę.

– Milcz! – powtórzyła matka.

– Przecież sama tak ich nazywasz! – niedyplomatycznie odeła się Amy. Na co mama wymierzyła jej policzek i wywlokła za drzwi.

– Amy Stunington, czy to nasza rodzina? – zagadnął ojca w jakiś czas później, bo nurtował go problem. O drace nie wspomniął.

– Nie utrzymujemy z nimi bliższych stosunków.

– Ale jesteśmy spokrewnieni, czy nie? – nie dał się zbyć Uther.

– Prababka tej dziewczynki, Sarah, była żoną stryjecznego brata twojego pradziadka, więc już nawet nie powinniśmy.

W kilka lat później podczas poszukiwań, natknąwszy się w rejestrze na imię Sarah, Uther skojarzy ją z Amy i niedostępną Vanessą obwarowaną w stylowym domu pod Paryżem.

Informacji dostarczyły także stare roczniki lokalnej gazety. Współcześnie duże miasto Birming City, w pobliżu

terenów Standard Oil, przed naftą było małą miściną. Ponieważ jednak pełniło funkcję ośrodku administracyjnego, miało sąd, więzienie, coronera, policję i pismo: „Siedem Dni Birming City”, założone na piętnaście lat przed pojawieniem się pierwszej wzmianki pisanej o dziadku Johnie.

W końcu ubiegłego wieku tygodnik donosił o bliżej nieokreślonej tropikalnej gorączce zawleczonej w głąb łądu przez imigrantów z Filipin, która przetrzebiła ludność okręgu. Zamieszczał nazwiska zmarłych i osieroconych członków rodzin.

Nieszczęście dotknęło oba klany Stuningtonów. Epidemia zabrała Jonathana, farmera i milicjanta straży obywatelskiej, oraz jego trzy córki, pozostała po nim wdowa Sarah i dwaj małoletni synowie.

Pastwą zarazy padł Angus i Deborah, przy życiu pozostała tylko ich jedyna córka Becky. Johna Stuningtona gazeta nie wymienia.

Pierwszy ślad po dziadku odnalazł Uther w okręgowym Archiwum Akt Dawnych, gdzie zgromadzono wszystkie dokumenty dotyczące ubiegłego stulecia. Księga ludności z roku nawiedzenia przez zarazę zawierała wpis o zawarciu związku małżeńskiego między Becky Stunington i Johnem Stunington ze wsi Titusville w Zachodniej Pensylwanii. John miał wtedy lat dwadzieścia siedem, jego młoda żona osiemnaście. Zaślubiny odbyły się w dwa miesiące po śmierci jej rodziców.

Drugi z najwcześniejszych śladów po Johnie w Birming City to intercyza notarialna figurująca w Księgach Wieczystych, mocą której, między innymi, oboje małżonkowie w razie śmierci jednego z nich dziedziczyli po sobie majątek uznany owym dokumentem za własność niepodziel-

oną. Becky wносиła zabudowania, sześć tysięcy akrów ziemi wolnej od obciążeń hipotecznych, John zadeklarował

świeżo nabytą działkę przylegającą do farmy żony i tysiąc dolarów złożonych w banku w Birming City. Grunt kupiony przez Johna tuż przed ślubem stanowił część areалу wystawionego na licytację po śmierci właścicieli i spadkobierców. Kupił te nieurodzajne piargi za tani grosz.

W żadnym z miejscowych kościołów: anglikańskim, prezbiteriańskim, katolickim, gdzie istniały kroniki urodzin, ślubów i zgonów od czasów założenia parafii, nie było żadnej wzmianki o Johnie Stunningtonie ani o jego związku z Becky.

Nie należeli do żadnego kościoła, a może zagarnęła ich któraś z sekt mnożących się w Kalifornii i przemijających jak efemerydy na przełomie stulecia?

W Roselido przechowywano starą Biblię tłoczoną na pergaminie w Anglii u schyłku siedemnastego wieku z ręcznie malowanymi inicjałami ornamentalnymi, barwionymi złotem, urzefem i purpurą folio, księgę oprawną w cieplącą skórę, z okuciami i klamrą ze srebrnego filigranu, zdobionego korałem.

Pamiętka po pradziadkach, utrzymywał ojciec. Na ostatniej, nie zadrukowanej karcie widniały imiona Becky, jej rodziców i rodzeństwa. To na ich metryki zgonów natknął się Uther podczas poszukiwań w okręgowym archiwum. W Biblii zapisane były daty narodzin i przedwczesnych śmierci dzieci, z nakreślonymi krzyżykami. Tylko czas rozstania ze światem Becky oznaczono innym charakterem pisma i atrament nie wyblakł jeszcze tak, jak na tych wcześniejszych.

Kronikę otwierał ledwo czytelny zapis o dniu ślubu Angusa i Deborah, który odbył się w stanie New Hampshire w Nowej Anglii w kościele prezbiteriańskim.

Jeśli wierzyć w autentyczność notatek na ostatniej stronie starego foliału, rodzice Becky, więc także i ona, należeli do kościoła reformowanego, do odłamu purytanów umiarkowanych.

Jeśli wierzyć, bo kosztowną Biblię, jak wiele innych pamiątek rodzinnych, mógł kupić dziadek albo ojciec Uthera. Wielu antykwariuszy na zamówienie sprowadzało z Europy cenne zabytki piśmiennicze, przystosowując je do wymagań klienta.

Dokonywanie rodzinnych wpisów nie należało do wyjątków. Specjaliści komponowali dowolny charakter pisma i dobierali atrament z odpowiednią patyną.

Złote myśli, maksymy, podobizny przodków w najlepszym gatunku. Tylko dziadek John był za mało wyrafinowany i dlatego spreparowanie portretów pierwszych Stunningtonów powierzył jakiemuś prowincjonalnemu partaczowi ze Stockersfield, który odrobił protoplastów z grawiury dołączanej jako ilustrowany dodatek do gazety, chociaż, trzeba przyznać, gazety wytwornej i wydawanej w Anglii.

Sądząc jednak z brzmienia imion, byli oni protestantami.

Natomiast u Granni wisiały na ścianie dwie madonny. Obie smagłolice, ze skośnymi wąskimi oczyma. Jedna w złotej, sadzonej kamieniami sukience, w koronie, z Dzieciątkiem na ręku, przedstawiona en face, druga – w promienistej aureoli z sierpem księżycy, w bogatej szacie ze srebra, usianej klejnotami, odwrócona do patrzącego en trois quatre.

Najsłynniejsze polskie madonny z ciemnymi obliczami ikon bizantyjskich. Do nich modliła się babka ze skromnego modlitewnika obciążonego czarną skórą, pozakładanego różnymi kolorowymi obrazkami świętych. Nie miała Biblii i nie sięgała po nią.

Czasami jechała do kościoła rzymskiego rytu w Stockersfield, wtedy okrywała głowę kosztownym prezentem syna, wspaniałą hiszpańską mantylą. Krzyżujące się na ramieniu dwa bryty czarnej koronki spływały miękko przez pierś i plecy aż do stóp starej pani. Troskliwie

ogarniając brzegi pysznej tkaniny mościła się w samochodzie.

W wiele lat później Uther jeszcze zobaczy w krainie swej babki kobiety śpieszące na primę w ażurowych szalach na głowach, udrapowanych w ten sam sposób, w jaki ona nosiła swoją mantylę. Granni pozostała wierna tamtej modzie, niezmiennej od kilku pokoleń starych wieśniaczków.

– Bóg jest wszędzie – mówiła, tłumacząc się przed wnukiem, dlaczego tak rzadko odwiedza świątynię – widzi nasze serca i nasze uczynki siedząc na niebieskim tronie.

→ A na czym stoją nogi tego tronu? – badał pięcioletni sceptyk.

– Bóg nie musi się niczym podpierać, jest wszechmocny – odpowiadała z godnością.

Jej Bóg był rzymskiego obrządku, rzymskiego obrządku był Bóg dziadka Johna i ojca, chociaż babka kwitowała ich krótko: – Niedowiarki!

Pendragon Stunnington nigdy nie ukrywał swojej religii, chociaż nie praktykował. Zaliczanie się do tego Kościoła nie przynosiło jego zdaniem ujmy. Wiele możliwych rodzin należało do obrządku rzymskiego, a przez kilka lat jego wyznawca zasiadał w Białym Domu. A jeszcze później, po wyniesieniu na tron papieski kardynała z Krakowa, ojciec Uthera niekiedy nawet lubił podkreślać swoje wyznanie i pochodzenie matki.

Ale zmarła bezpotomnie prezbiterianka Becky Stunnington i bezbożny papista John Stunnington zawarli tylko ślub cywilny, żadne nie zdecydowało się na przyjęcie religii drugiego, czy może pokrewieństwo między nimi wykluczało związek małżeński, zarówno według rytu protestanckiego, jak i rzymskiego, ponieważ oba nie zezwalały na łączenie się osób o bliskich więzach krwi.

Tylko skąd wziął się pośród purytańskich Stunningtonów jeden papista, który w trzydzieści lat po śmierci Becky

i ich jedyne dziecko, mając lat pięćdziesiąt siedem, poślubi w kościele pod wezwaniem Chrystusa Króla w Stockersfield dziewiętnastoletnią polską imigrantkę Annę Surazyńską?

Księga Stanu Cywilnego w Birming City w związku z pierwszym małżeństwem Johna, tamże annały katastralne i Status Animarii parafii w Stockersfield stanu Kalifornia zgodnie wymieniają jego miejsce urodzenia: wieś Titusville w zachodniej Pensylwanii.

Utherowi, czwartemu pokoleniu wzbogaconych na ropie i wdrażanemu do przyszłego administrowania majątkiem, nazwa miejscowości nie była obca. Wiedział, że tam w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym zaczęła się amerykańska nafta i stamtąd wzięła początek największa fortuna Stanów Zjednoczonych, konsorcjum Rockefellerów.

Lecz w Titusville wnuk Johna nie odnalazł żadnej wzmianki o narodzinach dziada, chociaż kroniki kościelne i municypalne przechowały się w komplecie.

Ślad ginął.

Nie znał imion rodziców dziadka i przez długie lata nie zdawał sobie sprawy, że słyszał je już w najwcześniejszym dzieciństwie, i to w polskim brzmieniu, wymieniane przez Granni przed modlitwą za umarłych.

Stanisław i Janina Kardaszowie urodzili się i przeżyli długie lata jako poddani, a po uwłaszczeniu wolni najmici w majątku Markowszczyzna w okolicy Krosna, należącym do polskiego magnata piastującego urząd szambelana dworu monarchii Austro-Węgierskiej. Tamże przyszło na świat najmłodsze z ich dzieci, otrzymało na chrzcie imię Jana Ewangelisty, o czym prawnuk dowiedział się dopiero z dokumentów w Archiwum Imigracyjnym stanu Kalifornia. Tylko tam pozostał ślad, że John Stunnington, zanim urzędowo przyjął nazwisko żony, nazywał się inaczej.

Uther wreszcie zrozumiał niespójność wspomnień ojca, jakby przemieszanych ze sobą dwóch starych, odmiennych rycin. Zapamiętany przekaz Jana Kardasza, jego reminiscencje z galicyjskiego dworu arystokraty spod Krosna rozbudował zapożyczonym obrazem z życia kornwalijskich szlachciców, i taki uznał za własny.

– Był dzielnym człowiekiem, nie rozumiem, dlaczego wyparł się przynależności etnicznej? – zdumiewał się Uther.

Nie rozumiał tym bardziej, że w Kalifornii pozostały trwałe ślady po wybitnych Polakach: Góra Bielawskiego, jezioro Wanda, most w San Francisco zbudowany przez Ralphi Modjewski, syna sławnej polskiej aktorki Heleny Modrzejewskiej. A ostatnie „Who’s Who” wymienia w tym stanie ponad dwustu pięćdziesięciu nieprzeciętnych Amerykanów polskiego pochodzenia spośród ogólnej liczby stu szesnastu tysięcy.

Tylko nie jest pewne, czy Jan Kardasz identyfikował się z narodem, którego reprezentantem dla niego i jego rodziców pozostawał polski arystokrata w służbie Habsburgów.

– Prześledziłem dzieje czterech generacji klanu i nie znalazłem śladu po kobiecie, za której przyczyną ujrzałem światło dnia. – Zwróciłem uwagę, że Uther starał się omijać nazwę: matka, jakby stanowiła pojęcie drażliwe, wymagające ukrywania pod eufemizmami.

Jego podróż w głąb czasu, w miarę czynionych odkryć coraz bardziej pasjonująca, ujawniła pochodzenie rodziny i brak związków krwi między potomkami Kardaszów z Roselido a pozostałymi Stunningtonami na przeciąg pokolenia od śmierci Becky i jej dziecka, póki Vanessa nie poślubiła ojca. Teraz niedostępna, odizolowana na swojej szklanej górze w Nogent-Sur-Marne, najbardziej działała na wyobraźnię.

Jednak ta wiedza nie spełniła oczekiwań.

Wrócił więc do nocy zapisanej w jego metryce jako data

urodzenia i do dzieci, które wtedy podobnie jak i on rozpoczęły samodzielne życie.

Gdy zasięgał o nich wiadomości, dziedzic banku Evansów studiował finanse w Bernie, Douglas Arno-Winter uczył się w Harvard, syn Lucienne Berville, Murzyn o bardzo jasnej karnacji, uczęszczał na ten sam uniwersytet, a jego rodzice, pielęgniarka i szofer, potrafili nastarczyć środków na opłacenie bardzo wysokiego czesnego i innych świadczeń obowiązujących w elitarniej uczelni.

– Istnieją. Zatem nie mogłem być żadnym z nich – skomentował podążając za tylko sobie zrozumiałą logiką.

Z pomocą skąpych danych o Jadwidze Surazyńskiej, utrwalonych na fotokopii karty ewidencyjnej pacjentki, dostarczonej przez specjalistę od sekretnych usług, odnalazł w księgach ruchu ludności w Bostonie akt przyścia na świat i zgonu dziewczynki imieniem Cynthia, powitej przez polską imigrantkę, krajanę jego babki, niewykluczone, że z nią spokrewnionej, a więc i z nim, poza tym zatrudnionej kiedyś w nowojorskim biurówcu Standard Oil.

Na drogim cmentarzu trafił na grób Cynthii. Na starannie przystrzyżonym trawniku, pod prostym marmurowym krzyżem, kwitły kępy biało-różowych stokrotek.

– Miejsce grzebalne zakupiła na wieczność, czyli dziewięćdziesiąt dziewięć lat, i opłaciła jej pielęgnację z góry za lat pięćdziesiąt missis Jadwiga Suragyhka w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym. Od tamtej pory missis Suragyhka nie kontaktowała się z nami ani korespondencyjnie, ani przez rzecznika, ani osobiście. Adresu nie pozostawiła – po sięgnięciu do kartoteki odpowiedziano Utherowi w zarządzie cmentarza.

Na tym łagodnym, zielonym wzgórzu obsadzonym drzewami miejsce ostatniego spoczynku i sprawowanie opieki nad nagrobkiem kosztowało dużo. Jednorazowe opłacenie za pół wieku znaczyło kilkadziesiąt tysięcy.

Poradzono, aby przyszedł w Święto Zmarłych, wtedy pojawiają się tu nawet tacy, co nie odwiedzają grobów swoich bliskich przez okrągły rok.

Przyjechał w Zaduszki. Czekał od wczesnego rana w kąpie rododendronów będących znakiem enklawy. Na mogiłę Cynthii Surażyńskiej przyszła czarna pielęgniarka kliniki „Continental”.

– Dzień dobry, Lucienne – zatrzymał się przy klęczącej, zapalającej znicz.

Zaskoczona, przestraszona, jakby robiła coś zakazanego, nie od razu zdobyła się na odwzajemnienie pozdrowienia.

– Dlaczego ta kobieta nie przyszła sama, tylko wyręcza się tobą, Lucienne, nawet w dzień pamięci?

– Nikt się mną nie wysługuje. Przychodzę tu w każdą sobotę, mam pod opieką cały sektor. Plewie, podlewam, w doroczne święta zapalam światła. Dorabiam na Harvard mojego syna, Uther.

– Podaj mi adres matki Cynthii.

– Nigdy jej nie widziałam i nie wiem, gdzie mieszka.

– Kłamiesz. Jednocześnie urodziły się wasze dzieci i w tym samym miejscu, tę samą noc zapisano jako początek mojego istnienia.

– Nie znałam jej. Mylisz się sądząc, że kolorową pomieszczono w „Continentalu” razem z białymi damami. Aż tak daleko tolerancja nie sięga. Prawda, urodziłam tam Baldwina w budynku wydzielonym dla niższego personelu, gdzie niezbyt chętnie, ale jednak przyjmuje się i czarnych. Oddział ten nie ma żadnej komunikacji z pawilonami noszącymi nazwy kwiatów, przeznaczonymi dla wytwornych, bogatych pacjentów.

– Ona była biedna. Ale dlaczego, gdy do ciebie przyszedłem, wyparłaś się kliniki Orlano Harrocksa!

– Aby uniknąć właśnie takich pytań, ponieważ nic nie wiem i nic nie chcę wiedzieć o białych kobietach, które

wydały na świat dzieci w noc twojego urodzenia, Uther. Bardzo więc proszę, pozostaw mnie w spokoju i nie nadochodź mojego domu.

Nic więcej z niej nie wydobył.

Sprawdził w administracji. Nie kłamała. Ale dodatkowo, sobotnią pracę przyjęła tu na początku roku pięćdziesiątego ósmego, a nie jak sugerowała Utherowi – od czasów Harvardu swojego jedynaka. I rejonu, gdzie pochowano zmarłe niemowlę polskiej imigrantki, nie otrzymała przypadkowo. Podejmując obowiązki zastrzegła, czego Uther dowiedział się od innych porządkowych, powierzenie jej pieczy właśnie sektoru, w którym znajdowała się mogiła córki Jadwigi Surażyńskiej.

Zachowanie Orlano Harrocksa podczas odwiedzin Uthera w bostońskiej klinice od razu wzbudziło jego podejrzenia. Układało się według znanego skądinąd schematu, na jaki junior był szczególnie wyczulony. Tak odnosili się do niego ludzie uzależnieni od ojca, co tym bardziej skłaniało do podjęcia dalszych badań, a te z kolei przyniosły nowe fakty.

– W dniu, kiedy prawnie zacząłem istnieć, a więc w dniu zarejestrowania w Księgach Stanu Cywilnego, doktor Orlano Harrocks, dotychczas nie mający ani jednego udziału, wszedł w posiadanie czterdziestu dziewięciu procent akcji kliniki „Continental”, przedtem należących do mojego ojca, który za pośrednictwem podstawionych osób wykupił całość na cztery miesiące przed moim urodzeniem.

Tropił dalej.

Jedna przesłanka wyłaniała drugą, przypominały rozkręcającą się spiralę. Kolejny pierścień i następny, i następny, otwierający widok na dalsze i dalsze. Wciągało, zwłaszcza kogoś jak on, trawionego obsesją poznania swojego prawdziwego początku. Znów wędrował w czasie.

Na piętnaście miesięcy przed datą zapisaną w jego

metryce jako data urodzenia Vanessa kupuje dom w Nogent-Sur-Marne i wyjeżdża do Francji. Jednocześnie ich głęboko upośledzony syn, wówczas ośmioletni, zostaje przemieszczony z luksusowej przechowalni w San Francisco do luksusowej przechowalni nad Lago Maggiore.

Przez blisko półtora roku Vanessa nie komunikuje się z nikim, niedostępna nawet dla własnej rodziny, obwarowana w domu przy rue Watteau.

Szerzy się pogłoska, że wcale jej tam nie ma. Leczy rozstrój nerwowy w szwajcarskiej klinice. Inna plotka podaje przyczynę budzącą niesmak środowiska. Vanessa ukrywa się w Nogent, ponieważ znowu jest przy nadziei. Gorszy się jej stanem liczny klan Stunningtonów i wytworne towarzystwo, potępiają skandaliczną odwagę tej pary ryzykującej sprowadzenie na świat następnej człekokształtnej okropności. Są przesłanki do ponurych prognoz. Artur nie jest ich pierwszym nienormalnym dzieckiem, poprzedziło go dwoje tak samo niedorozwiniętych, zmarłych we wczesnym niemowlęctwie.

Jesienią pięćdziesiątego siódmego roku kolejny skandal. Stunnington przywozi z Bostonu syna i powierza opiece sędziwej babki, kobiety nigdy nie widywanej przez towarzystwo z Frisco, żyjącej jak za klasztorną furta w Roselido, posiadłości na podgórzu Sierra Nevada.

Niemowlę jest n o r m a l n e – niesie wieść, nikną nadzieje na ewentualną sukcesję bodaj w dalekiej perspektywie, tym bardziej rodzinę Stunningtonów trzęsie oburzenie na bezwzględność i brak poczucia przyzwoitości u tego parweniusza, potomka zwykłego chłopca, który przywłaszczył ich dobre nazwisko. Nie licząc się z niczyją opinią, spłodził i przekazał owo świetne miano dziecku urodzonemu przez nie wiadomo kogo, nieledwie na oczach prawowitej żony.

Według zapisu w metryce matka chłopca nazywa się Lucienne Berville, co niczego nie wyjaśnia. Środowisko nie zna takiej osoby, nigdy jej nie widziało i nigdy nie

zobaczy. A dane biograficzne czarnej pielęgniarki pozostają anonimowe nawet wobec pacjentów z Bostonu, a cóż dopiero w dalekiej Kalifornii.

Vanessa, wciąż niedostępna, przebywa we Francji. Kiedy mały kończy sześć tygodni, wnosi o separację z mężem, pozostaje na stałe w Europie i przez dwadzieścia pięć lat nie zajrzy na rodzinny kontynent.

Po odtworzeniu wydarzeń, które już dawno przestały budzić emocje i odeszły w niepamięć, czasami tylko wspomniane przez starsze panie, Uther stwierdził następne kłamstwo ojca. Jego rozstanie z Vanessą nie nastąpiło, jak sugerował, na długo przed pojawieniem się Uthera, tylko zaistnienie Uthera stało się bezpośrednią przyczyną zerwania.

Uther sumuje przesłanki:

Jego waga jako noworodka pokrywała się z wagą tylko o kilka minut starszego Douglasa Arno-Winter.

Kupienie przez ojca „Continentalu” na cztery miesiące przed urodzeniem syna.

Separacja ojca i Vanessy w sześć tygodni po jego, Uthera, przyjściu na świat. A przecież nie zapomniał odpowiedzi ojca, kiedy po raz pierwszy, niespełna czternastoletni, zapytał o matkę. Usłyszał, że opuściła ich, gdy miał sześć tygodni.

Porzucenie pracy, podróż z Nowego Jorku do Bostonu, opłacenie kosztownej kliniki, a następnie miejsca na cmentarzu i pielęgnacji grobu zmarłego noworodka – nawet na jeden z tych wydatków nie stać byłoby sprząta-czki.

Imię i nazwisko matki w jego metryce brzmi, jak imię i nazwisko czarnej pielęgniarki, która tej samej nocy powiła syna, dziecko o bardzo jasnej skórze. Ale identycznie nazywają się zamieszkali w Kanadzie powinowaci prawdziwych Stunningtonów i szczytą pochodzeniem od wygasłego rodu arystokratów z Burgundii. A Berville to

jeszcze i miejscowość we Francji, gdzie mieszkał bardzo już sędziwy Tadeusz Kościuszko, Polak, wielki generał Stanów Zjednoczonych, bardzo poważany przez ojca Uthera.

Lucienne Berville wynajmując się do opieki na cmentarzu życzyła sobie dbać o sektor, gdzie pochowano dziecko polskiej imigrantki, której podobno, jak twierdzi, nawet nigdy nie widziała.

Solidarność, poczucie wspólnoty losów? Może obie były nosicielkami obcych embrionów poczętych in vitro – podsumował Uther zaskakującym stwierdzeniem.

Nawet przez myśl mi nie przeszło snucie tak fantastycznych wniosków, a i o samym problemie zaledwie słyszałem z gazet. Teraz zaczynałem rozumieć, dlaczego on zabrał się na Sorbonie do biologii, mając ukończoną zupełnie inną dziedzinę w Berkeley.

– Albo urodziłem się w zupełnie innym dniu i dokładnie zatarto ślad po mojej matce, albo pochodzę z retorty, poczęty ektosomatycznie w kolebce biologicznej, jak uczenie nazywają szklany słoje. A tej Murzynce lub Polce, albo obydwu, dla zwiększenia szansy eksperymentu, wszczepiono ziarno Vanessy, bo z jakichś przyczyn ta przerafinowana kobieta nie mogła urodzić normalnego dziecka, więc inplantowano zarodek w zdrowy organizm którejś z tych dziewczyn.

Fascynował mnie swoim wywodem.

– Jak niesie wieść, bostońska wylegarnia, taką opinię ma „Continental”, na parę dziesiątków lat przed rokiem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym, kiedy to kongres Stanów Zjednoczonych zakazał wszelkich prób z ludzkimi komórkami płciowymi in vitro, prowadziła takie doświadczenia i bardzo możliwe, właśnie tam na skutek uszkodzeń genetycznych spartaczono troje dzieci Vanessy, tych nieszczęsnych homunkulusów, aż wreszcie udało im się wyhodować mnie.

Nie były to jedyne teorie Uthera. Obkuty w temacie do granic możliwości, miał jeszcze inną, jeszcze bardziej niesamowitą, czemu sprzyjało wprost niebywale, jak się miałem przekonać, jego podobieństwo do ojca.

– Czytałeś książkę Davida Rorvika „In his Image. The Cloning of a Man”?

Wówczas nie tylko nie czytałem bestselleru, wokół którego niebawem wybuchła wrzawa, lecz nawet nie słyszałem o nim, nie słyszałem też o profesorze z Oxfordu, doktorze J.D. Bromhallu, ani o procesie wytoczonym przez niego amerykańskiemu wydawnictwu. The cloning skojarzyło mi się z ogrodnictwem. Inna sprawa, że do tamtego czasu nie spotkałem się z terminem: klonowanie w odniesieniu do człowieka.

Każda komórka żywego organizmu zawiera dokładną i skończoną informację genetyczną o dojrzałej istocie od koloru włosów po kształt paznokci. Mówiąc z dużym uproszczeniem, można z jednej odrobiny obdarzonej jądrem protoplazmy, pobranej od osobnika, wyhodować inne identyczne jednostki. I to nazwano klonowaniem.

Właśnie doktor Bromhall eksperymentował z zimnokrwistymi i podobno stada żab jednakowych, jak spod sztancy, kicały po jego laboratorium. A David Rorvik opisał w swojej książce, jak uczone z Oxfordu w taki sam sposób wywiódł spadkobiercę bezpłodnemu amerykańskiemu milionerowi, jego żywą kopię, za co profesor podał dziennikarza do sądu. Pod wpływem nagromadzonej wiedzy, przez lata trawiącej obsesji i skutkiem owych rewelacji – Uther skłonny był zupełnie serio brać pod uwagę swoje zaistnienie przez klonowanie z udziałem anonimowej kobiety. Tu znów powracamy do Murzynki i imigrantki, które w tym kontekście właściwie zostają sprowadzone do roli przedmiotu, instrumentu, rodzaju organicznego inkubatora, w jakim przez czas przewidziany naturą będzie dojrzewał pozapłciowo poczęty szczep.

Powodowało to lawinę problemów etycznych, moralnych, uczuciowych i najbardziej dręczące pytanie, czy taka kobieta jest chociaż cokolwiek matką, czy nie, czy odczuwa przynajmniej cień sentymentu do wyżywionej w swoim ciele istoty.

Aby potwierdzić lub odrzucić swoje teorie, w tajemnicy przed ojcem i wystrzegając się oddanych mu ludzi, co nie sprzyjało przedsięwzięciu, bezskutecznie poszukiwał polskiej imigrantki, noszącej nazwisko babki.

Dotarł do ostatniego miejsca jej zamieszkania w osadzie pod Nowym Jorkiem i tu ślad ginął. Znów natknął się na barierę wzniesioną tą samą, znaną dłonią. Osiedle standardowych domków w pięć lat po urodzeniu Uthera zostało wykupione przez Standard Oil i nie pozostał tam nikt z dawnych mieszkańców, nikt, kto mógłby coś powiedzieć o nowym miejscu Jadwigi Surazyńskiej na ogromnym kontynencie.

Umknął więc do Europy spod kontroli ojca, co miało się niebawem okazać jeszcze jednym złudzeniem, zajął się biologią i językiem polskim, hołubiąc projekt wyjazdu do starego kraju babki. Ale się doń nie śpieszył. Może podświadomie bał się utracić czar ziemi niezwyklej i jedynej, arkadię stworzoną nostalgią polskiej Granni.

W tym okresie jego życia zadzierzgnęła się nasza przyjaźń.

– Być może poszukiwana przez ciebie kobieta utrzymuje więź z dawnymi znajomymi albo rodziną w Polsce. Można próbować do nich trafić – doradziłem wielce zadowolony ze swej przenikliwości, popełniając ten sam błąd, co i Uther. Żadnemu z nas nie przyszło do głowy szukać jej poza Stanami.

Następstwem mojego, jak sądziłem, znakomitego pomysłu, do którego Uther się zapalił, było ogłoszenie w polskiej prasie. Zatelefonowałem do ojca, a on umieścił w gazetach

apel do ludzi korespondujących lub znających amerykański adres Jadwigi Surazyńskiej.

Niebawem po naszym powrocie ze Szwajcarii przyszedł wieczorem na moje poddasze Uther starszy o kilka dzieśiątków lat. Taki sam wzrost, brązowe oczy, faliste włosy, tylko srebrne, takie same rysy twarzy i podobny wyraz niezadowolenia, bo był to Uther niekontent. Wrażenie pogłębiało brzmienie głosu. Emanował Yardleyem i pewnością siebie.

– Uther – mruknąłem zaskoczony, bo mignęło podejrzenie, że dla kawału przebrał się i ucharakteryzował na siwowłosego dżentelmena. Mimo wszystko nie wyobrażałem sobie aż tak uderzającego podobieństwa między nim i ojcem.

– Pon Stunnington o cie c – zagadał towarzyszący mu krzepki facet, z twarzą postarzałego młodzieńca i wyrazem sennego psa. – Mój pon mo ku wom biznes – prawił dalej, przekładając skażoną chłopską gwarą myśl patrona. – Un kce, abyšta się od Uthera odstrychnęli, za co da wom piniundzów.

– Nie potrzebuję pośrednictwa – zwróciłem się do starego po angielsku.

– Poczekaj na korytarzu, Steve – Stunnington odprawił osobliwego tłumacza.

– On nie umie mówić po polsku – doniosłem, jak tylko za tamtym zamknęły się drzwi.

– Nie trzymam go dla znajomości języka. A ty powiedz swojemu ojcu, aby nie mieszał się do moich spraw. Zrozumiano?

– Nie zrozumiano – warknąłem.

– Wiem o was wszystko. Twój ojciec prowadzi jakieś poszukiwania na zlecenie mojego syna. Od niego Uther dowiedział się o Szwajcarii.

– O Szwajcarii Uther dowiedział się dość dawno z lekcji



geografii – nie poczuwałem się do odkrycia homunkulusa nad Lago Maggiore.

– Nie przyszedłem słuchać głupich dowcipów.  
– A w ogóle po co pan przyszedł?  
– Zatelefonujesz do ojca, aby zaniechał wszelkich interesów z Utherem, a ty przestaniesz się z nim widywać. Dam pięć tysięcy dolarów.

– Phi! Tyle to ja dostaję na drobne wydatki – zrobiłem zblazowaną minę. Wrzałem.

– Dziesięć i ani centa więcej.  
– Tata zabronił brać money od nieznajomych.  
– Możesz układ przyjąć lub nie, możesz także bezinteresownie przestać mącić w głowie mojemu synowi, jeśli jesteś aż tak głupi, żeby nie skorzystać z okazji. Tylu pieniędzy nie zarobisz zmywając paryskie wychodki. Ale jeśli nie pozostawisz w spokoju Uthera, szybko zbrzydnie ci to miasto. Obiecuję. Nie przyjmie cię do roboty żadna garkuchnia, wyrzucą z tej facjaty i nie wynajmą żadnej innej. A wiesz chyba, jak Francuzi traktują uciążliwych cudzoziemców.

Bardzo chciałem powiedzieć mu coś przykrego, ale opanowałem się przez wzgląd na Uthera, tylko otworzyłem szeroko drzwi z ukłonem, jakiego nie powstydziliby się rasowy maître d'hôtel.

– Mam zaszczyt pana pożegnać, mister Stunnington!  
– Żebyś nie żałował. Dotrzymuję postanowień.  
– Nie wstyd panu, poważnemu człowiekowi, dyrdać na siódme piętro i straszyć studenta? Nie ma pan już nic lepszego do roboty?

Uthera spotkałem na Sorbonie dopiero po kilku dniach.  
– Ojciec zablokował mi konto, rozumiesz.  
– Nie powód, abyś od nas stronił. Twój ojciec był u mnie i proponował pieniądze.

– Jego ograny chwyt. Chce mnie zmusić do powrotu do domu. Koszmarny tato, nie? Oczywiście prędzej zdechnę,

niz on postawi na swoim, ale od was powinienem trzymać się z dala, inaczej narobi wam kłopotów. Potwór! Kiedyś taki nie był, z wiekiem podleje – nie patrzył w oczy, wstydził się.

– Jakoś to będzie. Chodź do nas, razem przetrzymamy szajbę twojego autora.

– Ja przez niego nie znajdę żadnego zajęcia, a was pozbawi i pracy, i dachu nad głową. Może zastraszyć patrona albo kazać zdemolować jego lokal. Stać go na to, potrafi wykonać, co zapowiedział. Nigdy ci do końca nie powiedziałem, jaki jest bogaty. Połowa akcji Standard Oil, udziały w cynku, miedzi, kawie i Bóg wie, w czym jeszcze.

– Nie damy się szantażować. Idziemy do mnie. – Wycofać się byłoby poniżej mojej godności.

Uther był smutny, wściekły i głodny. W kieszeni został mu abonament na przejazdy metrem i kilka franków. Po powrocie ze Szwajcarii jego książeczka czekowa nagle straciła moc.

Ojciec milioner, majątna macocha pod Paryżem, w kręgu bliskich znajomych kilku tutejszych prominentów finansowych, a liczyć nie mógł na nikogo z nich.

– Sprzedam mieszkanie. – Uther kupił je po przybyciu do Paryża.

– Nie sprzedawaj, wynajmij, będziesz miał na życie, i sprowadź się do nas – aż tyle na raz powiedział Sven poruszony sytuacją Uthera.

Jedliśmy smażone kartofle z bigosem. Stanowił obok ryb Svena i mamałygi Otokara filar codziennego wyżywienia i zwierciadło sytuacji finansowej na naszym poddaszu. Potrawa praktyczna, trwała, nie do zdarcia. Proporcje składników w kociołku, jaki prawie zawsze dyżurował w lodówce kupionej okazyjnie przez Svena, wahały się stosownie do stanu naszego budżetu.

Poczciwe warzywo ratowało od głodu, zimna i złego samopoczucia nas, Otokara, współnika od zmywania,

i wielu naszych znajomych. A obie nasze nory śmierdziały kapustą jak królicza jama. Więc i teraz niezawodna jarzyna, ugotowana z najtańszym mięsem, podtrzymała na ciele i duchu jedyne spadkobiercę kalifornijskiego potentata.

Uther dostał materac turystyczny i puchowy śpiwór Svena. Nasze sekretne przejście w ścianie pozwalało przemieszczać się bezszmerowo na wypadek niepożądanych wizyt. Stróżka nie powinna i nie dowie się o przybyciu nowego lokatora, a i o cie Stunington nigdy nie dopadnie tu syna.

Gra zaczęła wciągać. Oczywiście, przede wszystkim starałem się pomóc Utherowi w przetrwaniu trudnego czasu, ale też bardzo chciałem utrzymać nosa chamowi, co z wysokości wora z pieniędzmi traktował mnie jak istotę pośledniejszego gatunku, którą można bezkarnie obrażać. Zdecydowani na walkę do ostatniego franka i ostatniego wybiegu trwaliśmy w oczekiwaniu ataku, lecz przeciwnik nie wydał nam bitwy. Wprawdzie konto Uthera podlegało blokadzie, ale nikt nie przyszedł grozić naszemu patronowi ani rozbijać jego lokalu, nawet nikt nie doniósł konsjerżce o przetrzymywaniu waleta ani nie przeszkadzał Utherowi w usiłowaniach, zresztą bezskutecznych, odnajęcia kawalerki. Nie znalazł się amator, stało puste jak wiele luksusowych mieszkań w drogich dzielnicach ze względu na zbyt wysokie czynsze. A Uther związany klauzulą kontraktu kupna, nie miał prawa samowolnie komornego obniżyć.

– Nie taki diabeł straszny... – doszedłem do wniosku, zadowolony i trochę zawiedziony obrotem sprawy. Mój rozsądek cieszył się ze spokoju, waleczny duch wyzywał przeciwnika na udeptaną ziemię.

– Bierze mnie na przetrzymanie – przewidywał Uther.

– Ruszyło go sumienie – mruczał Sven.

Nastąpiła sroga zima, całą Europę gnębiły mrozy i śnieżyce. Sekwana stanęła – zamarł ruch rzecznych barek, za-

marł towarowy port. Zabrakło pracy przy przeładunku, gdzie udawało się niekiedy zarobić. Z braku opału Sorbona zawiesiła wykłady. Na naszym poddaszu, pozbawionym urządzeń ciepłych, siadywaliśmy zbici w gromadę wokół prymusa, na nim perkotał kociołek z gorącą wodą dając złudzenie ogrzewania. Śmierdziało kapustą, petami i starym, wyiębłym, zawilgoconym murem. Ani mowy o jakimś grzejniku elektrycznym. Na całym strychu nie było nawet jednego gniazdka. Podłączenie do przewodu oświetleniowego też nie wchodziło w rachubę. Nawet wkręcenie żarówki o większej mocy niż czterdzieści wat wywalało bezpieczniki, założone właśnie dlatego, aby lokatorzy poddasza nie pobierali więcej energii, niż zostało wyliczone dla jednej lampy na każde pomieszczenie, a wszelkie korki i liczniki, żeby zapobiec niepowołanym manipulacjom, znajdowały się pod kluczem w loży konsjerżki.

– Płacę za mieszkanie, nie za igloo! – Sven z obrzydzeniem obserwował szadź porastającą ścianę i okrągłą szybę umieszczonego pod sufitem oeil-de-boeuf, świetlika, zwanego wolim okiem. Zaciągnięty bielmem zmarzłoci dmuchał lodowatym wiatrem i niczego nie oświetlał, bułaj na lodołamaczu!

– Ale karakony wymarzną – krzepił nas Uther w uszan- ce, szaliku i rękawiczkach.

– Wytrzymują pięćdziesiąt stopni mrozu i siedem lat bez żarcia – nie wiem skąd Otokar czerpał takie wiadomości. – Przetrzymały w dobrym zdrowiu wybuch nuklearny na Bikini, są nie do zdarcia.

– Palmy, słońce, gorący piasek. Bardzo gorący piasek. Palmy, słońce... – szemrała Ismaila, cynamonowa dziewczyna Svena. Siedziała na łóżku zakopana po czubek nosa we wszystkie szetlandy Szweda, jej śliczna buzia straciła barwę rozjaśnionego mahoni, poszarzała. Dygotała z zimna. Próbowwała rozgrzewać się autosugestią.

– W Szwecji w ogóle nie ma takich parszywych mieszkań!

– W Kalifornii zawsze świeci słońce.

– Jak mój ojciec był w partyzantce...

– Dom wariatów – jęknęła Ismaila. – Zmiłuj się, Otokar, ja już wszystko wiem o ruchu oporu w Jugosławii!

– Cicho bądź, nie wszystko. A o żeliwnych piecykach w partyzanckich ziemiankach mówiłem? Nie mówiłem!

– Koza! – klepnąłem się w czoło. Tylko Macedończyk mógł wpaść na to. Znana nam już z tyłu i przodu partyzantka jego taty, jeszcze wciąż inspirowała do praktycznego myślenia.

Pojechaliśmy na Belleville, w składzie starzyzny wygrzebaliśmy mały cyganek, nie większy od wiadra, obły cylinder z fajerką i popielnikiem na trzech ugiętych nóżkach, kilka kształtek i kawałki rur.

Po przytaszczeniu wszystkiego pod bramę Sven stanął przed oszkloną lożą konsjerżki zasłaniając swą okazałą sylwetą widok na klatkę schodową.

– Nie przeziębisz się pani, madame? – zagaił towarzysko.

Jej komórka także nie miała grzejnika ani elektrycznego gniazdka dla wtyczki. Nędzny, stary dom przy biednej ulicy z ubogimi mieszkańcami i ubogą portiernią dożywał swych dni wraz ze swoją stróżką, która od trzydziestu lat patrzyła, jak te kamienice, szykowne pod koniec stulecia, chyła się ku ostatecznej ruinie.

Właściciel od dawna nie łożył na większe remonty, eksploatował do oporu, czekał rychłego skazania budynków na rozbiórkę. Wtedy wyrzuci lokatorów, teraz chronionych prawem lokalowym, i wpuści buldożery. Na coraz cenniejszym gruncie staną nowoczesne punktowce, komfortowe, drogie, schludne i... bez oblicza.

Okutana w szmaty stróżka w rękawiczkach z uciętymi palcami grzała ręce nad garnkiem wypełnionym żarzącym

się węglem drzewnym. Narzekaniom Svena na zimę wtórowała narzekaniem na rząd:

– Słyszane rzeczy, monsieur, zamiast zbierać śnieg, zbiera się rząd i radzi, jak zebrać śnieg! A podatnik płaci, więc na co wydaje się nasze pieniądze?

Sven, jak przystało na dobrze wychowanego cudzoziemca, nie krytykował organu wykonawczego Republiki, tylko osłabiał czujność madame, asystując upustowi jej goryczy.

I tak przeszwarcowaliśmy kozę, której konsjerżka nie wpuściłaby do domu za żadne skarby ze strachu przed pożarem, a poza tym regulamin nie przewidywał podobnych komfortów dla mieszkańców strychów.

– Louis Piętnasty – uśmiechnęła się do piecyka Ismaila. Cylindryczny kadłubek, wsparty na krzywych nóżkach z zatartym ornamentem, przywiódł jej na myśl ludwikowskie rokoko. Imię przylgnęło, pozostał Ludwikiem. Ustawiony na środku dziupli Svena, rozpalony do czerwoności cyganek gorzał jak serce, cieszył oczy widokiem ognia, pieścił słuch muzyką syconych płomieni, promieniował ciepłem. W moich wspomnieniach ta sroga paryska zima zrosła się z obrazem buzującego szkarłatem Ludwika. Wszystko zdawało się sprzyjać naszemu pognębieniu. Zacięły się rodzinne dotacje Svena, wpływało tylko ascetyczne minimum. Demonstrowano niezadowolenie z przedłużających się studiów syna, zapowiedzianych na cztery lata, a już trwających sześć.

Z moim kontem zaopatrywanym przez ojca działało się to samo, co z temperaturą. Saldo gwałtownie poleciało w dół, aż osiągnęło zero. Zacni i oszczędni obywatele francuscy, zatrudniający na godziny przy kuchni i sprzątanii czekoladową dziewczynę Svena, prywatnie studentkę socjologii, wyjechali na zimowe wakacje i uwięźli w Chamonix, więc Ismaila pozostawała bez pracy i płacy. Finanse Uthera prezentowały ustabilizowane dno.

Całą naszą gromadę utrzymywali Szwed z Macedończykiem, zmywając gary w barze szybkiej obsługi, gdzie ja się już nie pokazywałem, aby nie narażać ich także na zemstę Stunningtona.

W poszukiwaniu rezerw Ismaila zlikwidowała swoje mieszkanie, i tak więcej przebywała u nas niż na swojej kwaterze w Belleville. Lecz nie zrobiliśmy na tym kokosów, musiał ją Sven zgłosić jako współlokatorkę. Konsjerżka zbyt dobrze знаła układy: to ta mała Marokanka od naszego wielkiego Szweda.

Natomiast Jug przeniósł się do nas bez biurokracji. Tak zyskaliśmy drugiego waleta i pięćset franków miesięcznie, dotychczas płacone przez niego za łóżko w wieloosobowym pokoju w suterenie pensjonatu obok placu Republiki, prowadzonego przez Serba emigranta.

Kiedy nasze notowania przedstawiały się wyjątkowo beznadziejnie, zjawił się u nas chłopiec, kruczoczarny Puk ze „Snu nocy letniej”, może piętnastoletni – na takiego wyglądał. Nigdy go dotychczas nie widziałem. Zadzwoił do drzwi Svena. Od czasu zamieszkania z nami Otokara moje wejście nie otwierało się przed nikim.

– Zastałem Amerykanina? – rozejrzał się ciekawie po naszej jaskini, zsunął na plecy wełniany baszłyk, potrząsnął pięknie osadzoną głową. Włosy sięgające ramion podtrzymywała barwna indiańska krajka. Tego sezonu nosiły ją wyrostki na całym świecie za przykładem tenisisty Borga.

Czerwono-żółta opaska podkreślała oliwkową skórę, ciemne oczy i długie wywinięte rzęsy. Mały wyglądał na Araba, w tym wieku ci wschodni chłopcy podobni są do ślicznych dziewczyn.

– O co chodzi? – nie odpowiedziałem na pytanie. Wprawdzie prezentował się nieszkodliwie, ale najpierw wolałem wiedzieć, dlaczego chce widzieć Uthera.

– Proszę się nie obawiać, jestem przyjacielem – powiedział z powagą. Mówił źle po francusku, ale moje ucho, obrażane codziennie błędami osobników pięciu narodowości, nie potrafiło odgadnąć, jaka to znowu nacja zmagająca się z językiem Woltera.

– Ja się niczego nie boję – pouczyłem szczeniaka. – A kim ty jesteś?

– Michelangelo.

– Bounarotti? – zażartowałem. Jeśli już kogoś przypominał, to nie szpetnego Michała Anioła, tylko młodego Dawida jego dłuta.

– Michelangelo Owerola – ugiął w uśmiechu piękne usta. – Przyniosłem pieniądze dla Amerykanina.

– Trzeba było od razu tak mówić. Ale Uthera nie ma – dyżurowałem przy Ludwiku. Stunnington gdzieś poszedł nie opowiadając się, Ismaila ze Svenem jeszcze nie wrócili z miasta, Otokar odrabiał w barze. – Rozgość się. Od kogo są pieniądze dla Amerykanina?

– Mamma zwraca z podziękowaniem pożyczkę... Ale szpan, bomba! Można obejrzeć? – zachwyt odnosił się do mojej torby, wiszącej na zagłówkę łóżka.

– Można – zezwoliłem wspaniałomyślnie. Tego sezonu Dzielnica Łacińska ubierała się w stylu militarnym, kurtki, spodnie wojskowego kroju, juchtowe buty z wysoką cholewką, szyku dopełniało skrzyżowanie chlebaka z sajdakiem, noszone na pasku przez ramię.

Moja torba miała klapę pokrytą srebrzystą dziczą szczeniaki i dwa rzędy patrontaszy po bokach, pochodziła ze sklepu myśliwskiego na Nowym Świecie w Warszawie – była wspaniała. Na moją wzmiankę w liście przysłała ją matka pierwszą okazją, aby, broń Boże, dziecko nie czuło się ubogim krewnym w tym Paryżu i nie nabawiło się kompleksów.

– Muszę już iść, mamma kazała prędko wracać. Zosta-

wię u pana pieniądze. – Przyjąłem dziesięć tysięcy franków i razem z chłopcem wyszedłem z domu.

– Nie trzeba mnie odprowadzać – obruszył się wyrostek.

– Idę do sklepu, nawet nie wiesz, jak bardzo w porę twoja mamma oddała dług.

– Pieniądze zawsze są w porę – uśmiechnął się Michelangelo i znikł w perspektywie ulicy. Przysłonił go padający grubymi płatami śnieg.

Nakupiłem różnych dobrych rzeczy z uwzględnieniem indywidualnych gustów naszej międzynarodówki. Należało się wszystkim po tygodniach kapuścianej diety, którą najgorzej znosiła, a raczej nie znosiła Ismaila. Toteż pamiętałem o daktylach, za którymi tęskniła najbardziej. Zaraz też wystawiłem na korytarz kociołek z pocziwym warzywem i otworzyłem bulaj na naszym lodolamaczu, aby przewiało bukiet nieodłączny tej potrawie. I zaraz zeszli się wszyscy jeden po drugim, i jak zwykle Ismaila nie doceniła moich wysiłków.

– Śmierdzi jak w norze u skunksa – węsząc rozdeła cienkie chrapki. Często mówiła coś takiego, gdy wracała ze dworu. – Otworzyć okno? – popatrywała na nas z rozterką.

– Od smrodu jeszcze nikt nie umarł, a od mrozu Napoleon przegrał kampanię moskiewską – przestrzegłem.

– Oliwki, wino, westfalska szynka, broszetki, daktyle, cztery rodzaje sera – wyliczał Sven bobrując po stole. – Jesteś wielki! – to o mnie.

– Wiadomo, my Słowianie! – przyszył się do więzi plemiennej Otokar.

Pozwalałem się uwielbiać i pławiłem w pochwałach, ale niedługo, bo wszyscy chcieli znać źródło nieoczekiwanej fortuny.

– Przyjaźnisz się z baronem Rotschildem? – zagadywała Ismaila, wytwornie pojadając słodkiego jak patoka

wschodniego ptysia, ociekającego tłuszczem, lukrem i bakaliami.

– Nie, ale z naszym osobistym milionerem. Uther, kolację wydałem na twój rachunek. Z dziesięciu tysięcy franków wydatkowałem dwieście czterdzieści pięć. Oto reszta – położyłem przed nim pieniądze.

– A skąd je miałem? – patrzył na banknoty jak pies na jeża, nie tknął ich, podejrzewał kawał.

– Michelangelo Owerola zwrócił pożyczkę zaciągniętą przez jego mamkę.

– Seniora Owerola nie była mi nic dłużna.

– Może zapomniałeś, zdarza się.

– Kto, mówisz, to przyniósł?

– Michelangelo Owerola, wyrostek śliczny jak Ismaila – skłoniłem się dwornie pięknej dziewczynie Svena i powiedziałem, jak wyglądał mały Włoch.

– Michelangelo Owerola ma dziesięć miesięcy – zawiadomił Uther. Seniora Owerola była dochodzącą sprzątaczką, między innymi utrzymywała ład w kawalerce Uthera.

– Może to jego starszy brat?

– On nie ma brata, tylko cztery siostry, ale nie wysilaj się, Bej, żadna z nich nie mogła udawać wyrosniętego chłopca. Najstarsza ma osiem lat. Ecco! Gadaj, skąd naprawdę wzięłeś pieniądze?

– Mówię poważnie. W każdym razie przyniósł je ktoś, kto dokładnie zna twoje obecne miejsce zamieszkania.

– Nikomu nie podawałem waszego adresu.

Rzeczywiście zachowywał szczególne środki ostrożności, nawet korespondencję odbierał u konsjerżki w domu, gdzie miał mieszkanie. Pocztę otrzymywał rzadko, przeważnie od Cor, swojej dawnej opiekunki, a chociaż wyszła za mąż i miała już własne dzieci, zachowała sentyment dla wychowanka. Natomiast listy ojca zwracał nie otwierając, o czym powiedział nam dopiero teraz.

– Twój ojciec zna adres Beja – wtrącił Otokar. Wszyst-

kich intrygował posłaniec z imieniem pożyczonym od oseska, oddający nie pożyczone pieniądze.

– Chłopiec pukał od razu do Svena, a mister Stunnington nie zna naszych układów – powiedziałem.

– No to poznał – zamruczał Sven. – Ale nad czym łamiecie głowy, przecież jasne. On ci zamknął konto, ty nie przyjmujesz jego korespondencji. On nadal nie chce odkręcić kranu z pieniędzmi, ale też nie chce, abyś zmarniał, więc posłużył się jakimś włoskim wyrostkiem, żeby dać ci środki na utrzymanie.

– Nie w stylu mojego ojca. Nie bawiłby się w szlacheckiego anonima, tylko zwyczajnie uruchomił mój rachunek i kazał mi o tym zawiadomić. Lubi, aby wiedziano o jego wspaniałomyślności.

– Dlaczego chłopiec miałby podawać cudze nazwisko?

– Zwróćcie uwagę, małego przysłano pod nieobecność Uthera!

– Co nie wyjaśnia, dlaczego posłużono się osobami rodziny Oweroli.

– A gdyby akurat nadszedł Uther?

– Pomyślano tak, aby nie nadszedł. Kto wiedział, dokąd wychodziłeś?

– Tylko Anne-Marie. Spotkałem się z nią w „Rotonde”. – Chcieliśmy wiedzieć, kim jest Anne-Marie. – Dziewczyna z okładki. Modelka z Vogue’a – dodał jakby z przymusem.

– Może ona posłała ci pieniądze.

– Ona wie, że Michelangelo ma dziesięć miesięcy, chociaż domyśla się moim kłopotów. Nawet proponowała pożyczkę, oczywiście odmówiłem.

– Oczarowała go moja torba. Oglądał, przymierzał, do szczętnie wybebeszył! – dopiero teraz zachowanie wyrostka zaczęło mi się nie podobać. Kiedy nicował torbę, ciekaw, jak wygląda w środku, a potem krygował się z przewieszoną na ramieniu i było go pełno w obu naszych dziuplach, kiedy bobrował wśród książek, skryptów i całej-

go bałaganu na biurku, dziwne, ale nie wydawał mi się ani wścibski, ani nienaturalny, przeciwnie, szczerzy i spontaniczny. Budził sympatię. Mały hochsztapler! Ale czego szukał, co chciał znaleźć, jeśli rzeczywiście szukał.

– Nie poświęcono dziesięciu tysięcy za możliwość zrewidowania twojej torby – Sven nie wierzył w jakąś przewrotną misję wyrostka.

– Też tak sędzę – przejrzałem dokumenty, drobiazgi, nie brakowało niczego. Tylko nigdzie nie mogłem znaleźć listów od ojca. Trzymałem je w biurku. Zniknęły.

Między innymi zawierały lakoniczne wzmianki dotyczące poszukiwań Jadwigi Surazyńskiej. Ale jeśli ktokolwiek zabrał korespondencję, aby w niej znaleźć informacje na ten temat, z pewnością doznał zawodu. Mój ojciec z zasady nie zwykł się rozpisywać, a z Utherem komunikował się telefonicznie. Nawet tekst ogłoszenia ustalili w ten sposób. Brzmiało:

„Osoby posiadające wiadomości o Jadwidze Bartnik-Surazyńskiej, urodzonej w Wigajnach w Ziemi Suwalskiej w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, proszone są o napisanie do Biura Ogłoszeń w Warszawie, numer oferty... Zapewnia się zwrot wszelkich ewentualnych kosztów. Nagroda”.

Na kilkakrotnie powtórzony apel w prasie warszawskiej i wschodniego obszaru Polski dotychczas odpowiedziała tylko jedna kobieta:

„Jadwiśka z Bartników-Surazyńskich, w odróżnieniu od innych, nazywanych Nikodemowymi, przyszła na świat w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, a nie trzydziestym dziewiątym, jak podano w anonsie. Została zabita mając lat sześć.

Jadźka z Bartników-Surażyńskich, z rodziny zwanej Zielarzami, urodzona w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, wraz z matką Stanisławą zaginęły nie-  
długo po wojnie w niewyjaśnionych okolicznościach”

I nie było więcej w Wigajnach Jadwig urodzonych w po-  
danym czasie – donosiła sędziwa mieszkanka wioski, Jo-  
anna Smolarz-Surażyńska, świadek śmierci Jadwiški  
w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

Większość mieszkańców wsi miała takie same nazwiska,  
a często identyczne przydomki, imiona ojców, a nawet  
dziadów. Stąd nie pisane nigdzie, zwyczajowe przezwiska,  
jak na przykład Nikodemowi, Zielarze czy Smolarze.

Po drugiej wojnie wielu rozbiegło się po świecie, ale nie  
słyszano tu, żeby ktoś z Wigajn wyemigrował do Ameryki.  
Owszem, zaraz po wyzwoleniu, tamtejsza powinowata  
Nikodemowych, Anna Stunington, poszukiwała krew-  
nych, ale nikt z nich nie przeżył.

Dopiero teraz Uther dowiedział się, że jego polska  
Granni interesowała się, o czym nigdy nie wspomniała,  
losem dalekiej rodziny w starym kraju.

Nasza niepomysłność zdawała się mijać. Otrzymaliśmy  
z Utherem pracę na dworcu towarowym przy przeładunku  
węgla.

Słupek rtęci wciąż leciał w dół. Takiej temperatury nie  
wytrzymywali algierscy gastarbeiterzy, siniały ich oliw-  
kowe twarze, niewiele pomagała rozgrzewka przy żelaz-  
nych koszach napełnionych gorejącym koksem, o które  
zadbała wynajmująca nas spedycja. My rzadko przysta-  
waliśmy w kręgu ciepła, praca na akord, płacono od  
wagonu.

– Żyła z ciebie – nie doceniałem odporności Uthera.  
Pochodził przecież z łagodnego klimatu, w porównaniu

z Kalifornią Paryż leżał w strefie chłodnej, nawet bez  
wyjątkowych mrozów.

– Spodziewałeś się niedołęgi? – podniósł na mnie za-  
czerwienione od wiatru oczy. – Pochodzę z twardej rasy  
i prędzej zdechnę, niż dam się złamać Potworowi.

W tym przezwisku dźwięczało echo szorstkiej czułości,  
żalu, niechęci. Splot uczuć zawężlonych i nie do rozsypła-  
nia. Kilof rąbał z pasją, szufla z furją spychała bryły. Uther  
zwał z lory węgiel przeciwko ojcu.

Wieczorem waliliśmy się jak snopy, zasypiając nad  
talerzem podsuniętym przez przyjaciół. A po paru tygod-  
niach nadeszło zawiadomienie z banku, jedno na stary  
adres Uthera, drugie przyniósł posłaniec do pokoju Svena.  
Potwór złamał się, ale dał do zrozumienia, że wie, gdzie  
szukać syna.

Kiedy jego książeczka czekowa odzyskała dawną moc,  
Uther chciałłożyć na nasze potrzeby i wynająć lepsze  
mieszkanie. Lecz chociaż wcale nie przyszło łatwo, opar-  
liśmy się pokusie.

– Nie byłoby dobrze, Uther. Nikt z nas nie czułby się  
swobodnie. Jeśli znajdę się w prawdziwej potrzebie,  
pierwszy strzelę cię na pożyczkę – Otokar wyraził, co mniej  
więcej odczuwało każde z nas po opanowaniu chęci sko-  
rzystania z okazji.

– Możesz zapłacić nasz czynsz do końca roku – łaskawie  
przyzwoliła Ismaila. – To będzie sprawiedliwie, co, Euro-  
pejczycy?

Nadciągała paryska wiosna.

Za szybami kwiaciarń omdlewały tuberozy i nicejskie  
fiolki. Zaproszony przez Sorbonę rozpoczął wykłady na  
wydziale literatury słowiańskiej polski pisarz. Pisał świet-  
nie, równie świetnie mówił. Znajomość przedmiotu i dar  
słowa w doskonałej francuszczyźnie jednały mu sympatię  
słuchaczy.

Na jego wykłady ściągali także ludzie nie zajmujący się

na co dzień filologią polską. Wielu przychodziło, jak się przychodzi na spotkanie z gwiazdą, urzekały erudycja swoboda narracji, dowcip tak ceniony przez Francuzów.

Zaciekawiony i dumny ze świetnego rodaka biegałem na jego odczyty, żadnego też nie opuścił Uther. Potem przepadał w starej księżnicy, pamiętajacej Mickiewicza Bibliotece Polskiej, obok katedry Notre-Dame. Rozczytywał się w książkach tego pisarza, już zupełnie dobrze radził sobie z oryginałem, prawie wcale nie korzystał ze słowników.

– On robi z językiem, co chce – mówił o pisarzu – leży mu u nóg jak pies, zdaje się prosić: każ pochodzić na zadnich albo na przednich łapach, każ żonglować, tylko nie każ milczeć, bo bez ciebie waruję po leksykonach poprawny, porządny i nijaki.

Na jednej z prelekcji spotkałem Uthera z dziewczyną w rudobrazowym kostiumie przybranym mankietami i szalem z rdzawego lisa. Wpięty w futro cyklamen podkreślał twarz delikatną i drobną, smagłą skórę, orzechowe oczy i włosy płowe, opadające na ramiona.

Anne-Marie, modelka z Vogue'a.

– Zaczekajcie na mnie, niedaleko jest miły lokal – rozporządziła nami siadając za kierownicą dwuosobowego bolidu barwy morskiej wody.

– Gazeciana Gioconda – zamruczałem do własnej brody, bo nie godziłem się na urok, jakim promieniowała, i aby pozbyć się uczucia zazdrości, tak! pozazdrościłem Utherowi świetnej dziewczyny.

– Coś mówiłeś? – nie zrozumiał mojego mamrotania.

Pośród labiryntu starych domów „Chez Jacques” zajmował piwnicę, zapewne pamiętajacą czasy wczesnych Ludwików, ciasną, ciemną, nastrojową. Rozbrzmiewała arkadyjską melodią, dobywaną z fletu przez niewidomego grajka.

Wzdłuż kamiennych ścian biegły półki z pociemniałego dębu, zastawione cynowymi naczyniami, na prostych sto-

łach, wspartych na krzyżakach, migotały świece obsadzone we flaszki po marze.

Cicha muzyka, powietrze przesycone zapachem topionego wosku przywodziły na myśl dostate letnie południe, ociekający złotą patoką plaster miodu. Usiedliśmy w wykuszu.

W łuku wejścia zapłonęła brązoworuda sylwetka.

– Bonjour, Anne-Marie – uśmiechnął się do niej barman. – Hallo, Anne-Marie. Hej, Anne-Marie – zaszemrało kilka głosów i zatrzepotały od stolików wyciągnięte dłonie, kiedy dziewczyna przechodziła mimo nich, oddając pozdrowienia.

Blask świec zapalał refleksy na jej pszenicznych włosach, rysując wokół głowy świetlisty kontur, nasycił koloryt bluzki ze starej koronki, barwy poźółkłej kości słoniowej, spiętej pod szyją kameą. Frunęła wąskim przejściem. Łątka.

Usiadła naprzeciw nas, rzuciła obok zakiet z miedzianym szlakiem futra, uśmiechnęła się tylko samymi wargami, kąciki ust osłaniały cienie. Oczy koloru skorupki orzecha nie brały udziału w tym uśmiechu, na delikatnej twarzy Anne-Marie leżała obietnica. Otaczała aura niepokoju. Prowokowała do zrobienia czegoś, co wyróżniłoby spośród innych, zasłużyło na jej uwagę. A chociaż odnosiła się do nas obu jednakowo, nie miałem wątpliwości. Nie znaczyłem dla niej nic.

Usiłowałem przejrzeć i sklasyfikować zjawisko pod tytułem Anne-Marie. Dziwne, wydała mi się znajoma. No tak, pewno widziałem jej twarz na okładce Vogue'a.

Oto najbardziej zbytkowny przedmiot, jaki ofiarowuje Paryż. Kuglarstwo – dewaluowałem urok przeznaczony nie dla mnie. Mona Lisa za pięć franków – tyle kosztował numer tygodnika – ćwicząca na nas zagadkowy uśmiech podpatrzony u florenckiej damy ze słynnego portretu Leonarda.



Żywy manekin zza panoramicznej szyby na Champs-Élisées, luksusowa lala do rozbierania i ubierania, prawdziwe włosy pielęgnowane u najmodniejszego fryzjera, pusta głowa, zamyka i otwiera oczy, z nieporównanym wdziękiem wymawia około dwustu słów, aby wydawało się, że nie tylko jest piękna, ale i ma coś do powiedzenia.

Myliliem się. Należała do zupełnie innego gatunku, a pod pszeniczną peruką znajdowało się dość rozumu i niepospolity spryt. Lecz wówczas nie podejrzewałem tej dziewczyny ani o inteligencję, ani o sztuczną grzywę.

Kiedy wyszliśmy z winiarni, nie spostrzegłem kabrioletu w kształcie tkackiego czółenka. Miał tylko dwa miejsca. Anne-Marie była osobą taktowną.

Uther zaprosił nas na kolację do „La Tour d'Argent”, słynącej z przyrządzania kaczkki na osiemnaście sposobów, knajpy drogiej i z tradycjami.

– Ależ, Uther, tam przesiaduje całe miasto. Wiesz, jak nie lubię zbiegowiska. Wolę gdzieś kameralniej – Anne-Marie wyraźnie nie miała ochoty.

Uther nalegał. Objawiła ładną cechę, nie utraciła pogody i nie usiłowała postawić na swoim, gdy ją przegłosowaliśmy, a zachowywała się tak, jakby wieczór w „La Tour” był najlepszym zakończeniem dnia.

Zazieleniły się platany w Tuileries, pękały pąki kasztanów na Trocadero, na skwerach zakwitły wczesne kwiaty, na wystawach wielkich firm na Polach Elizejskich panowało już lato.

Przypomniałem sobie warszawskie Łazienki, drzewa na Trakcie Królewskim i bulwar nad Wisłą poniżej Starego Miasta, i tysiącletni dąb po drodze do Natolina, ostaniec puszczy z oszadziałym mchami pnem pełnym łąt, z pospianymi konarami, a wciąż ozywający młodą zielenią, i pomyślałem o Kabackim Lesie budzącym się najopieszalej, gdzie stadko sarn, zrzuciwszy właśnie zimowe sukien-

ki. miedzianą błyskawicą przebiega pośród bezlistnych jeszcze drzew.

U nas zima ustępuje później.

O dwa tysiące kilometrów, kilka godzin samolotem, leżało moje miasto nad rzeką przez cudzoziemców nazywaną senną, dla mnie będącą czymś więcej niż tylko rzeką, a na skraju miasta pod lasem, szczątkiem dawnych mazowieckich borów, czekała na mnie mała uliczka Rajskich Ptaków.

Zbierałem się do odlotu.

Minęły dwa lata mojego Paryża. Przyjechałem tu po ukończeniu wydziału prawa na warszawskim uniwersytecie, chodziłem na ciekawsze wykłady i prelekcje wielkich uczonych, pisarzy i artystów, słynnych prawników, zapraszanych przez Sorbonę z całego świata. Poprawiłem mój francuski, nie zapomniałem o angielskim.

Do Heidelbergu pradziadka, Norymbergi dziadka i ojcowego Oxfordu dołączyłem moją Sorbonę. Jedyne dziedzictwo, jedyny spadek i może dlatego tak bardzo ceniliśmy sobie te nasze gruntowne prawnicze studia.

Czas było zakończyć okres przydługiej młodości, czas sprawdzić użyteczność nabytych nauk i najwyższy czas, aby ojciec przestał wreszcie utrzymywać starego byka.

Rozdzielała się nasza międzynarodówka. Wyjeżdżał do Szwecji, a później jesienią do Maroka Sven z Ismailą, chciała swojego białego rudzielca zaprezentować rodzinom i licznej rodzinie, w której oprócz osiadłych inteligentów byli i koczujący nomadzi.

Poddasze z klapą w ścianie, Ludwika, umiejętność gotowania bigosu nawet z samej tylko kapusty, używaną lodówkę, tajemnicę opiekania po szwedzku wszystkiego, co ma płetwy, i mycie garów w barze szybkiej obsługi dziedzi czyli po nas Otokar z pewnym Grekiem i równie niezamownym Peruwiańczykiem.

Ostatnie dni przed powrotem spędzałem w mieście, chciałem się jeszcze nacieszyć Paryżem, obiegałem znajome kąty.

– Jadę do Oxfordu – zwierzył się Uther. Znów gonił do tego swojego profesora, u którego kicają stada identycznych żab.

Nazajutrz na stacji metra Clignancourt zobaczyłem perony wytapetowane reprodukcjami słynnych malarzy. W pierwszej chwili pomyślałem, że to zapowiedź jakiejś nowej wystawy, a rozlepiacz na końcowym przystanku kolejki rozplakatował wszystko, co pozostało mu po wyklejeniu afiszów na całej trasie.

Była to jednak reklama nowych kosmetyków firmy Coty, a podobizny na kopiach to twarze modelek, sztuką makijażu upodobnione łudzaco do kobiet z arcydzieł sławnych mistrzów: „Kobieta z perłą” – Corota, „Wielka Odaliska” – Ingres. „Hiszpanka” – Van Dongena. W powielonych portretach Modiglianiego rozpoznałem delikatne rysy Anne-Marie. Plakaty zawiadamiały o spotkaniu w „Olimpii” z udziałem gwiazd estrady. Prezentowanie współczesnych dziewczyn przemienionych w damy z obrazów wielkich malarzy figurowało jako jeden z punktów programu. Z imprezą wiązano reklamową sprzedaż wyrobów perfumeryjnych w kularach. Patronował temu Vogue, a wśród imion żywych manekinów znalazłem dziewczynę z okładki, Anne-Marie.

Widziałem ją raz, wtedy po wykładzie polskiego pisarza, wieczorem przy blasku świec w starej winiarni. Więcej Uther jej nie pokazał, nawet o niej nie wspominał. Zapytany, coś dukał wykrętnie i wyglądał spłoszony. Sprawa wydała się jasna. Skreśliłem temat modelki z moich odzywek.

Teraz patrzyła na mnie z plakatów ucharakteryzowana na smukłolice i wąskookie kobiety Modiglianiego. Nie namyślając się pojechałem do „Olimpii”.

Nad miastem zaciągał lawendowy zmierzch, dopiero co zapalono neony i uliczne latarnie. Do rozpoczęcia spektaklu zostało jeszcze trochę czasu. Na parkingu – tylko dla personelu i gości rewii – stał z podniesionym dachem dwuosobowy zielony kabriolet, przypominający czółenka tkackie. Za szybą leżał łaciaty dalmatyńczyk. Ziewał.

Stałem niezdecydowany. Nie bardzo wiedziałem, czy zapaść na trzy godziny programu, chociaż na afiszach zapowiadano Aznavoura, Distela i Dalidę, tylko po to, aby przez parę minut oglądać na wybiegu Anne-Marie przemalowaną choćby na największe arcydzieło światowego portretu.

Na podjeździe zatrzymał się kremowy buick, wyskoczył szofer, okrążył samochód, otworzył drzwiczki. Wysiadł mężczyzna w srebrzystej morze i wyciągnął rękę do kogos w głębi auta. Wysunęły się stopy w sandałach ze złotych pasków, z paznokciami świecącymi też złotą emalią. Wychyliło smagłe ramię z przewieszonym szalem z białego futra.

Ukazała się Szeherezada omotana w sari opalizujące w blasku lamp tonami bursztynu. Przez ciekłą tkaninę przeświecał kształt ciała. U nasady brwi pałał szkarłatny znak kasty. Nie szła, płynęła.

Łątka.

Nasunęło się porównanie z Anne-Marie, kiedy w piwnicy u „Jacquesa” ukazała się obrysowana żółtym płomieniem świec. Nie, nie było podobieństwa między tymi kobietami i nie wiem dlaczego mi się skojarzyły. Może miały coś wspólnego w sposobie poruszania się.

Paryż jest zblazowany mnogością ras, strojów, obyczajów i niełatwo obdarza kogoś zainteresowaniem, ale ta Hinduska przyciągała spojrzenia, pewno także miał swój udział cytrynowej barwy brylantowy sopel, promieniujący jak gorąca gwiazda na jej czole poniżej linii czarnych włosów.

Rozpoznałem towarzysza maharani.

Uther w smokingu z białej mory, z perłą w gorsie, z oczyma przysłoniętymi lustrzanymi okularami. Błysk jego szkielek prześliznął się po mnie tak samo obojętnie jak po mijanej właśnie latarni. Nie mógł mnie nie dostrzec, przechodziłem mimo, nieledwie się otarł.

I po co wciskał ciemnotę z Oxfordem! Przywykł kantować tatę i już nie może się obyć bez łgarstwa. Założył lustrzanki, udaje maharadzę, przekonany, że nikt go nie rozpozna. Struś. Znów się dekuje przed rodzicielem czy przed nami?

Poczekaj, schyłkowy kapitalisto – poruszyła się moja uśpiona świadomość klasowa – ty neurotyczny przedstawicielu zdegenerowanej nacji. Sobku! prowadzący się ukradkiem z dziewczynami. Kopnięte dziwadło. Rodak, cholera! A jaki nietaktowny!

Biedna Anne-Marie, z pewnością serce jej pęknie z zawści, kiedy zobaczy go z maharani ilustrowaną takim klejnotem!

Stawiam kapeć przeciwko jej perle, że ten diament wielki jak młody szparag jest wyrazem najnowszych zainteresowań tego niestałego faceta. Stary Potwór nie bez racji przykręca mu czasami dopływ gotówki, w przeciwnym razie ziółko gotowe roztrwonić na dziwki dorobek paru pokoleń skrzętnych angielskich presbiterianów i pracowitego polskiego ludu niby jakiś przerafinowany rosyjski arystokrata.

Zniesmaczył mnie.

Kiedy na oczach widowni Anne-Marie pod wpływem mastyksów Coty'ego i biegłych dłoni charakteryzatora przeistaczała się w damę z portretu, w loży blisko estrady dostrzegłem biały smoking obok złocistego sari.

Skierowałem na nich lornetkę, na twarze padał cień balkonu pierwszego piętra, jak zaciągnięte bielmem oczy

ślepo błyskały szkła Uthera i jak odległa gwiazda promieniował klejnot na czole maharani.

Pokaz makijażu zyskał mierne zainteresowanie, skrzyptały krzesła, szeleściły staniole, wymykano się do kuluarów. Na zakończenie nagrodzono go umiarkowaną owacją. Zresztą oklaskiwano kunszt charakteryzatora, a nie modelki.

Rozczuliłem się nad Anne-Marie. Postanowiłem zajrzeć za kulisy. Poszedłem na poszukiwanie garderób. W korytarzu wąskim i długim zagroził mi drogę woźny.

– Odwiedzanie artystów wzbronione – ziewnął.

Odźwierni na całym świecie są tacy sami, trzeba dać w garść albo nie zawracać sobie głowy, ale nim go wyceniłem, minął mnie chłopak w dzinsach z tacą pełną resztek jedzenia. Nie nosił żadnych kelnerskich oznak. Zawróciłem i skorzystałem z przykładu. Wziąłem z bufetu wino i gorący sandwicz. Na kiszkiowatym korytarzu ruszyłem śmiało na cerbera.

– Mademoiselle Anne-Marie? – powiedziałem nosowo, dzieliła nas odległość tacy. Nie robił żadnych trudności, uprzejmie poszedł przodem i wskazał drzwi.

Oczywiście poznał mnie. Ale w narodzie, który konieczność zamienił w sztukę – jak powiedział, nie pamiętam kto – szacunek dla jedzenia jest duży.

W garderobie kręciła się kupa ludzi, przed rzędem trójskrzydłowych luster siedziały półnagie dziewczyny, zwierciadła odbijały i zwielokrotniały ich twarze. Przy ostatnim w szeregu spostrzegłem Anne-Marie.

Z ledwością ją poznałem, właściwie nie ją, tylko złocistą grzywę spływającą na plecy, ujętą ciasno wokół czoła elastyczną opaską. Gruba warstwa białego kremu jak maska szczelnie okrywała jej twarz.

– Hallo, Anne-Marie – postawiłem tacę na konsoli zastawionej charakteryzatorskim kramem.

– Hej – znieruchomiła ręka z tamponem uniesionym ku policzkowi. Nie odwróciła się, widziała mnie w lustrze. Oczy koloru skorupki orzecha spoglądały znajomo, a razem obco.

– O nic nie prosiłam – powiedziała niskim, nieco ochrypłym głosem. Wydał mi się inny niż ten, który pamiętałem.

– To pretekst dla liberii przy drzwiach – pożałowałem przyjscia. I po co się wyglupiam przed dziewczyną widzianą raz w życiu. Ona mnie nie poznaje.

– Kto zamawiał jedzenie? – zawołała Anne-Marie odwracając się ku sali. Nikt się nie przyznawał.

– Mogę wziąć! – odkrzyknięto z drugiego końca sali. – Anne-Marie, przyślij go do mnie.

– Podaj to Jeannette – modelka wskazała identyczną maskę z białej emulsji, siedzącą po drugiej stronie, i zajęła się usuwaniem kremu z podbródka.

Jak niepyszny zabrałem tacę z gotowalni Anne-Marie. Albo mnie nie poznała, albo nie chciała poznać, może ją krępował ten nieświetny występ.

Uther pokazał się po kilku dniach. Nie miałem zamiaru wypominać mu „Olimpii”. Może rzeczywiście mnie nie zauważył, zajęty kobietą z tysiąca i jednej nocy. Ale kiedy pokazał bransoletkę, którą miał zamiar ofiarować Ismaili na pożegnalny prezent, i zaczął wmawiać, że kupił u handlarza antykami w Londynie, zbrzydziła mnie jego bezczelność.

– Nie wysilaj się. Widziałem cię w „Olimpii”.

– No tak, w „Olimpii” – zamamrotał bezwstydnie i umilkł, jakby nigdy nie umiał mówić.

– Prowadziłeś się z Hinduską w sari, w gors zatknąłeś sobie perłę – odniosłem wrażenie, jakby dopiero ode mnie dowiedział się o swojej obecności na występie Anne-Marie.

Szczególny zanik pamięci.

– Byłem w garderobie u Anne-Marie – nie puściłem mu płazem.

– W garderobie u Anne-Marie? – zdawał się nie rozumieć, co mówię.

– Nie powtarzaj jak idiota! Omal nie poszedłem z nią na kolację.

– Co znaczy omal? – obudził się nagle, minę miał zupełnie niewyraźną.

– Nie poznała mnie.

– Sprawileś jej kłopot, regulamin zabrania odwiedzin w garderobie – zaczął gorliwie tłumaczyć jej zachowanie i wyraźnie odetchnął. Łotr! Oto z kim się przyjaźniłem, pokrętnym, poligamicznym kolekcjonerem biżuterii na ładnych dziewczynach.

– Zadzwoń do Warszawy. Są nowe wiadomości – powiedziałem. Pod jego nieobecność telefonował mój ojciec. W pięć miesięcy po ukazaniu się w polskiej prasie ogłoszenia o poszukiwaniu Jadwigi Surazyńskiej odezwał się Wincenty Baraszko, mieszkaniec Tłuszcza pod Warszawą, handlarz starą garderobą posiadającą jakąś wartość historyczną bądź etnograficzną, dostawca Desy i scenografów teatralnych.

Przedstawił mojemu ojcu godne uwagi fakty.

Stanisława Bartnik-Surazyńska z Zielarzy z córką Jadwigą, wołaną Jadźką, wykorzystując zbieżność personaliów i niewielką tylko różnicę wieku między jej dziewczynką a zabitą Jadwišką, podały się za nieżyjących członków rodziny Bartników-Surazyńskich, zwanych Nikodemowymi, wykorzystowały pomoc ich krewnych zamieszkałych w Kalifornii i w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym za pośrednictwem amerykańskiej misji wojskowej w Berlinie wyjechały do Stanów Zjednoczonych. Odpłynęły z Antwerpii statkiem brytyjskim o nazwie „Rudyard”.

Podmianę i zniknięcie kobiet z wioski, tak że do dzisiaj mają je tam za nieżyjące, przeprowadził adwokat z Suwałk. Znał ludzi w Wigajnach, ich jednakowe nazwiska,

powtarzające się imiona i nigdzie nie pisane zwyczajowe przezwiska, służące rozróżnieniu mieszkańców. Sprzyjały mu okoliczności, bowiem zamorscy powinowaci nigdy nie widzieli nikogo z kolejnych trzech pokoleń tutejszej rodziny Surazyńskich, zwanych Nikodemowymi. Zarobił na tym sumę na owe czasy ogromną, tysiąc dolarów, ale nie pożywił się, bo obrabowała go banda. W rok później zmarł.

Zapytany, skąd tak dokładnie zna przebieg oszustwa popełnionego przed ćwierć wiekiem, Wincenty Baraszko skromnie milczał. Jak się miało okazać, a co mój ojciec zaczął podejrzewać od pierwszego spotkania, to sam Baraszko, po usłyszeniu komunikatu radiowego, którym Anna Stunnington poszukiwała wymordowanej rodziny, nawiązał kontakt, wziął tysiąc dolarów i wyekspediował Jadźkę Zielarzy z matką, działając w imieniu nieżyjącego już adwokata z Suwałk.

– Wiem wszystko, panie mecenasie – podjął Baraszko – o dalszych losach Stanisławy i jej córki Jadwigi, dziś już niewiasty przeszło czterdziestoletniej. Gotów jestem ujawnić miejsce ich pobytu, ale nie ukrywam, za godziwe pieniądze. Znajduję się w kiepskich warunkach materialnych, stoję u progu starości, tak się złożyło, iż nie wypracowałem sobie emerytury.

– Nie sądzę, aby mój klient chciał ufundować panu rentę.

– Są rzeczy na świecie, o jakich nie śniło się filozofom – błysnął cytatem Baraszko. – Zadowolę się jednorazowym, byle przyzwoitym ryczałtem. Ale dalej będę rozmawiał albo bezpośrednio z pańskim klientem, albo wcale. Pan wie, gdzie mnie szukać, mecenasie. Polecam się łaskawej pamięci.

Zrobił na moim ojcu jak najgorsze wrażenie, ale niewątpliwie znał okoliczności przeprawy poszukiwanych kobiet na drugi kontynent, co wcale nie musiało oznaczać, że zna miejsce ich obecnego pobytu.

Ojciec wziął go na przetrzymanie, ale niecierpliwy Uther żądał niezwłocznego wyekspediowania typa do Paryża.

– Proszę wyprawić go natychmiast, dopóki o jego istnieniu jeszcze nie wie mój ojciec – domagał się. Mój stary, chociaż odmiennego zdania, ustąpił jednak rozumiejąc obawy Uthera przed natrętną, zaborczą, władczą troskliwością seniora Stunningtona, zawsze wiedzącego lepiej, co jest dla syna dobre.

Mój tata po cichu liczył na przewlekły okres formalności paszportowych. Zanim Baraszko się z tym upora, Uther straci cierpliwość i sam ruszy do Warszawy, gdzie mój ojciec potrafi ustrzec klienta przed obdarciem go ze skóry czy zwyczajnym oszustwem. Ale Uther chciał mieć rzezi-mieszka w Paryżu. Jego ewentualny wyjazd do Polski niewątpliwie zwróciłby uwagę bardzo niechętnego takiej eskapadzie seniora Stunningtona.

Nie doceniliśmy operatywności obwiesia.

Po zakomunikowaniu mu przez mojego ojca paryskiego adresu osoby zainteresowanej zaskoczył nas. W sześć dni później lądował na Orly.

– Mam przyjemność z sekretarzem pana Pendragona Stunnington? – zagadało indywiduum przy spotkaniu z Utherem w porcie lotniczym.

– Nie. Ze Stunningtonem juniorem. Mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego. To ja kupuję od pana informację!

Facet wydał się jakby rozczarowany, co zaniepokoiło Uthera, tym bardziej więc dążył do zakończenia sprawy natychmiast po umieszczeniu gościa w pensjonacie.

Przybysz zażądał dziesięciu tysięcy dolarów gotówką, a kiedy Uther zgodził się i poszedł po pieniądze, rzezi-mieszek nie tylko zdążył dokładnie zniknąć, ale i wycofać pozostałość z rachunku hotelowego, opłaconego z góry za trzy dni.

Baraszko za działaniem warszawskiego adwokata prze-

widował starego Stunningtona, a nie jego syna. Nawet nie jest pewne, czy wtedy w ogóle wiedział o istnieniu juniora. Ale spotkanie z Utherem nadało jego zamysłom nowy wymiar. Zyskał przekonanie, nie bez racji, że jego wiadomości najlepiej opłaci senior.

Zbliżał się dzień rozstania.

Pierwsi wyjeżdżali Sven z Ismailą, szykowaliśmy się do wydania wielkiej uczty pożegnalnej, jednocześnie instalując na poddaszu Greka i Peruwiańczyka, którzy dołączają po naszym odjeździe do osieroconego Macedończyka.

Ale proponowana lista gości przekraczała rozmiary naszej powierzchni mieszkalnej. Zastanawialiśmy się nad zupełnym usunięciem na ten czas tekturowej ściany grodzącej dziuplę, jednak projekt upadł. Chcieliśmy zaprosić konsjerżkę, a jej obecności nie dało się pogodzić z przeróbkami strychu.

– Trzeba ciąć – nie widział innego wyjścia Otokar. – Sven, za wiele twoich dziewczyn! – odczytał jedenaście imion.

– One są nieduże, wcale nie zajmują miejsca – przekonywał Wiking. I tak nie podał do spisu wszystkich swoich przebrzmiałych miłości, tylko te, do których zachował szczególny sentyment.

– I niewiele jedzą – poparłem go.

– Dobrze gotują – zachwalał Sven. Na takie bankiety każdy z zaproszonych coś przynosił, inaczej dla gospodarzy trzeba byłoby wskrzesić więzienie za długi, i osoby umiejące przyrządzać jakieś potrawy należały do specjalnie cenionych.

– Co znaczy Andreas-Jacob plus jeden? – dochodził Macedończyk.

– Niektóre mają chłopaków.

– Wiecie, jaki byłby tłok, gdybym zaprosił wszystkich chłopaków moich dziewczyn?

– Nie przechwalaj się.

– Skreślić kochanków byłych kobiet Svena – nieubłaganie żądał Otokar.

– Skreślaj swoich kandydatów, nie moich! – obraził się Sven i nie było mowy o eliminacjach, bo każdy bronił własnych gości.

Niespodziewanie z pomocą przyszła konsjerżka.

– Pewno będziecie chcieli się zabawić? – zagadnęła Svena. Znała pojemność swoich strychów i obyczaje swoich lokatorów, albowiem mansardy w jej dzielnicy od niepamiętnych czasów zajmowali studenci.

Poleciła nas właścicielce „Le Chat Noir”, małego bistro na naszej ulicy. Kiedy miewaliśmy pieniądze, jadaliliśmy tu gorące dania, w koszt których wliczano i kawał podrobowego pasztetu podawanego na przystawkę.

Za zupełnie rozsądne wynagrodzenie, zapłacić uparł się Uther, otrzymaliśmy w pacht lokal i naczynia na dwa weekendowe dni. W sobotę rano otworzono nam wejście z podwórza, a za szybą zamkniętych frontowych drzwi wywieszono napis: „Aujourd’hui fermé!”

Krzesło dla konsjerżki, ustrojone kwiatami, ustawiliśmy u czoła zsuniętych stolików. Bardzo się wzruszyła i wygłosiła mowę:

– Bien! Młodość jest wciąż taka sama, lecz każdej generacji wydaje się, że jest inna!

Już ona coś o tym wie, całe życie spędziła w Dzielnicy Łacińskiej i przez ten szmat czasu młodzież zaludniała strychy. Mieszkali tu tacy, co przybyli wprost z maquis, mieszkali egzystencjaliści bladzi i mroczni jak mundur bractwa, noszący czarne swetry, słuchający swego brzydkiego, rudego proroka, Jean Paul Sartre’a, notującego myśli na bibułkowych serwetkach w kafejce dwie przecznice dalej, mieszkali demonstrujący przeciwko bombie i tacy, co protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie

i przeciwko dyktaturze w Chile, i tacy, co chcieli innego ładu na Sorbonie, tylko nie wiadomo po co wyrywali bruki i podpalali samochody.

Przygarniały jej mansardy ludzi wszelkich ras i obyczajów i będzie tak potąd, pokaż nie zburzą tego domu, a ona nie legnie w grobie na wiejskim cmentarzu niedaleko Dijon, gdzie ma domek i kawałek winnicy, a także zakupione miejsce na wieczny spoczynek, bo za nic nie chce umierać w Paryżu, gdzie palą zwłoki, a zwykłego człowieka nie stać na normalny pochówek.

Wbrew pozorom z jej łoży widać bardzo wiele, więc widać również, że młodzież jest lepsza i szlachetniejsza od ludzi dojrzałych, chociaż przysparza wiele kłopotów, a osobliwie konsjerżkom. Wypala dziury w pościeli, majstruje przy elektryczności, zalega z czynszem, szwarcuje piecyki nie przystosowane do pomieszczeń i miesiącami przetrzymuje waletów.

Mimo to jest lepsza i ona życzy z całego serca, abyśmy z latami jak najmniej spsieli, bo spsiejemy na pewno, każdy z wiekiem tak czy inaczej psieje. C'est la vie! – tak mniej więcej brzmiała mowa w wolnym przekładzie.

W taki wytworny sposób zawiadomiła nas, że nic nie uszło jej oka, a nasze dziecinne wybiegi traktowała jak niewprawne baraszkowanie kociąt.

Naiwni! Nam się wciąż wydawało, że potrafiliśmy podejść rasową paryską stróżkę. Na jej oczach przeminęły generacje młodych ludzi, którym brakowało pieniędzy, którzy marzli, którzy kochali dziewczyny i którzy mieli bezdomnych przyjaciół.

Ucałowałem jej dłoń i zacząłem „Sto lat!”, chociaż byłem jeszcze zupełnie trzeźwy. Zaraz wsparł mnie Uther. Przy różnych biesiadnych okazjach dawały o sobie znać wiadomości przyswojone od opoja, który uczył go konwersacji przede mną.

Madame wzruszyła się jeszcze bardziej. Koronkową

chusteczką ostrożnie zebrała łzę ze sztucznej rzęsy, aby nie uszkodzić tuszu i cieni z niebieskiej pasteli na powiekach. Bo na nasz bal przywdziała wykwintną, dekolowaną czerń, a twarz przyoblekła kunsztownym makijażem.

Zawołano mnie do kuchni.

Posłaniec wniósł kosz i ostrożnie jął wykladać zawartość opakowaną w firmowy pergamin, pokryty kolorowymi nadrukami.

Maison de l'escargot, les meilleurs escargots de Paris! Dom ślimaka, najlepsze ślimaki w Paryżu. Ulica Fonday, siedemdziesiąt pięć – piętnasty arrondissement. Dojazd metrem do stacji Emil Zola albo autobusem numer osiemdziesiąt – czynny cały tydzień, także w niedzielę rano. W poniedziałek zamknięty. Dom ślimaka!

Do najlepszych ślimaków w Paryżu dołączony był bilet zaadresowany do mnie.

„Przepraszam za zachowanie w »Olimpii«, Uther wyjaśnił ci powody. Życzę powodzenia, pozdrawiam – Anne-Marie”.

## 5

Siedziała nieruchomo, podobna kamiennym aniołom unoszącym się w wiecznym locie po obu stronach balustrady okalającej galerię mieszczącą organy.

Zastygła u cokołu katafalku z otwartą trumną, obramowaną kosztowną falbaną, zwieszającą się poza krawędź, spływającą koronkową kapą w miejscu, gdzie spoczywała głowa. Trumnę umieszczono wysoko, złożone w niej ciało nie było widoczne.

Pod panneau kaplicy trzeci dzień z empory strzeżonej przez skrzydlate posągi nieustannie rozbrzmiewały instrumenty i głosy śpiewaków.

Zmieniali się muzycy, chóry i soliści, ona trwała. Kokon

omotany kirem, z zakrzepłą maską przezierającą przez przejrzysty welon, zarzucony na głowę i opływający całą postać po czubki zamszowych pantofli.

Ognie woskowych świec gorzały mrocznym karminem w szlifach jej żałobnej biżuterii z melanitów. Granatów, tak ciemnoczerwonych, aż czarnych, w surowej oprawie z oksydowanego srebra.

Ani jednej łzy, ani jednego słowa żalu, żadnego widomego wyrazu rozpacz, odkąd otrzymała zawiadomienie o śmierci syna.

– Zabili go – wyszeptała. i to wszystko. Nie mówiła do mnie, nie przywołała dotykami trzcinki, jaką miała pod ręką. Kiedy mnie nie potrzebowała, przeważnie zapomniała o moim istnieniu, znaczyłam nie więcej niż sprzęty służące jej cierpliwie i bezgłośnie.

Spokojna, zatelefonowała do linii lotniczych, zarezerwowała bilety na popołudniowy rejs, i do Cardina, skąd kazała przysłać odpowiednie ubiory.

– Zapakuj – odezwała się do mnie po przyniesieniu pudeł z domu mody. Nawet nie zajrzała, co jej przygotowano na ostatnie spotkanie z synem. Z suchymi oczyma wysiadła na lotnisku w Bostonie. Czekąco na nią kilka osób z rodzinnego klanu. Niektórych widywałam na paryskich spotkaniach szefowej.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Wszyscy zbyt przejęci i zajęci tropieniem śladów cierpienia na twarzy Vanessy, a i poszukiwaniem piętna nałogu, o jakim donosiły plotki.

Sprawiła zawód. Opanowania, z twarzą gładką i matową, ze szczupłą sylwetką, dyskretnie umalowana, bez żadnych ozdób, spowita w szarości od stóp obutych w mysi zamsz po popielate rękawiczki i szyfon barwy dymu omotujący głowę, przez który jaśniały złociście jej wspaniałe włosy, lśniące, wypielegnowane, nie tknięte farbą ani siwizną.

Poczułam rodzaj dumy, bo jej wygląd był w pewnej

mierze także i moim dziełem. Ale ten spokój! Ileż w niej jeszcze tkwiło woli.

– Nie będę się otepiać – odsunęła podane tabletki i przez cały czas smutnej ceremonii nie przyjęła ani jednej. – Człowiek nie ma prawa uciekać przed cierpieniem. Jestem to winna synowi – w oczach pojawił się jakiś nieznany blask, palił się na dnie źrenic. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak gorzejże szaleństwo.

W świetle wstającego dnia za szybą czarnego forda, obszernego jak furgon, uciekał do tyłu szeroki bulwar, gęsty od pizzerii, trafik, zakładów rzemieślniczych, migały czynszowe domy, łuki, po bokach pozostawała płatanina uliczek, mury z czerwonej cegły. Zapamiętałam wieżowiec „Prudentialu”, kilkakrotnie widoczny wciąż z innej strony, jakby go umyślnie obracano, i rozjazd w kształcie listka zajęczego szczawiu. Wszystko.

Nie odczułam zmiany kontynentu. Zdarzenia następowały zbyt prędko. A z okna szybkiego samochodu wielkie metropolie wyglądają podobnie. Przecieliśmy całe miasto i znów peryferie. Parking. I furta w ogrodzeniu zasłoniętym gęstwą pnączy podobnych do głógów, obsypanych purpurowymi kwiatami.

Za bramą czekały odkryte akumulatorowe pojazdy i dwóch mężczyzn. Pierwszy, wierna kopia zestarzałego Uthera, przejął mnie jakimś transcendentnym lękiem, z pewnością miała na to wpływ aura spraw ostatecznych. Po raz pierwszy zobaczyłam seniora Stunningtona. Drugi z panów, też ubrany w czerń, wydał się przedsiębiorcą pogrzebowym, ale okazał dyrektorem szpitala, doktorem Orlando Harrocksem.

Ten olbrzymi ogród z parterowymi pawilonami, ukrytymi pośród zieleni, w kępach srebrzystych topoli, lip, klonów i wiązów, pełen labiryntowych boskietów ze strzyżonych cisów, akacji, bukszpanu, to była klinika „Continental”.



– Pani, uczyniłem, co w ludzkiej mocy, ale nasza moc bywa ograniczona. Teraz boleję razem z wami – Harrocks głęboko skłonił się Vanessie.

– Jestem o tym przekonana, doktorze – serdecznym gestem, jakby jego należało pocieszyć, podała mu obie ręce opięte matową szarością. Z czcią dotknął ustami zamszu osłaniającego dłonie kobiety. Nie widział wyrazu jej oczu.

Mróz mnie przeszedł.

– Chodźmy do mego dziecka – Vanessa ruszyła ku melexowi i przypomniała sobie o mnie. Zostałam wraz z bagażem odesłana do hotelu.

Nazajutrz znaleźliśmy się w Roselido.

Dom pełen ganków, podcieni i stiuków, odrobiony na mauretański, jak słyszałam od Uthera, zbudowany przez jego dziadka w fasonie modnym tutaj w latach szybkich fortun i prohibicji.

A dookoła nieograniczona przestrzeń kipiąca kolorem, tylko z jednej strony zamknięta pionową skałą, zabezpieczoną wysokim murem, opiętym winną łożą, ze stopniami wykutymi w ciosie, prowadzącymi nad ocean.

Po przeciwnej stronie na łagodnym zboczu park pełen starych drzew, za nim, jak okiem sięgnąć, pomarańczowe i brzoskwiniowe sady, winnice na uskokach wygarbienia, aż po żywopłot z opuncji. Stamtąd jedna droga do zielonej doliny z ogrodowym pawilonem i kępą orzechowców, skąd biło źródło, druga wiodła do lasu sekwoi, skrywającego biały okrągłak, nakryty pozłocistą głowicą. Tutaj przez trzy doby zmarły spoczywał wystawiony w odkrytej trumnie, ale nikomu poza grabarzami nie udało się go zobaczyć.

Drugiego dnia przybył Uther. Zmarniały, zbiedzony, bardzo przejęty i bardzo smutny. Ścisnęło mi się serce na jego widok, ale też zrobiło łyso. Chociaż miałam pewność, że mnie nie zdradzi, bardzo nie chciałam, aby mnie tu rozpoznał.

Oparłam czoło na splecionych dłoniach pod woalem

sięgającym ramion, jak parandza osłaniającym twarz, a teraz i ręce po łokcie obciążone czarną glacé. Siedziałam w półmroku ciasnej niszy w stalli dla służby, zamaskowana żałobnym uniformem. Dodatek do Vanessy.

Okoliczności sprzyjały. Mistrz ceremonii w centralnym punkcie u stóp katafalku zakomponował grupę zbolalej rodziny z Vanessą na pierwszym planie, nie uwzględniając miejsca dla żadnej wiernej sługi. Więc byłam w miarę bezpieczna. Szefowej, gdyby nawet chciała, nie wypadało latać z trzcinką do ławy upchniętej w najdalszy kąt. A poza kaplicą, przy pewnej ostrożności, spotkanie nie groziło. Chroniła przestrzeń, moja pozycja czegoś pośredniego między cieniem a meblem i izolowanie się Vanessy.

No i przeszło bokiem. Uther nie poświęcił mi nawet przelotnego zainteresowania, jak oni tu wszyscy. Ale on w ogóle nie widział nikogo poza złotowłosą kobietą okrytą kirem. Przeżywał Vanessę jak ból, jak nieuleczalną chorobę, jak zjawisko. Po raz pierwszy i jedyny była tak blisko niego, a jednocześnie niedostępna, odgradzona charyzmą cierpienia, majestatem obrządku, podobnie jak murem posiadłości pod Paryżem.

Odjechała zaraz, gdy tylko trumna spoczęła w rodzinnych kryptach. A nazajutrz tysiące mil oddzieliło nas od białej rotundy, strzeżonej przez olbrzymy przypominające sosny. Nigdy dotychczas nie widziałam sekwoi. Skłaniały ku zadumie nad ludzkim istnieniem, krótkim jak wiosenna błyskawica. Ślad na wodzie.

Poczułam się nieważna, żuk pełznący w trawie, i głupia niczym ślepe szczenię i po raz pierwszy naszła mnie refleksja, czy aby wybrałam najlepszy sposób na życie. Tak mnie rozkleiła potęga, co się tam kiwa na wietrze od czterech tysięcy lat.

Wieczorem zobaczyłam Nowy Jork.

Głęboką czerń nocy w iluminatorze stopniowo rozsrebrzała luna, coraz bardziej świetlista, jakby były nieprze-

czone źródła rozsiewające mlecznie opalizujący pył. Aż wynurzyły się z tego oparu bicze koralu rzucone wzdłuż ciemnego zarysu i rozsypane paciorki rozciąły nierówną smugą granatowy mrok. Światła nad Hudsonem, światła na nabrzeżach zatoki. Pod brzuchem Jumbo Jeta leżała olbrzymia feeryczna kolia.

Samolot schodził do lądowania nad lotnisko Kennedy.

I to miasto pozostało w pamięci szybko migającą taśmą zza samochodowej szyby. I jeszcze tylko hotel „Plaza” w pobliżu Central Parku pośród platanów Piątej Avenue, gdzie w swym biegu przez rodzinny kontynent zatrzymała się moja osierocona królowa.

Ledwo zdążyła zamknąć za sobą drzwi apartamentu i wziąć prysznic, poddała kontroli baterię stojącą w barze, a nie znajdując ulubionej marki, zadzwoniła na obsługę i zażądała armagnacu „Imperial”, jakby raz nie mogła upić się czym innym.

Niepokoiliam się, co zrobi, jeśli nie będą mieli tej firmy. Mieli. „Plaza” jest karawanserajem oszłamiająco drogim, spełnia każde wymaganie gościa.

Wysączyła koniak, nie telefonowała po następny, poprawiła burbonem z zapasów znajdujących się pod ręką. Nie straciła przytomności, końska dawka alkoholu rozluźniła tylko jej zapamiętały spokój, wyzwoliła łzy.

Mówiła do zmarłego syna, mówiła do siebie, ja się nie liczyłam, jeśli nie kazała uważać. A nie kazała. W tych dniach rozpaczy często, coraz częściej zapominała o moim istnieniu.

– Czuło moje serce, że ci zrobią krzywdę, mój bezbronny robaczku. Komu szkodziłeś? Mordercy! Nie chciałam cię wydać w szpony Harrocksa, ale odebrał cię twój ojciec. Na nieszczęście byłeś i jego dzieckiem. Teraz dziedziczy po tobie, ale przysięgam, po nim już nie będzie komu dziedziczyć! Po trzykroć przeklęci: on, jego bękart i głupia dziwka, co go urodziła.

Wołała pomsty na głowę pasierba ta matka boleściwa bez pokory, bez rezygnacji, bez nadziei cierpiąca na złotej Golgocie.

Czułam się winna za zdradzenie Utherowi miejsca, gdzie ukrywany przed nim starszy brat wiódł życie porostu czy glonu.

Artur zachorował nagle. Vanessa prawie zamieszkała w Szwajcarii, później w Stanach. Nie pokazywała się w Nogent-Sur-Marne tygodniami. Nie zabierała mnie ze sobą. Do domu pod Paryżem zaglądała na kilka dni, aby odetchnąć, aby się upić. Szalała miotając obelgi na Uthera. Obarczała go odpowiedzialnością za przeniesienie jej syna z Lago Maggiore do Bostonu.

Teraz nie żył.

– Wyłącz telefon. Nie ma mnie dla nikogo – skończyła burbona, pomstowanie i przypomniała sobie o mnie. – Nigdzie nie wychodź! – runęła na posłanie i przespała trzydzieści sześć godzin.

Wstała znów zamknięta w sobie, milcząca. Telefonowała, umówiła się z kimś na niemożliwie wczesną godzinę w dniu następnym i zaraz wyjechała do miasta. Mnie znów nie pozwoliła ruszyć się poza obręb hotelu.

Nazajutrz obudziłam ją, jak kazała, na długo przed wyznaczonym spotkaniem.

– Załóż – podała mi perukę ludzaco podobną do jej wspaniałych włosów barwy dojrzałej kukurydzy, drugą, ciemną, włożyła sama. Musiała je kupić tutaj, niczego takiego nie pakowałam do bagażu, zresztą ona nigdy nie nosiła sztucznych fryzur, nawet gdy były modne.

– Ubieraj się! – rzuciła mi swoje obrzędowe kiry. Własnoręcznie zapięła na szyi pogrzebowe melanity, podała pierścionki i zarzuciła na głowę czarny welon, okrywający aż do stóp.

– Przejdź się! – Byłam niższa od niej, krepa wlokła się po dywanie. Wepchała watę w czubki swoich pantofli na

bardzo wysokich obcasach, podłożyła korki, kazała obuć – Możesz chodzić? – Mogłam. – Spróbuj poruszać się podobnie jak ja.

Jeszcze czego! Zrobiłam kilka kroków, uważałam, aby nie za wiernie ją naśladować, nie zdradzić, co potrafię. A i nie podobała mi się rola manekina. Chciałam wiedzieć, w czym mam wziąć udział.

– Chyba mnie obserwują – odpowiedziała na moje natręcyjne spojrzenie. – Pójdiesz na mszę za spokój mojego syna. Zostanie odprawiona tak wcześnie, aby nie zjawił się nikt ze znajomych, nawet przypadkowo. Oczywiście nikt nie zawiadamiałam.

Ona w mojej aksamitnej krymce z opuszczonym do ramion woalem, otulona długą peleryną z aksamitu barwy sadzy, efektownej liberii w interpretacji Cardina, upodobniła się do mnie, eleganckiego rekwizytu jej żałobnego wyposażenia.

Zawiozła mnie do kościoła, gdy uklęknęłam i wsparłam się na pulpicie klęcznika, udrapowała fałdy welonu, dopiero odeszła. Zastygłam z twarzą wtuloną w dłonie. Niobe. Kto śmiałyby niepokoić pogrążoną w bólu i pobożnej medytacji.

Zjawiła się punutualnie w chwili ukończenia nabożeństwa, z ostatnim akordem organów zebrała zwoje osłaniającej mnie gazy i przerzuciła przez przedramię, aby nie przeszkadzała powstać z kolan, i opuściliśmy świątynię.

Następnego dnia powróciliśmy do Francji.

Na rue Watteau, w zacisznym domu za kamiennym parkanem z ukośnym okapem z łupku, życie potoczyło się utartym trybem. Jakby na tamym kontynencie pogrzebała nie tylko syna, ale nawet wszelką o nim pamięć. Nie opłakiwała, nie wspominała, nie nosiła kirów.

Dzień zaczyna się od zwykłej porannej depresji.

Leży spowite w wymięte atłasy, utopione w haftach

umęczone ciało i twarz jak ze śmiertelnej chorągwi. Kremowozłoty kolor sypialni, zgaszony półmrokiem zaciągniętych żaluzji, podkreśla przezroczystą zielonkawą cerę z liliowymi workowatymi podkowami pod oczyma, ciężki podbródek, szarawą skórę i archipelagi sinawych żył, pokrywających bezwładne ręce.

Nie śpi już. Zdradza ją ruch gałek pod obrzękłymi powiekami, chociaż ma je zamknięte. Trwa nieruchomo. Próbuje wrócić w sen, odgrodzić się od dnia, którego się boi, nie czuć niewoli ciała, upokarzającej fizjologii cierpliwie neutralizującej truciznę, wydalającej toksyny wraz z potem gęstym jak żabi skrzek. Chce uciec od atakującej rzeczywistości, niedobrych myśli bojących jak obnażony nerw, znów bezlitośnie snuty przez odczadziały mózg.

Wczoraj wieczorem było siedemdziesiąt ceel „Imperialu”, nie licząc burgunda. Dużo. Zwykle wystarcza jej sam armagnac. I przeważnie nie dociera do dna butelki. Wcześniej zwała ją z nóg – dosłownie. Bo nie jest to jedyna dzienna racja, chociaż pomału zaczyna się stawać jej jedną racją bytu, już teraz zredukowanego do niewielu idei ten byt uzasadniających. Zwłaszcza jednej, najsilniejszej.

Nienawiść.

Rozwija się jak rak wraz z ubytkiem innych uczuć, obumieraniem innych zainteresowań. W pustkę niczym w wyschłe łóżysko strumienia wlewa się jad, nieustannie sycony świadomością zmarnowanego życia. Samowiedza nieznośna, trudna do udźwignięcia. Obarcza winą innych i nienawidzi. Zwłaszcza męża, z którym, przedzielona oceanem, od ćwierci wieku żyje w separacji.

Uwiędły przyjaźnie, w niepamięć odeszły przebrzmiałe kochania, nie potrafi już nawet przypomnieć sobie twarzy bliskich kiedyś mężczyzn i smaku ich miłości. Nienawiść przetrwała, nawet wydaje się żywić tamtymi uschniętymi namiętnościami. I jeszcze przywiązanie do syna. I nie

uczucie gracza do faworyta, jak początkowo sądziłam, chociaż syn stanowił jej największy atut w rozprawie z mężem. Chora miłość, miłość przeciw reszcie świata.

Wczoraj musiała stracić jakiś punkt w toczonej walce lub doznać innego bólu, skoro wieczorem potrzebowała aż tyle, aby wtrącić siebie w nieświadomość.

Zwykle zaczyna późnym popołudniem. W dzień nie pije. Pijana nigdy nie jedzie do banku. Jej czeku powyżej pewnej sumy nie zrealizuje nikt, tylko ona sama, fizycznie obecna. Tak sobie zastrzegła. W obawie przed nadużyciem, w obawie przez zupełnym brakiem obowiązków. Przynajmniej to jedno musi. W dzień wciąż jeszcze miewa różne inne zajęcia. Domy mody nadal ją interesują, składa wizyty, od czasu do czasu odwiedza salon piękności, bo na co dzień ja dbam o jej wygląd, zdarza się również i większa gala.

Wtedy powierza się rękom fachowców od urody i otwiera wmurowaną w ścianę pancerną szkatułę, gdzie przechowuje kosztowności. Długo się nimi bawi, niby wybiera. Wkłada na siebie rzadko, przeważnie nosi mniej wartościowe lub stroi się w łudzące imitacje najcenniejszych.

Zawartością skarbczyka lubi też bawić się po pijanemu, jak stary generał, co w orderach szuka przypomnienia przebrzmiałych zaszczytów, minionej chwały, znaczenia, wygranych batalii lub tylko pozorów. Alkohol i cenne kamienie, szczególnie kombinacja nałogu i próżności, przywracają jej złudzenie czasu, kiedy była kobietą młodą, piękną i kochaną. Jednak nawet w największym zamroczeniu nie uroni żadnego klejnotu i wszystkie zamknie z powrotem. Rano mętnie o tym pamięta albo ma tylko niejasne przeczucie, że otwierała ognioodporne puzdro.

– Niczego nie zgubiłam? – mruczy nie patrząc na mnie. Pytanie jest retoryczne. Gdy jej zależy, abym czytała z ruchu warg, dotyka mnie trzcinką.

Otwiera skarbczyk. Konfrontuje przedmioty z listą in-

wentarza. Przeżywam męki. Nigdy nie mam pewności, czy się coś nie zawieruszyło albo nie spadło i nie ugrzęzło niewidoczne w runie dywanu, chociaż zawsze po ułożeniu jej do łóżka uważnie badam miejsca, w jakich siedziała, stała, chodziła przymierzając te swoje błyskotki. Kiedy pije, jest nieznośnie ruchliwa, zanim nie zacznie tracić równowagi.

Szaleństwo! Uzależniać swoją egzystencję od dobrej woli przeważnie zamroczonej psychopatki. Uciekać stąd, póki się jeszcze nic nie stało – powtarzałam sobie, ilekroć robiła remanent. Ale znów wszystko się zgadzało, mijał niepokój i nie opuszczałam zacisznego miejsca, bo nie bardzo miałam dokąd iść, a poza tym właśnie tu, wśród bogatych próżniaków, widziałam szansę dla siebie.

Nie znajdowałam sposobu, aby jej przeszkodzić w wyciąganiu cennych zabawek, gdy była na bani. Sejf miał zamek cyfrowy bez kluczy, a ona, nawet ciężko spita, pamiętała potrójne zabezpieczenie: hasło, kombinację liczb oraz literę dodatkowej blokady. Nie dawała się odciągnąć od kasy, podnosiła ryk jak obdzierana ze skóry i szarpała z siłą furiata.

W wyniku tej uporczywej manii poznałam kod otwierający pancerne puzdro, wmurowane w ścianę sypialni pod werdiurą z Aubusson. Wprawdzie nigdy nie zapomniała usunąć mnie stamtąd przed rozpoczęciem otwierania, ale pewna, że niczego nie słyszę, przepowiadała sobie sentencję, dyktowała kolejną cyfrę przed naciśnięciem odpowiedniego klawisza, a gdy myliła szyk lub nie skoordynowanym ruchem trafiała w niewłaściwy przycisk, powtarzała operację nieraz i kilka razy.

– W porządku – mówiła rano po skonfrontowaniu stanu posiadania ze spisem inwentarza. – Wiem, co chcesz powiedzieć. Gdy piję, nie powinnam wyjmować biżuterii. Masz rację, ale nie patrz już tak na mnie.

Nienawidziłam jej w takich chwilach. A iedyne, co

mogłam zrobić, to patrzeć. Więc mordowałam ją spojrzeniem. Poczekaj, odgrażałam się w myśli, kiedy będziesz leżała jak bela, spuszczę ci wały. Przez tydzień nie siądziesz na tyłku, stara rosówko!

Nigdy się na to nie zdobyłam. Starczało udręki, jaką zadawała sobie sama. I tak pozostawało. Ona znów wyciągała klejnoty, potem ja obszukiwałam podłogę. Lecz mimo ostrożności za każdym razem od nowa bałam się, czy nie zginęło któreś z tych kosztownych góvien, bo była podejrzliwa i łatwo pomawiała ludzi.

Kiedy w rachunkach Paula – odzwiernego, sprzątacza i w ogóle osoby do wszelkich grubych robót – znalazła jakieś nieścisłości, z miejsca wezwała policję. A chociaż rzecz się wyjaśniła, ot, zwyczajne niedopatrzenie, nie chciała więcej Paula widzieć.

– Cul, salaud! A niech go deportują, może się nauczy robić dobrze to, za co mu płacą! – krzyczała wściekła.

Nie zatrudniała Francuzów chronionych przez związki zawodowe, tylko cudzoziemców, całkowicie od niej uzależnionych. Starczyło, aby nie przedłużyła pozwolenia na pracę, pozostawali bez żadnych szans nie tylko na inne zajęcie, lecz i na dalszy pobyt w granicach Republiki. Korzystała z tej władzy bez skrupułów. Zła królowa.

We francuskim wypowiadała się lepiej niż w rodzimym języku, bardziej odpowiadał jej temperamentowi. Solidną wiedzę leksykalną, wpojona jej w młodości przez zacne siostrzyczki w Sacré-Coeur, wzbogaciła, genialny samouk, słownictwem pozbieranym w szynkach Saint-Germain-des-Près, Montreuil czy Clignancourt, gdzie, wprawdzie coraz rzadziej, zachowywała się jak dziwka, nie przestając być wielką damą. Na Pigalle nie chodzimy, Pigalle to dekoracja, nieustająca commedia dell' arte dla turystów. My lubimy autentyk.

Zwłaszcza „Chez-Soi”. Obszerną piwnicę z niskim kamiennym sklepieniem odgradzoną od składu wina arkadą

pociemniałych beczek. Ciasno leżały na grubych drewnianych progach, stykając się obłymi bokami, zwrócone ku sali rzędem dekli o średnicy ponad wzrost człowieka, z kranami w szpuntach, skąd gospodarz, przebrzmiały bokser, toczył młode wino wprost do karafek podawanych na stół. Ale przeważnie pito tu mar i meskal – egzotyczną meksykańską wódkę z kaktusa.

W półmroku, pod skąpym światłem świecówek, z rzadka zawieszonych na ścianach z wapiennego ciosu, przy table d'hôte oszukiwali samotność handlarze, paserzy, przemysłowicy, złodzieje i inna nie chroniona fauna pobliskiego targowiska i dzielnicy Clignancourt, skrachowane stare kuplerki, wyszłe z obiegu, i czynne zawodowo dziewczyny, i lubujący się w złotych ozdobach młodzi sutenerzy noszący na przegubach, jak odznakę stowarzyszenia, grube kruszcowe bransolety, i faceci, po wyglądzie których nie rozpozna się uprawianego procederu, a oni o tym nie mówią nawet w największym zamroczeniu.

Z początku nie rozumiałam, czego szukała Vanessa w ciemnym, wielojęzycznym nurcie wszędzie obcych psychicznych odmieńców, ludzkich odrzutów, groźnych inności, dryfujących w oparach gronowej wódki pośród wrogiego im żywiołu miasta, zespolonych tu nazwą mówiącą, że chez-soi, są w swoim kącie, u siebie, najbezpieczniejszym miejscu w całym Clignancourt, bo dymisjonowany pięściarz trzymał na stajni ważnego glinę i zawsze w porę bywał ostrzegany o nadciągającej obławie. Ale też w tym rezerwacie niepisane prawo zakazywało wszelkich porachunków, a nawet zwykłego mordobicia, i było respektowane.

– Ça va, ça va, Madame – padało z różnych stron, kiedy Vanessa przechodziła do swojego kąta przy szpalerze watorów opasujących denka ze szerniałej klepki.

Madame. Tak ją przezywali. Uchodziła za pierwszej klasy dziewczynę, która miała tyle rozumu, aby odłożyć

dość pieniędzy, które teraz, po wycofaniu się z fachu, gdy wiek przekreślił szanse na bogatych klientów, starczały na dostatnie życie i na mar w „Chez-Soi”, a także na postawienie przegranych lub będących w przejściowych kłopotach.

– Ça va, Madame – przysiadł się do nas mężczyzna, może czterdziestoletni, średnio zatankowany, z tych, którym nie powierzyłabym kasy.

– Napijesz się, Victor? – Vanessa dała znak gospodarzowi.

– Dzisiaj ja funduję, Madame – mówił z murzyńska po knajacku. Zmierzył mnie błękitnym, nieco już rybim oczkiem, i przeniósł pytające spojrzenie na Vanessę.

– Paulette jest ze mną. – Sączyła mar, gadała z ożywieniem, odkrzykiwała na żartobliwe zaczepki od innych stołów, robiła miejsce siadającym przy naszym.

Ubrana z seryjnym szykiem popularnego magazynu w coś od Tatiego albo od Lafayetta, nie pokazywała się tutaj w sukniach od Cardina ni klejnotach, swój bezbłędny francuski podbarwiała zwrotami w śpiewnym, paryskim argot, ale z umiarem, tak jakby to robiła dziewczyna z polorem, lecz nie zadzierająca nosa, kiedy pozasłużbowo zabawia się wśród swoich.

Artycha! Zrozumiałam, co ją tak nieodparcie pociągało. Gra. Ona kreowała jedno z nich. Tu była jej scena i jej widownia, i inne życie, i inna skóra. Odświeżająca egzotyka, ostra przyprawa odnawiająca stępiony smak, dodający wartości przeświadczeniu, że z tego ścieku w każdej chwili może powrócić na posadzki swojego środowiska.

– Dlaczego nie pijesz? – przyczepił się Victor. – Do ciebie mówię, mała! – Ciągnęłam mar, ale brakowało mi pojemności wielbłąda, jego drażniło moje umiarkowanie. – Co patrzysz? Jak mam smak na picie, nie cierpię trzeźwych wokół siebie. Działają mi na nerwy, czuję się jak goły, zwłaszcza kiedy się tak wytrzeszczają!

– Zostaw ją, Victor! Jest niema i aby rozumieć, musi czytać z ruchu warg – interweniowała Vanessa.

– Ale przecież nie chora na przełyk – zamruczał, ale dał mi spokój.

Wyłączyłam uwagę i przyglądałam się sali, jak człowiek z naprawdę odjętym światem dźwięków. Niezła zabawa. Dym z papierosów jeszcze bardziej odrealniał piwniczny półmrok, niczym w płynnym roztworze kłębiły się dziwne stwory, poruszające, rozciągające, kłapiące pokrzywionymi pyskami, łypiące maślanymi, pustymi albo śmiertelnie smutnymi oczyma.

– Idziemy – dotknęła mego ramienia szefowa.

– Zaczekaj, masz coś u mnie – przypomniał sobie Victor.

Vanessa w niezłym stanie zbierała się do wyjścia. W „Chez-Soi” nie zalewała się do utraty przytomności, nie pasowało do zagrywanej postaci, a i przez ostrożność, więc do taksówki ładowała się bez kłopotów, a niedobór alkoholu dopełniała w domu.

– O kurwa – niespodziewanie zaszemrał Victor w rdzennym nadwiślańskim narzeczu. Mruczał jeszcze coś po polsku, kiedy wyciągany z kieszeni opiętych dzinsów zwitek pieniędzy wypadł mu z ręki na podłogę. Same pięciofrankówki. Zgarnął je, wyrównał, odliczył i zwrócił dług Vanessie.

Gruby plik zużytych, jednakowych banknotów przypomniał mi gazetową sensację sprzed kilku dni. Zabójstwo człowieka podczas napadu na kasę metra i rabunek kilkudziesięciu tysięcy w drobnych odcinkach. Bieżące wpłaty pasażerów, numeracja nie do ustalenia.

Ostatnio jednak zarzuciłyśmy zwyczaj włóczenia się po mordowniach. Musimy dbać o opinię, o coś, na czym Vanessie zupełnie nie zależy. Nie, inaczej: ona stanowi opinię i miarę postępowania. Zachowanie pozorów wzmagają frustrację, ale musi liczyć się ze Stunningtonem. Jego

szpiedzy skrzętnie zbierają wiadomości o ekscesach, przeciwnik czyni przygotowania do ograniczenia jej osobowości prawnej. Ona wie o tym zamyśle, bo z kolei też ma szpiegów przenikających do wrogiego imperium. Boks!

Sprawa jest poważna. Gra się o pieniądze.

W tym kontekście wybór głuchoniemej la dame de compagnie, a raczej dziewczyny do wszystkiego, nie jest, jak można by powierzchownie sądzić, zwariowanym pomysłem ekscentrycznej kobiety. Taka sługa z racji pełnionych obowiązków dowiaduje się mimochodem różnych rzeczy, zwłaszcza jeśli parę razy w tygodniu wysłuchuje niekończących się monologów zamroczonej szefowej i zbiera nieprzytomną z podłogi.

Z tych samych przyczyn Vanessa coraz bardziej zamyka się w czterech ścianach, a furta w murze jej ślicznego domu uchyla się tylko przed nielicznymi.

Czasami, aby zdementować opinię męża i pokazać olimpijską formę, wraca do swego świata. Jak gwiazda przygotowuje wielkie wejście. Zabieg wymaga wyrzeczeń, przede wszystkim odstawienia butelki. Jeszcze potrafi się na to zdobyć. Wypoczynek połączony z biegłością zawodowców od przywracania urody robi twarz. Reszty dokonuje oprawa. Ale swój wspaniały, ciężko wypracowany wygląd prezentowała tylko przy specjalnych okazjach, podobnie jak prawdziwe klejnoty z pancernego puzdra.

Wypielegnowana, piękna, wytworna szła świadczyć odrestaurowanym jestestwem przeciwko pogłoskom o swej degrengoladzie.

Po najdłuższej przerwie bez trudu włączała się w nurt życia towarzyskiego, wspierana rutyną nieprzeliczonych rautów, cocktaili, five o'clocków, balów, weekendów – po w pocie czoła przepróżniaczonych tygodniach, wakacji – po miesiącach ciężkiego nicnierobienia.

Zabijanie czasu to proceder wyczerpujący.

Vanessa niszczyła go z naturalnym wdziękiem. Wieczo-

ry rozmieniała na migotliwe okruchy, efektowne jak pajety przy jej sukni. Słowom nie znaczącym, gestom błahym potrafiła przydać głębi, ważkich znaczeń. Ujmowała życzliwością wobec świata, który w rzeczywistości w najlepszym razie nic ją nie obchodził. Czarowała. Świetny materiał na hochsztaplera. Już ja się na tym znam.

Niepospolita, atrakcyjna, wyraźnie odbiegała od przeciętnej sztammy swego środowiska, potrafiła pozyskiwać sympatię. Toteż po wyjściu z izolacji szybko odrabiała stracone w czasie nieobecności pozycje. Kroczyła przez odzyskany teren w orszaku znów wielbiących ją poddanych. Kochana królowa. Nadal zachwycająca, nadal uroczą, nadal ekscentryczna. Słyszeliście o jej ostatnim pomysle, nie? Niezwykły. Zabawny. Głuchoniema dame de compagnie!

Surrealizm. Prawda?

Obwoziła mnie po znajomych jak tresowanego lamparta. Owo upośledzenie, wprzęgnięte w jej służby, stawało się wybrykiem natury, sensacją, jak kobieta z brodą czy bracia syjamscy.

– Zupełnie nie wygląda na niemowę – zachwycały się panie, których głowy też nie wyglądały na puste w środku.

– Ma zupełnie inteligentną twarz – chwaliły damy o twarzyczkach perliczek.

– Przecież jednak kalectwo, ma chère! Nie budzi w tobie odrazy? – dopytywała się wychudzona czapla z obliczem rozdieranym tikami.

– Paulette czyta z ruchu ust – ostrzegała moja właścicielka.

– Rozumie także po angielsku? – wywiadywała się inna, przechodząc na ten język i przezornie usuwając się z zasięgu mojego wzroku.

– Nie. Angielskiego nie zna – zapewniała moja szefowa. Mylisz się, patrona. Znam. I niewiele jest języków w Eu-

ropie, których bym przynajmniej nie rozumiała. Jeśli muszę, w pięć tygodni nauczę się nawet narzecza Bantu, tak jak opanowałam niezbędny zasób wymowy gestów, nieodzowny ludziom z odjętym światem dźwięków, chociaż, chwalić Boga, słuch mam dobry, a dykcję lepszą od damy, co ciekawa mojego anglo gruchocze sylaby, jakby je ubijała w mózdzieniu.

– Paulette jest Katalonką – cierpliwie wyjaśnia Vanessa – ale matkę miała Francuzkę.

– Ciekawe, w jaki sposób głuchoniemi wymieniają myśli z głuchoniemymi innej narodowości? – dociekał monsieur Filip Claparon, radca prawny szefowej, wykwintny staruch przyodziany w stylu księcia Walii, tego od lady Simpson.

Pytanie dostarczyło Vanessie okazji do zademonstrowania, jak sprawnie się ze mną porozumiewa. Nie zabierała na wizyty trzcinki. Dotykaniem upierścienionej ręki dała znak, abym patrzyła na jej usta. Powtórzyła pytanie.

– Podstawowe pojęcia w języku migowym przypominają esperanto – kreśliłam na bloczku ze sztywnych listków, jaki zawsze miałam pod ręką. Pisało się na nim łatwo ścieralnym rysikiem. Patent Vanessy.

– Robi błędy, oczywiście – usprawiedliwiała mnie szefowa. Prawda, z pisaniem miewałam kłopoty. Języków uczyłam się na słuch. Przyswajałam je błyskawicznie, akcent, idiomy. Mówiła do mnie ulica, sklep, kawiarnia, płyta.

– Jest całkiem ładniutka – mlasnął staruch oglądając mnie bezceremonialnie.

Stałam pół kroku za nimi, opięta granatową morą. Trzymałam w pogotowiu futrzany szal Vanessy, który zsunęła z ramion w przegrzanym salonie.

Monsieur Claparon nachylił się do mego ucha, wionął patentowanym zapachem płynu do ust, wyszczerzył świetną w gatunku sztuczną szczękę i wszeptał stek sprośności,

jakich nie powstydziliby się kupler z Pigalle. Widać przyzwoite zachowanie krępowało go jak za ciasny garnitur, w tym otoczeniu jednak nie śmiał folgować upodobaniom. Trwałam nieporuszona z bezosobowym uśmiechem manekina.

Sposobność do małego odwetu nadarzyła się jeszcze tego samego wieczoru. Przy wyjściu. Przez wykwintną skórkę trochę już noszonego bucika monsieur Claparona – zupełnie nowe, jakież to nieeleganckie! – wypuczał się staw palca. Przechodząc mimo, potknęłam się i odzyskując równowagę wdepnęłam mu na odcisk szpilkowym obcasem. Zaskowyczał.

Vanessa zaliczała salony trzeźwa. Nieraz przez wiele godzin mężnie znosiła torturę jednego kieliszka. Poprzez stanie na niewielkiej ilości alkoholu było dla niej trudniejsze niż w ogóle niebranie go do ust. W taki sposób podważała pogląd o swoim alkoholizmie.

Towarzyska ruchliwość szefowej nie pozostawała bez oddźwięku. Odkurzona przychylność środowiska owocowała opinią: Vanessa to zjawisko, któremu należą się wyjątkowe względy, a nawet ochrona przed nietolerancją i brutalnością męża. Stunnington łamie reguły gry podnosząc niegodne plotki i nieszkodliwe ekstrawagancje do rangi dowodów na niepoczytalność separowanej żony. Ale do wydarcia jej majątku nie dopuszczą Stunningtonowie prawdziwi, nie przybłędy.

Vanessa nie przeceniała swoich zwycięstw. Obdarzona gorzką wiedzą o nietrwałości tłumy strącającego dzisiejszych faworytów na jutrzejsze dno, nie miała złudzeń, że jeśli dojdzie do decydującej rozprawy, będzie sama. A jednak po coś potrzebowała tej chimerycznej akceptacji, podobnie jak sympatii przyjaciół z „Chez-Soi”.

Prawie każdy wieczór miała zajęty.

W takim rytmie potrafiła wytrwać kilka miesięcy. A były to spotkania wciąż tych samych ludzi, nie mających



sobie nic albo niewiele do powiedzenia, jałowe jak sieczka, różniły je tylko pory roku i raz taki, a raz owaki wystrój i miejsce. Nawet trudno się dziwić, jeśli wytrzymywała ten młyn najwyżej kwartał.

– Boże, jacy oni nudni – ziewała przed lustrem, w pierwsze wolne popołudnie po tym maratonie gorączkowych zabiegów towarzyskich.

– I głupi jak kijanki – stroiła miny do odbicia, przesuwiała palcami po niteczkach brwi.

– Ale poczciwi – zmywała dzienny makijaż i już nie malowała się na wieczór, przebierała w jedną ze swych sukien afro, jakie lubiła nosić po domu i w których wyglądała jak szczepowa arystokratka.

I nieuchronnie nadciągał wieczór, gdy sięgała po wino. Najpierw po wino. Pierwszeństwo miało bordo. Paryżanka z wyboru, mówiła.

– Francuz wkraczając w wiek męski rzuca burgunda dla bordo. Wina bordo są łagodne, wyrafinowane, bogatsze gamą smaków, słabsze, subtelniejsze. Ich przeciwieństwem jest burgund. Mocny, ostry, soczysty. Bujny jak gorąca krew młodości.

Jak Paryż rozdzielony biegiem Sekwany. Lewy brzeg to burgund, prawy bordo. Prawy – świat ludzi dojrzałych: Łuk Triumfalny, Champs Élysées, Luwr, Opéra, Marais. Po tej stronie mieści się administracja – L'Hôtel de Ville, rząd – Pałac Elizejski, wszystkie większe sklepy, galeria Lafayette, banki, międzynarodowe korporacje. Ritz i najbardziej luksusowe hotele, najwykwintniejsze domy mody, tu mieszkają call-girls i większość ich klientów, tu Palais Royale i inne siedziby francuskich królów. Natomiast lewym brzegiem włada młodość. Sorbona, Dzielnica Łacińska, Montparnasse.

Ici on pense – là-bas on dépense, tutaj się myśli – tam się wydaje – mawiają Paryżanie.

Postępowała odwrotnie niż dojrzały Francuz. Porzuciła

łagodne bordo dla gorącego burgunda, oba zaś dla koniaku „Imperial”. Pociągana mroczną, nienawistną nostalgią zstępowała w swój izolowany świat, niedostępny dla pozostałych poza krawędzią oliwkowego szkła.

Zabijanie siebie przeciągała długo w noc.

Koło południa zaczynała się ekshumacja. Wchodziłam do zaciemnionej sypialni. Leżała jak portret z całuna w wymiętych atlasach, zagubiona w swym szerokim lit á la turque pod spływającym z sufitu baldachimem w kształcie namiotu z pajęczko cienkiego jedwabiu.

Przystawałam u stóp łoża, wykonanego, jak twierdziła Vanessa, w pracowni Charlesa Cressenta, dostawcy trzech ostatnich Ludwików. Odgradzone żaluzjami światło dnia, rzenikając przez szczeliny, zapalało złocenia stiuków, ślizgało się po werniksach panneau i supraportach ujętych ramami w płycinach kremowych ścian, nad ościeżami dwuskrzydłowych drzwi.

Bębniłam w cenny szczytek wygięty w linię es i patrzyłam, jak ona ukrywa się za zamkniętymi powiekami.

– Przestań, Paulette! Nie śpię – otwierała opuchnięte oczy, dźwigała ręce do uszu i zmożona tym wysiłkiem znów zamierała w bezruchu. Udręczona królowa rozpoczynała levé.

W łazience, wyłożonej fajansiem z Delft, w kabinie odnowy biologicznej poddawała się na zmianę parówce i tryskającym pod ciśnieniem biczom letniej wody. Po zabiegach wyciszających pochmiel, po pławieniu w aromatycznych solach okrywałam jej głowę maską, pod którą w gorącej wilgoci kompresu z ziołowej miazgi tęchły obrzęki, i zabierałam się do masażu. Tak składałam ją kawałek po kawałku, a wszystko po to, aby wieczorem mogła znowu zabrać się do butelki.

– Wraca mi życie – mówiła, kiedy zmywałam jej z twarzy odżywczą papkę po zdjęciu płóciennego futerału. Zawinięta w puchaty płaszcz zasiadała przed coiffeuse i pod-

czas czesania tropiła zmarszczki, wpatrując się w swe rozmienione odbicie w trójskrzydłowym lustrze.

Ubrana, pachnąca, wchodziła do pokoju, gdzie zwykła spędzać dzień. Przeważnie płonęły drwa na kominku, była wrażliwa na chłód i lubiła prawdziwy ogień, czekało śniadanie i Coco, srebrzysty maltańczyk, cały z jedwabistych frędzli opadających do ziemi jednakowo ze wszystkich stron. Poruszając się przypominał stułbię pływającą przy pomocy wiechy falujących parzydełek.

Spasiony sybaryta ostrożnie opuszczał fotel, gdzie zwykł się wylegiwać, i rozdierany ziewaniem, przeciągał się i prostował łapy pod tą totalną czupryną.

Po śniadaniu, jeśli miała dyspozycje, dzwoniła po Paula. Rachunki sprawdzała raz w tygodniu. Do kuchni nie wtrącała się nigdy, niepodzielnie rządził nią Czen.

Chiński kucharz to nie tylko najlepszy na świecie kucharz, jak utrzymuje obiegowa opinia. Chińskiego kucharza się ma. Należy do szyku, określa status właściciela jak rolls-royce, jak dzielnica, w jakiej się mieszka, jak biżuteria, której można nie nosić, ale powinno się posiadać.

Vanessa ceniła Czena i unikała bezpośredniego kontaktu. Czen był tu wyjątkiem, Czen był s t a r y.

O starości, przerażającej i budzącej żywiołowy sprzeciw, Vanessa nie chciała nic wiedzieć. Nie dawała zgody na przemijanie. Miała pięćdziesiąt pięć lat, zakłamywała wiek chirurgią odmładzającą, arsenalem kosmetyków i wierzyła, że wygląda o dwadzieścia lat mniej.

Sprzyjały temu stare, nieszczerze lustra, zmęczone sędziwe lustra, co przez schlebianie nieprzeliczonym odbiciom zamgliły się na tyle, aby nie ujawniać zmarszczek, wysłużone cenne zwierciadła, złudnie wygładzające każdą twarz.

Służba, psy, koty, nawet ptaki w ogrodowej wolierze raz na zawsze zostały nazwane: Czen, Paul, Paulette, Coco, Mufti. Rotacji poszczególnych egzemplarzy nie przyjmo-

wała do wiadomości. Te same imiona, wciąż podobne młode twarze, koty tej samej maści, psy tej samej rasy miały sprawiać wrażenie, że czas nie upływa.

Nie pobyłam długo, a już nastał drugi Paul i nagle padł zastany Coco. Delikatne, przerasowane maltany wykańczały się u niej szybko. Zdychały z nudów, przekarmiania i otyłości. Tylko Vanessa zdawał się służyć przegrzany klimat jej pokoi, armagnac i brak ruchu.

Psy nie wytrzymały. Marły. W miejsce nieboszczyka zaraz pojawiał się nowy. Gdy Paul pośpiesznie w rogu ogrodu grzebał jedwabisty tłumoczek, złożony w jakieś wykwintne pudło po zakupach u Cardina, Chińczyk telefonował do hodowcy, a ten natychmiast dostarczał kopię poprzednika reagującego również na zawołanie Coco. Widocznie znał dobrze obyczaje domu i zawsze miał w pogotowiu egzemplarz maltana o takiej nazwie.

Vanessa nie dostrzegła zamiany. Ważne, aby żywa pelotka falującej wełny wylegiwała się na kanapach, łasowała, objawiała radość na jej widok.

Znacznie szczęśliwiej wiodło się Abelardowi i Heloizie. Imiona nieśmiertelnych kochanków nosiła najpiękniejsza para chartów rosyjskich, jaką wyprowadzano na codzienny spacer do lasu Vincennes. Championi wielu wystaw zbierający złote medale. Tedy dbano o nich ściśle według zaleceń weterynarza, który co tydzień przyjeżdżał badać stan ich zdrowia. Ich przeznaczeniem było świadczyć o dobrym smaku Vanessy w doborze rzadkiej, wykwintnej rasy.

A tak naprawdę nie zauważała ani zwierząt, ani ludzi, zapatrzona w siebie jak Budda. Reszta to magma, z której w miarę potrzeb wynurzał się pojedynczy osobnik o nazwie Czen, Paul albo Paulette, zaopatrywał dom, sprawiał, że rosły róże w ogrodzie, dbał, aby na dywanach nie osiadał kurz, a pościel zawsze miała świeże obleczenie, podawał suknie, jedzenie, sprzątał rozbite szkło.

Do obiadu Vanessa sączy wino. Z nastaniem wieczoru otwiera starą kredensową szafę, cenny renesansowy antyk, gdzie w miejsce półek umieszczono płyty z obłymi wgłębieniami – spoczywają w nich nachylone pod kątem butelki. Wyciąga koniak „Imperial” i stawia na stoliku. Zapada obok w fotel.

Zapowiada się trochę spokoju.

Vanessa czyta albo udaje, że czyta, patrzy w ogień, drażni gorejące głównie pięknie kutym pogrzebaczem. W milczeniu pociąga z kieliszka. Ja siedzę w wysuniętej na pokój części dwustronnej kanapy, zamykającej przykominkowy aneks. Odgradzona od szefowej oparciem, pozostaję w zasięgu jej trzcinki, jednak wystarczająco daleko, aby moja obecność nie przeszkadzała. Zresztą jestem jak Coco albo Mufti, tylko bardziej użyteczna.

Czuję lekkie uderzenie w ramię, odkładam książkę, odwracam się i patrzę na jej usta. Zaczyna się dopust, będzie gadać.

Temat pierwszy, niewyczerpany: My, Stunningtonowie!

Jej rodowe nazwisko także brzmi Stunnington, wiodła się z najlepszych, jacy istnieli, Stunningtonów, w odróżnieniu od Stunningtonów byle jakich, z których pochodził Pendragon Stunnington, nazywany przybłądą i jeszcze mniej cenzuralnie.

– Arystokraci – nadymała się na wspomnienie tych swoich przodków, owych purytanów czy prezbiterianów, nie potrafię się w nich połapać, co wypięli się na nietolerancyjną Anglię i w siedemnastym wieku odpłynęli ku Ameryce. Potem zaś na okutych obręczami furgonach przebyli w poprzek kontynent, przedarli się przez pustynię Nevada, Wielki Kanion Colorado i przełęcz Sierra Madre, by wreszcie osiągnąć Kalifornię.

Jedno z tego wydawało się pewne, arystokraci czy plebs, wcale niezły materiał genetyczny przekazali jej w dziedzictwie. Co wieczór jak gąbka nasiąkała koniakiem, a nastę-

pnego dnia powstawała z oparów duru i potrafiła funkcjonować, chociaż nie bardzo miała na co wydatkować tę zdumiewającą żywotność. Feniks!

Też pochodzę z arystokracji.

Mój pradziad i dziad kochali konie. Uprawdzali araby, folbluty, uprawdzali ciężkie belgijskie i zwyczajne chłopskie. A chociaż wymyślono zwierzętom certyfikaty i cechy, moi dziadusiowie mieli kontrsposoby. Nawet zebra potrafiliby przerobić na anglika wielkiej krwi. Ale przeminął czas konia.

Pradziad już tej katastrofy nie doczekał, zmarł w chwale najlepszego złodzieja koni na całej Woli od Karaimów po Krochmalną. Natomiast dziadek, skoro przestały opłacać się koszta ryzyka, przekwalifikował się, chociaż wyrzeczenie przeżył ciężko. A od browaru Haberbuscha po Odolany śmiano się z niego. Mówili: Koniarz – taka ksywa mu po pradziadku została – zszedł na psy. I to nie była przenośnia.

Dziadek zawodowo znajdował i odprowadzał za nagrodą przeróżne czworonogi. Żywiły one rodzinę przez jedno pokolenie, chociaż nie tak tłusto jak kiedyś konie. Za to fach był prawie bezpieczny. Dziadek kochał zwierzęta i one go kochały, z przywabieniem kłopotów nie miewał. Zdarzało się też, że właściciele wcale stworzenia nie szukali. Dziadek jednak nigdy takiego biedaka nie prowadził do rakarza. Albo go wypuszczał w pobliżu jego domu, albo pozostawał u nas jak nie wykupiony fant. Toteż dokąd pamięcią sięgnę, żyła u nas niezgorsza gromada kundli różnej maści i kondycji, osobniki zdeklasowane, schamiały, ale wesołe i wolne.

Dziadek potknął się jedyny raz, kiedy mu na starość odbiło i uprawdził samochód. I nawet się powiodło, no ale auto, nie pies, gdy dziadek poszedł nagrodę za odnalezienie brać, już do domu nie wrócił.

– Tato nie rozumie nowego czasu, niech się ojciec za

świeżą branżą nie bierze. Starczy na pęcak i dla nowych burków – perswadował mój ojciec, kiedy dziadka ze względu na dotychczasową niekaralność i wiek wypuścili na wolną stopę, a później wyprawili do domu z wyrokiem w zawieszeniu.

Ojciec nie podjął specjalności przodków. Pod różnymi postaciami praktykował szalbierstwo. Ze zmiennym szczęściem, przeważnie gorzej niż lepiej, i my dzieci pochodziłyśmy już ze środowiska kryminogennego, jak stwierdzały różne panie, samarytanki z urzędu, z wysługą lat i prawem do emerytury, które zaczynały nas nachodzić, ilekroć nasz autor trafił pod celę.

Moje rodzeństwo poszło w porządne obywatela, ja pozostałam przy rodzinnej tradycji. Szczęśliwie dotychczas nie zawarłam bliższej znajomości z takim gmachem w Warszawie, gdzie na fasadzie wyryto w kamieniu: „Sprawiedliwość jest ostoją Rzeczypospolitej”.

Odeszłam jednak od zainteresowań dwóch pokoleń solidnych złodziei i jednego niewydarzonego szarlatana, uprawiam inny gatunek, chociaż to, co robię u Vanessy, nie ma nic wspólnego z moim fachem.

Mój zawód wymaga oprawy, a oprawa pieniędzy. Jako głuchoniema dame de compagnie prędeż naprawdę oniemieję, niż się dorobię, bo jako cudzoziemce, do tego upośledzonej, Vanessa płaci poniżej wszelkiej przyzwoitości i jeszcze się uważa za filantropkę.

Niech tam. Nie przyszłam się do niej obłowić, tylko przeczekać, do czego zmusiły mnie napięte stosunki z policją Republiki. Ale zbyt zaufałam pozornemu spokojowi przy rue Watteau, swojemu sprytowi, a przede wszystkim nie doceniłam seniora Stunningtona, no i dosięgnął mnie straszny starzec.

W dzień wolny od obowiązków u Vanessy, niczego nie przeczuwając, wstąpiłam jak zwykle na moje poddasze

koło ostatniej stacji metra Vincennes i wsiąkłam. O odwrocie nie było mowy.

Na jedynym krześle czyhał stary grzechotnik, przeglądał moje książki i kopcił „Grand Coronę”, grubą hawanę firmy Ulman. Framugę podpierał jego cień, Steve. Wpuściła ich konsjerżka. Kupił ją za pięćset franków z całą jej chciwą duszą. Dla pozorów podał się za mojego krewnego, którego obecność ma być dla mnie niespodzianką. I ona ani słowem mnie nie przestrzegła, chociaż widziała, jak wchodziłam.

– Kim panowie są? – Na nic więcej się nie zdobyłam. Duch we mnie przywiądnął, jedno dodawało otuchy, policji nie wezwie, przynajmniej na razie. Inaczej po co by się tarabanił na czwarte piętro. Wprawdzie wyglądał czersstwo, ale przecież jest w latach, no i pewno zna ciekawsze sporty niż zaliczanie obszczanych przez koty klatek schodowych.

– Dlaczego udajesz niemowę?

– Żeby mieć co jeść.

– Lepiej karmią ułomnych?

– Na taką było zapotrzebowanie, a ja nie miałam pozwolenia na pracę.

– Wiesz, mogę spowodować, aby cię natychmiast odesłano do Hiszpanii, czy skąd tam pochodzisz – nadał się jak kobra. Zdaje się, nie bardzo wierzył w mój hiszpański rodowód. Co za różnica, i tak miał mnie w ręku.

– Wiem. Kilka razy dziennie słyszę to od pańskiej żony.

– Pokaż paszport.

– Leży pod kluczem u madame Stunnington – wyjątkowo mówiłam prawdę. Poza jedynym Czenem, trzymała u siebie dokumenty służby. Nie stanowiłam wyjątku, chociaż pracowałam u niej już przeszło rok. Teraz byłam zadowolona, wołałam, aby mojego paszportu nie oglądał, a zwłaszcza jego fachowcy.

– Jesteś oszustką.

Milczałam. Też mi rewelacja. Przecież nie dlatego wwindował się na facjatę, aby mi właśnie to powiedzieć.

– Mogę cię oddać w ręce policji.

– Może pan, ale pan tego nie robi. Żadna korzyść. A tak może pan mieć niezłe źródło informacji. Przecież wiem, chce pan mieć kontrolę nad Vanessą. Ale Czen nieprzekupny, a ci ciągle zmieniający się gastarbeiterzy są do niczego, za mało inteligentni i nic nie wiedzą.

– Jesteś bezczelna.

– Mogę być użyteczna. – Przecież w tym celu przyszedł

– Zawsze tak lekko sprzedajesz ludzi, u których pracujesz? – poczuł się w obowiązku zademonstrować odrazę, chociaż uczynił wszystko, abym nie miała wyboru.

– Nie zawsze.

– Na ile się cenisz?

Nie odpowiedziałam od razu. Wziąć źle i nie wziąć niedobrze. Wezmę, w każdej chwili może mnie zdradzić i obsmarować przed Utherem jak ostatnie ścierwo. Odmówię, podejrzane. Muszę być w zgodzie z opinią, jaką o mnie ma, z pewnością nie ufa ludziom nie biorącym pieniędzy za parszywe usługi. A im parszywsze, tym droższe. I tak wiszę, i tak. Niech płaci.

– Od ciebie mój syn dowiedział się o swoim starszym bracie – nie pytał, twierdził i nawet bez złości w głosie.

Stało się. Pryśła ostatnia nieśmiała nadzieja, że on nie wie o moich konszachtach z Utherem. Może jednak nie o wszystkich, pocieszałam się, sama w to nie wierząc. Milczałam. Upłynęło niewiele czasu od śmierci jego nieudanego syna.

– I nie próbuj żadnych sztuczek ze mną – zapowiedział, kiedy już mnie zwerbował na donosiciela – odnajdę cię nawet w Patagonii. No i uważaj na siebie, jeśli wpadniesz w kłopoty, nie radzę powoływać się na mnie. Staraj się

może chociaż w części naprawisz wyrządzone zło – znalazł mi na koniec moralną motywację.

Jakiż pęd do dobra siedzi w ludziach. Najgorszy łajdak będzie swoje świństwa uzasadniał nadrzędnym dobrem. Ten też z czystej serdeczności każe donosić na żonę, nakłaniając mnie do tego szantażem.

Wiać natychmiast?

Skoro już wziął na mnie peleng, daleko nie odskoczę. Jak się uprze, znajdzie mnie i trafię prosto do mamra. Trzeba przeczekać. Pozostając nie tracę szansy urwania się spod jego łapy. I dokąd uciekać? W nieskończoność żyć jak zając pod miedzą, bo stary aligator, jeśli nawet wsadzi do czubów swoją trudną kobietę, mnie zapamięta. I nie uśmiechało się znów startować od zera, skoro tutaj zarysowały się widoki na pieniądze.

Nie szło o obiecaną lafę, tyle mogło przynieść jedno podrzędne szalbierstwo, sama przyzwoitość w porównaniu z dedykowaną mi rolą. Nie żywiłam szczególnego sentymentu do Vanessy, ale pośród niewielu rzeczy, jakich nie robiłam, na pierwszym miejscu stawiałam kapowanie. Tymczasem stary drań zapędził mnie jak szczura w kąt i wrabiając w donosicielstwo stosował klasykę: kij i nagroda.

Każda laga ma dwa końce, a premię sama sobie przyznam. Ani się domyślając odsłonił na strzał, a ja nie zmarnotrawię okazji, chociaż z niego groźny przeciwnik i sprzymierzeniec też uciążliwy, bardziej podobny do wroga. Jeśli mnie przejrzy, ładuję w przechowalni. Ale ciupa plus ciupa równa się ciupa. Wisieć za jedną nogę czy za dwie – niewielka różnica.

Dopóki zdołam utrzymać go w przeświadczeniu, że biegam na smyczy, którą on powoduje, dotąd jestem bezpieczna. A więc mam trochę czasu na nabranie oddechu i jego. Tak mi, Panie Boże, dopomóż. Amen.

Zostałam.

Vanessa po okresie towarzyskiej aktywności weszła w znak burgunda. Podczas porannego wskrzeszania, jeszcze nie tak trudnego jak w fazie „Imperialu”, zatelefonował facet i w tragicznej niemczyźnie życzył sobie pilnie mówić ze starym Stunningtonem albo z jego żoną. Czen poszedł na spacer z chartami, połączenie przyjmował automat.

– Dzień dobry. Rozmowę utrwała taśma, proszę pozostawić nazwisko, adres lub telefon. Pani Stunnington odezwie się po powrocie. Dziękuję.

– Znam miejsce pobytu Jadwigi Surażyńskiej urodzonej w Polsce, poszukiwanej przez juniora Stunningtona. Nazywam się Wincenty Baraszko, jestem w Nogent-Sur-Marne w pobliżu rue Watteau, mówię z rozmównicy w bistro – wymienił numer – i będę tutaj oczekiwał wezwania. Proszę nie zwlekać, za kilka dni opuszczam Francję – głośnik działał, Vanessa słyszała każde słowo, lecz w tym stadium codziennego stawania się jeszcze nie reagowała na zewnętrzne bodźce.

– Jak on powiedział, poszukiwanej przez juniora? – ocknęła się z otępienia po opuszczeniu kabiny odnowy biologicznej. Otulona miękkim kimonem zasiadła przed trójskrzydłowym coiffeuse. Przyglądając się swemu rozmienionemu odbiciu przesłuchiwała zajawę Baraszki i od razu zadzwoniła do tego bistro. Tkwiał tam i zaraz go zawołano.

– Może pan przyjechać, ale ludzie nie znani mi osobiście wchodząc do mego domu oddają paszport portierowi. Inaczej nie przyjmuję – ustawiła faceta, a Paulowi kazała przyprowadzić go na górę i pozostać pod drzwiami.

Zakrzętnęłam się, aby mnie nie wyprosiła. Przygotowałam wodę w misie ze starego holenderskiego fajansu, służącej za wanienkę do moczenia nóg przed pedicure'em, i zanurzyłam jej stopy. Poddała się tym zabiegom bez

zniecierpliwienia, wykonywałam je zrećnie, a ona lubiła starania wokół swojej osoby.

– Jestem, proszę pani – wszedł mężczyzna w nieokreślonym wieku, z grzywą posiwiałych włosów, z gatunku takich, których nie wzięłabym na współników. Zaproszony przez nią gestem, przycupnął na brzegu obitego jedwabiem confidente i obwieścił rozpaczliwym volapikiem, że zna tylko allemande, a najlepiej polski.

– Pan Stunnington przebywa w Kalifornii – powiedziała Vanessa w szkolnej niemczyźnie. – Kto pana do mnie przysłał?

– Nikt. Znalazłem adres w książce telefonicznej – zdawał się zupełnie nie orientować w układach rodzinnych Stunningtonów. W zasadzie liczył na spotkanie ze starszym panem Stunningtonem, ale może rozmawiać z panią, wolałby jednak w cztery oczy.

Pochylona nad stopą Vanessy z niezmaconym spokojem operowałam pilnikiem.

– Ona się nie liczy, jest głuchoniema. Więc słucham pana? – Jakby bezwiednie bawiła się medalionem zawieszonym na szyi. Nieprawdziwe roztargnienie i przewrotna ozdoba. Był ukrytym w złotej kopercie, zdalnie sterującym włącznikiem. Odpowiednio naciśnięty przekazywał impuls czujnikom dźwiękowym, niewidoczną siecią oplatającym dom, a te uruchamiały sygnał alarmowy na najbliższym flikowie. Oprócz elektronicznej techniki w odsuniętej nieco szufladce toaletki, tuż pod prawą ręką spoczywającą na poręczy fotela, miała nabity pistolet.

Facet sprezentował ogłoszenie wycięte z jakiejś polskiej gazety i znowu rozwinął się w swoim beznadziejnym niemieckim, niedostatki słownictwa gęsto uzupełniając polskimi zwrotami.

Niezła próba w mojej karierze niemowy.

– Jadwiga Surażyńska żyje, chociaż w jej rodzinnych stronach panuje przekonanie, że zginęła wraz z matką. Na

apel zamieszczony w prasie odpowiedziałem do biura ogłoszeń. Wtedy zaprosił mnie sławny warszawski adwokat, mecenas Oskierko, rozpytał o szczegóły i niezwłocznie wyprawił samolotem do Paryża. Tu czekał pan Uther Stunnington. Ponieważ jednak stwierdziłem, że to człowiek młody, majątkowo niesamodzielny, nie udzieliłem mu pożądanej informacji, tylko...

– Dość. Ile?

– Stunnington junior skłonny jest zapłacić dziesięć tysięcy, ale ja myślę...

– Nie interesuje mnie, co myślisz. Wrócisz, skąd przybyłeś, będziesz milczał i słuchał tylko mnie. I niech ci nie przyjdzie do głowy wyciągać pieniądze od tej kobiety czy kogokolwiek innego, bo nie zdążysz ich wydać. Zapamiętaj, ostrzegłam cię! Tymczasem ode mnie otrzymasz jednorazowo dwa tysiące przekazem na bank handlowy w Polsce, i w ten sam sposób, powiedzmy, po dwieście dolarów miesięcznie przez dwanaście miesięcy. A na rękę bilet powrotny. Wezwę cię, gdy mi będziesz potrzebny.

– To jest rozbój. Wycofuję się!

– Mam wezwać policję? – nacisnęła domowy dzwonek, w drzwiach wyrósł Paul, zamknął je i podparł framugę.

– Jeśli do jutra nie pokażę się w moim pensjonacie, wiadomość o Jadwidze Surazyńskiej i adres, pod jaki udałem się w Nogent-Sur-Marne, otrzyma Uther – zajęczał. Już rozumiał, że przechytrył sam siebie, stawiając na lepszy połów tutaj.

– Jutro będziesz w drodze do siebie. Kolejną. Dla mnie nie jesteś aż tyle wart, żeby cię odsyłać samolotem. I niech cię nie łudzi odległość, nic ci nie pomoże, jeśli nie dotrzymasz umowy – odebrała mu inicjatywę i dyktowała warunki.

Zatelefonowała do Claparona.

– Filip, natychmiast potrzebuję pańskiej pomocy i kogoś ze znajomością polskiego. Czekam! – do reszty zgłupiał

stary ścierwnik, gdy ta para wzięła go w obroty. Niestety, zamknęli się w trójkę w empirowym gabinecie Vanessy. Podслуchać też się nie dało, bo na podeście stróżował Paul. Ale jak znam szefową, na pewno wydusiła z niego na piśmie przyznanie się do usiłowania popełnienia czynu karalnego.

Jeszcze tego dnia wieczorem Wincenty Baraszko został odstawiony przez Claparona na Gare de l'Est i wsadzony do warszawskiego pociągu. Oczywiście przyjął warunki Vanessy. Zresztą nie najgorsze, zwłaszcza jeśli alternatywę stanowiło oskarżenie o szantaż.

Na próżno Uther szukał człowieka, który mu nawiał z hotelu i rozplynął w Paryżu, jakby nigdy nie istniał. A ja milczałam.

Wisiał nade mną posepny cień Stunningtona, byłoby samobójstwem zdradzić Utherowi udział Vanessy w zniknięciu Baraszki. Oczywiście stary aligator także nie dowiedział się ode mnie, że Vanessa kupiła ścierwnika, wyszperanego na zlecenie Uthera przez warszawskiego adwokata.

I to wydarzenie, a także powrót młodego Oskierko do domu przyspieszyły, a może i zdecydowały o wyjeździe Uthera do Polski. Ja nie miałam odwagi się urwać, zbyt mocna była moja smycz. Nienawidziłam starego, nienawidziłam Vanessy i coraz bardziej się bałam.

A czekał mnie, jak się miało okazać, jeszcze cały rok tej niewoli.

Już po wyjeździe Uthera, a w jedenaście miesięcy po pogrzebie syna Vanessy, zginął doktor Orlano Harrocks. Zastrzelono go w biały dzień we własnym gabinecie, w jednym z tych uroczych pawilonów bostońskiej kliniki, otulonych drzewami i tonących pośród kwiatów.

Wielkimi czcionkami tytułów doniosły o tym wydarzeniu amerykańskie gazety dostarczane do domu przy rue Watteau wraz z francuskimi, mlekiem i pieczywem.

Co rano zanosilaam prasę do pokoju z kominkiem, gdzie najchętniej spędzała dzień Vanessa, a sprzątałam wieczorami często nawet nie przejrzaną. Teraz szefowa czytała pilnie, śledziła wszystko, co pisano na temat zabójstwa Harrocksa.

Doniesienia brzmiały sensacyjnie.

Klinikę Harrocksa, nawiązując do ponurej opowieści science-fiction, nazywano bankiem przeszczepów i wylegarnią Alf i Ipsydonów. Notatka z brukowej popołudniówki przypawiła Vanessę o furję. Napisano w niej:

„Na skutek uszkodzeń w kolebce biologicznej rodziły się także Ipsylony, osobniki niepełnowartościowe. Jednego z nich, syna pewnego przemysłowca, leczono w bostońskiej klinice...”

Vanessie krew uciekła z twarzy, odrzuciła dziennik jak jadowitą płaszczkę i chwyciła telefon.

– Kiedy zamkną brudne mordy te pismaki! – wrzeszczała przez ocean i pół kontynentu do Stuningtona.

Sensacja wygasła w sposób naturalny, po kilku dniach zepchnęły ją z pierwszych szpał świeże wiadomości, potem przyszły nowe wydarzenia i już nigdzie nie wspomniano o źle skonstruowanym dziecku pewnego przemysłowca.

Później nadeszła przesyłka z Nowego Jorku. Gruba koperta formatu dużej książki, Vanessa nie rozwinęła jej przy mnie, zabrała do sypialni, wyrzuciła tylko opakowanie. Adresu zwrotnego na nim nie znalazłam.

Kiedy po raz pierwszy otworzyłam sejf Vanessy, obok piętrzących się etui z biżuterią zobaczyłam teczkę z dokumentami. Niektóre spisane na papierze ze znakami wodnymi kliniki „Continental” w Bostonie.

Uther wylądował na Okęciu słonecznym rankiem. Wzruszony trochę jak pielgrzym, który pokonał odległą drogę nie tylko w przestrzeni i znalazł się wreszcie w miejscu kultu, ze skupieniem oglądał funkcjonariusza służby granicznej i celnika, aż urzędnicy poczuli się nieswojo. Podejrzewając nie wiadomo co, zrobili dokładną rewizję. Operacja trochę się przeciągnęła, rozwścieczyła Beja, na Utherze nie zrobiła widocznego wrażenia. Jak badacz zanurzał się w czas, poddawał prawom i obyczajom terra incognita.

– Gdzie jest spedycja bagażowa? – przywitał się z Bejem i rozglądał po poczekalni międzynarodowego dworca lotniczego, nie mogąc wyłowić stosownej wywieszki.

– Warszawski port nie dorobił się jeszcze takiej spedycji.

– Nie żartuj, niechaj mi odeślą bagaż do Wigajny.

– Tam nie ma hotelu Sheratona, Uther.

– Jedziemy – naglił, gdy z biura wynajmu podprowadzono samochód, nagle wyczerpała się jego cierpliwość.

Bej odebrał mu inicjatywę. Posterował do domu, ruszyli stamtąd zaopatrzeni w sprzęt turystyczny.

Za Rajgrodem zanurzyli się w krajobraz pagórów porzniętych jarami, lesisty i łąkowy, spowity szkarłatnym głogiem, pachnący piołunem i macierzanką, płonący dzikim makiem nad osypiskami żółtego piachu, bogaty jagodą, brusznicą i poziomką. Krajobraz surowy i powściągliwie piękny, rozpasany kolorem wszelkiej rośliny, mnogością ziół śpieszących z kwitnieniem i owocowaniem, bo tutaj wiosna jest nagła, a lato upalne i krótkie.

Minęli przysiółek Wigajny, nie zatrzymali się. Uther pomny opowieści babki parł nad rzekę. Stoczyli się ku niej ze stromego skłonu pokonawszy ostatnie wzniesienie.

Skończyła się droga.



Z drugim brzegiem, omroczonym wysokopiennym, wiekowym borem, łączyła tylko kładka rzucona nad rwącym prądem. Zagród nie było. Jedyne na skarpie górowała samotna dziedzina, dom pod dachówką, gumno w czworoboku opasane drewnianym płotem wraz z kępą modrzewi, sadem i ulami na zboczu.

W dole spoczywało jezioro w wieńcu białych grzybieni na okręgu, przez nie przepływała i dalej toczyła bystry nurt rzeka, łożyskiem krętym, pełnym spadków i przełomów w obramieniu olch, ciemnozielona od cienia starodrzewu po jednej stronie, modra z plamami jasności po drugiej, otulonej młodym lasem.

Tu stanęli.

Leszczynowy tunel zawiódł w gęstwą brzeziny. Niżej otoczona wzgórkami, porośnięta jodłą, klonem i lipą, podbita jarzębiną, otwarta na rzekę leżała zielona kotlina utkana krzewiącymi się barwami, głębokim popołudniem rozbrzeczana owadziim mrużeniem obciążonych pożytkiem miodorobów zdążających ku gniazdom.

Pasący się deresz zszedł z pochyłości, zanurzył w wodę po pierś, pochylając szyję podrzucał głową, na czoło z białą gwiazdą opadła myszata grzywa, parskął i węszył, rozdymał chrapy, czekał, aż się ustoi zmacone lustro.

U brodu przeprowił się wasąg zaprzęgnięty w konia czarnego jak kruk. Za nim wypadł z lasu i cofnął się z płycizny, zbyt jednak dlań głębokiej, motocyklista. Balansując przeciągnął swój pojazd przez kładkę, dosiadł go, a widząc dwóch obcych na grzbiecie wzniesienia puścił czarny kłęb spalin i wniebogłosy zagrzemiał motorem.

Taka tam moda teraz, jeździec tym szykowniejszy, im motor bardziej rykliwy, ale ów fason dedykowano nie tyle przybyszom, co dziewczynie mieszkającej w domu pod modrzewiami. To przed nią młody elegant promenował w huku koni mechanicznych.

– Du ha – Uther wskazał nad karkiem wronego drew-

niany łuk łączący hołoble. Zaprzęg przybywał do niego wprost z opowieści Granni. Jakby przez wszystkie lata czekał zatrzymany w kadrze.

Poszli w kierunku samotnej zagrody.

Na dziedzińcu, tuż przy spadzistej drodze, przemieniającej się na drugim brzegu rzeki w leśny dukt, mężczyzna i wyrostek kopali rów w kształcie prostokąta wyznaczonego rozpiętym sznurkiem. Obok stała betoniarka, leżała pryzma polnego kamienia i worki z cementem.

Bej zapytał o pozwolenie na miejsce pod namiot.

– Niech stawia, gdzie chce – mężczyzna wyciągniętym ramieniem zagarnął pastwisko z dereszem, leszczynowy jar, gęstwą kryjącą ścieżkę i wzniesienie z młodym gajem, skrywającym płaninę szalejącą kwitnieniem.

– A nad rzeką?

– Proszę bardzo. Gałęzie z olch przycięte nad brzegiem leżą, niech na ognisko biorą, ile potrzeba. Samochód mogą u nas zostawić, bo tam nie dojadą – rozwarł wierzeje odryny. Stały tu traktor, siewnik, kosiarka i stara warszawa. Znalazło się dość miejsca i dla ich poloneza z wypożyczalni na warszawskim Okęciu.

Obozowisko rozłożyli pod brzeźniakiem w tej kotlinie otulonej pagórkami, na łagodnym stoku, gdzie wśród bobberku, ostróżki i nawłoci czerpały wziętek zapóźnione robotnice.

Gdy rozlała się nad lasem łuna zachodu i dzikie kaczkisejmowały wśród trzciny, a chruściel udawał wszystkie głosy bagien, na przeciwległym brzegu, w miejscu zarosłym olsem, wychynęła z zarośli brodata głowa w tiarze szerokiego poroża.

Zastygł jak statua, łowił wiatr, ale chłopcy znajdowali się od nawietrznej i znieruchomieli tak samo jak i łoś. Po chwili wyłonił się cały, przybliżył, zaklaskały po sapowisku szerokie racice, stanął nad nurtem, pochylił ku wodzie ukoronowane czoło. Pił.

Kiedy zachód zgorzał i ściemniał, do obozowiska przyszedł gospodarz dziedziny na wzgórzu.

– Niech idą do nas, żona upiekła chleb – zaprosił.

Była sobota. Izba pachniała ciepłym razowcem i świeżo umytą podłogą. Olbrzymia, zasobna tylko w najkonieczniejszy sprzęt. Na żółtych, wyszorowanych deskach stołu spoczywały bochny ze skórką brunatną i lśniącą, niczym powleczone angobą. W rogu na szafce srebrzył się ekran telewizora. Pod lampą furkotał kołowrotek, kobieta smażyła, czarnowłosa, niemłoda snuła z kądzieli nić, kafłowy przypiecek zaścielały płatki fioletowych kwiatów, pod przeciwległą ścianą stało muzealne krosno z osnową prze-wleczoną przez szare przęsła nicielnic, z nawiniętą na wał towarowy tkaniną połyskującą szlachetnym tonem słoniowej kości, pokrytą ciemnym ornamentem. Na widok gości znieruchomiało bidło w dłoniach sędziwej tkaczki, siedzącej za warsztatem.

Kontrasty. Uther przyglądał się podejrzliwie, nie wiedział, co sądzić. Może to inscenizacja.

A jednak rzeczywistość.

Prababka, nazywana w rodzinie babką starszą, techniką przedwieczną, przyniesioną na tę ziemię poprzez Persję i Ruś z arabskiego wschodu, teraz odchuchaną i pielęgnowaną przez etnografów, tkala sławne dywany z nie farbowanej wełny o barwach naturalnego owczego runa, kremowej bieli i brązu. Babka z rzadkim już kunsztem przygotowywała przedzę. Dzieci pod okiem matki zbierały i suszyły blisko sto rodzajów ziół, skupowanych przez Herbapol. Cztery pokolenia, wciąż jeszcze na dorobku, w miarę sił i umiejętności wносиły wkład do rodzinnej wspólnoty.

Wszystko to opowiedzieli dzieląc chleb.

– Organic farming – ze zrozumieniem stwierdził Uther, biorąc skibę razowca z rąk trzeciej kobiety, żony gospodarza.

– Co takiego?

– Uznajecie produkty tylko naturalne – Uther powziął przekonanie, że i tutaj dotarł trend na żywność nie tkniętą sztucznością. Wyraz tęsknoty społeczeństw zmęczonych techniczną cywilizacją do świata sprzed wielkiej przemysłowej rewolucji.

– W Geesie też naturalny, tylko paskudny – nie rozumiała gospodyni, nie zblazowana jeszcze agrarną chemią. Powód wypiekania przez nią chleba był prozaiczny i prostszy.

Najbliższy sklep leżał w odległości pięciu kilometrów. Pieczywo dowożono, albo i nie, z dalekiej mechanicznej piekarni, bo lokalną, jako przestarzałą, dawno zlikwidowano. Jedną, chociaż nowoczesną, nie nastarczała na okolicę, skracano więc technologię kosztem jakości, a i zbytnio nie dbano o poziom.

– Kim jest ten Gees? – Uther na próżno próbował pojąć reguły biznesu funkcjonującego wbrew znanym mu prawom handlu.

Tabula rasa. Na nic zdały się wyjaśnienia. Synowi i wnukowi kapitału, absolwentowi wydziału ekonomii w Berkeley nie starczyło wyobraźni na pojęcie przedsiębiorstwa, które lekceważy produkcję, gatunek wytwarzanego towaru, w ogóle klienta, i nie bankrutuje.

– Dlaczego Wigajny nie leżą nad rzeką? – Położenie wsi nie pasowało Utherowi do obrazu zapamiętanego z przekazów Granni. – Czy w Filipowie przetrwały jarmarki nadane przywilejem króla Zygmunta Augusta, czy w czasie wojny bardzo ucierpiała stara kolegiata? – zaskakiwał szczegółowymi wiadomościami z historii tej ziemi.

– Dwie wojny naród wyniszczyły – westchnęła tkaczka, babka starsza, Mazurka zza Olecka. Liczyła lat osiemdziesiąt osiem, z czego siedemdziesiąt jeden przeżyła w Wigajnach.

Wartka rzeka, olsy i mokradła po jej drugiej stronie zawsze zatrzymywały tu fronty i zawsze płonęły nadbrzeż-

ne dziedziny, szli na tułaczkę mieszkańcy. W drugą wojnę, tę najokrutniejszą, już mało kto dostąpił dobrodziejstwa wygnania. Za pomoc partyzantom zdziesiątkowano osiadłych nad wodą.

Pacyfikacja zaczęła się nad ranem.

Młodzi mężczyźni w mundurach koloru agresywnej zieleni, z trupieszkami na wyłogach z czarnego aksamitu, zajechali autobusami jak na wycieczkę.

Najpierw rozstrzelali psy.

Sterroryzowanym mieszkańcom kazali wyprowadzić na drogę konie, bydło, trzodę, wynieść sprzęty i wszystkie gospodarskie statki.

Ordnung!

Porządek! Niemiecki porządek nie znany tym wschodnim Untermenschom. W karnym ordynku wpędzali ryczące zwierzęta po pochylniach na skrzynie samochodów. Czasami klasnął pojedynczy strzał, czasami zakrakała krótka seria. Karano opornych lub próbujących ucieczki. Salwy głużył śmiertelny klangor drobiu i ryk motorów transportowych macków, steyerów i hanomagów.

Za jednego brunatnego żołnierza stu i dwustu podludzi i ich podludzki dobytek! Nibelundzy, jeźdźcy apokalipsy w chmurach kurzego pierza, witezie tysiącletniej rzeszy, waleczni rabusie kurników z gronami śnieżno-białych kaczek troczonych do pasów za ukrecone łebki, do pasów spiętych klamrami z napisem: „Gott mit Uns.”

Jakiż Bóg był wtedy z nimi?

Przecież nie ukrzyżowany Galilejczyk ani rzeczowy, pragmatyczny Bóg Marcina Lutera, ani siedzący na majestacie w riasie złotolitej Bóg Ojciec greckiego obrządku, ani Ten, którego imienia wymawiać nie wolno. Szadaj! Wiekuisty, rozstrzelany na filipowskim kierkucie wraz z garską ostatnich, naznaczonych żółtą gwiazdą Dawida.

Jakiż Bóg był z nimi, gdy cuchnący krwią i gorzałką, kolbami szmajserów rozbijali mezuzy przytwierdzone na

framugach drzwi, rozwłóczyli filakterie, rozwalali Aron Hakodesz, zdzierali haftowany złotem jedwab parochetu, podkutymi butami wgniatali w ziemię święte rodąły zrwawszy z pergaminów sukienkę szytą perłami, do swych pasów wiązali srebrne menory i klej kodesz: keter – złotą koronę wieńczącą Torę, tass – ze szlachetnego kruszcu tarcze zawieszane na zwojach, rimon – wysadzane klejnotami drzewce, na którym umocowane były wałki ksiąg, i jad – pałeczki z kości słoniowej pomocne przy czytaniu z rulonów.

Kulturträgerzy!

Kosztowności filipowskiej synagogi, fundowane, chronione i ukrywane podczas kataklizmów przez kilkanaście pokoleń małej gminy żydowskiej, przerobione na pierścionki, kolczyki i bransolety sprezentowali swoim kobietom albo przezornie ukryli na po z wycięstwie, mężni żołnierze führera.

Ileż nobliwych fortun pracowitych i zorganizowanych obywateli Republiki Federalnej, rozkwitłych w powojennym cudzie, nosi piętno Kaina!

W Wigajnach po rozstrzelanych psach wymordowano młodych mężczyzn. Starszych wywieziono do obozów, dziewczęta od lat czternastu skazano na niewolnictwo w Rzeszy, resztę wysiedlono.

Ci nie zabici i nie wywiezieni, zanim wyczuci z całego dobytku poszli na poniewierkę, musieli patrzeć, jak płoną ich domy, potem bosakami rozdzierać zgliszcza i do czysta rozbierać pozostałe kominy, wykopywać kamienne fundamenty, docinać resztki sadów nie strawionych ogniem. I zmuszono ich, aby zasypali studnie.

Na końcu wjechała wyższa niemiecka technika agrarna: traktor ciągnący wielolemieszowy pług. Zaorał wszelki ślad.

Wtedy wyszła wiekowa starucha, nie wiadomo jak i gdzie dotąd ukryta, i powiedziała:

– Zbrodnią skalaliście się przeciwko roślinie, ziemi i wodzie! Bądźcie przekłeci. Przepadniecie!

Była stara, była w łachmanach, była brudna, chwiała się na nogach ze starości i wycieńczenia i ptasim szponiastym palcem godziła w twarz feldfebla, prastarą, straszną klątwą gnębiła potęgę niemiecką.

Opędził się, syty zabijania i gorzałki chciał odpocząć. Ale ona lała ze swoimi gusłami, lała ze swoją twarzą jak z kurhanu, lała gadając monotonna i groźnie:

– Kto zabija sady, strumienie czy studnie, zginie, zginie ślad po nim i plemię jego. Wyprze się was ziemia i roślina, i źródło! Przepadniecie, a ja was przeklinam i niech tak się stanie!

Strzelił bez złości. Tak poległa wsiowa zielarka, trochę wiedźma, trochę nawiedzona, trochę niespełna rozumu, ot, boży człowiek.

Z wygnania wróciła garstka. Kilka kobiet z podrostkami, kilku mężczyzn przeżyło obóz, kilka dziewczyn skazanych na pracę w zakładach amunicji w Rzeszy albo wystawionych na targu niewolników i kupionych przez wyższe niemieckie istoty. Niektóre przywiodły mężów, ludzi z innych stron, i odtąd nazwisko Surazyński przestało się powtarzać na każdym domu. Z tymi nowymi mężczyznami przybyła do zaścianka inność i odmienne obyczaje.

Młody las porastał miejsca po domostwach. Nawłoc, mniszek, rozchodnik, dziewanny i macierzanka spowiły pospólną mogiłę, otuliły ją szkarłatne głogi, rumieniła się poziomką i czerniała jagodą. Ci, co powrócili, przenieśli prochy rozstrzelanych na cmentarz parafialny, odprawili egzekwie i wspominki, i spóznioną stypę.

Nad zbiorową mogiłą na zboczu kierkuta takie same zioła zaciągnęły warty, lecz filipowskich Żydów nie przeżyło nawet tyłu, żeby mogli odmówić kadysz – modlitwę za umarłych. I jedynym śladem po ludzkiej o odmiennym obyczaju, który tu żył, pracował, kochał, cierpiał i czcił swego

surowego Boga, Szadaj! pozostały macewa – pionowo ustawione płyty nagrobne zamknięte u góry dwoma odcinkami koła.

W trzydzieści pięć lat później te, które oparły się czasowi i zaniedbaniu, osamotnione, pochylone, wrastające w ziemię lub powalone na wznak, zagadkowe jak megality, niemo krzyczały o pamięć hebrajską inskrypcją i niezrozumiałymi dla nowych pokoleń symbolami: modlitewnie złożone dłonie – dla kapłana, dzban – dla Lewity, korona, zwój albo księga – dla mędrca, świecznik – dla kobiety, lew – dla potomków pokolenia Judy. Zginął lud i jego druidzi i nie masz, kto by odczytał kamienne runy i ocalił od zapomnienia.

Filipów rabowano, obdzierano, zabijano i palono kilka razy, zbrodnia poraziła ludzi i domy. Z wojny wyczołgało się okaleczone, zrujnowane niemal doszczętnie, uboższe o obywateli pomordowanych, o obywateli rozpierzchłych po świecie, o obywateli okaleczonych, o odebrany lub strawiony ogniem dobytek.

Teraz jest to zadbana osada z górującym na skarpie kościołem z szesnastego stulecia, wielokrotnie przebudowywanym i odbudowywanym, z obszernym rynkiem zachowanym w tym samym miejscu i w nie zmienionym kształcie z czasów lokacji miasta, kiedy otrzymało od Zygmunta Augusta nadania miejskie, pięćdziesiąt sześć włók ziemi, raka w herbie oraz prawo trzech jarmarków w roku i targów w poniedziałki.

Zdziesiątkowanym Wigajnom powojenne migracje wydarły ostatki młodych ludzi, nielicznym pozostałym, tym, co przeżyli pacyfikację, przetrwał uraz. Więc odwrócili się od rzeki. Nowo wznoszone budynki odsunęli od niej za strome pagóry, ciągnące się wzdłuż brzegów, jak za wał ochronny.

Dawne siedliska owładnął las, wybujała trawa, zakwitła ziołami płanina, która w trzydzieści pięć lat później

oczarowała Beja i chłopca z za morza, poszukującego śladów swoich korzeni.

Po raz pierwszy w życiu Uther usłyszał od naocznych świadków o krwawych zapasach na śmierć i życie, toczone na ziemi jego babki o sprawy ostateczne, o biologiczne przetrwanie.

Oczywiście wiele przeczytał o totalnej europejskiej wojnie, nazywanej tutaj drugą, lecz uogólnienia, beznamienne wykresy i straty, okiełznane kolumnami liczb i procentów, nie oddawały okrucieństwa, krzywdy, strachu i głodu, z jakimi tu się zmagano i jakich większość nie przeżyła. Ze ściśniętym gardłem zapytał o Bartników-Surażyńskich.

– O Nikodemowych Amerykanach chce wiedzieć? – upewniła się prababka. – Zнали my ich, toż sąsiedzi. Najbliżej naszej górki ich zabudowania stały, za leszczynami i brzeźniakiem, tam gdzie teraz jesiony.

– Wasza rodzina? – Uther bardzo chciał, aby stara kobieta, przypominająca mu Granni, przyznała się do pokrewieństwa z tymi Amerykanami, wspomnianymi teraz w nie wróżącym nic dobrego czasie przeszłym.

– Nie. My się piszemy Smolarze-Surażyńscy, a oni Bartnicy. W odróżnieniu od innych Bartników, Nikodemowymi we wsi zwani od ich naddziada, co w żołdacy wzięty w wojnie japońskiej legł – wyjaśniła prababka Joanna.

Nikodem synów miał dwóch i trzy córki. Najmłodszą Annę stryjeczna ciotka, kucharka u bogacza w Kalifornii, do Ameryki ściągnęła. Miała wtedy Anna lat szesnaście. I z ciężkim sercem wybierała się na zawsze za morze, bo wtedy ludzie odjeżdżali na zawsze.

Tu była zbędna. Pięcioro ich zostało na ziemi po Nikodemie. Na tyle rozdrobnione zagony błagiej ziemi nie wyżywiłyby nikogo. Więc zwyczaj w przeludnionym zaścianku z dawien dawna zakazywał sukcesję dzielić.

Schedę obejmował najstarszy i zakładał rodzinę. Rodze-

ństwo, jeśli nie znalazło pracy w świecie, a najczęściej nie nachodziło, a jeszcze częściej wcale nie szukało, więc ta reszta pozostawała bezżenna przy bracie i razem pracowała, a potem wszyscy dożywali przy jego dzieciach.

Taki los czekał Annę.

Dziedzic Nikodemowy, Paweł, twardą ręką ojcowiznę dzierzył, wiadomo, sióstr nie wywianuje. Trzy posagi z takiego gospodarstwa wykroić, znaczyło gospodarstwo zniszczyć. Córki Nikodema mogły otrzymać krowę, ziarno i siemię na pierwszy zasiew i wyprawę, którą od dzieciństwa gromadziły dziewczętom matki i one same. Pierzyny i poduszki, postawy płótna zwykłego i wykwinanego, tkanego po webie, ściany ręczników i partu na odzież, na płachty, na worki.

Ale w latach młodości Anny, i jeszcze długo później, dziewczęta bez ziemi w posagu rzadko wychodziły za mąż.

– Moja wyprawa na trzech furach z Prus przyciągnęła, a wniosłam też złote talary. – Teraz najstarsza ze Smolarzy z dumą wspominała poślubną podróż z Olecka sprzed lat siedemdziesięciu.

Nie, Anny Nikodemów już wówczas we wsi nie było, mazurska prababka Smolarzy nigdy jej nie widziała, lecz znała historię z pierwszej ręki, od swojej teściowej, a pamięć o Annie przetrwała w zaścianku przez lata. I słuchy chodziły, że wyszła w Ameryce bogato za mąż i wyniesiona jest wysoko.

Syn Nikodema, Paweł, co objął dziedzictwo, do armii cara powołany w pierwszej światowej z Niemcami, legł. Następny po Pawle, Adam, w ułanach krechowieckich służąc, za wolną Polskę zginął.

Po Pawle zostały dzieci. Sami chłopcy, i było wnuków Nikodemowych czterech.

– Między wojnami dobrze im się wiodło. Dolary co roku od stryjecznej babki z Ameryki szli – opowiadała najstar-

sza ze Smolarzy, co działo się we wsi za jej pamięci. A słuchając jej, pośrednio udawało się odgadnąć postępowanie tamtych z Kalifornii.

Mimo przyobleczenia skóry potomka angielskich uchodźców, pan na Roselido pozostał Janem Kardaszem, Janem Kardaszem bardzo już bogatym, postarzałym chłopem spod Krosna, z nie zaspokojoną tęsknotą za dziadkiem, za następcą. Będzie dawał zatrudnienie Polakom, będzie pośród nich poszukiwał dziewczyny, aż wyniesie podku-chenną do godności żony.

Anna była młodziutka, piękna, pracowita i zdrowa. Prosta jak on, lecz biedna niczym mysz kościelna. Liczył, że pozostanie skromna, niewymagająca i wdzięczna za ofiarowaną egzystencję.

Nie omylił się.

Anna przez przeszło siedemdziesiąt pięć lat życia w Kalifornii jako żona, a później matka milionerów nie zmieniła się, a byt, jaki wiodła, bardzo przypominał obyczaje zamężnej wieśniaczki w jej starym kraju. Dumna, cicha, powściągliwa kobieta zadowalała się dwiema sukniami rocznie, a za cały zbytek starczała hawana „Monte Christo Special” i kawa cappuccino, sekretne nałogi jej późnych lat.

Self-made man John Stunington, umyśliwszy założyć amerykańską dynastię z angielskimi przodkami, nie życzył sobie związków z rodziną drugiej żony w starym kraju, ale tkwiący w nim Jan Kardasz, chociaż równie oszczędny jak John, powodowany poczuciem wspólnoty plemiennej, wysypywał raz do roku pieniądze i dawał, aby jednak coś tej rodzinie posłała.

– Za te nieszczęsne dolary dzieciak głowę położył – wspominała teraz prababka Smolarzy. – W domu najstarszego z Nikodemowych wnuków, Antoniego, między węgarami pod warkoczem z pakuł, uszczelniającym spoiny, sęk był w belce ruchomy, wydrażony schowek maskował,

gdzie złote pieniążki w gałganek owinięte na czarną godzinę czekały.

Antoniego żona, Stanisława, jak ją w gumnie obława ogarnęła, oszczędności z ukrycia nie zdążyła wyjąć. Kiedy żandarmi mieszkańców w gromadę spędzili i poczęli zabudowania benzyną oblewać, posłała po nie córkę Jadwiškę.

Jadwiška miała sześć lat, mała i zwinna przemknie się, uwagi nie zwróci, a jeśli nawet, to ją na łąkę do zebranych ludzi zawrócą, przecież nie skrzywdzą takiej kruszyny – tak myślała matka.

Dziewczynka istotnie przemknęła, miejsce przez matkę wyjawione znalazła, zabrała węzełek, za pazuchę wetknęła, owiązane szmatką monety dla pewności ręką przez sukienczynę przytrzymała, żeby nie zgubić, i pobięła z powrotem do matki. Już się za opłotki wydostała, już ją matka i ludzie widzieli, kiedy i żandarm zauważył.

– Halt! – małe nie usłuchało, gnało dalej, tylko jej te opalone nożyny migwały. Żandarm złożył się, szczerzył strzał, dziecko padło, zza płótnianki wysunęły się i rozsypały złote pieniążki.

Na widok martwego dziecka Antkowa oszalała. Wydarła z ziemi kamień i z tym kamieniem, oniemiała, straszna, bez jednej łzy ruszyła na zabójcę.

Patrzył zdziwiony, jakby nie rozumiejąc, lecz gdy ona minęła ciało dziecka i wciąż parła naprzód – strzelił. Strzelał celnie, nawet się nie męczyła, tak jak i poprzednio mała.

Jedynego syna Antkowego, szesnastoletniego Józka, zabito wraz z innymi. Tak poległ ostatni mężczyzna z rodziny. Z czterech wnuków Nikodema, z czterech wujecznych wnuków Anny – nie przeżył żaden. Antoni, ojciec pomordowanych dzieci, nigdy nie powrócił z wojny wrześniowej, średni zginął w Stutthofie, dwóch najmłodszych podczas pacyfikacji. Poza Antonim, ojcem tych dwojga później

pozabijanych dzieci, jego wytraceni nie żonaci bracia nie pozostawili potomstwa.

– Wyginał ród, jakby nigdy nie istniał. Z pnia Nikodema Bartnika, po zagładzie wioski, nie pozostał nikt – przekazywała kronikę sąsiadów najstarsza ze Smolarzy.

I tak przestała istnieć wieś rozsiadła nad rzeką, kilka kobiet wygnanych z małymi dziećmi przytuliło się w Filipowie i w straszliwej nędzy, dzieląc wszelkie klęski miasteczka, doczekało wyzwolenia. Tak też dotrwały do końca wojny kobiety Smolarzy – prababka Joanna, jej nieżyjąca już świekra, w on czas tak stara jak ona dzisiaj, i synowa Joanny, milcząca czarnowłosa kobieta siedząca teraz przy kołowrotku, matka gospodarza, wówczas liczącego lat pięć.

Mąż prababki Joanny zginął w obozie, starszy syn, ojciec gospodarza – w kampanii wrześniowej, młodszego syna, ostatnie jej dziecko, rozstrzelano w Wigajnach.

– Dwadzieścia lat my czekali na mężczyznę w rodzinie – najstarsza ze Smolarzy wskazuje gospodarza.

Kobiety z dzieckiem wróciły do Wigajn, jak tylko przetoczył się front. Ich domu na skarpie nie spalono w pacyfikację. Korzystał z niego posterunek żandarmerii odprawiający ronty nad gniewną rzeką, zza której grozili partyzanci.

Ich dziedzina spłonęła dopiero podczas ostatniej bitwy, lecz w zgliszczach pozostał trzon kuchenny i komin. To było wiele. I wokół komina, który wylepiły gliną, znów zaczęło odradzać się życie.

Nadciągali inni rozproszeni. Pomału lemieszce ocalałych zaorały mogiły najeźdźców. Pospołu na grobach ofiar i oprawców zakrzewiły się trawy, pokłoniły zboża, zaciągnęły warty młode drzewa, wspomnienie o nich poczęło odchodzić w przeszłość.

A gdy w niemieckim mieście Norymberdze odprawiano

wielki sąd nad zbrodniczymi witeziami, amerykańska krewna zapytywała o tutejszą rodzinę przez Czerwony Krzyż.

– Nawet przez radio nadawali, ale w naszej wsi w on czas ani odbiornika, ani elektryczności nie miałem, to i nikt z tutejszych osobiście nie słyszał. Tylko z Suwałk przyjeżdżał pomocnik sławetnego adwokata. Bo mecenas, choć wrócił z obozu, z pościeli już nie powstał i z wiosną pomarł. Ale póki dychał, chwały jego imienia pomocnik zażywał, Wincenty Baraszko niejaki. On skrzętnie relacje świadków zbierał i musi wysłał za morze wiadomość, jak los rodziny się dopełnił, bo już nigdy więcej stamtąd się nie odezwali – opowiadała najstarsza ze Smolarzy.

– A o Jadzkę Bartników Zielarzy nikt się nie dowiadywał? – Uther podejrzewał wpływ swojego ojca nawet na najwcześniejszy, wciąż nie wyjaśniony los poszukiwanej kobiety, dziecka wówczas, i jej matki.

– A kto miał o nie zadbać. To całkiem inny ród, od swego naddziada, co ziołami leczył, Zielarzami przezwani, i oni nikogo na dalekim świecie nie mieli. A tu ich wszystkich wybili, pozostała jeno Stanisława z dziewczynką od ziemi odrosła, jedne jako grusza w polu.

Tak po dziś dzień ich dola nie znana. O reszcie wiadomo, kogo zamordowali w pacyfikacji, kto na frontach, kto po lagrach, w partyzantce czy na poniewierce legł. Kto na Ziemi Zachodnie pociągnął, kto po miastach osiadł.

Głowy ze zgładzonej wioski uniosły, na resztę wojny w Filipowie się przytuliły, biedę straszną jako i inni znosząc, ale przeżyły. A potem z dnia na dzień zniknęły, jakby się pod nimi ziemia rozstąpiła.

Człek nie kocię, a ślad nie został, jakby je w przerębel ciśnięto. Tak jak i inne, ziemiankę ukleciły i tak zimować się przybierały. Opał z lasu znosiły, kartofle z pola, chociaż i straszno było, bo min pełno.

Ludzie jak ludzie, każdy swoją nędzę łatał, na innych nie starczyło ni litości, ni siły, człowiek dla siebie i drugich stwardniał jak rzemień deszczami osmagany, bo wszystkie my w takie same terminy popadły. Kobiety bez mężczyzn z drobiazgiem albo z wyrostkami! Przez parę dni nikt nawet uwagi nie zwrócił, że ich nie widać.

Ale patrzeć, z dymnika się nie smuży, strawy nie gotują, no to czym się pożywiają, jak tylko ziemniaki my mieli i też nie pod dostatkiem. Przecież nie jedzą surowych. Może zachorzały? – pomyślałam. Bo Jadźka Stanisławy marniejsza była od wszystkich wioskowych dzieci, też zagłodzonych. Ale ona największy zamorek! Tylko głowa jak kądziel, zda się te wielkie włosy dzieckiem się karmią, dlatego ono takie wynędzniałe.

Zajrzałam do nich. A tu w ziemiance pusto, ruszt wyziębły, saganek z odębiałymi kartoflami, szmaty na sienniku potaraszone i więcej nic. Straszno mnie się uczyniło. Zwierz jaki czy człowiek niegodziwy?

– Co też mama – wtrąciła się milcząca dotychczas matka gospodarza. – Poszły głębiej w las albo w pole, pewno na minach rozniosło. Zima nadeszła, do wiosny czyste kosteczki zostały, nie rozpoznasz, czyje. Kilku ludzi tak zginęło.

– Ale zawsze było wiadomo, kogo rozniosło! – upierała się prababka Joanna. – Prawda, ich nikt nie szukał, ani najpierw, ani później, ni jako żywych, ani między umarłymi. Przez lata wspomnienie po nich niepamięcią jako mchem osadziało. Wyrosły nowe pokolenia, które nigdy nie widziały ostatnich z pnia Zielarzy. Dopiero przypomniało o nich starszym ludziom ogłoszenie w gazecie o Jadźce, a mnie się widzi, ona tu niedawno była.

Zdarzyło się łoni przed Piotrem i Pawłem, patronami naszej parafii. Raptowny gorąc wybuchł, wszyscy do sianokosów poszli. We wsi tylko staruchy i małe dzieci. Po

zagrodach tylko psy i gąsiorzy na straży. Nasza wieś na stronie leży, obyczaj nie zepsuty, sąsiad sąsiadowi niczego nie ruszy.

Na poziomki poszłam. Patrząc, nad brzegiem auto stoi zielonawe jak woda zacięta olchami, srebrnymi blachami obramione, słońce w nich gra, a przednia szyba bokami wyokrąglona jak w handlu Hackla, sklep spożywczy i kolonialny na ulicy Kościuszki w Suwałkach przed wojną. Musowo zagraniczne.

Najstarsza ze Smolarzy nie zna się na samochodach, turyści nieczęsto zagląдают w ich kąt, bo tu żadnych moteli ani restauracji, ani gospód, nawet do sklepu z zaopatrzeniem byle jakim też daleko. Zapłacze się najwyżej taki, co drogę zmyli, albo taki, co łakomy spokoju tej krainy o wygodę nie stoi. Pożywi się czerstwym glonkiem, zupą z torebki czy plackiem upieczonym na ognisku.

– A osoba z auta – z daleka nie do rozpoznania, kobieta czy mężczyzna – stecką podle naszych wisienek kroczyła i dalej, aż ją leszczyny przed okiem skryły. Prosto, jak sierpem rzucił, na stare siedlisko po spalonych Wigajnach podążyła.

Babka starsza koszyk wzięła, nieśpiesznie grzbietem pagórów poszła, na stokach poziomek nabrała, a jak na skraju drzew przystanęła, przed nią planina rozpostarta jak na dłoni.

Nieznajoma kobieta tam wolno chodziła, jakby czegoś szukała albo jakby znajome miejsce z zapamiętanymi porównując. Wreszcie siadła w cieniu jesionu.

– Pochwalony – cicho po trawach stąpając przybliżyła się babka starsza.

– Na wieki wieków – tutejszym obyczajem odparła nieznajoma, ale aż się wzdrygnęła z zaskoczenia. Okulary słoneczne zdjęła i poczęła przecierać, chociaż przecież nie miały się od czego zabrudzić ani zapotnieć.



Przemysłne szkła, babka starsza jeszcze takich nie widziała. Na słońcu ciemniały, w cieniu bladły, w zależności od mocy światła barwę zmieniały od silnie przydymionej do zupełnie przerozyczonej.

– Z daleka Bóg prowadzi? – zagadnęła babka starsza.

– Z daleka – odpowiedziała kobieta, oziębłe, nieprzystępnie. I babka nie zapytała już o miejscowość.

– Szuka kogoś? – Babka podsunęła jej na liściu łopianu garść poziomek.

– Nie. Chcę upał przeczekać – przyjęła owoc lasu, podziękowała. Brała ostrożnie, po jednej jagodzie wkładając do ust, aby nie naruszyć lśniącej kredki, jaką były umalowane.

– Myślałam, może wspomnień szuka. – Babka starsza nie przyglądała się jej wprost, jako osoba obyta zerkała ukradkiem.

Piękna kobieta, chociaż mająca swoje lata. Nie, nie starucha wyfiokowana, ale i nie młódka. Wiadomo, sposobami urodę zachowująca. Postać szczupła, ale nie wyschnięta, prosta, ciężką pracą nie pogarbiona. Spodnie na niej niebieskie, ze wszystkich stron opięte, wąskie jak fujarki. Nie dzinsy, te babka zna. Na nogach ciżmy spiczaste ze skóry rudej jak bukowe liście, a górą kōszula jak męska, też modra, rękawy podwinięte.

– To miejsce po wymordowanej wsi – powiedziała babka starsza w intencji poruszenia wspólnej struny, jeśli to swojaczka, jak podejrzewała.

– Po minionej wojnie świat usłany grobami – skwitowała nieznajoma i z torby na długim pasku dostała papierosa w opakowaniu z zagranicznymi napisami, wyłuskała długą cygaretkę, przypaliła zapalniczką płaską, połyskującą złotem i wnętrzem ślimaczej skorupy.

– Nieobca jakby – prowokowała babka starsza. Twarz nieznajomej nikogo jej nie przypominała, ale dawało do

myślenia zachowanie i włosy. Takie wielkie, płowe włosy, włosy jak dojrzała żytnia słoma miewały kobiety z rodu Zielarzy.

– Podobna do Bartników – chytrze zagadywała babka starsza.

– Ludzie bywają podobni – zbyła nieznajoma i wychyliła z cienia na słońce, przez co jej przemysłne szkła ściemniały i zakryły spojrzenie, a człowiek z zasłoniętymi oczyma jest jak w masce, nie rozpoznasz wzruszenia, fałszu czy strachu. Pożegnała babkę i zaraz odjechała nie czekając, aż minie skwar.

– Czego by się miała bać? – dociekała najstarsza ze Smolarzy.

Może co na sumieniu ciążyło, jakaś straszność zawiniona, a może pochodzenia się wyparła w tamtym jakimś świecie, gdzie dorobiła się nowego tytułu jak błyszczącego niklami auta. Słyszało się o takich, z własnej wsi tacy byli!

Doktorów, docentów dosłużyli się, fiatami kudłate albo kłapouche, albo wełniste o owczym profilu psy wozili, nazywali ich pudle albo cocker-spaniele, albo jeszcze jakoś inaczej i wielce się pysznili ich rodowodami, mieszkali w willach, na koniach w czapeczkach aksamitnych i z trzcinką, pętlą do przegubu troczoną, jeździć się uczyli, w państwowych lasach polowali z nagonką, ludzi wsiowych do tej nagonki zbierając, jak kiedyś dziedzic z Raczek.

Nie przyznawali się do swoich korzeni. Mierziło ich wspomnienie ledwo piśmiennych ojców zgiętych nad zagonem. I najchętniej daleko od stron rodzinnych zakładali to swoje pańskie życie, gdzie takim jak i oni łatwiej mogli świecić wydumanymi antenatami. Więc może i ona po cudzoziemsku ubrana, w cudzoziemskim samochodzie zapomniiała, skąd nogi rosną.

– A o Jadźkę Zielarzy wypytywali i tacy po zagranicz-

nemu ubrani i po zagranicznemu mówiący. Ja w on czas wdowę po rybaku w chorobie doglądałam i tylko synowa ich widziała, ale do niej odzywali się po naszymu.

– Mama przeinacza. Oni nosili się jak przebierańcy i między sobą ugađując wtręcali nieznajome słowa, ale kto ich wie, jakiej oni nacji – sprostowała matka gospodarza.

Młodzi w polu, dzieci w szkole, ona sama w całym domu. Piec chlebowy napaliła, właśnie żar wygarnęła, a w dzieży już góruje wymieszane ciasto, już prosi, żeby chleby zeń czynić.

I na to wszystko ci obcy.

Dwóch ich weszło, ubrani na zielono. Wyglądali jak wypuszczone z niewoli żołdacy, no bo te jakieś bluzy luzem, ani to pasa, ani porządnie zapięte i kolor spelzły, jakby w tych drelichach w lagrach, nie wiedzieć jak długo, siedzieli, a na rękawach różne naszywki cudzoziemskie.

Jak Ruski Niemca popędził, a jeńcy zaczęli od Prus ciągnąć, rychtyk tak wyglądali. Szli i szli, różni. Amerykanie, Kanadyjczycy, Francuzi, Australijczycy, a nawet z Nowej Zelandii.

Jak ci dwaj teraz do chaty tak niespodziewanie weszli, matce gospodarza zaraz tamci sprzed lat w oczach stanęli i przez chwilę, przez moment krótki jak mgnienie wydało jej się, że trzeba ł u g szykować.

Wraz z wojną i głodem maszeruje wesz. Wszechobecny, wytrzymały, najwierniejszy towarzysz. Toteż ich wszystkich, bez względu na nację, robactwo jadło. Pozbawieni mydła i innych miszkulancji służących schludności nie radzili sobie z plugastwem.

Trzy pokolenia kobiet, doświadczenie trzech wojen i przekazów pokoleń, wskrzeszające życie wokół ocalałego komina, wiedziało, co robić, kiedy nie ma bielidła, sody ani najmarniejszego środka do prania i kiedy nie posiada się ani masła, ani słoniny, ani niczego, na co można by je wymienić.

Zanim człowiek czyściki wymyślił, to wszystko, bez czego już obyć się nie może, dar brał od roślin. Każdej Bóg służbę nadzielił. Poszycia na dachach przed wichrami i czystości strzeże topola.

Zbiera się i pali opadłe gałazki, a gdy dokładnie zgorzeją, zmiata z rusztu ich delikatny siwy popiół i gotuje zalany wodą. Później zlewa krystaliczny wywar i odpowiednio rozcieńcza, bo zbyt stężony przepala włókno. Ciemnym niciom parcianym ług nadaje śnieżną biel, wygotowane w nim odzienie omija wesz.

Tak ratowały cudzoziemskich jeńców ciągnących z niewoli, z babskiego współczucia, z wdzięczności, jaką budził sam fakt istnienia tych młodych mężczyzn. Są, przetrwali. A więc nie wszystkich zabito, rozstrzelano, zaćwiczono, więc może i ich ostatni z rodziny, którego losu nie znały, przeżył jak i oni. Bo przecież nie może tak być, aby Bóg miłosierny nie ocalił ostatniego.

Ogarniały z robactwa dziękujących im w mowie nieznanej, jeszcze i z poczucia wspólnoty losów, i z ukrytą bolesną nadzieją, że może gdzieś na nie znanych szlakach żołnierskiej doli ktoś odpłaci tym samym ich mężczyźnie.

Kiedy teraz ładziła bochenki, a ci dwaj weszli niespodziewanie, widok mundurowych ubrań – chociaż to już tak dawno – przyprawił o ściśnienie serca i na moment stała się znów tamtą młodą kobietą piorącą jenieckie koszule, opatrującą jątrzące się grzbiety, dzielącą skąpą miskę w imię Tamtego, na którego czekała, lecz który z wojny nie powrócił.

Szczerze mówiąc nie przez kipiące chlebowe ciasto w objaśnienia się z nimi nie wdała, tylko przez czarną desperację, jaka ją czasami napada. Lata nad nią przeszły, urodę starły, ciało uciszyły, wygasily bunt, nie uniosły rozpachy. Dopada zniecka, podstępnie, nigdy nie wiadomo, co ją poruszy. Na fotografii, na filmy wojenne patrzy bez drgnienia, a czasami drobiazg, szczegóół, zda się

lada jaki, wystarczy i żal straszny targa. Za szczęściem nie doznany, za miłością nie wykochana, za życiem nie wyżyty.

Wtedy ją opadło. Zdawać by się mogło – śmiechu warte, przez zielonkawę drelichy, przez naszywki obcojęzyczne, beznadziejność jak ciężka choroba. Ani wspominać, ani odpowiadać, nawet patrzeć na nich nie mogła.

– Co chcieli wiedzieć?

– Czy ona tu pisze do kogo, czy są jacyś jej krewni, ale co z tego, kiedy nie potrafili rozróżnić Jadwiśki Nikodemowych od Jadźki Zielarzy. – Ponieważ jednak tym jak z lagru strojem poruszyli bolesne urazy kobiety, ona nawet nie powiedziała, że tutejsi przez długie lata mieli Jadźkę za umarłą, odkąd zniknęły z matką pierwszej powojennej jesieni.

A oni, chociaż wypytywali i innych ludzi we wsi, wciąż gubili się pośród jednobrzmiących nazwisk i takich samych przydomków, nigdzie nie znajdując nie pisanych, zwyczajowych przezwisk, których w odniesieniu do poszczególnych członków blisko czterdzieści lat temu do nogi wytraconych rodów nie rozeznawały już młodsze generacje w Wigajnach.

– Pozostawili wizytówkę – sięgnęła za obraz przedstawiający Chrystusa z czerwonym, gorejącym sercem na piersi, wyjęła przybrudzony kartonik. Widniał na nim adres warszawskiej kancelarii prawniczej, która, jak się miało okazać, działała z upoważnienia amerykańskiej agencji Harrisa, ta zaś na zlecenie seniora Stunningtona.

Długo popełniał ten sam błąd, co i junior, Bej i czym z kolei zasugerował się ojciec młodego Oskierki, warszawski adwokat.

Wszystkim zabrakło wyobraźni, nie przypuszczali, że matka i córka opuściły Stany i powróciły do kraju urodzenia. Więc zamiast szukać ich w Polsce, korzystając z pomocy ogólnie dostępnych środków, próbowali wykorzystać

tylko pośrednie związki, aby poprzez ewentualną korespondencję lub osobisty kontakt dotrzeć do nich w Ameryce.

7

Uther, przyjaciel mojego syna, Beja, po przyjeździe do Polski zapragnął domu w Wigajnach.

W miejscu, gdzie przed stu laty urodziła się jego babka, gdzie od niepamiętnych czasów żyli jego przodkowie, skąd wiodła się kobieta, w której przeczuwał osobę najbliższą, chociaż głośno nigdy tak o niej nie mówił.

Kupienie porośłego lasem siedliska na starych Wigajnach wymagało nie wiadomo jak długiego czasu. Świeżo powołane województwo odrzuciło poprzedni projekt zagospodarowania przestrzennego, a własnego jeszcze nie wypracowało. Na dodatek toczono akademicki spór o rodzaj wiejskiego i rekreacyjnego budownictwa. Piękny, lecz ubogi region nigdy nie dorobił się własnej, wyrazistej architektury, jak Podhale, Kaszuby czy Kurpie.

Przedstawiłem Utherowi trudności. Zachował się rozsądnie.

– Jeśli nie na ziemi Granni, chciałbym niedaleko was, ale wśród drzew i nad rzeką.

Natychmiast, blisko Warszawy, w lesie i nad wodą, na domiar załatwić prawo własności cudzoziemcowi! Na znalezienie działki spełniającej na raz tyle warunków widoki miałem ograniczone. Właściwie liczyłem tylko na Oryl.

Od dawna znałem tę wieś rozsiadłą nad Bugiem, czterdzieści kilometrów na północny wschód od stolicy, stąd pochodziła Bronisława, gospodyni w przedwojennym domu moich rodziców; gdy po wyzwoleniu wróciłem z Anglii, ukończyłem przerwane studia i zacząłem uprawiać zawód, ona przysyłała swych licznych krewnych i znajomych,

moich pierwszych klientów. I tak z czasem wielu mieszkańców obdarzyło mnie przyjaźnią.

Pewien rodzaj przywiązania objawiał nawet Miśkowiak, sołtys, pan na Orylu, potrafiący załatwić sprawy z pozoru niemożliwe do załatwienia. Wieś znała jego zalety i niedostatki i zawsze wybierała swoim rzecznikiem, jeśli należało pertraktować albo użerać się w jej imieniu, albo załatwiać interesy w rodzaju kupić, sprzedać, tanio ukraść.

Poznałem go bliżej, kiedy gromada postanowiła rozparcelować na działki rekreacyjne nieużytki ciągnące się nad rzeką. Dzikie łągi i pagórowate piachy porośnięte sosną, świerkiem i jałowcami, jałowcami wielkimi jak katedry, podszytymi głógiem, żarnowcem i czerwonym berberyssem.

– Rada Narodowa wyznaczyła takse po dziesiątaku za metr – zawiadomił mnie zawiedziony Miśkowiak. – Dycha za metr jest nic. Pewno, te ugory niezdatne pod uprawę, nawet krowa tam się nie naje, ale pod budowę amatorska rzecz.

– Będą kupować stare chaty.

Jak pamięcią sięgali najstarsi ludzie, przeludnione sioło klepało biedę na lichych i rozdrobnionych spłachetkach, mrowiło się zbędnymi rękoma, trwało uczipione jałowych piachów i nadburzańskich łągów. Przykuwało ich do zagonu nie tyle przysłowiowe przywiązanie do ziemi, od pokoleń wmawiane mieszkańcom wsi, ile zupełny brak innej perspektywy.

Aż zaczął się wielki odpływ – do Warszawy, do Ostrołki i jeszcze dalej. Szybko ubywało ludzi, jedna po drugiej pustoszały dziedziny w głuchym łoskocie obuszków siekier bijących podzwonne porzucanym domom, w których zabijano okna i drzwi deskami założonymi na krzyż.

Przybywało chat skazanych na wymarcie, chat stawia-

nych kiedyś z myślą o pokoleniach, z żywicznych bierwion wiązanych w wieniec, z latami posiwiałych od deszczów i siap nieprzeliczonych jesieni, jakie przetoczyły się nad kalenicami; krzepkie jeszcze, rozsiadłe na planie kwadratu, pod strzechą, pod gontem, pod karpiówką, opierały się opuszczeniu, konały opornie.

Gdy po wielkich przemianach nastał czas budowy, znów niosł się huk toporów, ginęły śmiercią gwałtowną stare domostwa mordowane ciosami siekiery. Szły na opał, nie tylko zmurszałe, zżarte grzybem czy stoczone przez czas, lecz i te wciąż jeszcze zdrowe, nie tknięte śladem kornika, o złocistym wewnątrz drewnie, które rąbane, jeszcze teraz krwawiło kroplami żywicy.

Uparcie gromadzono środki i nikt nie myślał adaptować starej siedziby do nowych potrzeb, bo żadne uzdatnienia nie mogły jej przystosować, skoro ludzie za każdą cenę pragnęli się z niej wynieść, a ją zetrzeć z powierzchni ziemi, aby nie przywodziła na myśl wszystkiego, o czym pragnęli zapomnieć.

To z przysłowiową chałupą zrosły się w ich świadomości takie pojęcia, jak: ciemnota, zacofanie, kmiotki, chamy. Teraz, przynajmniej w oficjalnej nomenklaturze, awansowali na rolników, grupę zawodową nie gorszą niż inne, wytwarzającą najbardziej cenny towar.

Nowa siedziba oprócz zwykłych funkcji miała nie tylko świadczyć o pomyślności, lecz także podkreślać nowy status społeczny właściciela. Wszystkie te potrzeby zaspokajały betonowe pudełka, ozdabiane fryzami z lusterek lub szklanego grysu, wypuczone balkonami, na których sadzili nasturcje i muszkatele w zielonych plastikowych skrzynkach. Jak w mieście, jak w blokach.

Znacznie później wielopiętrowe budynki przestały budzić nostalgię, a jeszcze później zupełnie zgasł ich mit. Zaczęto o nich mówić w Orylu z lekceważeniem i poczu-

ciem wyższości. Coraz częściej podkreślano, że ludzie naprawdę elegancy, ludzie zamożni albo znaczący mieszkają jednorodzinie.

– Rozpoczyna się wielki boom na stare wiejskie chaty. – Aby ich nie niszczyli, przekonywałem z różnym skutkiem mieszkańców Oryla.

– Pieniądz okrągły i tak się wytoczy. Zaś dobre sąsiedztwo pozostanie. Nam trzeba znaczących przywabić. Ze znacznego człowieka będzie stały pożytek. Za ważnymi niech się mecenas rozejrzy! – dopominał się Miśkowiak.

Nie miałem klientów, jakich pragnął. Dysponowałem ofertą związków twórczych. Tereny rekreacyjne interesowały właśnie naukowców i literatów.

– Profesory? – Miśkowiak był w rozterce. – Niekiepsko niby, zawsze jak trzeba będzie dziecko na uczelnię pchnąć, jaką taką pomoc z nich można mieć... Ale moje dzieci małe jeszcze – przypomniał sobie i zmarkotniał, że takiej protekcji nie będzie mógł spożytkować natychmiast.

– Dzieci szybko dorastają – judziłem.

– Nim moje wyrosną, dzisiejsze profesory pójdą na renty.

– Ludzie we wsi też mają dzieci – przypomniałem delikatnie.

– Wsiowe dzieci dostają dodatkowe punkty przy przyjęciu na studia. Jak takich for jeszcze mało, znaczy, głup-tak i strata jego kształcić. – Kiedy w grę nie wchodził osobisty interes, sołtys z Oryla był bezstronny.

– Brawo. Sprzedamy odłogi bezinteresownie.

– Zaraz, zaraz! Nam cementu, eternitu, zbrojenia trzeba. Łazienki będziem zakładać i chcemy kaflami mościć. Naukowcy mnie materiałów nie załatwią.

Rosnąca industria zmieniła oblicze wsi za życia jednego pokolenia. Najpierw sięgnęła po nadwyżki robocze, w zamian zaczęła dostarczać maszyny i przeświadczenie, że można pracować lżej.

Telewizja wtórowała obrazem. I nie trzeba było ludzi siłą odrywać od zagonu, przestali się go trzymać pazurami, z własnej woli porzucali swe pola, ale nie darowali rodzinnych spłat. Brali bezwzględnie, jak kiedyś bezwzględnie wydzielali tej ziemi jej mizerny plon. Do wyjątków należały gospodarstwa nie tknięte działami, większość składała ciężką daninę dopiero co osiadłym po miastach braciom i siostram, którzy, zwłaszcza po śmierci rodziców, spadali jak kruki na pozostałych na roli i rozszarpywali dziedzictwo.

Stało za nimi powszechne odczucie ich prawa do ojcowizny, a przeciw nim ustawa państwowa wznosząca tamę nadmiernemu wykrwawieniu wiejskiej społeczności, bo rodzinne spłaty gnębiły rolników jak kraj długi i szeroki. Ale ustawa przegrywała z obyczajem.

Tak że wsi wyciekała jej moc i nieprzerwanie odchodziła młodzież, i ten upust był już ponad wszelką miarę. Dziczały siedliska, byliny zarastały warzywniki, z wiatrami przybywał posiew lasu. Ugór obejmował we władanie rozdrobione poletka, ta sama vegetacja pleniła się na miedzach, zacierały sąsiedzkie granice, chwast dopełniał aktu scallania.

Po migracjach, podziałach, zdaniu za dożywocie – produktywnych gospodarstw pozostało w Orylu czternaście. Za symboliczną tenutę ludzie brali od państwa w dzierżawę grunta, i znów lemiesz zaczęły odkładać skiby na odłogach.

A oni pracowali ciężko, zapisywali się na kursy zaoczne, usypiając ze znużenia słuchali telewizyjnych wykładów rolniczych, kupowali maszyny. Zabiegali o nie w Radach, pisali podania, wykłócali się, płacili prowizje, dawali łapówki, a także odwiecznym obyczajem, dziedziczonym po pokoleniach, przynosili prominentom podarunki: suszone grzyby, miód, gęsią tuskę, butelkę, skłusowaną szlachetną rybę. To była stara, wypróbowana moneta na

skarwienie przychylności. Lecz wciąż czegoś brakowało, stąd nostalgia za potężnym protektorem.

– Naukowcy materiałów budowlanych nie załatwią – wahał się sołtys.

– Ich uczniowie, panie Miśkowiak, w różnych branżach na takich stanowiskach, że oko bieleje – kusiłem.

Leżało mi na sercu zachowanie urody nadburzańskiego krajobrazu, wówczas nie objętego jeszcze żadną ochroną. Ci ludzie, byłem pewny, nie zetną ani jednego jałowca, nie zniszczą dzikich łągów, na których wiosną zakwitają złociste kosańce.

Po rygorystycznym wyznaczeniu przez Wydział Architektury obszaru pod kolonię rekreacyjną Miśkowiak przestał pośród kandydatów przebierać, ponieważ na parcelację najatrakcyjniejszej części terenów Rada Narodowa nie wyraziła zgody.

– Trwają prace nad perspektywicznym planem zagospodarowania okolic, a gruntów nad samą rzeką w ogóle nie przewiduje się pod działki – motywował odmowę kompetentny urzędnik.

– Mydlenie oczu – zżymał się Miśkowiak. – Trzymają, jak się kto ważny trafi. Może rybkę, może polowanko, a może parcelkę nad wodą, wielmożny panie! – przedrzeźniał urzędnika, naśladowując jego sposób mówienia.

Po nowym podziale administracyjnym Oryl znalazł się pod zarządem innego województwa. Kiedy jednak w trzy lata później starałem się kupić ziemię w imieniu Uthera, obszar nad Bugiem nie doczekał się jeszcze perspektywicznego planu zagospodarowania, zaś w nowym urzędzie w z a s a d z i e także nie przewidywano oddania nadbrzeżnych lasów pod dacje dla zwykłych ludzi.

W drodze wyjątku zezwolono na wykrojenie kilku placów, bo akurat nad samym Bugiem otrzymał lokalizację minister, i przez ten precedens mieszkańcy wydebili trochę

dla siebie. Pomyślałem, że wreszcie spełniły się tęsknoty Miśkowiaka za ustosunkowanym sąsiedztwem.

– Nie za moją przyczyną dygnitarz szkarpę nabył. Całą zasługę urząd sobie wziął. My tylko pieniądze dostali. Takie tam pieniądze, oficjalną stawkę. Grosze. Ale przy okazji zwolniono mi do sprzedaży kęs jałowców z łągiem. Oddam, jak dla pana, mecenasie, po pięćset złotych za metr.

Dopiero u rejenta sołtys zorientował się, że nabywcą jest cudzoziemiec, i prawie zapłakał.

– Pan nie jesteś jak Polak dla Polaka, panie mecenasie, jakiś inostraniec panu bliższy. – Poddając w wątpliwość mój patriotyzm, zagroził zerwaniem umowy.

– To mój krewny – skłamałem, bo to są jedyne związki zrozumiałe dla Miśkowiaka. Przekonywanie o etyce zawodowej, zobowiązującej do dbania o interes klienta, na nic by się zdało.

Przygotowany na podobną reakcję otarłem mu łzy dodatkową okrągłą sumą wypłaconą z ręki do ręki, co i tak wypadło taniej. Gdyby od razu wiedział o pochodzeniu nabywcy, sprzedawałby mu ziemię podzieloną na kawałki równe powierzchni banknotów.

Tak zdobyłem dla Uthera ponad morgę lasu z pięknym pagórem opadającym ku wodzie, oplecionym na zboczach gęstwą głogu, żarnowca i berberysu, miejsce ujmujące powściągliwą urodą leniwie rozlanej rzeki, dzikich łągów i rozpasanych jałowców o kształtach minaretów, fortecznych blanków, gotyckich katedr, podeślanych mchami, wrzosami i rozchodnikiem. A młody architekt z Ostrołęki wzniósł dom tak wkomponowany w krajobraz, jakby tam stał wiecznie: drewniany, parterowy, wiązany w wieniec, zwęglowany w jaskółczy ogon, z nadprożem ujętym w węgary, z mansardą pod uskokowym dachem pokrytą karpówką ułożoną w łuskę.

Z budową uwinęli się w kwartał i zanim senior Stunington znów zablokował synowi konto, stanął dom prosty jak otaczająca go przyroda, jak dawne budownictwo tej ziemi, piękny rodzajem użytego budulca, kunsztem roboty ciesielskiej i wyważonych proporcji. Nie narzuca się, nie góruje nad otoczeniem, przeziera przez zielen krzewów złocistością drewna, zgaszoną czerwienią dachówek, koresponduje z sąsiadującą kolonią profesorską, na której rozsiadły się wykupione ze wsi stare chaty.

Niedługo potem zaproszono mnie do Związku. Czekają trzech z komisji dyscyplinarnej, wszyscy znajomi.

– Wpłynęła na pana skarga, kolego, o niedotrzymanie zobowiązań – wymamrotał unikając mego spojrzenia przewodniczący, pozostali także siedzieli z oczyma wbitymi w stół, było im przykro, znaliśmy się od lat, mówiliśmy sobie ty, mieliśmy się za porządnych ludzi.

– Nieporozumienie – nawet się nie zdenerwowałem, oskarżenie wydało się niedorzeczne.

– Też tak myślę – ujawnił nieregulaminową stronniczość kolega przewodniczący, lecz zaraz powrócił do urzędowej sztywności i podając chudą teczkę zaskrzypiał jak stara szafa na akta: – Proszę zapoznać się z zarzutem wniesionym przez Pendragona Stuningtona, przemysłowca z Kalifornii.

W dniu takim i takim, w kancelarii doktora Filipa Claparona, pod nieobecność gospodarza radca prawny Stuningtona asystował przy zawieraniu następującej umowy: za sumę trzystu tysięcy franków wypłaconych na moje życzenie gotówką, nie czekiem, przyrzekłem o wszystkich sprawach Uthera-Caradoca Stuningtona informować jego ojca i nie poszukiwać, natomiast takie poszukiwania pozorować, Jadwigi Surazyńskiej lub innych osób z nią związanych. Obietnicy nie dotrzymałem.

– Obłąkane zarzuty! – wydało mi się śmieszne traktowanie serio takich insynuacji. Przestało, kiedy przeczyta-

łem oświadczenie doktora Filipa Claparona. Stwierdził:

Na prośbę doktora Henryka Oskierko, adwokata z Warszawy bawiącego w Paryżu, udostępnił mu pomieszczenia firmy, w tym podręczną bibliotekę. Gość dysponował lokalem od piątkowego popołudnia do poniedziałku rano w takim i takim czasie, podczas tygodniowego weekendu.

Mecenas Oskierko nadużył jego zaufania, wykorzystując kancelarię do załatwiania moralnie podejrzanych spraw, chociaż doktor Claparon pozwolił tylko na korzystanie z księgozbioru, w żadnym razie nie wyrażał zgody na przyjmowanie klientów, o czym w ogóle nie było mowy.

– Nie znam człowieka, nigdy nie korzystałem z jego grzeczności, nigdy nie widziałem Pendragona Stuningtona. Samo przypuszczenie, że mogłem się podjąć tak osobliwych świadczeń, jest dla mnie obraźliwe.

– Ale przyjąłeś pełnomocnictwo młodego Stuningtona.

– Oczywiście.

– Zapoznaj się z tym dokumentem. Oryginał znajduje się u powoda – położył przede mną notarialnie poświadczoną kopię pokwitowania opiewającego na trzysta tysięcy franków. Pod maszynowym tekstem stwierdzającym, kto, ile i za co bierze, widniały moje inicjały.

Zaniemówiłem i nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie podsygnowałem czegoś in blanco. Oczywiście nie!

– To nie mój podpis! Pod dokumentami umieszczam nazwisko w pełnym brzmieniu. Cyfrą opatruję tylko kopie.

W pracy niewiele miałem do czynienia z kryminalistyką sensu stricto, jestem cywilistą, ale wiedziałem, ów skrót, a raczej pierwsza i ostatnia litera podpisu, nie wystarczy do identyfikacji. Nie da się z całą pewnością stwierdzić, nie można też wykluczyć autentyczności podpisu. Za skąpo na proces karny, wystarczy na śmierć cywilną.

W czasie, o którym świadczyły daty na pokwitowaniu

i w skardze Claparona, wyjeżdżałem w sprawach klientów do Niemiec i Belgii, przy okazji wstępowałem do Paryża zobaczyć syna. Terminy moich wizyt kolidowały z datami na owych dokumentach, lecz niełatwo mogłem to wykazać, natomiast w zestawieniu z potwierdzeniem przyjęcia pieniędzy sam fakt wyjazdów za granicę nadawał wymowy oskarżeniu. Perspektywy obrony rysowały się ponuro.

Sprawa utknęła, zawisła nade mną jak smog. Miałem wyjście przysłowiowe, paradoksalne: udowodnić, że nie jestem wielbłądem. Jeśli nie przedstawię faktów, chociaż sąd koleżeński nie podejmie sankcji, pozostanie niesława podsycana morderczą zawiścią o trzysta tysięcy franków, jakie rzekomo zgarnąłem.

Pomoc nadeszła z najmniej oczekiwanej strony.

– Pan Stunnington senior pragnie się pilnie z panem zobaczyć, mecenasie. Najchętniej zaraz, czy potrzebny dolmecz? – telefonowała hostessa z „Victorii”.

– Będę oczekiwał pana Stunningtona. Tłumacz zbędny. Znam angielski.

Słyszałem od Beja o uderzającym podobieństwie obu Stunningtonów. Istotnie było zdumiewające, mimo widocznych różnic wynikających z wieku. Uther liczył lat dwadzieścia cztery, a jego ojciec ponad siedemdziesiąt.

– Nie był pan u Claparona – oświadczył, kiedy już mi się przyjrzał. – Niezwłocznie złożę odpowiednie oświadczenie w pańskim stowarzyszeniu na piśmie i osobiście.

Jednak komisja dyscyplinarna mojego Związku zdobyła się na list do niego, w którym poddała w wątpliwość stawiane mi zarzuty. Dlatego przyjechał, tak twierdził.

– Nie jestem sprawcą nagonki na pana, mecenasie.

– Nie posądzałem pana, mister Stunnington.

Posądzałem, jeszcze jak posądzałem, ale nie musi wiedzieć. Jeśli nawet nie zmontował tej afery, była mu na rękę. Godziwy pretekst pozwalający zachować twarz i znaleźć

się blisko spraw syna. I to jest właściwy powód jego pośpiesznego przybycia, a nie ratowanie dobrej sławy jakiegoś adwokata.

– Dałem się podejść. Pospolite oszustwo albo inspiracja mojej separowanej żony. To osoba niezrównowazona. Wprawdzie firma „Claparon” reprezentuje jej interesy, ale wszelka lojalność zawsze była obca tej kobiecie.

Z dwojga złego wolał uchodzić za ofiarę perfidii bliskiej mu osoby niż zwyczajnych wydrwigroszy.

– Jak można zaufać człowiekowi podejmującemu tak nieetyczne zobowiązania? – zapytałem.

– Pół wieku prowadzę interesy i zaręczam, nie z aniołami.

Wtedy seniora Stunningtona widziałem po raz pierwszy.

8

Gare de l'Est.

Wysoko szklany dach z szybkami kryjącymi ażurową konstrukcję łuków wspartych na żeliwnych filarach, wymodelowanych w girlandy, rozety i wymyślne zawijasy. Pod tą zakurzoną elegancją schyłku ubiegłego stulecia, pod sklepieniem przypominającym ogród zimowy biegną rampy peronów i rojowisko szyn, plątanina rozjazdów, przekładni, las semaforów. Ruchem zawiaduje komputer.

Za kilka minut odjeżdżały dwa ekspresy: Bruksela – Haga, Genewa.

Do którego wsiąść? Oba mniej więcej w jednym czasie, z niewielką tylko różnicą przekraczały granicę francuską. Ale każdy z nich mógł być objęty pościgiem policji.

Postawiłam na Holendra. Pociąg ruszył. Paryż skończył się dla mnie przed godziną.



Odreštaurowałam Vanessę w kąpielowym salonie wyłożonym fajansami z Delft, jak robiłam to codziennie od przeszło dwóch lat, i poszłam za nią też jak zwykle, aby jej usłużyć przy śniadaniu. Śniadaniu! – dochodziła dwunasta.

– Odejdź, Paulette – odprawiła mnie, zasiadając w fotelu przed kominkiem przy nest of tables, na którym jadła pierwszy posiłek, gdzie upijała się wieczorem. Czułam jej spojrzenie, gdy zamykałam za sobą drzwi.

Będzie telefonować. Wiedziałam. Od jakiegoś czasu wypraszała mnie wtedy z pokoju. Pod tym względem nie stanowiłam wyjątku, ale ponieważ przebywałam przeważnie w jej pobliżu, najczęściej spośród trojga służby bywałam usuwana. Usuwana, pomimo mojej głuchoty. Niedobry znak. Od dawna już powinnam stąd zniknąć. Trzymał mnie tylko mores przed bezwzględny starcem.

Podśluchiwałam.

Podśluchiwałam i podpatrywałam wszystko, co się tylko dało, starałam się nie przeoczyć niczego istotnego. Podśluchałam i teraz. Na swoje szczęście.

– Mon commissaire – Vanessa połączyła się z policją – mogę się mylić, lecz mam podstawy sądzić, że Mercedes Amado, Katalonka, którą zatrudniam od dość dawna, nie jest osobą, za jaką się podaje.

– Na czym opiera pani podejrzenia, madame?

– Klasztor Karmelitanek z Barcelony nikomu takiemu nie wystawiał rekomendacji do zakonu w Lionie i nigdy u nich nie przebywała głuchoniema o podanym nazwisku.

Oto skutki braku pieniędzy na porządne dokumenty. Gdyby referencje pochodziły z klasztoru Karmelitanek i zostały, według prawideł sztuki ukradzione stosownej osobie, a nie sprokurowane przez byle partacza z Clignancourt, nikt nie kwestionowałby ich autentyczności.

Cóż jednak zaszło, co po takim upływie czasu skłoniło szefową, kiedy, zdawałoby się, zaskarbiłam jej zaufanie,

do weryfikacji polecających mnie listów. O to samo zapytał komisarz.

– Podobno nie jest głuchoniema, chociaż wierzyć się nie chce, aby można tak udawać. Wręcz niesamowite. Co mi pan radzi, mon commissaire?

– Przede wszystkim sprawdzimy jej dokumenty.

– Trzymam je u siebie. Mogę przywieźć i wyjaśnimy od ręki.

Prawda, miała mój paszport. Zamknięty w pancernym puzdrze wpojonym w ścianę sypialni pod werdiurą z Aubusson.

– Do czego dochodzi z tą cudzoziemską służbą. Człowiek nawet nie wie, kogo trzyma w domu! – poskarżyła się Vanessa.

No i doczekałaś się, Fela! Za długo siedziałam na jednym miejscu.

I w ogóle niewola egipska.

Uwięzłam na dobre wbrew samej sobie, ale nie mogłam porzucić Vanessy, dopóki Stunington nie zwolni mnie z tej służby albo nie wyda się mistyfikacja. Umiał trzymać w szachu bezwzględny starzec, chociaż tkwił za oceanem.

Uther wyjechał do Polski, co mnie do reszty przygnębiło. W mojej skrytce pocztowej znajdowałam czasem kartę od niego z krótkimi wiadomościami. Pochwalił się domem w Orylu, kawalerką w mieście i przedstawicielstwem korporacji kawowej, kiedy tata znów na jakiś czas zakręcił kran z pieniędzmi. Podał swoje telefony, zapraszał do odwiedzin. „Przybywaj, dziewczyno, chętnie cię zobaczę!” – pisał. Przywykł mieć dwór. Nadawałam się na błazna.

Korespondencja od początku nieczęsta, urwała się zupełnie. Odeszłam w niepamięć. Czułam się wykreślona z życia. Już nie istnieję, ale jeszcze nie umarłam. Gorzej niż pies na uwięzi. Nienawidziłam jego ojca. Dotrwałam do ostatniej chwili, teraz mogę i muszę wiać. Poza pieniędzmi

znów zostawię wszystko. Inna miałaby już złotą chałupę za rzeczy roztrwonione po metach.

Vanessa odnalazła mnie w swojej wspaniałej łazience, pochłoniętą czyszczeniem kryształowych flakonów z wszelką upiększającą alchemią, zalegających coiffeuse z trójskrzydłowym zwierciadłem.

– Wychodzę. Po powrocie będę cię potrzebowała. – To znaczyło, mam tkwić kołkiem.

Kiwnęłam głową, powolnymi ruchami polerowałam flanelą gładziznę lustra. Uosobienie spokoju. Liczyłam sekundy. Kroki Vanessy i huk czegoś zrzuconego za moimi plecami na mozaikowy pawiment. Nie drgnęłam. Nie ze mną takie numery po przeszło dwóch latach treningu. Dalej porządkowałam gotowalnię. Wycierałam ślady na wypadek przyjscia tu policji, lepiej będzie, jeśli nie pozostawię rysunku swoich palców.

Nareszcie szmer zamykanych drzwi – pewno teraz w sypialni brała mój paszport, i znowu cisza. I odgłos uruchamianego samochodu. Przez uchyloną górną szybkę nad witrażowym oknem pokoju kąpielowego widzę, jak piąty Paul – tyłu już ich odprawiono za mojej pamięci – zamyka bramę. Panią powiózł Czen.

Piąty Paul nastał niedawno, nie sędzę, aby Vanessa wydała jakieś dyspozycje dotyczące mojej osoby. Ma mój certyfikat, to daje jej poczucie przewagi. Punkt dla mnie. W tej chwili przestaje istnieć Mercedes Amado, głuchoniema Katalonka. Żegnaj, nieźle służyłaś! Staję się inną osobą. Nazywam się Suzanne Cartet, jestem Kandydką z francuskiego Quebecku, urodziłam się w Montrealu.

Od dawna noszę przy sobie nowe dokumenty. Zapłacił za nie senior Stunington. Pośrednio. Kupiłam je za pieniądze zainkasowane od niego tytułem honorarium za numer: mecenas Oskierko z Warszawy. Ładna rola Prinza.

Otwieram ruchomą werdiurę z Aubusson, maskującą

stalową płytę, mówię hasło, a na płaskiej tabliczce umieszczonej na lśniącej tafli, jak na japońskim miniaturowym kalkulatorze, lekko naciskam klatki z odpowiednimi cyframi i literami.

Posłusznie ustępuje gładki pancierz.

Zabieram teczkę z aktami kliniki „Continental”, która pojawiła się tutaj po śmierci Orlano Harrocksa. Nie tknęłam klejnotów Vanessy. Uruchomiłaby wszystkie policje świata. O kradzieży papierów zrabowanych w Bostonie, jestem spokojna, nie zamelduje.

Zamykam skrytkę. W samą porę. Słyszę kroki Paula. Już ani chwili nie zwlekam, może kazano mu jednak przytrzymać mnie, gdybym chciała opuścić dom. Wymykam się kuchennym wyjściem i przez furtę w kamiennym murze na ulicę.

Jedna taksówka, druga, trzecia. Nie zajrzałam na swoje poddasze przy ostatniej stacji metra, po drugiej stronie lasku Vincennes. Nie miałam już zaufania do żadnego miejsca w Paryżu.

Clignancourt.

W mrocznym arabskim straganie, wielkim namiocie z wojskowego brezentu, zapchanym łachami z całego świata, zaopatrzyłam się w międzynarodowy uniform wtapiający człowieka w tłum niemal na każdej ulicy każdego kontynentu: stare dzinsy, bawełnianą koszulę i drewniaki. Kupiłam plecak, kilka bluz na zmianę, meksykańskie poncho i toaletowe drobiazgi. Stałam się podróżnym, bo człowiek bez żadnego bagażu zwraca uwagę tak samo jak z nadmiernym.

Przebrałam się w toalecie na stacji metra. Na peron Gare de l'Est weszłam bez makijażu i bez żadnych innych sztuczek przeobrażających wygląd. Z moją własną twarzą, w swoich własnych włosach, czarnych, krótkich, trochę kręconych. Upodobniona do fotografii na paszporcie Kandyjki Suzanne Cartet.

I jeszcze tylko karta ze słowami: „Serdecznie pozdrawiam!” – na adres skrytki pocztowej Messera i Prinza. Umówione ostrzeżenie. Po najdłuższej nieobecności w Paryżu nie przyjdą na spotkanie w każdy pierwszy wtorek miesiąca do ustalonego bistro, zanim nie sprawdzą zawartości skrytki. Teraz będą omijać nasze wspólne ścieżki.

Przez Holandię zdążałam do Warszawy. Zdecydowałam się na kolej. Łatwiej zginąć w tłumie, kontrola nie jest tak uważna jak na lotniskach. Pewno, jeszcze nikt dotychczas nie próbował porwać pociągu.

Z grubsza wyobrażałam sobie bieg wydarzeń po mojej ucieczce z Nogent-Sur-Marne.

Komisarz pewno jest już po rozmowie z Vanessą, którą zna z różnych ekstrawagancji i ma za osobę tyle bogatą, co, mówiąc oględnie, niezrównoważoną, więc nieprzejęty zbytnio, ale też bardzo uprzejmy względem wielkiej damy, postara się wyjaśnić jej podejrzenia.

Każę, komu trzeba, zbadać znaki szczególne z wpisu w dokumencie, a także zdjęcie, zwłaszcza cechy lewego ucha, które na całym świecie każą ludziom wystawiać na podobiznie do paszportu, bo można odmienić kolor oczu, można prostymi sposobami przerobić układ twarzy, kształt sylwetki czy wzrost, lecz nie można przeobrazić rysunku ucha.

Dlatego najbardziej dostosowany dokument ma słaby punkt. Albo pozostaje w nim portret podebranej podobieństwem osoby, albo wpasowuje się własny. W pierwszym wariacie wpada się przez różnice właściwości ucha na fotografii i u oryginału, w drugim na wkomponowaniu zdjęcia, kiedy już na dobre dobiórą się do człowieka i poddadzą wszystkie detale laboratoryjnej obróbce.

Komisarz to zleci i w jakiś czas później stanie się wiadome, że Mercedes Amado, głuchoniema Katalonka, to Lica Milović, Serbka, wcale nie upośledzona na słuchu

1 mowie, zbiegła z komisariatu ósmej dzielnicy Paryża, wówczas zamieszkała w Marais. Zanim jednak stwierdzą fałszerstwo, mam nadzieję być już w Holandii.

I co dalej?

Marais. Wprawdzie upłynęło sporo czasu, ale kto raz słyszał francuszczyznę Prinza, nieprędko ją zapomni. Jego rodzimy język często słyszała stróżka i arabscy gospodarzy „Pod Wesołym Baranem”. Nie do ukrycia, skąd pochodził. Wiedziano o naszej znajomości. Tędy mogą trafić za mną do Polski i na nic moja okężna droga do Warszawy przez Hagę.

Miałam wrażenie, jakbym ciągnęła lont. Biegnie po nim płomień: Marais, Vincennes, Wiedeń, pensjonat „Pod Złotą Kotwicą”, Ritz, ogień rozlewa się dalej, przeskakuje granice. Gdzie się zatrzyma, czy się zatrzyma!

Jak się miało okazać, nie dotarł nawet do Wiednia. Vanessa nie odważyła się, jak przypuszczałam, zameldować policji o kradzieży dokumentów z jej sejfu, a oni działali opieszale, widocznie z ich punktu widzenia nie byłam znów taka ważna. No i na zdrowie.

Lecz moja opuszczona szefowa nie zrezygnowała i czego nie zrobiła policja, zrobił Victor, jej kompan z paryskiego rezerwatu międzynarodowej fauny w Clignancourt, pamiętający mnie z „Chez-Soi”. Cholerny rodak trafił na mój ślad w Marais i niewiele tracąc czasu wytropił mnie z pomocą rodzimej szpany w Warszawie. Wysoka stawka. Kompromitujące Vanessę dokumenty i ja, niebezpieczny świadek mimo woli.

Ale się nabrałam!

Na ten pozorny spokój i ustronność domu przy rue Watteau. Zdawał się izolowanym królestwem beztroski, a okazał się gniazdem skorpionów. Później chciałam zdobyć trochę pieniędzy, ale przestałam panować nad biegiem wydarzeń niesiona jakąś nadrzędną siłą, która przywiodła mnie... właśnie dokąd?

Gadanie. Spodobał mi się chłopak i taka jest prawda. Los zakpił sobie ze mnie. Podsunał okazje, za jakimi bezskutecznie uganiałam po Europie, ale wtedy przestały mnie rajcować wielkie lupy, tylko zaczęłam się bawić w świętego Mikołaja. No to mam. Sama się doigrałam!

Uther.

Zanim się pozbierałam we własnych uczuciach, wsiąkałam. A przecież wiedziałam, jaki jest. Trapiiony obsesją egocentryk. Słoneczko babuni i oczko w głowie tatusia, i właśnie ja musiałam go trafić. Nie słyszałam o mniejszym stosownie ulokowanym sentymencie, ale nic nie potrafiłam poradzić, a i nie chciałam, chociaż mogłam się spodziewać tylko kłopotów. W pełni zdałam sobie sprawę, jak ze mną jest, kiedy Anne-Marie przysłała fotografie z Palm-Beach.

Floryda, Atlantyk. Anne-Marie w kostiumie kąpielowym na oswojonym delfinie, Anne-Marie w opiętych, kusych bermudach i tropikalnym kasku za kierownicą samochodu przypominającego cygaro i na kawałku ozdobnego kartonu pozdrowienia dla Uthera od ojczyzny.

– Zupełnie do rzeczy ta twoja ojczyzna – pochwaliłam podobizny Anne-Marie, chociaż mnie skręcało.

– To modelka Vogue'a, poznałem ją na wakacjach w Antibes.

Skręciło mnie jeszcze bardziej. Piękni, wolni, bogaci, z nie skłamaną biografią. Nie liczyłam się, a przecież jakbym zechciała, też bym potrafiła wystawiać goły zadek na tle drogiego auta.

Nie pokazałam się u Uthera przez kilka dni. No i odbiło mi!

Rano, kiedy Vanessa jeszcze spała, z jej zasobnej jak magazyn Lafayettea szatni skreśliłam z wykazu garderoby welurowy kostium lamowany rudym futrem z czerwonego lisa i kilkoma małymi poprawkami przystosowałam dla

siebie. Umieję szyc, tak jak umiem zmieniać swoją powierzchowność.

Nigdy dotychczas nic nie brałam z jej rzeczy. Ale w razie czego potrafię jej wmówić, że sama kazała usunąć tę sztukę garderoby z inwentarza, bo nieraz dawała podobne polecenia. Zresztą z pewnością w ogóle nie zauważy braku kompletu koloru jesiennych liści. Znałam jej okresowo ukochane szmaty, które nawet, jeśli się w nie nie ubierała, lubiła mieć. Inne odwieszała po jakimś czasie i nigdy więcej po nie nie sięgała. Oszczędna do skąpstwa, o stan swojej szatni nie dbała.

Przejrzałam roczniki Vogue'a, przemyślałam wiele sylwetek i wiele twarzy powielonej Anne-Marie, utrwaliłam sobie charakterystyczne cechy, starałam się przeniknąć przez tę zewnętrżność. Co może odczuwać, co myśleć, jaka jest w środku, kiedy nie pozuje.

Już do obiadu, który Vanessa przeważnie jadała około piątej, dodałam do wina nieszkodliwego, a skutecznego wyciągu z ziół, nie grożącego synergizmem z alkoholem. Zaśnie, mniej wyżłopie koniaku, będzie zdrowsza – miałam gotową, wygodną ideę. W dwie godziny później położyłam szefową do łóżka. O siódmej wyprowadziłam z garażu samochód Vanessy, zielonkawy jak pawi ogon, taki sam, jaki miała Anne-Marie. Nowy Paul, zabiedzony Turek, otworzył bramę z ukłonem.

Wóz pozostawiłam na parkingu. Pod dom, przy ostatniej stacji metra po drugiej stronie lasku Vincennes, gdzie wciąż wynajmowałam facjatę, nie chciałam podjeżdżać takim eleganckim samochodem. Zbyt widoczny w tutejszym pejzażu zacnego ubóstwa.

Tak bardzo zajęło mnie przeobrażenie w Anne-Marie, że pytanie, jak przyjmie to Uther, przyszło dopiero, gdy zatrzymałam się w pobliżu jego mieszkania.

Wtedy po raz pierwszy dostrzegłam jakiegoś podejrzanego mężczyznę. Na węch, na intuicję poczułam niebezpie-

czeństwo. Czyżbym miała na karku policję? Na razie nie mogłam zrobić nic lepszego, niż pójść do Uthera.

– Anne-Marie! – nie poznał mnie. Nie mogłam jednak w pełni cieszyć się swoją sztuką, źle znosiłam świadomość obecności typa czającego się na ulicy.

– Widzisz, jaką złudą jest wygląd – zagałam pedagogicznie, odrzucając perukę koloru dojrzalej pszenicy, i poczułam się gościem nie w porę.

– Mercedes? – zatkało go. Znał mnie tylko pod tym imieniem. Poszedł za mną do łazienki i wciąż ponuro zdumiony przyglądał się w lustrze, jak zmywałam z twarzy resztki Anne-Marie.

Milczący, chmurny przypatrywał mi się jakoś dziwnie, kiedy już niepodobna do dziewczyny z okładki usiadłam z nim do kolacji. Myślałam, ma mi za złe udawanie Anne-Marie, rozczarował się, że to nie ona, i na próżno szuka teraz w mojej twarzy, w mojej zwykłej twarzy, urody modelki i dziwi się sam sobie, jak mógł tak się nabrać.

W tamtej chwili wiele bym dała, aby naprawdę przemienić się w Anne-Marie. Ale wcale nie chodziło o nią, znajomą jak inne, której nie kochał, podobnie zresztą jak i mnie. Niewiele o nim wtedy wiedziałam, a zauroczonej nie dopisał mój wrodzony dar, jakby go nie nazwać, odgadywania ludzi.

On nie był otwarty na miłość. Owładnięty dręczącym poczuciem odmienności, wręcz upośledzenia z powodu własnej kondycji, naznaczony nieistnieniem matki. Bez jej śladu w jego pamięci, bez śladu we wspomnieniach innych, nawet bez śladu w jakiegokolwiek rzeczy. Nie chciana odrębność, dźwigana jak garb, stanowiła źródło nieustannego buntu przeciw rzeczywistości zastanej, ciągłą inspirację do odmiany tej rzeczywistości, miała też znaczący wpływ na jego niedojrzałość, zwłaszcza w sferze uczuciowej, okaleczała osobowość i przeradzała się w obsesję.

Przyczyniał się do tego ojciec maniacko obwarowujący własne tabu, przyczyniali się ludzie, jedni w dobrej wierze, inni dla pieniędzy.

I ja dołożyłam swoje, ujawniając istnienie nienormalnego brata.

– Kim jesteś, aktorką, mimem? – dotychczas nie pytał mnie, kim jestem, dopiero gdy przyszłam w przebraniu.

– Arystokratką. Płynie we mnie krew kilku pokoleń szlacheckich koniokradów. Moi dziadowie nie brali wszystkiego, jak leci, tylko piękne rumaki. Nawet mój ojciec, nieudany szalbierz, nigdy nie zhańbił się odstępstwem od uprawianego rzemiosła. Pozostałam im wierna, ostatnia z rodu.

– Zabawna jesteś.

– Bardzo zabawna. Mówię prawdę. – Nie wziął poważnie mojego wyznania, a ja chciałam i nie chciałam, aby uwierzył. Ale jego wyłącznie zajmowały problemy Uthera-Caradoca i zupełnie nie obchodziły cudze życiorysy.

– To znaczy wiesz, skoro postarałaś się zmienić wygląd.

– Przebrałam się dla hecy, a co powinnam wiedzieć?

– Nikogo nie zauważyłaś w pobliżu domu?

– Owszem. Jakieś dziwne bydlę włóczy się w okolicach bramy.

– Właśnie – unikając mojego spojrzenia wydukał skrepowany, że to osobnik nasłany przez jego tatę rozwścieczonego przyjaźnią syna z Polakiem. Tatę w ogóle niepokoi jego przestawanie z tą międzynarodową zgrają studentów, ale na Polaków szczególnie uczulony. Snob, wypiera się pochodzenia i dostaje szału, gdy słyszy o zainteresowaniach syna dziejami rodziny, oczywiście tą jej gałęzią, o której nie chce pamiętać.

Jak później zrozumiałam, stary Stunnington sam nie bardzo wiedział, jaki udział w jego niechęci do kraju przodków miało identyfikowanie się z wzorcami amery-

kańskiego establishmentu, wychowanie, snobizm, a jakie przekonanie, że syn nigdy nie dowie się o swojej sfałszowanej biografii, jeśli wytrzebi w nim ciekawość i sentyment do ziemi dziadów.

Natomiast na Beja zawział się szczególnie, bo dopóki nie zwrócił uwagi na mnie, młodemu Oskierce, a właściwie jego ojcu, przypisywał ujawnienie upośledzonego syna, ukrywanego nad Lago Maggiore.

– Potwór – podsumował tatusia Uther.

Odetchnęłam. A więc morda pod bramą nie łaps, tylko zwyczajny wyrobnik z jakiejś agencji, utrzymywany przez dziecienniałego starca, mającego dość pieniędzy, aby żywić darmozjadów. Pewno mniej bym się cieszyła, gdybym wiedziała, jaki jest naprawdę senior Stunington. A tak, poczułam tylko bogate łupy. Dobra okazja na ładny kant. Sytuacja nieczęsta, wyczekiwana długo, przez cały paryski okres, odkąd tu ugrzęźliśmy po wiedeńskim niefarcie.

– Starego się nie wybiera, starego się ma – pocieszyłam Uthera, z całą sympatią dla bzika jego taty.

– Zablokował mi konto – wypluł Uther ostatnie zwierzenie jak ość.

Biedny młody gniewny. Tato odebrał amunicję. Zaproponowałam pożyczkę, zachnął się, jakby siadł na jeżu.

– Nie mów więcej takich rzeczy – zmarszczył się, ociekał dumą.

– Wiesz, co robił król Nawarry, kiedy nie miał dziadków, tylko widoki na koronę francuską?

– Nie wiem – zamruczał ponuro.

– Słał skrypty dłużne do bankierów i jedni odsyłali je z powrotem, a inni pożyczali pieniądze.

– Nigdy – znowu odął się szlachetną dumą, moja praktyczna koncepcja rozbiła się o kolejną zasadę. Jemu bardzo chciało się ładować węgiel albo zmywać naczynia w gar-kuchni, czym zarabiali na życie chłopcy, z którymi się przyjaźnił.

Idź! Ciekawe, jak długo wytrwasz, a może opuszczą cię urojone problemy, gdy pojawią się prawdziwe – myślałam. Wytrzymały i uparty zmagął się z węglem na Saint Lazare, dla zarobku i na złość tatusiowi, i ani na trochę nie wyzbył się swoich fanaberii.

Mieszkał teraz u kolegów, luksusowe studio – tak w Paryżu nazywa się kawalerka – wystawił do wynajęcia, pies z kulawą nogą tej ciężkiej zimy nie przyszedł nawet obejrzeć drogiego lokalu. Biedowali. Oceniałam, że muszę szybko wejść do akcji, inaczej skapieją, on, jego koledzy i ich karakony na poddaszu przewiewnej czynszówki.

– Dlaczego nie chcesz poznać moich przyjaciół? – Miał wielką ochotę zademonstrować mnie swoim studentom. Jeszcze czego, moja twarz to mój największy kapitał.

– Muszę pozostać w całkowitym cieniu, jeśli mam od ciebie skutecznie odwracać uwagę wynajętych oczu twojego taty – to był argument i prawie prawda.

Teraz moje przebieranki stały się koniecznością. Skóra cierpła na myśl, co się może zdarzyć, jeśli wywiad taty trafi za mną do Vanessy. No i przygotowywałam wystawienie zwierzyny. A musiałam się śpieszyć, nie wiedziałam, jak długo senior Stunington zabawi w Paryżu.

Poszłam na Marais.

– Stało się co, dziewczyno? – wystraszył się Prinz. Nie pokazywałam się w ich dzielnicy, odkąd przestała istnieć Lica Milović. Spotykaliśmy się w arabskiej jadłodajni na Belleville, gdzie przychodzili marokańscy gastarbeiterzy. Tam od południa przesiadywał Prinz, udzielając za przystępną opłatą porad prawnych.

Tym razem nie mogłam czekać, aż Prinz pojawi się w knajpie, poszłam prosto do ich sutereny. Nie bałam się konsjerżki. We własnej skórze przy niewielkich retuszach w niczym nie przepominałam Licy Milović, wyglądałam na włoskiego wyrostka.

– Mam dla was zajęcie i możesz mi mówić: Michelangelo.

Takie otrzymało imię czwarte, najmłodsze dziecko sprzątaczkii Uthera, signory Owerola, włoskiej matki francuskich obywateli.

– Paryżanin! – prezentowała oseska, kiedy po raz pierwszy po urodzeniu dziecka zjawiała się w pracy, przynosząc ze sobą niemowlaka. – Niech pani patrzy, signorina – mówiła z zachwytem – wystarczy, że przyszedł na świat na tej ziemi i już nic więcej nie potrzebuje robić. Nigdy nie będzie musiał wystawać w prefekturze, jak jego mamma, i bać się, czy dadzą przedłużenie pobytu i na ile, i znowu dostać na sześć miesięcy, i znowu się bać.

Michelangelo otrzymał wysoki dodatek rodzinny od Republiki premiującej przyrost naturalny i nikt już teraz nie śmie odmówić prawa pobytu i prawa do pracy jego mamie, bo kto odważyłby się wydalić mamę francuskiego obywatela, który ma ustawowe prawo na terenie Republiki ssać pierś matki, bez względu na jej pochodzenie.

Od tej fartownej śniadej kluseczki z oczyma jak ciemne oliwki pożyczyłam sobie imię i poszłam na poddasze do przyjaciół Uthera. Z nim, aby go stamtąd wyprowadzić na czas mojej obecności, umówiłam się daleko na mieście.

Podrzuciłam im pieniądze, a przy okazji wzięłam listy seniora Oskierko do syna, żeby coś przynajmniej z grubsza wiedzieć o człowieku, bo nawet nie znałam jego imienia. A wypytywanie na ten temat Uthera w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Koszta reprezentacyjne pochłoneły niemal wszystkie moje oszczędności z ascetycznego wynagrodzenia płacowego przez Vanessę, bo moi koledzy prawie zupełnie odwykli od czegoś takiego jak pieniądze, żyjąc wyłącznie ze znajomości kodeksów Prinza. Ci mieli charakter, prędzej

zdechnąć z głodu, niż jąć się pracy. Jedyne odstępstwo stanowiły porady prawne udzielane nędzaczom za nędzarskie grosze. No, ale wszelaka jurysprudencja była szlachetnym hobby Prinza.

Po przeszło roku Paryża ani trochę nie mówił lepiej po francusku, natomiast opanował sporo słów i zwrotów arabskich i w tym urozmaiconym żargonie potrafił wyłożyć nawet prawo rzymskie. Rozumieli się świetnie, znacznie mniej świetnie żyli. Wychudli, spadały z nich łachy. Musiałam ich ubrać, zapłacić dobry hotel, gdzie stanęli gospodą, jak przystało szanującym się członkom palestry, musiałam wyłożyć na stosowne dokumenty i kolację dla Claparona w drogim jak diabli lokalu, który ten rozbójnik wybrał na miejsce spotkania, zanim udostępnił swoją kancelarię.

Odrestaurowany Prinz w szykownym garniturze leciutko używanym, jak się zwykli nosić ludzie wytworni, w nowiutkiej peruce, peruce z prawdziwych włosów, z tą swoją aż niesamowitą biegłością w temacie, był jak stworzony do roli adwokata z Polski, zważywszy nieznaną żadnego innego języka.

Messer został mianowany dependentem firmy „Oskierko”. Po zainstalowaniu się w nobliwym pensjonacie, Witek zjawiał się u Claparona, uwierzył w dobre dokumenty i omówił warunki współpracy.

– Jestem słowianofilem – zapewnił Claparon i wziął piętnaście tysięcy franków za pożyczanie kancelarii na jeden weekend, a później w „La Tour d'Argent” zeżarł dwa tuziny ostryg i sześć innych dań łącznie z ich słynną kaczką i pozostał chudy, jak był. Gdzie on to podziewa! Skunks! Za moje pieniądze, ciężko wysłużone u jego klientki. Miałam nadzieję, że go przynajmniej rozboleła wątroba.

Tak sprawili seniora Stuningtona, sam się napraszał. Przebiegło gładko. W jego mniemaniu przekupność

Oskierki była czymś oczywistym, takich ludzi znał z doświadczeń pięćdziesięciu lat praktyki między społecznie zamaskowanymi łajdakami.

Ale nie doceniłam starszego pana i ciut się rozzuchwalałam.

Opracowałam kilka postaci i nawet nie wykorzystywałam nadmiernie Anne-Marie. Brałam jej skórę tylko wtedy, gdy bawiła poza Paryżem. Zażycie Uthera z dziewczyną z okładki z początku nieźle usposobiała tatę, łudził się, że syn, zajęty atrakcyjną przyjaciółką, nie ma czasu i serca dla polskiego kolegi.

Mylił się.

Uther przywiązał się do mego rodaka. Coraz rzadziej z nim się rozstawał, a i ja nie uniknęłam spotkania z nim. Bej zobaczył mnie w wydaniu Anne-Marie. Nie mógł oderwać oczu i były to oczy mężczyzny.

Chłopcze z dobrego domu, nawet nie wiem, czybyś mnie zauważył na warszawskiej ulicy, czy bodaj spojrział, gdybym usiadła obok w którejś z tych nielicznych kafejek w naszym rodzinnym mieście, gdzie podają czarną ciecz o smaku przypalonego jęczmienia, nazywając to kawą.

Jestem złudzeniem.

W kostiumie od Cardina, w markowym samochodzie, osłonięta kunsztem wielkiego krawca, makijażem i aktorstwem, oprawiona w sympatię jedyne go spadkobiercy wielkiej fortuny, wydaję się piękna i pożądana, nieosiągalna jak cenny klejnot z wystawy jubilera na Champs Élisées.

Piliśmy wino na Menilmontant, dokąd nie przychodziła prawdziwa Anne-Marie, chociaż i tak zaczynało być niedobrze, bo stawałam się lokalną znakomitością. Patroni i bywalcy rozpoznawali i pozdrawiali mnie jako dziewczynę z okładki.

A Uther wciągnięty moją grą, już tylko dla hecy, mimo moich protestów, zaciągnął nas do „La Tour d'Argent”, dokąd często przychodziła prawdziwa modelka Vogue'a.

Dobrze się bawił. Ja mniej. Głupia, niebezpieczna szarża. Wprawdzie Anne-Marie przebywała wtedy na plenerach w Nicei, ale w każdej chwili mógł wejść ktoś z jej znajomych. Nic się nie stało, ale z dużą ulgą opuściłam lokal. Postanowiłam wtedy na zawsze porzucić skórę dziewczyny z pierwszych stron popularnego magazynu, już dostatecznie wyeksploatowaną.

– Uther, jesteś szczeniak, zrobiłeś mi świństwo! – byłam zła. Miałam dla niego wiele pobłażania, ale nie godziłam się na rolę tresowanego kucyka, klnącej papugi czy rachującego psa.

Miał, jak i inni z jego środowiska, skłonności do popisu. Czym sobie w końcu mogli zaimponować? Posiadali takie same samochody i takie same klejnoty, i ubrania z najlepszych magazynów, i jachty, i rezydencje, i obrazy najlepszych mistrzów, i rasowe psy, konie i dziewczyny. Niczym już jeden nad drugiego nie potrafił wyskoczyć. Zabawną odmianę stanowiła niema służąca czy kobieta kameleon.

– Nie chciałem ci sprawić przykrości – zapewnił, ale nie zdawał się rozumieć, że mi szkodził narażając dla żartu. Oni wszyscy z tego klanu mają podobną cechę, rzadko zastanawiają się nad tym, co nie dotyczy ich bezpośrednio.

Spotkanie z Bejem przyniosło jeszcze jedną, niespodziewaną reperkusję, ale już nie z winy Uthera.

Kiedy mu szczególnie zależało, aby wywieść w pole tatową opiekę, zastępował go Messer. Byli niemal jednakowego wzrostu, reszta należała do kunsztu, w jakim Messer był tak dory, jak i ja.

– Idziemy do „Luxemburga”, sobowtór musi podpatrzeć twój sposób poruszania się – zawiadomiłam Uthera, gdy po raz pierwszy Witek miał go udawać.

– Ależ niech on przyjdzie do mnie, chętnie go poznam!

– Wykluczone – to stanowiło, oprócz zapłaty, oczywisty dla mnie warunek Messera. W naszym zawodzie trzeba



oszczędzać twarz. Uther był niezadowolony, nie dano mu zabawki.

Messer już jako młody Stunnington zjawiał się wieczorem pod bramą, w tym samym momencie Uther wyszedł z domu i nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Zdecydowaliśmy z Witkiem wersję prawdopodobną, najbezpieczniejszą dla niego i jedynie możliwą dla mnie: młody Stunnington zajęty orientálną dziewczyną.

Toteż Witek byczył się przez cały dzień, nie wystawiając nosa poza studio Uthera, ja przemykałam o zmierzchu, po uśpieniu Vanessy, w wydaniu niepozornym, niezauważalna. Tu przekształcałam się w Hinduskę, co dawało możliwości zupełnej zmiany wyglądu.

Wychodziliśmy oboje, nigdy przy dziennym świetle, Messer upodobniony do Uthera, ja w prawdziwym sari ze złocistego jedwabiu z niewyczerpanej szatni Vanessy i z jej klejnotem, brylantowym soplem, złotawym jak skórka cytryny.

Pod domem czekał kremowy buick wynajęty w wypożyczalni wraz z szoferem. Uther nie miał wówczas samochodu. W taki sposób protestował przeciwko podwyżkom benzyny. Z czasem mu przeszło, bo paliwo mimo jego kontestacji wciąż drożało.

Jechaliśmy z Messerem do miasta, na kolację czy tylko przejechać się gdziekolwiek bądź, tyle, aby nas widziano, i to z bezpiecznej odległości.

Tak trwało przez cztery dni nieobecności Uthera. Piątego wieczoru poszliśmy z Messerem do „Olimpii”.

Dlaczego właśnie na występ z udziałem Anne-Marie? Przecież nie dla sztuki makijażu, którego tajniki znałam nie gorzej niż ów mistrz przerabiający na scenie twarze żywych manekinów na oblicza z portretów.

Poszłam z babstwa. Odwieczne babstwo przywiodło swoją zdobycz na pogębienie tej drugiej. Że łup fałszywy? Z łoży pierwszego piętra wyglądał jak najprawdziwszy.

Na powierzchowność Messera nabrał się nawet Bej i pobiegl pocieszyć Anne-Marie, o czym później dowiedziałam się od Uthera.

Tego wieczoru dla mnie i Beja Paryż okazał się małym miasteczkiem. Nie wzięłam pod uwagę podobnego spotkania. Nie przypuszczałam, że wciąż jeszcze działał urok Anne-Marie w moim wydaniu. Zrobiło mi się żal siebie i bardzo smutno. Dlaczego staję się niezapomniana, tylko udając kogoś innego!

Niedługo później Paryż okazał się jeszcze mniejszym miastem. Sfora taty Stunningtona trafiła na mój ślad. Coś jednak robili za pieniądze, jakie im płacił. Gdy rozmnożona Anne-Marie pokazała się jednocześnie na Florydzie i w Paryżu, w Saint Tropez i w Paryżu, w Nicei i w Paryżu, obstawili mnie dokładnie i wydało się.

Na szczęście, kiedy tato Stunnington wyłuskał moją osobę z zamętu spódnic wokół jedynaka, a większość z nich okazała się tą samą głuchoniemą służącą jego separowanej żony, zdążyłam ostrzec Messera i oni z Prinzem zniknęli z miasta. Mieli za co. Stawiał senior Stunnington. Każdemu z nas przypadło w udziale dużo pieniędzy za numer pod tytułem: mecenas Oskierko z Warszawy. Oblupiłby ich ze skóry jak gotowany bób, gdyby ich dopadł i rozpoznał. Mnie też nic by nie uratowało przed francuskim kryminałem, chociaż działałam z za kulis, jeśli by bodaj domyślił się mojej roli w tej mistyfikacji. Ale wtedy on nie wątpił w autentyczność Oskierki, z którym zawarł układ w kancelarii Claparona. Jednak rozjaśniło mu się, kto naprawdę wydał Utherowi miejsce pobytu homunkulusa, więc wziął mnie na smycz i żądał, abym donosami odkupywała wyrządzone zło!

Złó! Może jednak o istnieniu tamtego nieszczęśnika nie należało mówić Utherowi. Tylko wtedy, gdy powiedziałam mu o bracie, Uther nic mnie nie obchodził, a i niewiele o nim wiedziałam.

Kim jestem? – od czternastego roku życia uporczywie szukał odpowiedzi na dręczące pytanie. Nie znana matka i wciąż daremne próby jej odnalezienia czy bodaj odgadnięcia, kim była. Vanessa, żona ojca związana z nim małżeństwem na długo przed jego, Uthera, urodzeniem. Kompletny galimatias matrymonialny!

Odkrycie upośledzonego brata. Skrętnie zbierane opinie krążące o bostońskiej klinice, gdzie przyszedł na świat i gdzie podobno eksperymentowano z zarodkami ludzkimi na długo przed pierwszym dzieckiem ze słoja. Literatura tematu, wszystko służyło logice jego teorii.

Kropkę postawiła głośna książka Davida Rorvika, przedmiot sensacyjnego procesu. Fantastyczną koncepcję podbudowywało jego niezwykle podobieństwo do ojca.

– Pochodzę z retorty – zawiadomił mnie, wręcz chory od tego przypuszczenia. Przyprawiało go o wściekły bunt.

Też wolę, aby pozostało po staremu. Ale jak się zastanowić bez uprzedzeń, no to co? Czy taki ważny początek? Człowiek istnieje, czuje, myśli, rozumie i może cieszyć się światem.

Jednak nie podzieliłam się tą refleksją z Utherem. Najłatwiej kwitować problemy innych. Może świadomość wyeksperymentowania mnie w laboratorium też wywołałaby mój protest.

Wylęgnąć się w probówce, jak bakteria albo jakiś pierwotniak, co się rozmnaża przez podział, no czy ja wiem? Nie zanadto zachwycające, ale nie potrafiłam wzbudzić w sobie świętej grozy, tylko niepokój przed uszkodzeniem takiej drobiny życia.

Właśnie uszkodzenie. W upośledzeniu swojego brata Uther dopatrywał się skutków manipulacji genetycznych. Pewnie, strawniej jest człowiekowi wierzyć w fuchę medycyny niż w zastarzałego syfa przodków. Ale nie zdradziłam przed nim swoich trywialnych hipotez, tylko podciągnęłam się w przedmiocie, żeby go pocieszyć naukowo.

– Jeden procent dzieci w ogóle rodzi się z wadami rozwoju, a nosicielami skaz genetycznych są prawie wszyscy.

Z tym samym efektem mogłam mówić do ściany. Nie obchodzili go wszyscy, tylko on i jego brat. Znowu podejmował pielgrzymki do kolejnego faceta z tytułami długimi jak imiona chińskich mandarynów, a w jego zastępstwie Messer wspierany przeze mnie wodził na manowce wynajęte oczy taty Stunningtona.

I tak jeden wariat latał po świecie, bo miał zmartwienie, czy nie pochodzi z kolby, jakby świat zastany był z tego powodu gorszy albo brzydszy. A drugi robił wszystko, aby ten pierwszy nie dowiedział się prawdy.

Ale wtedy o motywach postępowania ojca Uthera nie wiedziałam nic. Kiedy słabe serce Artura nie mogło już podolać w służbie wielkiego ciała, wciąż rosnącego jak ciasto na przekór dietom i leczeniom, oni wszyscy poszaleli.

Senior Stunnington ufając tylko medycynie amerykańskiej wymógł na żonie przeniesienie nieudanego syna do Stanów. Pijana Vanessa pomawiała męża o zbrodnię dokonywaną w majestacie najnowszych osiągnięć współczesnej medycyny, trzeźwa nie mówiła nic, przybita i smutna latała do Bostonu, dokąd przewieziono jej syna. Nie zabierała mnie ze sobą, w czasie jej nieobecności na rue Watteau regencję sprawował Czen.

Stary Stunnington zgodził się na przeszczep i w bostońskiej klinice czekano na dawcę. Na kogoś młodego i zdrowego, i w pełni władz umysłowych, kto nagle skręci kark na tyle skutecznie, aby można mu wyjąć serce i wszczepić istocie, co do której nie jest się pewnym, czy nawet zdaje sobie sprawę ze swego istnienia.

I to budziło we mnie większą grozę niż życie poczynane w probówce. Ale Artur nie doczekał cudzego serca, jego własne, zmęczone, przestało bić, zanim znalazł się ktoś,

komu można by je było wydrzeć. Zniknął jeden problem moralny, pojawił się drugi. Czy nowego serca nie stało w rezultacie zbrodniczego zaniechania?

– Nie czuję z nim żadnej ludzkiej więzi – zwierzał się Uther przerażony swym odkryciem i latał do Bostonu dla ekspiacji za brak przywiązania do brata, wobec którego oprócz litości nie potrafił wykrzesać żadnego innego sentymentu, z poczucia winy, że jest zdrowy i uprzywilejowany, a po trosze, nie bardzo nawet sobie zdając sprawę, i dla Vanessy.

Nigdy nie dała się widzieć w bostońskiej klinice.

– Dlaczego mnie nienawidzi, czym wobec niej zawiniłem? – rozmyślał głośno pełen żalu, w nadziei chyba też nieuświadomionej, że się dowiem i mu doniosę. W pewnej mierze wiedziałam. Wyrobiłam sobie pewien pogląd, składając strzępy nietrzeźwych monologów szefowej, które nie nadawały się do powtarzania.

Czym zawinił?

Samym faktem istnienia. Odczuła je jako zniewagę wymierzoną jej kobiecości, upokorzenie przez mężczyznę, od tej chwili jej dramat, dramat matki upośledzonych dzieci, stał się nieodwracalny. I wreszcie Uther był istotą, która zabrała całą miłość ojca, nie pozostawiając już nic dla jej nieudanego syna.

Zgodziła się, kiedy jej mąż postanowił mieć własne dziecko. Nie wiadomo czym powodowana. Poczuciem winy, że nie mogła dać mu zdrowego potomstwa, kompromisem, może kochała męża i bała się go utracić, a może kierowała nią troska o Artura, który między nimi mógł być przedmiotem przetargu. W każdym razie przyrzekła dziecku męża uznać za własne. Jakże musiała czuć się upokorzona przystając na taki układ! Jednak przystała. Jej syn, jak sobie życzyła, został umieszczony nad Lago Maggiore, a ona, zgodnie z życzeniem męża, w domu pod Paryżem ukrywała się przez miesiące rzekomej ciąży.

Ale nie znała swego serca.

Nie potrafiła nie tylko pokochać dziecka męża, ale nawet nie zdobyła się na tolerancję. Na wiadomość o jego przyjściu na świat znienawidziła je, odmówiła usynowienia i więcej nic nie chciała o nim wiedzieć. Nie podołała roli biblijnej Sary.

Rozeszły się ich drogi, a Artur stał się obosieczną maczugą w rękach obojga i zapanowała względna równowaga we wzajemnej urazie, z wpływem czasu przemieniającej się w nienawiść. Prywatne piekło.

Pierwszą przerwę w podróży miałam w Hadze.

Między jednym pociągami a drugim zatelefonowałam do Uthera. Numer na Stegnach, jeden z podanych mi przez niego w karcie pocztowej, kiedy jeszcze je do mnie pisywał, nie odpowiadał. Zadzwoiłam na drugi, do wiejskiego domu w Orylu, o którym donosił w korespondencji sprzed roku.

– Słucham! – odezwał się Uther, w tle punktowanym tym ledwo uchwytnym pulsowaniem, jakie znałam z aparatu w domu Vanessy. Widocznie miał podobne urządzenie. Na dalszym planie słyszałam muzykę, szmer rozmów, śmiechy, dźwięk szkła.

– Mam zamiar cię odwiedzić – nie byłam pewna swego głosu, miałam tremę. Poznał mnie dopiero wtedy, gdy wymieniłam swoje imię i wspomniałam Paryż.

– Gdzie jesteś? – nawet się ucieszył. Powiedziałam, gdzie jestem. – Wsiadaj w samolot, odbiorę cię z Okęcia.

– Będę w Warszawie dopiero pojutrze – nadal nie mogłam ryzykować kontroli w aeroportach.

– Jaka szkoda. Jutro wyjeżdżam na kilka dni.

– Myślałam, że będę się mogła u ciebie zatrzymać. – Oczywiście, miałam gdzie mieszkać, ale chętnie przyjęłabym zaproszenie.

– Nie ma problemu. Zostawię dla ciebie klucze w sekretariacie naszej firmy. Mieści się w „Intraco”. Każdy ci wskaże zielony wieżowiec na ulicy Stawki. – On też nie wiedział, skąd naprawdę jestem. Nigdy mu nie powiedziałam.

– Zapowiedz Suzanne Cartet. Tak się nazywam – odłożyłam słuchawkę, aby nie wdawać się w wyjaśnienia, gdzie się podziała Mercedes Amado.

Nurknęłam w uliczny ruch. Sobotni wieczór, nieśpieszny, odświętny tłum. Cudzy język, cudze miasto, cudzy obyczaj. Wszystko to odczułam nagle, samotna, obca, poza nawiasem zwyczajnego życia. Rozpaczliwie zatęskniłam za domem. Dawało o sobie znać zmęczenie i rozczarowanie niepamięcią Uthera.

Po siedemdziesięciu ośmiu godzinach podróży non stop, przez Holandię, Danię, Szwecję dotarłam do ojczyzny.

Warszawa.

Czysta, schludna, wyciszona wczesnym rankiem, swojska, wzruszająca i trochę inna, i trochę prowincjonalna po rozgardiaszu tamtych metropolii.

Restauracja – remanent! Kiosk Ruchu – zaraz wracam! Nieczynne z powodu urlopu personelu, zamknięte z powodu choroby personelu, zamknięte z powodu braku personelu. Przyjęcie towaru. Kontrolny spis towarów. Remont!

„Tylko na Żoliborz, zjazd do bazy” – wywieszka za przednią szybą jedynej taksówki, która zawinęła na postój.

– Chcesz mieć garaż z dupy, szczyłu! – facet za kierownicą, który mnie wziął za chłopca.

– Jak leziesz, krowo! – kierowca autobusu, co rozpoznał we mnie dziewczynę.

Poczułam się w rodzinnym mieście.

I daleka Wola za cmentarzem karaimskim. I dawno nie widziany dom z pompą i wszelkimi wygodami w ogrodzie. Ale ogród piękny, a drzewa podrosły i przybyło gałęzi

w koronach. I moja matka, niemłoda już, bo byłam ostatnim i późnym dzieckiem, o takich mawiają: wyskrobek.

Sierota z wyboru, od lat nie widywałam mojego rodzeństwa, nieźle ustawionego w życiu. Mieli mi za złe tryb życia i niejasne źródła utrzymania. Nie wpuściliby za próg, gdyby wiedzieli, czym się zajmuję. Nie chcieli wiedzieć. Mieszkali oddzielnie.

– Lunia! – chwyciła mnie w ramiona matka. Jeszcze tylko ona nazywała mnie tym zdrobnieniem z czasów dzieciństwa. Ona знаła prawdę. Ale matki kochają swoje dzieci, jakimi są.

Wszystko tu jak dawniej. Wyszorowane, żółte niczym szafran deski nie malowanej podłogi, szmaciane chodniki, rozłożysta kuchnia z pękniętym siódmym kaflem. W pokoju kryta wzorzystym pluszem kanapa, nazywana otomaną, z wielką ilością haftowanych jaśków i Cyganką w sutej spódnicy usianej cekinami. Tą lalką nigdy nie pozwalano bawić się dzieciom. Nie była zwykłą sobie lalką, przydawała wykwintu kanapie, najbardziej cennemu meblowi, na którym siadywało się tylko od święta.

– Zrobię ci jajecznicę. – Nie pytała, skąd przybywam, jak nie pytała nigdy mojego ojca. Rozbijała jajka, skwierczał tłuszcz na patelni, a kiedy zjadłam, przyniosła cynkową balię, też zapamiętaną z dzieciństwa, i podrzuciła węgla na palenisko.

Czerpała wodę z kociołka wpojonego na stałe w trzon kuchenny zamiast piątej fajerki, gdzie zawsze, jak pamięcią sięgnę, parował wrzątek, kiedy się tylko paliło pod płytą.

– Dziękuję ci za paczki, a pieniądze zachowałam dla ciebie. – Była córką, siostrą, żoną i matką ludzi nie żyjących w zgodzie z kodeksem karnym. Sama nigdy i w niczym nie brała udziału. Pracowała. Wysłużyła skromną emeryturę.

– Wszystko, co przysłałam, jest dla ciebie.  
– Mnie tam, dziecko, niewiele potrzeba. Może ty się kiedyś ustatkujesz, za mąż wyjdiesz... Jaka to moda dzisiaj, dziewczyny takie chude! – myśla mi plecy i użała się nade mną. – Pewnie byle jak się żywiłaś po tych zagranicach, no nic! Odkarmię cię, jeśli chociaż trochę posiedzisz w domu – przy okazji chciała się dowiedzieć, jak długo zagrzeję miejsca.

Niezmiennność matki, trwanie starego domu, tych samych sprzętów, wciąż takiego samego rytuału powitania i niekłamanej radości z mojego powrotu – przywracały spokój. Zasypiając poczułam się bezpieczna. Ale nie byłam bezpieczna. Towarzyszyły mi pasje, namiętności i szaleństwa innych ludzi.

9

– Mecenas Oskierko? – kobiecy głos z francuska zakrztusił się moim nazwiskiem. W mikrofonie szemrało ledwo wyczuwalne pulsowanie, jakby biło dalekie tętno. Takimi właściwościami odznaczał się telefon znajdujący się u Uthera w Orylu. Ostatnie słowo elektroniki Telefunkena czy innej równie znakomitej firmy.

– Mam wielkiej wagi wiadomość dla starego Stuningtona. – „Starego” – powiedziała po polsku, chociaż z podobnie fatalnym akcentem, jak i moje nazwisko.

– Nie znam seniora Stuningtona, do tej pory widziałem go jeden raz.

– Nie szkodzi. Doradcę prawnego swojego syna potraktuje poważnie.

– A panią nie?

– Ze mną gorsza sprawa. Może nawet pomyśleć, że chcę od niego wyciągnąć pieniądze.

– Pani naprawdę nie chce?

– Zawsze jest pan niegrzeczny dla klientów? – znów wydukała po polsku.

– Pani nie jest moją klientką, do tego anonimem.

– A obowiązkowa uprzejmość palestry?

– Ogólne schamienie obyczajów nie ominęło i mojego zawodu.

– Proszę mnie traktować serio – upomniała się, punktowana tym charakterystycznym falowaniem aparatury. – Działam w interesie Uthera, a on jest pańskim klientem.

– Sceptyk ze mnie, madame. Nie wierzę w bezinteresowną troskę o cudze dobro, zwłaszcza deklarowaną na odległość przez osobę ukrywającą swoją twarz.

– Niech pan nie mózguje. Jest pan skłonny spełnić moją prośbę? Niech pan nie odmawia, bo może wydarzyć się nieszczęście!

– Co mam przekazać do Kalifornii, proszę tylko konkretnie – zdecydowałem się pośredniczyć. Może naprawdę wiadomość jest ważna. W głosie kobiety brzmiała determinacja.

– Dokumenty Orlano Harrocksa znalazły się tutaj. O ile wiem, nikt jeszcze nie posiada fotokopii. Czekam w Warszawie.

– Jak panią rozpozna?

– Niechaj poda dzień przybycia i hotel. Odnajdę go. Po te szczegóły zatelefonuję do pana jutro. Proszę działać zaraz. Liczą się godziny! Do usłyszenia.

Zamówiłem Los Angeles i nakręciłem numer Oryla, chociaż nie wierzyłem, aby anonimowa kobieta, jeśli nawet tam jest, podniosła słuchawkę. I rzeczywiście, w mieszkaniu Uthera nie odezwała się żadna cudzoziemska dama, tylko mechaniczna sekretarka.

Zgłosiła się Kalifornia.

– Witam, mister Oskierko – powiedział ojciec Uthera. Słyszałem go po raz drugi w życiu, a pierwszy z takiej

odległości i mimo że już przecież wiedziałem o ich niestęchającym podobieństwie, poruszyło mnie, kiedy poprzez kontynenty odezwał się głosem Uthera, łudzącym w brzmieniu i artykulacji.

Przekazałem informacje nieznajomej.

– Będę w Warszawie... – Zamilkł na chwilę, po czym podał datę i poranną godzinę przybycia samolotu według zegara europejskiego, uwzględniając sześć godzin różnicy.

– Zatrzymam się w „Victorii” lub „Bristolu”. Oczywiście nie wspomni pan Utherowi o sprawie?

– Nie wspomnę. – Czyżby wciąż chodziło o tajemnicę urodzenia chłopca, czy o coś znacznie gorszego. Jedno jest pewne, na dźwięk nazwiska zastrzelonego przed rokiem szefa bostońskiej kliniki senior Stunnington rzuca wszystko i śpieszy na drugą półkulę.

– Uther jest w Warszawie?

– Właśnie wyjechał do Nowego Jorku.

Po tamtej stronie szmer, jakby westchnienie ulgi i:

– Do zobaczenia, dziękuję, mister Oskierko.

Rzecz musiała się przedstawiać poważniej, niż sądziłem. Teraz i ja zaniepokoiłem się o Uthera. Szczęście, że nie zlekceważyłem telefonu nieznajomej.

Znowu pomyślałem o Orylu. Wydawało się prawie pewne, że ktoś skorzystał z aparatu w domu nieobecnego Uthera, chociaż zapasowe klucze od jego mieszkania leżały w mojej kasie.

Mimo późnego już wieczoru postanowiłem tam pojechać. Jeśli anonimowa kobieta pozostawiła jakiś ślad swej bytności w Orylu, należało szukać go zaraz.

Nieustannie padało. Sierpień, a szaruga niemal jesienna, podszyta zimnym wiatrem. Zdjąłem z wieszaka nieprzemakalną kurtkę. Zajrzałem do środkowego pokoju, gdzie koncentrowało się nasze życie rodzinne.

Pod ścianą we własnej poświacie szemrał sobie telewizor. Tyna, moja żona, siedziała w fotelu zerkając w otwartą

książkę, w jej dłoniach migąły druty. W koszyku obok kłębka wełny, z którego snuła się nić, spała nasza kotka, łudząco upodobniona do tego kłębka.

– Późno wrócę – nie mogłem powiedzieć, dokąd się wybieram bez podania przyczyny należącej do tajemnic zawodowych. Niech myśli, że jeszcze mam sprawy w kancelarii na Królewskiej.

– Już jest późno – wymierzyła sztych drutem w tarczę stojącego na półce zegara. – Ten twój syn też się gdzieś wałęsa. – Kiedy Bej budził jej niezadowolenie, był to zawsze mój syn.

Przy drzwiach niecierpliwił się Lord, pies wielki jak nie wyrosnięty kuc, kudłaty niczym muflon. Przesępował z łapy na łapę, jego twarde paznokcie uderzając o posadzkę wydawały dźwięk rozsypujących się szpilek.

Nie zabierałem go wychodząc wieczorami. Tyna sama w domu, zwłaszcza po zmroku, czuła się nieswojo, pies dodawał jej pewności siebie. Mieszkamy daleko od śródmieścia, na południowym skraju Warszawy, przy końcu krótkiej uliczki: Rajskich Ptaków. Zaraz u jej wylotu rozciągają się Lasy Kabackie.

– Lord nie idzie – rozwiąłem jego nikłe zresztą nadzieje. Począłapał przez hall z powrotem, nie spoglądając w moją stronę, lecz kiedy wychodziłem, próbował jednym desperackim susem przemknąć przez otwarte drzwi. Sztuczka świetnie znana nam obu.

Na dworze wiatr siekł zimnym deszczem, targał łańcuchem latarni zawieszanej przed wejściem u sufitu podcieńca. Ogniwa wydawały rytmiczny zgrzyt, blask przesączoney przez miodowy kłosz przesuwający się po kamiennych płytach, jakby przedproże opływały złociste fale.

Nagle zapadła ciemność. Pogasły wszystkie światła, tylko w dalekiej perspektywie gorzały pomarańczowo uliczne latarnie Puławskiej. Do samochodu wsiadłem po omacku. Stał przed domem, do garażu wprowadzałem go

rzadko, bo wtedy Tyna miewała trudności z wymanewrowaniem swojego małego fiata.

Orylska poprzecznicą skręca z wyszkowskiej szosy. Ale nie lubię, zwłaszcza w taką pogodę, kierunku na Radzymin. Wolałem nałożyć drogi i wybrać trasę okrężną, ale z lepszą nawierzchnią. Minąłem Legionowo, zanim zdążyłem skręcić ku Serockowi, usłyszałem szelest w głębi wozu, w tej samej chwili poczułem zimny ucisk u nasady głowy.

– Jedź, mecenas, do Oryla – dobył się zza moich pleców męski głos.

Zesztywniał mi kark i zaciążyły ramiona, poczułem skurcz gdzieś w głębi jestestwa. Jakaś istota wewnątrz mnie, a przecież nierozdzielna, pragnęła zniknąć, stać się niewidoczna. A jednocześnie ja, kierujący wozem, prowadziłem z uwagą, tylko jakby inaczej widziałem każdy mijany szczegół.

I pełne zgrozy zdumienie: to tak, właśnie tak ma się odbyć mój prywatny koniec świata. Uczucie znane już z kamienistych plaż Dunkierki, z piasków Afryki i pewnej sławnej teraz góry we Włoszech.

I natłok myśli: wywabiono mnie z domu telefonem anonimowej kobiety... Durniu! nie dojrzeć człowieka we własnym samochodzie... Przecież nie zwracałem uwagi na tylne siedzenie... Tam leżał pled... Żuł wcisnął się za moje oparcie... Wsiadałem w ciemności... Ale tylko na mojej ulicy pogasły światła, dobrze pamiętam, na Puławskiej paliły się oranżowo nowe, przeciwmgielne latarnie... ktoś współdziałający z tym tu – nie widzę go w lusterku, bo wciąż czai się za oparciem siedzenia – więc ktoś odłączył prąd w mufie – przeżywam wieczność uwięzioną w sekundach i pokonuję strach.

– Powiedziałem do Oryla – czuję silniejszy nacisk chłodu na karku nad golfem swetra.

– Do wsi czy na kolonię? – odzyskuję jasność myśli.

Widać, nie zorientował się, że właśnie tam jechałem, zmyliła go moja okrężna droga.

– Dowiesz się, mecenas, w swoim czasie – nadal krył się, przykucnięty za oparciem mojego siedzenia.

Gdyby tak nacisnąć gaz i nagle zahamować – rozważyłem szansę. Zarzuci i on może mi wpakować kulę nawet niechcący, jeśli pod wpływem niespodziewanego wstrząsu trąci palcem spust albo jeżeli jest tchórzliwy, uczyni to samo z czystej desperacji. Nie mogłem nic zrobić, dopóki miałem go za sobą.

– Niech mecenas uważa na drogę, nie w lusterko, bo jeszcze nas szlag trafi! – upominał nie bez racji. Od ziemi pełzła mgła, w świetle reflektorów kipiała, rozsnuwała się, falowała jak kłęby dymu z papierosa. Pysk samochodu nurzał się w oparze, żółto prześwietlonym przez halogeny.

– Kark skęcimy w tej zupie – straszylem. Byle zatrzymać się i wywabić go zza moich pleców.

– Da się jechać – znów nacisnął mi szyję chłodnym metalem – i niech nie próbuje żadnych sztuczek, bo zbawię życia. Nie warto się narażać. Załatwi, co musi załatwić, i wróci sobie zdrowy i cały.

– A co musi załatwić?

– Dowie się na miejscu. Mnie niech za język nie ciągnie.

– Od kogo się dowie? – Milczał. – Wlazłeś do wozu, żeby się schronić przed deszczem, ogrzać i przespać.

– Ogrzać! Febry się nabawiłem, zanim mecenas doczekałem. W tej pańskiej blaszance uszy można odmrozić.

Był to wysłużony popularny citroën, przezywany blaszanką, z którym nie mogłem się pożegnać trochę z przyzwyczajenia, trochę z braku pieniędzy.

A ta podła cytryna mogła okazać przynajmniej raz lojalność. No, zapykaj dychawicznie, uprzedź obwiesia o swej niedyspozycji rzeźnieniem, zatchnij się i zgaśnij! – namawiałem ją w myśli. Wtedy on przestanie dekować się

za moimi plecami i wreszcie spróbuję nakłaść mu po mordzie.

Z jakiej racji mamy furmanić osobnikowi, co poniża jedno z nas żgając w potylicę czymś, co może być pistoletem, ale równie dobrze kluczem od komórki na króliki. No, zakrztuś się, zadygocz, jak zwykłaś robić, i stań – stara jesteś i zajeżdżona.

Toczyła się rażno, rozdierając welony oparów, jak po kapitalnym remoncie. Sprzedam dziwkę, jeśli tylko wywinę się z tej imprezy!

– Wlazłeś do wozu, bo chciałeś coś zwędzić, a teraz nie wiesz, jak się wycofać – prowokowałem. Może się rozgada, kto go nasłał i jacy ludzie czekają na mnie u kresu drogi.

– Niby co tu jest do zwędzenia. Tranzystor, koc? I kto dzisiaj łachy bierze. Na szmaty zbytu nie ma, chyba ekstra klasa, ale znowu moda łachmaniarska, im kto bardziej zażyły, tym gorzej odziany lata. Naród przestał w ubiorach się kochać, w co innego pieniądze ładuje.

Zwróciłem uwagę na jego sposób wystawiania się. Oprócz sporadycznie użytych zwrotów: wiesz, mecenas, szoruj, mecenas, które pewno w jego mniemaniu należały do znamion mocnego człowieka i wielkomiejskiego szyku, mówił do mnie w trzeciej osobie lub przez wy. Takiej formy używa się jeszcze dość często nad Bugiem, w widłach Narwi, na Kurpiach.

– Marną macie szkapę, mecenas. Nie wierzę, żeby onego nie stać na lepszą. Przed fiskusem się dekuje, dobrze mówię? Przez te lata, co pan tu adwokatuje, z samego Oryła ile wyciągnął. Jak się o działą zaczęli drzeć, tylko za porady na mercedesa mógł uskładać.

– Skrzywdziły cię działą? – niejednokrotnie występowałem w imieniu pozostałych na roli. Bronilem ich przed roszczeniami osiadłych po miastach sióstr i braci, często ekonomicznie zabójczymi.

– Co tu było do dzielenia? Jak pies położył się na zagonie, ogon już na sąsiedzkim trzymał. Tylko adwokatom raj, jak się sukcesory żarły.

Milczałem. Nie jest aż tak głupi, aby wobec mnie przyznawać się do pochodzenia z Oryła. To kamuflaż.

Wychyństwo z mgły ramię drogowskazu. Skręciłem w poprzecznice i zanurzyliśmy się w las. Po kilkunastu metrach skończył się asfalt, potem wóz zarządził na pierwszych wybojach rozjeżdżonej żwirówki i nagle targnięcie i cisza. Pomyślałem – zgasł motor, i ostatnie słowo rozsypało się w mojej głowie bezładnymi zgłoskami...

Wiatr targa latarnią, czterościenną umbrą, sączy się światło ruchome jak fala. Bolesnie zgrzyta łańcuch w rytmie przyływu i odpływu złocistego blasku. W tym samym rytmie przybliżają się i oddalają głosy.

– Niech nie hałasuje – upomina mężczyzna. – Wiadro nie musi tak skrzypieć.

– Kabłąk je skrzywiony, to piszczy – odpowiada przeprasząco bełkotliwy kobiecy głos. Zgrzyt cichnie. – Nowej wody trza nabrać. – Nikt nie odpowiada. – Ady mówię, nowej wody trza, zimna musi być.

– Ta jest wystarczająco zimna – mówi mężczyzna.

– Jak tak, to tak – gardłowo mamrocze kobieta.

Klap, klap, klap – idzie stępa koń, koń nazywa się Mierzyn, tak go zawołał mężczyzna. Mierzyn. Ładnie. Ale mierzyn to nie imię, tylko odmiana tatarskich wierzchowców. Znów skrzyp. Przez świdrujący dźwięk przedziera się głos:

– Niech postawi kubeł! I niech wreszcie przestanie kręcić się pod nogami.

– Kazali okłady kłaść, kłade. Czego chcom?

– Żeby usiadła, o tam, i cicho siedziała.



– On ciebie z łowczych obierzy wyzuje / i w zaraźliwym powietrzu ratuje / ... ty jesteś kapłan do końca wieka / wedle obrządku Melchizedeka / – monotennie wywiodła kobieta, nawet niegłośno, ale głucho brzmiąca melodyka i kaleka dykcja przykro drażnią słuch.

– Zamilcz, Babo! Możesz się modlić, ale nie śpiewaj – denerwuje się pierwszy głos.

– Znaczący, psalmów nie pozwalajom. Tak, to tak! Koronkę odmówię. Koronkę można?

– Można. Ale cicho ma być.

– Z godzina minie, zanim zaczniesz kojarzyć. Po coś mu dał tyle na oszołomienie, Mierzyn – ma za złe drugi głos, i on także wydaje mi się znany.

– Damn! Drugie wynika z pierwszego. Czemu łeb onemu rozkwaśił, mógł go życia zbawić. Bardzo jestem nierad z takiej roboty, bardzo – gani poprzedni głos.

– Myślałem, specjalnie stanął, żeby dać dyla w las, proszę Steve'a – tłumaczy Mierzyn.

– Trza było głuszyć lekceją – Steve nie daje się ułagodzić.

O kim oni rozmawiają? Muszę uporządkować wrażenia. Z wysiłkiem zbieram rozsypujące się myśli. Znajomy tembre nazywa się Mierzyn, drugi nie ma miana, jednak też musiałem go już kiedyś słyszeć, tylko nie pamiętam gdzie. Trzeci to Steve. Głos zupełnie obcy, ale skądś znam imię. Dlaczego Steve posługuje się takimi zwrotami jak: onemu, zbawię, w znaczeniu pozbawię, skoro tak powinien mówić ten znajomy, Mierzyn.

Mozolnie wyłuskuję znaczenie słów, układam w zrozumiałym toku. A zatem komuś, kogo należało tylko zamroczyć, Mierzyn rozbił głowę i jeszcze dał coś odu – rza – ją – ce – go. Głoski uderzają w takt wahadła zegara, usiłuję je wyrzucić poza zaciśnięte zęby, które zaczynają się gdzieś w głębi wielkiego bólu.

– Majaczy – zauważa Steve. – Zbudź się, Babo, zmień jemu okład.

– Szczęśliwy prymityw. Robota, modlitwa, jedzenie, sen. Ona nawet nas się nie boi, przerastamy jej wyobrażenia – odzywa się Drugi, towarzyszy mu brzęk szkła, bulgot nalewanego płynu, syk wody z syfonu i coś jak grzechot, i na tym tle ktoś idzie powłócząc nogami.

– Dałby Bóg, aby się pan już przecknął, mecenasie – mamrocze bełkotliwy kobiecy głos.

Na czole leży wilgotny chłód. A ten zajękliwy, pochlipujący głos mówi coś o Bronisławie i o tym, że mecenas Oskierko zna Bronisławę i ludzi w Orylu, i ją, właścicielkę bełkotliwego głosu, i może poświadczyć, że ona jest tu najęta do posług na przychodne.

Przestaje się majaczyć kołysana wiatrem latarnia, a wahadło wielkiego zegara nie rozbija już pojęć na zgłoski. Pod czaszką rozdyma się płonący arbuz, w ustach niesmak i chce się pić, lecz nie stać mnie nawet na tyle energii, aby wyciągnąć rękę.

Mokra świeżość łagodzi pożar mózgu. Okład. Zmieniła go Baba. Nie ma z nimi nic wspólnego, przestraszona; dodaje sobie otuchy powołując się na mnie. Nie wiem, kim jest. Najpewniej którąś z gromady starych kobiet spowinowacanych z Bronisławą.

Przytomnieję.

Otwieram oczy. W głębi głowy mam zardzewiałe zawiasy promieniujące bólem. Widzę salon w domu Uthera. Półmrok rozrzedza tylko jedno źródło światła sączącego się gdzieś z przeciwległego końca pokoju. Leżę w pełnym cieniu na kanapie stojącej naprzeciwko kominka. Ciemnieje czeluść wystygłego paleniska. Kaloryfery też nie grzeją, ale zimno nie doskwiera, okrywa mnie lekki pled, pod palcami wyczuwam puszystość wełny. Moher z mojego samochodu.

– Niech da nowy kompres – dobiega głos Steve'a. Ani jego, ani pozostałych nie ma w moim polu widzenia, natomiast jest Baba.

– Dopiero co położyłam świeży – bełkoce, ale posłusznie podnosi się z fotela. Dźwiga się ciężko i szurając rozdeptanymi kapciami idzie do wiadra stojącego opodal mego leża. Zanurza ścierkę, grzechocze lód i pluska woda. Ręce ma niesamowicie różowe, jak ciała plastikowych lalek straszących po witrynach kiosków, i dopiero gdy splukuje i wyżyma szmatę, rozpoznaję ochronne rękawice, używane do domowych prac.

Sama też wygląda jak kupka gałganów.

Nieduża, przygarbiona, na obszernym kaftanie z długimi rękawami nosi serdak obszyty barankiem, wisi na niej długa, workowata spódnica, ramiona okrywa szydełkowa chusta skrzyżowana na piersi, bezkształtne nogi oblekają grube, czarne pończochy z samodziałowej wełny.

Człapie ku mnie i pochylona kładzie kojący chłód na skronie. Jeden jej policzek rozdyma opuchlizna, nad nim oko patrzy szparką, łzawią obrzmiałe i zaczerwienione spojówki. Żałośnie stroszy się na niej tradycyjny stroik pokojówki: kokieteryjny fartuszek i obszyty koronką koronet zawiązany na szpakowatych włosach zwiniętych na czubku w kukielkę.

Nie znam jej.

Odzywa się telefon. Baba truchta na niewidoczną dla mnie stronę pokoju.

– Witaszkowa, dochodząca... – i zaraz: – Do panów dzwoniom! – starucha wraca na swój posterunek w pobliżu mnie.

– Możesz jechać, Mierzyn – mówi Drugi.

– Sie robi. – Mierzyn idąc do drzwi przechodzi mimo mnie. Średniego wzrostu. Wytarte farmery i bluza. Opięty dzins podkreśla szerokie plecy, umięśnione bary i mocne uda. Łamignat. Twarz osłonięta czarną pończochą z otworami na oczy.

Dokąd posłali tego hoplitę? Ćmiący niepokój o bliskich wybucha dławiającym lękiem. Dość. Nie będę udawał zde-

chłego owada. Podnoszę się i jakbym dostał między oczy, walę się z powrotem na posłanie.

– Jak się pan czuje, mecenasie? – troszczy się Steve. Nie odpowiadam.

Przybliżają się obaj. Nareszcie przestają być wyłącznie głosami. Ci nie mają pończoch naciągniętych na głowę jak Mierzyn, tylko czarne, maskaradowe domina. Arlekiny, psiakrew!

Drugi siada w dużej odległości od mego leża, Steve przystaje wsparty o okap kominka. Z tego punktu widzi drzwi, mnie i Babę człapiącą do wiadra i z powrotem, bo często zmienia mi okłady.

Drugi nosi się w modnym właśnie stylu militarnym. Spodnie wpuszczone w wysokie juchtowe buty i trencz z zielonkawej tkaniny z wielką ilością patek, kieszeni i naszywek. Głowa odkryta, włosy szpakowate.

Steve się wyróżnia. Popielaty stetson zsunięty na tył głowy, a pod zieloną kurtą US-Army widać kusy garnitur w stylu Wielki Gadsby, który na jego atletycznym ciele wygląda jak za ciasny, a botforty z jałowiczej skóry nie pasują do całości.

Właściwie nie jestem pewien, czy on naprawdę nazywa się Steve. Może mi się tylko majaczyło w odurzeniu, że Mierzyn wymienił imię nieodłącznego towarzysza seniora Stunningtona. Reminiscencje z opowiadań Uthera o polszczyźnie Steve'a, snute przez rozkojarzony mózg, pod wpływem mowy tych tutaj gadających kantyczką. Kiedy oprzytomniałem, owo miano nie padło ani razu. Poza Mierzynem, zwracają się do siebie anonimowo, nawet bez przezwisk.

– Przystąpmy do sprawy – żąda Drugi. A jego głos nadal brzmi dla mnie nieobco.

– Nie mam do was żadnej.

– Damn! Atoli my mamy, a pański interes tyż istnieje, chociaż onemu może się wydawać, iż takowego ni ma –

Stetson mówi, jakby wybierał z kaszty archaizmy języka.

Obaj z Mierzynem używają obumarłych wyrażen. Mierzyn wtrącał je podczas drogi, natomiast tutaj, zanim się podniosłem, pewny, że jeszcze nie odbieram bodźców zewnętrznych, wypadł z konwencji i gadał żargonem subkultury plebejskiej.

Może Mierzyn naśladuje Stetsona, który wydaje się tu autorytetem i pewno mu imponuje. A Stetson pochodzi zza oceanu, gdzie kolejne pokolenia dziedziczą gwarę zastygłą jak owad z prehistorii w kropli bursztynu, przekazaną przez chłopskich przodków przybyłych na kontynent w dziewiętnastym wieku, dialekt pomieszany z określeniami zaczerpniętymi z Nowego Testamentu w przekładzie księdza Wujka.

Czy Stetson albo jego kompani, a przynajmniej Drugi, niewątpliwie znacznie inteligentniejszy od Mierzyna, nie zdają sobie sprawy, jak bardzo to kaducze narzecze zwraca uwagę, utrwała w pamięci osobę? A może właśnie zamierzony efekt, przestarzałe formy leksykalne mają służyć anonimowości jak maski na ich twarzach.

– Musimy przejrzeć pańskie mieszkanie. Proszę wywołać żonę albo nas zaawizować. Wybór pozostawiam panu i pięć minut do namysłu – żąda Drugi.

– Czego szukacie, oddam dobrowolnie – nie wiem, co spodziewają się znaleźć. Na warsztacie mam parę spraw arbitrażowych, dochodzenia o sukcesję, zagraniczne spadki oraz prowadzone na zlecenie Uthera poszukiwania. Ale wszystkie akta są w kancelarii, nie w domu. Oczywiście tego im nie mówię. Etyka zawodu zobowiązuje bez względu na okoliczności chronić tajemnice klientów.

– Pańskie biuro już nas nie interesuje – odgadł moje myśli Drugi.

Odruchowo sięgam do kieszeni, portfel jest na swoim miejscu, ale nie czuję znajomego ciężaru mieszka z kluczami. Teraz rozumiem zasłyszana przed chwilą rozmowę

telefoniczną. Zawiadamiano o rezultacie przetrząśnięcia gabinetu na Królewskiej.

– Mamy sposoby także na psa, nawet tak dużego jak pański – dodaje Drugi, po swojemu tłumacząc moje milczenie.

– Jest jeszcze mój syn – mówię, a usta mam jak z drewna.

– Proszę zabrać żonę, a Bejowi nic się nie stanie – Drugi z naciskiem wymawia imię chłopca.

Nie wiedziałem, gdzie jest Bej. Wyszedł z domu po zmroku z całą gromadą młodych ludzi. Teraz Drugi wymienia znany mi adres. Mieszka tam koleżanka syna.

– Niech nie zwłóczy – podsuwa telefon Stetson. Przystaje podpierać kominek, rusza ku mnie i wpada na Babę, która akurat znalazła się na jego drodze. Wytrącone wiadro obija się o nogi Stetsona, toczy po podłodze, woda chlusta na jego cholewy i zalewa dywan.

– Ty Babo, Babo! – wściekle, jak przekleństwo, zmełł to słowo i stanął za moimi plecami. Czuję jego oddech na karku, a chociaż w szyję nie wpija się żaden metaliczny chłód, przecież sytuacja jest jasna. – Przez śtuczek! – powiada.

– Mogę żonę zatrzymać w kancelarii. Poproszę, aby przepisała na maszynie pewien dokument, jeśli oczywiście da się tam cokolwiek odnaleźć po stratowaniu przez waszych Mierzynów.

– Nie pozostawiamy śladów.

– Właśnie widzę! – spoglądam na mokry dywan.

– Wszystko bez tego tłumoka – Stetson wytyka paluchem Babę. – Musi coś późni zaradzić!

– Jachu! – Drugi wybrał numer na tablicy cyfrowej aparatu, zastępującej tarczę. – Mecenas posyła cię po żonę. Odwieziesz mecenasową na Królewską. Pozostawisz jej klucze od gabinetu i materiał do obrobienia. Łączność

w biurze ma nie działać, mecenas uprzedzi żonę o uszkodzeniu linii...

Baba moim kompresem próbuje zlikwidować powódź. Szmata wyżyma nad wiadrem, ściekająca woda bębni o blachę pustego dna.

– Proszę odłożyć ścierkę – interweniuje Drugi przysłaniając słuchawkę i powraca do instruktazu. Baba przedstawia wiadro z przeraźliwym zgrzytem pałaka.

– Cichaj, Babo! – włącza się Stetson i wali pięścią w stół.

Teraz ja wybieram numer telefoniczny swojego domu.

– Taki drogi kobierzec – zajękliwie ubolewa Baba – przemienię na durch, paraturę straci, a ja pracę, i za co mnie taka krzywda – chlipie.

– Nie wytrzymam z tą debilką! – wybucha Stetson. Ciekawe, nie samym księdzem Wujkiem potrafi gadać.

Odzywa się Tyna, pytam o Beja.

– Jeszcze nie wrócił, ale ty przynajmniej mógłbyś.

– Słuchaj mnie uważnie, Krystyna – powtarzam wszystko, co ułożyliśmy z obwiesiami. Ilekroć mówię jej coś bardzo ważnego, mimowiednie używam jej imienia w pełnym brzmieniu, teraz robię to z rozmysłem. W takich razach bez zbędnych pytań robi, o co proszę. Rozumie i szanuje obowiązującą mnie tajemnicę zawodową. Więc i teraz nie dziwi się ani nie złości, chociaż wyrwałem ją z łóżka.

– Z dywanem już można? – odzywa Baba, gdy tylko odłożyłem słuchawkę. – Suchych gałganów trza, aby mokrość wypły – godzi w Stetsona ręką w tej landrynkowej rękawicy. – Niech odkłuczy drzwi, puści do składziku.

Dzwoni telefon. Drugi każe odebrać go Babie. Tak jak i poprzednio starucha przedstawia się i zaraz oddaje słuchawkę Drugiemu.

– Ma pan niezwykłą żonę – chwali Drugi po wysłuchaniu meldunku – jest już w drodze na Królewską i, jak pan kazał, zabrała ze sobą psa.

– Niech idzie ze mną po szmaty na przygórek! – Baba nie daje spokoju facetowi w kowbojskim kapeluszu.

– Może iść sama – przyzwala Stetson. Na mansardę wiodą schody z tego dużego pokoju, w którym się znajdujemy.

– Trza narządzić ogień, niechaj podsuszy – decyduje Stetson. Po obu stronach kominka we wnękach nakrytych okapem, odgradzonych od podłogi kamiennymi progami, piętrzą się brzożowe okrągłaki i sękate polana.

Z góry zstępuje Baba z naręczem białego płótna. Rozpościera szeleszczące, krochmalone prześcieradła, które spijają wilgoć z dywanu. Krząta się, absorbuje Stetsona, który otwiera drzwi i chodzi za nią do gospodarskiej części domu, zniecierpliwiony i wściekły, a Baba jakby umyślnie kręci się tam i sam. Wynosi w skrzypiącym wiadrze nawilgłe prześcieradła, znosi suche, wreszcie taszczy odkurzacz, jeździ nim po dywanie.

Znów telefon.

Stetson konfiskuje warczące urządzenie. Drugi przyjmuje kolejny raport.

– Czekać – przerwał połączenie. – Pójdzie pani na górę spać, pani Witaszkowa. Resztę sami uporzędkujemy – uprzedza jej protest. Stetson pobrzękuje kluczami.

– Niech się rusza – ponagla. Ona z ociąganiem wstępuje na schody. Drugi czeka i odzywa się dopiero, gdy tamten znów staje za moimi plecami.

– Mecenasie, gdzie są dokumenty Orlano Harrocksa?

– Nie wiem, o czym mowa.

– Wybiję ci wszystkie zęby, wszarzu, razem ze sztucznymi, to sobie przypomnisz – wychodzi ze swej poprawnej formy Drugi.

– Nic nie pomoże. Nigdy nie słyszałem o Orlano Harrocksie – mijam się nieco z prawdą.

– Dać mu w oblicze? – głośno namyśla się Stetson.

– Nie narażałbym bezpieczeństwa rodziny – perswadyję spokojnie i chyba moje opanowanie przekonuje bardziej niż argumenty. W każdym razie zachowuję zęby, nie dostaję w oblicze, a Drugi zmienia ton.

– Zna pan Katalonkę Mercedes Amado? – Zaprzeczam.

– A Serbkę Licę Milović albo warszawiankę Felicję Adamiec?

– Żadnej z nich.

– To jedna osoba. Bardzo możliwe, że używa jeszcze innych nazwisk. Naszym zdaniem ona zdeponowała u pana dokumenty Orlano Harrocksa. Widziano, jak dzisiaj wieczorem wchodziła do pańskiego domu. Szczupła, niewysoka dziewczyna, włosy ciemne, krótkie. Oczy brązowe. Ubrana w dżinsowy garnitur.

– Nigdy nie spotkałem takiej osoby – zapewniam. Czyżby właśnie ona telefonowała do mnie? Kim by nie była, te farbowane mafioso z warszawskiego przedmieścia nie dowiedzą się ode mnie niczego.

– Dziś wieczorem jeden z naszych widział ją pod pańską furtką.

– Dlaczego więc jej nie zatrzymał? Nie potrafił poradzić sobie z samotną dziewczyną!

– Miała szczęście. Zdażyła czmychnąć na teren pańskiej posiadłości.

– To bardzo zmienia postać rzeczy. Nasz ogród liczy trzy tysiące metrów, jest gęsto zadrzewiony i obsadzony krzewami. Nietrudno się w nim ukryć.

– Bierzemy pod uwagę taką możliwość.

– Powiedzmy, weszła. Ale przecież także musiała wyjść.

– Znikła. Pan mógł jej ułatwić opuszczenie terenu.

– W jaki sposób, skoro w moim samochodzie czatował Mierzyn.

– Wtedy Mierzyna w wozie jeszcze nie było.

Zapada milczenie. Stetson przegarnia ożogiem głównie na palenisku. Poruszony żar jarzy się czerwienią, biegają po nim drobne jęczyczki ognia, strzelają iskrami i gasną na kamiennych płytach, z których w pobliżu kominka ułożona jest podłoga.

– Co to jest? – nasłuchuje Drugi.

O szyby wciąż tłucze deszcz, podmuchy wiatru przyginają drzewa, z przeciągłym szelestem ocierają się o szyby łapki świerszczyny. W jednakowym, znanym już poszumie ucho łowi coś nowego. Niegłośny, rytmiczny dźwięk. Dopiero przerwa w rozmowie wyodrębniła z monotonnego tła kołatanie szarpanego wiatrem okiennego skrzydła

Stetson wbiega na schody, słysząc jego ciężkie kroki na górnym podeście i nagle owiewa nas silny prąd powietrza, podnosi chmurę popiołu z paleniska. Teraz postukiwanie ramy o ościeżnicę dobiega wyraźniej i znowu podmuch i huk zatrzaśniętych przeciągiem drzwi. U góry pojawia się Stetson, przewieszony przez balustradę woła:

– Baby nie ma! Związała prześcieradła i po nich uciekła! – Znow pod jego butami dudnią stopnie. – Ona mówiła, że ciebie zna! – przypada do mnie wściekły.

– Tutaj jest dużo kobiet, które mnie znają.

– Dlaczego nie powiedziałeś, żeś nigdy nie widział tej staruchy?

– Nikt mnie nie pytał.

– Jeśli mecenas życzysz zdrowia sobie i rodzinie, zapomnij o nas i nikomu nie powiesz.

Wykręcają mi ręce, coś jak pajęczyna opada na moją twarz. Odpływam i staram się bronić przed nicością skupiając myśli, ale pierzchają. Trwa jeszcze ostatnia: Babie nie dali odurzającego środka, myśleli, że nie wydobędzie się z piętra. Niewiarygodne! To jakaś mistyfikacja...

Przez wiele warstw przesącza się dwugłos. Najpierw jest tylko szmerem, potem dźwiękiem, powoli przeistacza się w oddzielne zgłoski, aż składa w zrozumiałe słowa.

– Wstanie, to powiem, budzić nie będę – gniewa się ściszony kobiecy głos.

– Za brytana Witaszkowa jesteście! – parska mężczyzna.

Witaszkowa! Wywołuję z pamięci obraz Baby z opuchniętym policzkiem i zaczerwienionymi oczyma, kiedy szurając kapciami idzie do telefonu i bełkoce w słuchawkę swoje nazwisko. Ta, którą teraz mężczyzna nazwał brytanem, mówi dźwięcznym, wyraźnym głosem. Nawiązuje się ostatnia zerwana myśl: w jaki sposób stara kobieta zdołała wydostać się z poddasza po związanych prześcieradłach, mając zniedołężniałe nogi i ręce o zeszywniałych stawach.

Stop! Nie widziałem jej rąk. Okrywały je, ukrywały rękawice z różowego tworzywa. Ale dlaczego ukrywały?

– Nie będziecie się tam pchać. Człowiek niezdrów, musi wypocząć – mówi kobieta.

– Jak Boga kocham, spił się mecenas! – cieszy się znajomy męski głos. – Ludzka rzecz, a z kim się udziurgał, czy nie z jednym profesorem z kolonii?

– Bej ojca budzić zakazał – jeszcze jeden argument wytacza kobieta.

Iskrą elektryczną przebiega przez mój otępiały mózg imię syna.

– Pani Witaszkowa! – wołam, mój własny głos rozłupuje mi głowę.

– Dobry dzień, mecenasie. – Pierwszy wchodzi sołtys, za nim Witaszkowa.

– Bej raniutko przyjechał i nie pozwolił niepokoić, póki pan sam nie wstanie – powtarza kobieta. Nie wiem, czy to ranek, czy zmierzch, za oknami szaro i nadal pada deszcz, a mój zegarek stoi.

Witaszkowa przysiada naprzeciw mnie, szczupła, nie-

duża, w obszernym kaftanie i podniszczonym serdaku obszytym barankiem, przez pierś przewiązana szydełkową chustą, nogi ma obleczone ręcznie dzianymi pończochami z samodziałowej wełny, przypominającymi polarne unty. Nad twarzą drobną i suchą szpakowate włosy ulizane ku górze i ciasno upięte w kukiełkę.

Witaszkowa! A rozdęty opuchlizną policzek, szparka zapłnionego obrzękiem oka, czerwone powieki i bełkotliwa mowa nocnej wiedźmy – to wytwór narkotycznego snu?

– Pani zna mojego syna?

– No jakże, znam! Pana też, mecenasie. Ja jestem wujeczna Bronki Brykałowej, Maryjanna Witaszkowa, tutejsza gospodyni, a Bej list zostawił – z kieszeni workowatej spódnicy wyciąga kartkę.

Poznaję pismo Beja.

„Ojciec! Mam dzisiaj rozprawę, powinna skończyć się około czwartej. Przyjadę po ciebie na pewno. Więc nic nie organizuj na własną rękę. Nie niepokój mamy, śpi. Masz u niej kiepskie notowania. Ale się nie martw, coś wymyślimy. Odpocznij i wywietrz z koniakalnych woni”.

Witaszkowa zachowuje się tak, jakby w nocy nic jej się nie przydarzyło. Inaczej przecież zawiadomiłaby posterunek z Izbicy i teraz byłaby tu milicja, a nie sołtys. Lecz nie chcę przy nim wypytywać.

– Bej telefonował, zanim tu przyjechał?

– Przybył bez zapowiedzi. Kazał dać pościel. Zniosłam kołdre z gościnnego – objaśnia Witaszkowa pochodzenie piernatu, spod którego się wygrzebałem.

– Co było dalej?

– A co miało być! Okrył pana, otworzył okna, zakazał je zamykać i pana budzić. Wsiadł w samochód i odjechał – mówi niechętnie. Jest wyraźnie niezadowolona, że zmuszam ją do ujawniania szczegółów związanych z moim

nieprzystojnym stanem w obecności sołtysa. Nie znam jej, ale skoro jest spokrewniona z Bronisławą, uważa mnie za przynależnego do klanu i dba o moją reputację.

– Która godzina? – chcę się wreszcie wydobyć z czasowego meandru.

– Minęło południe – rozpogadza się Witaszkowa. – Bojler ugrzany, może pan, panie mecenasie, wannę brać.

– Niech pan weźmie, ja poczekam – zachęca Miśkowiak. Zbieram siły i na miękkich nogach człapię do łazienki. Miśkowiak odprowadza mnie wyrozumiałym spojrzeniem.

– Niech pan po myciu jaki chałat odzieje, wiszą różne w kąpielowym, a ubranie tam zostawi, to wyczyszczę pulower i uprasuję spodnie! – woła za mną Witaszkowa. Coś mi się wydaje, że obrzygałem golf. Mnożą się dowody odrażającego upilstwa.

Kiedy przymierzam się do golenia, straszy z lustra własne odbicie. Zielonkawa, zmięta gęba, pokryta niechlujną siwawą szczecina, wory pod mętnymi oczkami, a w nich jakby plugawy wyraz. Przestaje dziwić domysłność innych, sam zaczynam wierzyć, że zamroczony schlałem się na dodatek jak świnia, co mam wytrawione na tym bezwstydnym pysku.

Gorący i zimny prysznic przywracają nieco pewności siebie. A po powrocie do pokoju krzepi widok płonących na kominie drew i nakryty stolik. Marynowany okoń, wiejska kiełbasa, nie wędzona, tylko skruszała od ziół i soli i wysuszona w przewiewie. Rarytas. Grzybki w occie, kiszzone ogórki, na podgrzanej płytce w rondlu pod pokrywą pływają we wrzątku parówki. Hm, nie czuję niechęci do jedzenia.

Witaszkowa rozstawia talerze.

Spoglądam na jej ręce oplecione niebieskimi żyłami. Skóra na nadgarstkach ciemna, palce sękaty. Pytam, czy używa rękawic ochronnych.

– Nie nawykłam. Uther też namawiał, a Kazimiera, jego poprzednia gospodyni, bez to uciekła. Ona tak samo od Brykałów.

– Jak ja bym niewiastę na takie miejsce rekomendował, to musowo na poziomie, jak księża gospodyni, a nie taką ciemnotę reliktową – mówi z goryczą Miśkowiak. – Tylko wstyd przed światem, chociaż Amerykan niby tutejszy, przecież zagraniczny!

Miażdżąca opinia skierowana jest do mnie, bo to ja prosiłem Bronisławę, aby wyszukała młodemu Stunningtonowi gospodynię schludną, godną zaufania i umiarkowaną w chciwości. A sołtys ma żal, że nie jego upoważniłem do zawiadywania intratą, do której klan Brykałów już nie dopuści nikogo obcego.

– Na Brykałach języka se nie wecujcie, Miśkowiak, lepiej popijcie kwasu – Witaszkowa podsuwa dzbanek i śpieszy do kuchni.

– O wy, co nazajutrz na kwaśno lubicie! – wchodzę w rolę wytrzeźwiałego opoja. Z dwojga złego jest lepsza niż ta, do której zmuszono mnie przemocą i szantażem.

Nalewam do szklanek napój o mocnym aromacie. Zmieszany sok z kiszzonej kapusty, czarnej rzodkwi i ogórczanek, doprawiony ząbkiem rozartego czosnku i gęstą śmietaną. W Orylu patentowany środek na najteższy pochmiel.

– Na czczo to zajzajer, panie mecenasie – przestrzega Miśkowiak. – Nam trzeba najsamprzód klina, bo ja też jestem mocno wczorajszy.

– Proszę, niech pan coś wybierze w kufrze – wskazuję rzeźbioną skrzynię pod ścianą, gdzie Uther trzyma alkohole.

– Żyta się napijemy, panie mecenasie. Żyto najzdrowsze!

– Żyto karmi, żyto poi – utwierdzam go w wyborze.

– A mnie się flaszka od pana należy i tysiąc złotych. Pana blaszankę w przydrożnych krzakach naszłem, przy-

ciągłem, narządziłem i właśnie przywiodłem, a ta zgaga olaboga wyczyniała, żebym do pana nie wchodził. No to opijemy to zdarzenie!

Sołtys z Oryła nie ma żadnej z cnót opiewanych przez literaturę jako wrodzone i dziedziczne cnoty ludu polskiego. O bezinteresowności nie ma co wspominać, jego uczynność, gościnność i wszystko, co czyni, jest skażone biznesem. On w ogóle nie pije, tylko opija, on nawet zakąsza w imię czegoś, a nie tak sobie.

Przekrawa marynowanego grzybka, nadziewa na widelec razem z krążkiem kiełbasy i kiszzonego ogórka. Tak przygotowane kładzie na talerzyku. Jest to wytworne przypomnienie, że powinienem znowu nalać wódki. Ale zanim zdążyliśmy osuszyć butelkę, przybiegła ośmioletnia córka Miśkowiaka przysłana przez matkę.

– Prezes Geesu na tatę czeka! – zawiadomiła i sołtys pośpiesznie się zabrał, niewykluczone, że na następne opijanie.

– Pijawka! Już myślałam, przyssie się na amen – podsumowała Miśkowiaka Witaszkowa. Z rękoma splecionymi na podołku asystuje, gdy sprawdzam mechaniczną sekretarkę. Nie ma żadnej interesującej mnie rozmowy.

– Pani Witaszkowa, a teraz proszę powiedzieć, co nabroiliśmy!

– Eee, nic takiego, nie ma o czym gadać ani się trapić.

– Jednak chcę wiedzieć.

– Pare stłuczek, rozlana wódka, pańskie odzienie nasiąkłe kuniakiem, zamoczony dywan, a na przygórku w gościnnym powiązane prześcieradła. Drugi kłęb pościelowego zawilgocony w kuchni. Nie ma się czym przejmować, panie mecenasie, takie jedne goście Uthera, jak się popijom, to som gorzej szkudne, bo on sam bardzo dobry chłopiec.

– I u takiego dobrego chłopca Kazimiera porzuciła pracę?

– Nieświatowa ona, ale nie będzie nią sobie Miśkowiak gęby wycierał. Zawiści nam miejsca, sromotnik bezwstydnym. A z Kazią było tak: Uther kazał do siebie „ty” mówić, pilnował, a naprzykrzał, aby ręce osłaniała, jedzenie sam sobie na pokoje podawał, bywało, sam kucharzył i statki zmywał. Myślała, że się jej brzydzi, tylko tak zagaduje dbałością o godność człowieczą. Ja rękawic nie kładę, bo nie nawykłam, tykam go, a od saganów pędzę i żyje nam się dobrze.

– Pani tu dzisiaj nie nocowała?

– Gdzieżby, panie mecenasie – skubie brzeg fartucha. – Przecież wyraźnie miałam zapowiedziane, żeby nie przychodzić, aż rano.

– Kto tak rozporządził?

– Kto! Ta pani, Italianka, co ją pan mecenas tutaj na zanocowanie przysłał – Witaszkowa skromnie opuszcza oczy.

Pod oknem rozlega się basowe poszczekiwanie, co przyprowadza o szaleństwo Sawę, wilczycę Uthera. Odpowiada przeraźliwym ujadaniem, miota się, szczerzy w pokazowej wściekłości. Bas wtóruje jej gorliwie, jakby dudnił tam-tam.

– Spokój – uciszam sukę. Milknie, łypiąc na mnie posmutniałymi oczyma. Może wstydy się za wpuszczenie wczorajszych intruzów. Przypominam sobie jej głos na podwórku. Musiała być uwiązana.

– Nasz Burek ze starym idom – wydreptuje z pokoju Witaszkowa. Słysząc otwieranie drzwi i ściszony głos kobiety, potupywanie i krótkie skomlać powarkiwanie psa pozostawionego na dworze.

– Niech będzie pochwalony... – wchodzi stary mężczyzna. Przepasany ściemniałym rzemieniem, trzyma się prosto, w rękę dzierży sękatą lagę z jałowca, wypolerowaną od dotyku dłoni.

Wit Brykała. Dla odróżnienia od licznych mężczyzn



rozgałęzionej rodziny nazywany Witaszkiem. Nie skojarzyłem sobie z nim nowej gospodyni Uthera, chociaż w Orylu zameżne kobiety starszego pokolenia nazywane są od imienia swojego mężczyzny.

Witaszka znam najlepiej z kompanii Brykałów. Najbiedniejszy. Wszystkie jego dzieci osiadły po miastach, więc gdy dobiegł lat, niewiele posiadanej ziemi oddał za rentę, toteż i rentę otrzymał niewielką.

Kiedy na kolonii profesorskiej zaczęły szerzyć się wandalizmy, wspólnota opodatkowała się po dwieście złotych miesięcznie od działki za dozór. A mnie poproszono o zaangażowanie dwóch ludzi, aby mogli czuwać na zmianę.

W Orylu zawrzało. Zajęcie było atrakcyjne, przypadało po trzy tysiące złotych na jednego, żaden z rencistów nie otrzymywał tak wysokiej emerytury, chociaż w owym czasie była to suma na pograniczu minimum socjalnego.

Jednym ze stróżów został Witaszek i mimo zawiści większość uznała mój wybór za bezstronny. Wita ceniono za rzetelność, miał najniższy dochód i spotkało go nie szczęście. Najstarszy syn, zawodowy kierowca, po pijanemu prowadząc wóz zabił człowieka. Dostał dwanaście lat. Pozostała nie pracująca żona z czworgiem małych dzieci. Wit oddawał synowej i wnukom większość swej skromnej renty, zawoził króliki i jaja. Piszcziała bieda tam i u Witaszków. Teraz kobiecie syna przekazywał cały zarobek za dozorowanie.

– Pan Nowak przyjechał po samochód, panie mecenasie

– Witaszek przedstawił faceta niskiego i składającego się z dwóch okrągłości.

– Po jaki samochód? – Nie rozumiałem. Czyżby i oni chcieli reperować moją blaszankę, naprawioną już przez Miśkowiaka.

– Tej pani, co... – zacina się Witaszek. – Italianki, co u nas wczoraj fiata zostawiła.

– Nie tej pani, tylko mój. Pojazd podgrandziła i jeszcze pani! – denerwuje się pan Nowak.

– Ano tak wygląda – przyznaje zafrasowany Witaszek.

– Książka wozu, rejestracja, dokumenty pana Nowaka, wszystko pasuje do auta, co w naszej szopie pod kluczem stoi.

Dopiero dociera do mnie powód ich zażenowania. Oczywiście oboje Witaszkowie są pewni, że łajdaczyłem się z tom paniom do białego dnia, spiłem jak nieboskie stworzenie, narobiłem nieporządków i obrzygałem kanapę, na domiar wszystkiego ta pani przyjechała tu kradzionym fiatem.

Jego właściciel ma zakład krawiecki: „Modny Krój”, na Żoły, następnej ulicy za ulicą Rajskich Ptaków, przy której stoi mój dom. „Modny Krój” mieszka na drugim krańcu miasta, jeśli ma dużo roboty, nie traci czasu na dojazdu i śpi w warsztacie, gdzie też spędził ubiegłą noc, a wóz jak zwykle parkował obok na nie zabudowanej parceli.

– O piątej rano obudził mnie telefon – mówi – zagadała babka, a głos miała jak gołębica Picassa, Vigiella Mellogina jestem, powiada, i przyjechałam z Mediolanu śpiewać u was. Wczoraj w pilnej potrzebie pożyczyłam pański pojazd, ale nie mogłam odprowadzić na miejsce, bo skończyła się benzyna i musiałam go pozostawić. Jest pod opieką państwa Witaszków we wsi Oryl numer domu dziesięć.

– Nie zawiadomił pan milicji?

– Nie. Zanim zadzwoniła, nie wiedziałem o zginięciu auta. Spałem jeszcze. Później elegancko mnie przeprosiła, a na progu pracowni znalazłem butelkę szkockiej, camele i widokówkę z podziękowaniem. Ekscentryczna kobietka!

Ekscentryczna – przyznaję i myślę o młodej osobie, raz Katalonce Mercedes Amado, innym razem Serbce Licy

Milović, jeszcze innym warszawiance Felicji Adamiec, ściganej przez ludzi Stetsona aż po próg mojej furtki, dziewczynie, która w kolejnym wcieleniu prawdopodobnie nazywa się Vigiella Mellogina. Co za imię, brzmi jak żart!

Aby z mojego ogrodu przedostać się na ulicę Żołny, wystarczy sforsować parkan, za nim leży nie zabudowany, nie ogrodzony i zarośnięty plac, gdzie szef firmy „Modny Krój” zwykł parkować samochód.

Kimkolwiek ona jest, uciekając przed farbowanymi mafioso Stetsona nie zastanawiała się, czy w napotkanym wozie jest dość paliwa. Gdyby nie to, fiat powróciłby na swoje miejsce, zanim szef pracowni „Modny Krój” odkryłby jego brak. Daję mu kanister z benzyną z mojej blaszanki i pozbywam się ich wraz z Witaszkiem.

– Co Włoszka mówiła? Proszę wszystko, po kolei – biorę w obroty gospodynię Uthera.

– Italianka jestem, mecenas mnie przysłał na kwatere, bo w warszawskich ścisk.

– O której tu przyjechała?

– Dobrze po zachodzie, już ściemniało. Ale ona najpierw do nas na wieś przybyła – unikając mego spojrzenia wyjaśnia bez przekonania Witaszkowa, pewna, że całą mowę trzymam dla ratowania pozorów. Stary hipokryta, w wiadomym celu sprowadził kobietę, natłukł szkła, zaświnił dywan i sam się zalał w trupa, a teraz udaje Greka.

– Akurat mój powieczerał i do obowiązków wychodził, jak na podwórko wtoczyło się auto. Ona wysiadła, do psa zagadała z cudzoziemską, a stworzenie z miejsca zaczęło się łaścić! Dziw! Burek przyuczony obcym nie ufać, a i karmiony dobrze, bo z morzonego głodem żaden obrońca, za kawałek chleba o dozorowaniu zapomni.

Do mnie mówiła: pani Witaszkowa, chociaż się jej nie rekomendowałam, widać wiadome jej moje zawołanie. Wóz, powiada, u was pozostawię, bo bak pusty, ale w szo-

pie schowajcie, nikt nie musi wiedzieć, że nocuję u Amerykana.

Wieś, powiada, plotki lubi, a kolonia intelektów nie lepsza. Ludzie takie som, uczony czy alfabet, ciekawość jednaką do drugich żywią, a osobliwie, co w nocy robiom, no to nie trza, żeby mecenas obnosili.

– Powiedziała, że ja się z nią tutaj umówiłem?

– A niech Bóg broni, nie! – zatrzepotała rękoma Witaszkowa. – Tylko powiada, mecenas w Orylu i na okolice figura znana, a ona, znaczy, Italianka, sławna jest. Te tam publikatory jakby się zwiedziały, zaraz by redaktorów najechało, bo łase na artystów jak kot na śmietanę, i od razu by po gazetach obnieśli. A wyglądałoby nieobyczajnie, bo gospodarz na wyjezdny, a domem rozporządza jego adwokat, meszczyzna przystojny i niestary.

– Hm, tak mówiła! – mimo woli przejechałem palcami po głowie, włosy mam gęste, sylwetkę prostą i umięśnioną dzięki wioślarstwu i pracy w ogrodzie, a gimnastyką utrzymuję w ryzach mój felerny dysk. I proszę, jeszcze się podobam kobietom. Poważnie się zastanawiam, gdzie mnie mogła widzieć intrygująca Vigiella, i wcale nie wydaję się sobie śmieszny.

– Tak powiedziała. Mecenas przystojny i niestary. Zaś z jego poręki zjeżdża na noc kobieta samotna i sławna, zaraz by ludzie wzięli na języki.

– Jak wyglądała kobieta samotna i sławna?

Witaszkowa naturalnie wie swoje. Naznaczyłem sobie spotkanie z tom paniom, a teraz wypieram się bezwstydnie w żywe oczy nawet znajomości. Ot, wybiegi chłopca, co nabroił, wstydzi się ludzi i boi żony. Ale honoruje reguły gry i odpowiada na pytanie.

Jednak nie mówi o szczupłej dziewczynie w dżinsowym ubranku z krótkimi włosami i brązowymi oczyma, o której słyszałem od farbowanych mafioso, tylko opisuje zupełnie inną osobę: jasne włosy do ramion, niebieskie oczy, nie-

przemakalna kurtka koloru kawy z mlekiem, czarne aksamitne spodnie i lakierowane buty sięgające połowy uda.

A kim jest Baba z kaleką wymową, opuchniętym policzkiem, o oczach jak bławat i czerwonych, obrzękłych powiekach? Kolejną postacią tej samej osoby, możliwa jest aż taka przemiana?

Ale widać nie sposób skutecznie przeobrazić młodych rąk w starcze, węzłaste, zniszczone pracą i wiekiem i dlatego ukrywała je w ochronnych rękawicach.

A ciągle plątanie się pod nogami? Wiadro z przeraźliwie zgrzytającym pałakiem postawione, podstawione pod nogi Stetsona. Przyzwyczajala czujących się pewnie mężczyzn do swojego dreptania na górę, zwłóczyła prześcierała do osuszenia dywanu przygotowując ucieczkę z piętra, co stanowiło jedyne wyjście z gry, która w razie zdemaskowania mogła się dla niej skończyć ponuro. Pomijając wszystko inne wystarczyłoby powiedzieć, że jej nie znam. Ona jednak postawiła na moją lojalność, człowieka podobnie zagrożonego.

– Ta pani miała klucze od domu Uthera?

– Nie wiem. Nie mówiła. Wpuściłam ją swoimi, ale nie zostawiłam. Podziękowała za przyprowadzenie, papierkowego dolara za fatygę dała i prosiła nie przychodzić, dopiero dzisiaj około ósmej. I tak ja zrobiłam.

– Zależy mi na sekrecie, pani Witaszkowa – w niczym już nie narażam swojej zaszarganej opinii. A z wyjaśnieniem sprawy muszę poczekać do czasu porozumienia się ze Stunningtonem.

– My za pana krzywoprzysięgać gotowe za dobro, co nam pan wyświadczył, a cóż dopiero język za zębami trzymać.

Po południu przyjeżdża Bej.

– Jeszcze używany, ale już w pozycji pionowej – wita mnie syn.

– Jak mnie znalazłeś?

– Byłeś zabalsamowany na mumię faraona.

– Jak mnie tu znalazłeś? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– W nocy telefonowałeś do matki z miasta i zadałeś jej kretyńską robotę. Pamiętasz? – bada moje inteligentne dziecko, jednoznacznie oceniając sytuację. Gdyby od maledkości widywał naprawdę zalanego tatę, teraz nie popętniałby krzywdzącej omyłki.

– Nie piłem wódki.

– Tylko nie wmawiaj tego matce. Schlałeś się w niedyskretnym towarzystwie. Tak, tak! Nie patrz na mnie okiem dręczzonego królika. Telefonowano nad ranem do starej, że jesteś do odebrania loco chata Uthera.

– Vigiella Mellogina?

– Ooo, były i szansonety? Do dziewczyn możesz się nie przyznawać, donos złożył mężczyzna, o paniach nie wspominał.

– I mówił, że jestem pijany?

– Mówił. Zalałeś się i śpisz, nie budzić wcześniej niż koło południa. A podniósł rodzinę o piątej rano, aby się o tatę nie niepokojono.

10

Szerokie ramiona zdawały się rozpychać marynarkę w stylu Wielki Gadsby, gruby węzeł krawata miał rozluźniony i rozpięty pod szyją guzik koszuli w gołębicim kolorze.

Chociaż dni późnego sierpnia stygły w zimne wieczory, on się pocił. Gniótł w rękach popielatego stetsona, którego wchodząc ściągnął z głowy. Patrzył mi w oczy oczyma jasnymi niczym woda z wyrazem twarzy zmartwionego psa. Gadał skansenem.

– Pon proszom, aby mecenas przybył zaś duchem do Oryla.

– A kim ty jesteś? – od razu się domyśliłem, słyszałem o nim, a i spotkaliśmy się, jak myślałem, nie tak znów dawno, chociaż on zachowywał się, jakby mnie nigdy nie widział.

Śmiał przyjść do mojego domu, pewien bezkarności. I żadnego skrepowania, nawet nie odwrócił wzroku. Chętnie wziąłbym go za kark, za ten modny kusy garniturek, w czym wyglądał jak wyrosnięty z ubranka stary chłopiec, i wyrzucił za drzwi.

Ale on wyglądał na bardzo silnego starego chłopca, podejrzewałem, że jeśli coś mu się nie spodoba, z tym samym pocziwym wyrazem połamie mi kości i nawet się nie zdenerwuje.

Byłem w domu sam.

To tylko najemnik. Wykonawca. Mieć do niego pretensje, to mieć je do żywiołu, który nie jest ani dobry, ani zły, ani mądry, ani głupi – podpierałem urażoną godność.

– Steve – przedstawił się. – Jam sługa pona starszego.

– Ale ja jego sługą nie jestem.

– Lepiej iść, bo pon bydzie nierad – znowu gniótł ten swój szerokoskrzydły kapelusz, pocił się coraz bardziej, miał minę, jakby go bolały wszystkie zęby, i nie przyjmował do wiadomości mojej odmowy.

– Wracaj. Zadzwoń do Oryla.

– Pon przykazowali onego przywieźć. Jego wola kazać, moja słuchać.

– Wtedy także pon polecił sprowadzić mnie pod pistoletem!

– I do not know at all! – wspomógł się angielskim, brakowało mu słów. – Ja was nigdy nie widział, dopiru tutaj.

Milczałem niezadowolony z siebie. Po co w ogóle przypominałem tamto zdarzenie. Przecież nie oczekiwałem, że on się przyzna do czegoś, czemu kategorycznie zaprzeczył jego szef.

– Powiedziałem: zatelefonuję.

Przestąpił z nogi na nogę, energicznie potarł stetosona. Z jego grubo ciosanym ciałem kontrastowały ręce, szczupłe, długopalce. Ze zmarszczonym czołem zbierał w myśli skąpą polszczynę, nie zachęcałem go do porozumiewania w angielskim.

– Pon je ranion, trza go ratować.

– Jedziemy.

Wybiegł przede mną, po drodze wcisnął na głowę owo kowbojskie nakrycie. Podążyłem za nim. Kiedy wsiadałem, już niecierpliwie mrucał motor w samochodzie, a on trzymał ręce na kierownicy. Poznałem Morrisa Uthera. Zawracając omiótł światłami kończąca się tu uliczkę, ścianę lasu graniczącego z moim domem, na pełnym gazie śmignął Puławską i pognął jednokierunkowym pasem niedawno poszerzonej jezdni.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu, co się stało. Szef ciężko ranny?

– Lekce. A mowa jest srybro, a niemowa... gold – zamruczał.

– Wezwałeś lekarza, milicję?

– Pon wszystko urządzi – wydukał. Pytia.

Przeszedłem na angielski. Z objaśnień, jakimi wspierał lapidarne polskie zwroty, dało się zauważyć, że wypowiada się w tym języku swobodnie, jak człowiek z pewną ogładą. Ale on uparcie milczał.

Posiadłość Stunningtona okrywała noc. Ciemności panowały egipskie. Na nasze spotkanie nie rozbłysła ani jedna z lamp zapalanych tu fotokomórką.

– Wyłączyli automat – powiedział Steve i zniknął w mroku. Po dobrej chwili zapaliły się żarówki nad wjazdem do umieszczonego pod ziemią garażu. Powrócił Steve.

– OK, śpieszmy.

W głębi majaczył uskok spadzistego dachu. Do domu na skarpie nie było podjazdu, w górę pięła się tylko wąska

ścieżka ginąca pośród jałowców, znacznie przewyższających wzrost człowieka. Gdy na nią weszliśmy, rozwidniła się latarniami.

Steve nagle silnie pociągnął mnie za ramię, skręciliśmy w gęstwą krzewów, zgasł różaniec prowadzących nas światła, ale zaraz przedarliśmy się z ołomy w krąg przydomowych kandelabrow. I tam zobaczyłem, dlaczego wykonaliśmy okrężny manewr.

W poprzek dróżki, tuż przed wejściem do budynku, leżał zabity człowiek. Stopami niemal dotykał kamiennego stopnia przedproża, głowę miał niżej i już w cieniu.

– Dlaczego o tym nie uprzedziłeś?

Zamruczał niezrozumiale i bezceremonialnie pociągnął mnie ku drzwiom. Zamknął je za nami dokładnie.

W dużym pokoju na parterze, w czerwonym półmroku żarzących się na kominku głowni, odwrócony do nas plecami spoczywał w fotelu bezwładny mężczyzna. Ramię z oderwanym rękawem koszuli spowijała biała gaza z jaskrawą plamą krwi. Zza wysokiego oparcia widać było czubek głowy przechylonej na bok i zwieszoną rękę z zacisniętą pięścią, dosięgającą dywanu. Na podłodze u jego stóp poniewierał się strącony aparat telefoniczny.

– Jak się pan czuje?

– Like a prisoner or like an animal – jak więzień albo zwierzę – wychrypiał.

– Pogotowie – rzuciłem się do przewróconego telefonu. Tablicę wybiórczą miał rozbitą. Nie działał.

– It is pointless – to nie ma sensu – skwitował moje usiłowania ledwo dosłyszalnym szeptem i nie dowiedziałem się, czy miał na myśli zepsute urządzenie, czy interwencję lekarską.

– Why not – dlaczego nie?! – przypadł do niego Steve. Zabrzmiało to jak błaganie, jak zaklęcie.

– Mister Oskierko... – głos mu się załamał i zamarł. Tracąc przytomność, ruchem, w którym zebrał uciekające

siły, upuścił mi pod nogi kluczyk dotychczas trzymany w tej kurczowo zaciśniętej dłoni.

– Ja po doctora – wybiegł z pokoju Steve. Nie do wiary, po jego twarzy toczyły się grube łzy.

Byłby to ten sam człowiek, który zaledwie przed kilkoma dniami, niezadowolony z moich odpowiedzi, radził się kamrata, czy ma mi dać w oblicze, i owo pytanie nie zawierało złości ani żadnej osobistej barwy, tylko zwyczajny namysł sumiennego rzemieślnika, szukającego sposobu na uzyskanie pożądanego wyniku?

Gdy mnie pod przymusem sprowadzili do Oryla, na głowie miał także popielatego stetsona, zsuwał go z czoła gestem podobnym, a pod zieloną wojskową kurtką US-Army, pełną patek, suwaków i sprzączek, nosił również kusy garniturek w stylu bohatera powieści Fitzgeralda. Mówił skansenem. Tylko twarz ukrywał pod karnawałowym dominem.

Dotychczas nigdy nie widziałem Steve'a, zaufanego człowieka seniora Stunningtona, jednak słyszałem wystarczająco dużo, żeby zwrócić uwagę na pewne właściwe mu cechy. Przy różnych okazjach wspominał go Uther, a także Bej. I chociaż mój syn zetknął się z nim jedyny raz, zapadł w pamięci mężczyzna w teksaskim kapeluszu gadający kantyczką.

– Steve nie mógł być jednocześnie w Orylu i ze mną w Kalifornii, to jest fakt. Sprawdzalny. Napad na pana jest prowokacją wymierzoną przeciwko mnie – stwierdził senior Stunnington po wysłuchaniu o wydarzeniach w Orylu, kiedy stawił się u mnie wieczorem, po trzech dniach od wywołania go przez anonimową kobietę, w czym pośredniczyłem. Lecz słowem nie wspomniał o przyczynie śpiesznego przyjazdu, ani razu nie wymienił nazwiska Orlano Harrocksa. Ja nie zadawałem pytań, nie miałem żadnego tytułu wnikać w jego sprawy.

– Powiadomił pan policję? – Spojrzał na mnie zmar-

cwionymi oczyma Uthera, wydało mi się, że do tej pory nie brał pod uwagę dalszych konsekwencji wypadków w Orylu.

– Nie. Decyzję pozostawiłem panu.

– Dziękuję. Bardzo mi zależy na dyskrecji i niemieszaniu policji do moich rodzinnych sporów. Jestem panu zobowiązany i gotów udzielić każdej rekompensaty, tylko proszę mi zaufać i okazać trochę cierpliwości. Sprawa jest poważna, chodzi o roszczenia majątkowe od dawna wysuwane przez moją separowaną żonę. Zaczęła stosować chwytaki poniżej pasa. Potrzebuję kilku dni, a wszystko wyjaśnię, jestem to panu dłużny.

Milczałem.

Nie wierzyłem mu. Nie wierzyłem, aby jego żona, która nigdy mnie nie widziała, która nawet udaremniła nieliczne moje próby skomunikowania się z nią telefonicznie, właśnie na mnie nasłała gangstera upodobnionego do zaufanego człowieka jej męża. W pewnym sensie miałem rację. Celem był ktoś inny, ja tylko znalazłem się na drodze. Ale wtedy o tym nie wiedziałem.

– Niebawem odezwę się do pana – zapewnił. Odszedł przygnębiony, niespokojny, wyraźnie spięty. Śpieszył na powrotny samolot. Tak twierdził.

I oto dotrzymał słowa.

– Syrcie mu penkło – zapłakał Steve, gdy lekarze na próżno stosowali całą swoją sztukę.

Pękło. Prawie dosłownie. W przeciągu paru godzin poraziły go dwa ataki. Zniósł jeden ciężki zawał, drugiego nie przetrzymał. Kiedy wysłał po mnie Steve'a, musiał czuć się już bardzo źle.

– I am fine, it is nothing – nic mi nie jest, czuję się świetnie – zapewnił. Rana rzeczywiście była powierzchowna i Steve nie zorientował się w ostatnim niebezpieczeństwie grożącym szefowi.

Zresztą przywykł bez zwłoki spełniać każde polecenie

i nie proszony nie udzielał rad, więc i tym razem pojechał po adwokata, skoro szef żądał prawnika, a nie lekarza.

– To je do tego klucza – powiedział Steve podając stalową kasetę pokrytą krokodylową skórą. Wyglądała jak neseser na przybory toaletowe.

„Mr Oskierko, jeśli nie przeżyję...” – na samym wierzchu kartka wydarta z notesu, nonszalancki świstek jak zlecenie dla urzędnika, którego ma się pod ręką. Rozchwiane litery, dzisiejsza data i godzina. Pewno nakreślił to po wysłaniu po mnie Steve'a.

– Od dawna tu jesteście? – najmniej spodziewałem się spotkać z seniorem, a już wcale wyznaczenia wykonawcą jego ostatniej woli, którą podkreślił rzucając mi pod nogi ten klucz.

– Bydzie jeden z tydzień – wymruczał w swoim kaduczym narzeczu. A więc Stunnington kłamał, wówczas nie jechał na lotnisko, tylko do Oryla.

– Co tu się wydarzyło, Steve?

– Paniątko zamiarowali ubić.

– Gdzie jest Uther?

– Je doma.

– Steve, nie zasłaniaj się gwarą, mów po angielsku. Gdzie, w jakim domu, na Stegnach czy w Kalifornii?

Nie widywałem ostatnio młodego Stunningtona i specjalnie nie zastanawiałem się, dlaczego od tak dawna do nas nie zajrzał. Zbyt zajmowały mnie sprawy zawodowe, zawsze spiętrzone po wakacyjnej przerwie.

– Zadekował się z dziewczyną – uznał Bej po próbach skomunikowania się. Beja splanowała nieznajoma kobieta i nawet nie siliła się specjalnie na tłumaczenie, dlaczego Uther nie podchodzi do aparatu. Nie ma czasu dla znajomych.

– Kto przyjmował telefony, Steve?

– Panna. I jak kto był mniej znany Utherowi, włączał się szef i udawał syna. Bardziej znanych ona odprawiała.

– Gdzie jest panna?

– Nie musisz o niej wiedzieć, a chłopca szef zatrzymał w Stanach, bo zrozumiał, że jego żona oszalała. Odkąd straciła syna, pogrążyła się w chorobie, aż prześladowająca ją myśl przekształciła się w kategoriyczny nakaz, aby wziąć głowę za głowę. Ojciec dostrzegł niebezpieczeństwo wtedy, gdy wszystko się już toczyło. Nie mógł inaczej małego stąd wymanewrować, więc sprawił, że wezwała go firma.

Tak. Neandertale sprowadziły mnie do Oryla w dzień po wyjeździe młodego Stunningtona. Poleciał w sprawach swojego konsorcjum, którego zarząd mieści się w Nowym Jorku na Park Avenue, niemal po sąsiedzku z tamtejszym oddziałem Standard Oil. I tam czekał na niego ojciec.

– Znów mnie tropisz! Wciąż chcesz żyć i za mnie! – wybuchnął Uther.

– Odnalazłem twoją matkę, Uther.

– Oonę Sullivan, modelkę Tiffaniego? – Uther nie zapomniał ojcu kłamstwa, kiedy ten, po raz pierwszy zapytany przez syna o matkę, podsunął chłopcu portret dziewczyny z szafirem, wiszący w małym pasażu ich domu w Los Angeles.

– Jadwigę Surazyńską. Plastyczkę. Jest scenografem i utalentowanym kobiernikiem. Za kilka dni na Madison ma aukcję urządzaną przez Hermesa.

– Zapomniałeś dodać, szlachcianka polska.

– Nie przeczę, pochlebia mi, że matka mojego syna okazała się nieprzeciętną i dzielną kobietą. Ale nie dlatego ci o niej mówię.

– Późno mówisz.

– Nie potrafiłem się zdobyć, to bardzo trudne wyznanie. Skrzywdziłem twoją matkę.

– Zapłaciłeś jej za mnie?

– Nie. Odebrałem podstępem. Była młoda, mogła mieć jeszcze dużo zdrowych dzieci, a Vanessa nie. Miała zostać dzieckiem Vanessy, przyrzekła cię usynowić.

– Zanim się urodziłem?

– Zanim. Ale kiedy zjawiłeś się na świecie, nie chciała cię nawet zobaczyć.

– Wtedy zamiast Vanessy kazałeś wpisać nazwisko czarnej pielęgniarki z Bostonu.

– Wtedy podyktowałem nazwisko francuskiej linii naszych krewnych z Kanady i imię czarnej pielęgniarki. Zrobiłem tak, aby zatrzeć wszelki ślad, żebyś był już tylko mój.

– Babka wiedziała, jak postąpiłeś z moją matką?

– Nie wiedziała.

– Powiedziałeś Granni, że ona mnie się wyrzekła?

– Tak powiedziałem.

– Dlaczego odsłaniasz to wszystko właśnie teraz?

– Latami przeciwstawiałem się twoim poszukiwaniom, daremnie. Mimo wszystko bezsilny, mogłem się tylko przyglądać, jak bez względu na przeszkody wciąż zbliżasz się do kraju jej pochodzenia, dokąd dawno powróciła i gdzie byś ją i tak odnalazł.

– Jesteś brutalnie szczery.

– Skoro postanowiłem, mówię całą prawdę bez względu na to, w jakim stawia mnie światło. Proszę cię tylko o jedno: zanim oboje się spotkacie, najpierw chcę jej sam wszystko powiedzieć.

– Spodziewasz się przebaczenia?

– Nie robię tego dla przebaczenia, robię dla ciebie. I tylko proszę, daj mi kilka dni. Pozwól, żebym to ja zwrócił ci matkę.

Takiego ojca Uther nigdy nie widział. Po raz pierwszy spojrzął na niego innymi oczyma. Za wizerunkiem, jaki w sobie utrzymał, bezwzględny, apodyktyczny i władczego mężczyzny, dojrzał udręczonego pamięcią, utrudzo-

nego kolejami życia starego, pokonanego człowieka, który go kochał.

Wbrew żalowi o matkę poczuł silną aż do bólu więź i czułość dla ojca i wyrzuty sumienia. Za to, że był wobec niego oschły i niesprawiedliwy, i okrutny i nie miał żadnych względów wobec jego ludzkich słabości.

Dopiero w tym momencie Uther naprawdę zdał sobie sprawę z przemijania. Ojciec nie jest wieczny, zdarzy się dzień, kiedy go zabraknie, a wtedy sprawione mu przykrości będą nie do odrobienia, krzywdy nie dadzą się naprawić, każda odmowa stanie się odmową ostateczną.

Poruszony do głębi, pojednany z ojcem, zgodził się poczekać w Nowym Jorku na jego rychłe wezwanie.

– Mieliśmy rozwiązane ręce i tydzień na unieszkodliwienie wynajętych morderców. Tymczasem Vanessą zajęła się rodzina. Na początek odizolowano ją oddając pod straż wykwalifikowanego personelu psychiatrycznego.

Stunnington ze Steve'em zamknęli się w Orylu.

– Aby o nas we wsi nie wiedziano, najpierw panna gospodynię na płatny urlop wysłała i odebrała jej klucze. Łebska panna – dodał Steve w tej swojej polszczyźnie. Ale szef ani myślał siedzieć i czekać, co tamci wymyślą. Nie miał czasu, a i nie leżało w jego charakterze, on przywykł wpływać i zmieniać bieg wydarzeń.

Nadkruszył najślabsze ogniwo. Groźbą i pieniędzmi zmusił do posłuchu i współdziałania dostawcę garderób teatralnych, Wincentego Baraszkę. Posłał po niego swojego zaufanego człowieka. Wtedy to Steve jedyny raz głęboką nocą opuścił Oryl i złożył niekonwencjonalną wizytę staremu oszustowi.

– Zbieraj się – wyciągnął Baraszkę z pościeli – mój pon na cie czeka i będzie nierad, jak się bydziesz ociungał.

– Nie rusz mnie, będę krzyczał, zbiegną się ludzie – zaskomlał tamten. Z ledwością słyszał własny głos w ło-

skocie właśnie przejeżdżającego pociągu pobliskiej trakcji elektrycznej.

– Nim gwiakniesz, ducha wypuszczę – zagroził Steve biorąc go za kark. – A jak bydziesz pokorny, mój pon da ci piniundzów.

– Za co, królu złoty – kwilił Baraszko chcąc w ten sposób wyrazić swą całkowitą niewinność, co Steve nie znający niuansów języka wziął za konkretne pytanie.

– Za coś. Nie rozdaje money za nic. Prędzej, odziewaj nagość, przed jutrznią musisz się wrócić do domu.

I jak obiecał, odwiózł go przed świtem z powrotem.

Baraszko otrzymał zaliczkę i list z firmowym nadrukiem oraz podpisem Uthera, sprokurowanym przez jego ojca.

„W dalszym ciągu skłonny jestem zapłacić umówioną sumę za informacje dotyczące Jadwigi Surazyńskiej. Oczekuję pana u siebie... Stunnington jr.”

Tę korespondencję Baraszko miał pokazać kamratom. Istniało duże prawdopodobieństwo, że chwycą przynętę i przyjdą za nim.

– Ale w oznaczonym czasie Baraszko nie dał znaku życia. Może tamci stracili do niego zaufanie? W każdym razie list zrobił swoje, sprowokował ich działanie. A my, mimo przygotowań, daliśmy się zaskoczyć.

Na obwodzie posesji czuwa elektroniczny stróż. Potrafi sygnalizować także i miejsce naruszenia granicy posiadłości. Ale Uther od początku pozostawił nadwodny pas wolny od czujników. Sam w ogóle nie sprowadziłby takiego patentu. Przysłał go ojciec, gdy już pogodził się z istnieniem tutejszego domu syna.

– Teraz mieliśmy na uwadze nie uzbrojony brzeg.

Na zmianę Steve, Stunnington i panna z poddasza w dzień przez teleobiektyw, w nocy przez noktowizor



obserwowali nadrzeczne łęgi. Ich stanowisko górowało nad skarpą i nad całą posesją porośniętą na skrajach sosną, a w całości jałowcami wybujałymi ponad wzrost człowieka.

– Mimo ukrytych czujników znali usytuowanie przynajmniej jednego z nich. Widać rozpracowali schemat urządzenia alarmowego, kiedy tu ciebie trzymali.

Jednocześnie zabrzmiało ostrzeżenie z sektora w pobliżu wjazdu i odezwał się domofon, co odruchowo w tym kierunku odwróciło uwagę także i Steve'a dyżurującego na górze.

– Przeszedłem w związku z pańskim listem – zaanonsował się Wincenty Baraszko.

W tej samej chwili trzech bandyci zakradli się na teren od strony rzeki. A chociaż Steve spostrzegł się niemal natychmiast, tamtych zdążyły osłonić krzewy. Parcelę otacza nie zamieszkały las, wystarczyło ominąć przytykający do wody parkan przechodząc kilkanaście kroków nurtem. Nawet nie musieli płynąć, w sierpniu lustro sięgało ramion dorosłego mężczyzny. I gdyby nie warta na strychu, w sytuacji wytworzonej alarmem przy bramie – przedostaliby się nie zauważeni w pobliże domu.

Stunnington zwolnił blokadę, furтка uchyliła się i zamknęła za Baraszką, a on wszedł na ścieżkę rozbłyskującą przed nim zapalającymi się lampami i wciąż kroczył w płamie światła widoczny jak na rampie.

Senior ostrzeżony o wdarciu się obcych czekał na dalszy rozwój wypadków, obserwując idącego przez okno z głębi ciemnego pokoju. Steve z poddasza śledził zamarłe jałowce.

W tej beczynności potęgującej napięcie wszyscy w domu słyszeli wciąż brzęący sygnał czujnika w pobliżu bramy. Steve już rozumiał przyczynę. Nikt nie próbował przejść przez parkan, tylko przerzucono przez niego jakiś przedmiot, który zawisł przed okiem kamery powodując

alarm. Później odnaleziono tam uwiązany do kija na długim sznurku woreczek napełniony piaskiem. Pewno w podziale czynności między współnikami ta przypadła Baraszce.

Kiedy dostawca garderoby, wciąż doskonale widoczny w blasku latarni, znalazł się pod domem w najwyższym punkcie wzniesienia, zza krzewów w pobliżu ścieżki oddano do niego strzał. Upadł. Niewidocznemu bandycie, zdazonemu rozchwianymi łapami jałowców, posłał kulę Steve i trafił.

Zakipiało w krzakach. Wyprysnął stamtąd drugi napastnik i zdążył przeskoczyć dróżkę, ale przebiegającego bezlitośnie oświetliły żarówki posłuszne sygnałowi fotokomórki.

– Władował się w celownik szefa. Strzelił przez uchylone okno, sam osłonięty mrokiem pokoju, skąd obserwował zbliżającego się Baraszkę. Drugi facet zwał się w gąszcz i obsunął po pochyłości wzgórza. A mister Stunningtona poniosło, postąpił nieostrożnie, wybiegł przed ganek i w tym momencie ranił go trzeci, a ja trafiłem trzeciego. Wszystko stało się bardzo szybko, prawie jednocześnie. Lepiej nie umiem ci opowiedzieć.

A Baraszkę, który usiłował ciągnąć korzyści z dwóch stron, nielojalny wobec żadnej, oni chyba od początku spisali na straty. A może i tak by go zabili, żeby nie pozostał żaden świadek. Bo wątpliwe, czy go wtajemniczyli, w czym naprawdę bierze udział.

Zobaczyłem ich, kiedy się rozwidniło i gdy milicja zakończyła na tyle czynności, aby można było chodzić po terenie.

Żaden z nich nie miał na sobie ani garnituru w stylu Wielki Gadsby, ani kurtki khaki wojskowego kroju, ni juchtowych wysokich butów i nigdzie nie leżał teksański kapelusz z szeroką kresą. Wszyscy ubrani jak większość tutejszych ludzi, niczym się nie wyróżniający. Tych twarzy

nie widziałem nigdy. Rozpoznałem tylko leżącego u progu domu Wincentego Baraszke.

Nazajutrz w ciszy mojej kancelarii czytałem opowieść dokumentów, w beznamiętnej treści uchwycony jak w kadrze kształt życia. Pomieszane razem i te z teczki Orlando Harrocks, i inne, ułożone według dat.

„Zobowiązanie. Ja Stanisława Bartnik-Surażyńska, przybyła do Nowego Jorku z córką Jadwigą, przyrzekam zwrócić dwa tysiące sto dolarów wraz z odsetkami, posłane przez Annę Stunnington mecenasowi Wincentemu Baraszce na naszą podróż i jego honorarium. Nowy Jork 1 września tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku”.

Obie zniknęły bez śladu ziemianki w Wigajnach, krótko po komunikacie radiowym, którym kalifornijska krewna poszukiwała członków swojej rodziny wymordowanej podczas wojny. Obie, chociaż obce, o identycznych imionach i nazwiskach, jak nieżyjące dziecko i kobieta z tamtego klanu.

Drugi w kolejności akt pochodzi z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego. Jest o jedenaście lat późniejszy niż poprzedni i nosi pieczęć kliniki „Continental” w Bostonie. „Ja, Orlando Harrocks, stwierdzam”.

Nic niezwykłego.

Dwadzieścia cztery lata temu przyszedł na świat zdrowy chłopiec, otrzymał imiona Uther-Caradoc. Dziecko nieślubne Pendragona Stunningtona i Jadwigi Bartnik-Surażyńskiej. Pisownia nazwiska zniekształcona angielską transkrypcją.

Następny dokument: kopia zaświadczenia wystawionego dla Urzędu Stanu Cywilnego z tą samą datą, co poprzedni nieformalny zapis, tylko w rubryce dla imienia matki figurują dane: Lucienne Berville. Podpisał właściciel, dyrektor kliniki, Orlando Harrocks.

I dossier obojga rodziców. Notatki zbierane skrętnie latami. Po niedługim czasie już tylko zapiski dotyczące ojca. Po co robił to doktor Orlando? Nie wiadomo.

Para niecodzienna.

Przemysłowiec ze Standard Oil i polska imigrantka, sprzątaczką w gmachu nowojorskiego oddziału firmy przy Park Avenue, słuchaczka kursu rysunku i tkactwa artystycznego.

Dziecko urodziło się, kiedy jego ojciec pozostawał w legalnym związku z inną kobietą i nigdy tego związku nie unieważnił, poprzestając na separacji. Matka dziecka miała lat osiemnaście, ojciec czterdzieści osiem. Między nimi wielki przedział pokoleniowy, społeczny, majątkowy, kulturowy.

Dlaczego właśnie ona, mała sprzątaczką, jakich wiele w tym samym budynku? Jak ją w ogóle zauważył, imigrantkę z kraju swojej matki, czy nie to zdecydowało?

W jego rodzinie nie darzyło się potomstwo, i tej dawnych Stunningtonów, i tej zapoczątkowanej przez Jana Kardaśa. Sam Pendragon był jedynakiem, dzieckiem późnego wieku ojca i wiejskiej dziewczyny przybyłej z Europy.

Stunnington utracił dwie żony, jedną z nich i dwoje dzieci w wypadku, z trzecią żoną miał troje potomstwa głęboko upośledzonego. Dwoje zmarło we wczesnym niemowlęctwie, trzecie niedawno, licząc blisko trzydzieści pięć lat.

Wtedy, gdy zwrócił uwagę na tę dziewczynę przybyłą ze wsi pochodzenia jego matki, zbliżał się do pięćdziesiątki, miał wciąż piękną żonę i ośmioletniego syna przewijanego i karmionego jak niemowlę w szwajcarskiej klinice, i pewno z latami potęgowane pragnienie zdrowego, normalnego dziecka.

Jeszcze jedna umowa:

Matka dziecka, za straty moralne i materialne poniesione w związku z urodzeniem i śmiercią córki, przyj-

muje jednorazowo od ojca dziecka, Pendragona Stunningtona, odszkodowanie w wysokości... i niniejszym zrzeka się raz na zawsze wszelkich roszczeń.

W rezultacie przestępczej zmowy Stunningtona i Harrocksa zdrowy chłopiec Jadwigi Surazyńskiej przemienił się w martwą dziewczynkę. Dlaczego w dziewczynkę?

Aby bardziej zagmatwać ślad. A także, pewno w odczuciu ojca, dziewczynki mniej żal, więc i matka powinna łatwiej znieść stratę. A może zabobonny lęk, aby los nie sięgnął naprawdę po to na niby uśmiercone dziecko? A więc na jego pastwę – nie istniejąca dziewczynka. Za jednym zamachem okpiono i fatum, i matkę.

I ostatni dokument:

„Ja, doktor Orlano Harrocks, oświadczam, co następuje. Pod wpływem nalegań Pendragona Stunningtona i całkowicie od niego zależny sfałszowałem zaświadczenie stanowiące podstawę wpisu metrykalnego Uthera-Caradoka Stunningtona, syna Pendragona i Jadwigi Surazyńskiej, umieszczając nieprawdziwe personalia matki, na życzenie Pendragona Stunningtona brzmiące: Lucienne Berville urodzona w Kanadzie.

Natomiast dziewczynka, którą na podstawie mojego zgłoszenia wciągnięto do rejestru wystawiając akt urodzenia i zgonu na imię Cynthia Surazyńska, córka Jadwigi i Pendragona, była martwo urodzonym bliźniaczym dzieckiem Lucienne Berville, czarnej pielęgniarki zatrudnionej w klinice »Continental«..

Daję świadectwo prawdzie z myślą o Utherze-Caradoku Stunnington, której jednak nie ujawnię za mojego życia ani za życia jego ojca, ponieważ nadal pozostają całkowicie zależny od Pendragona Stunningtona, a także zagrożony odpowiedzialnością karną i zawodową za popełnione fałszerstwa. Boston, dziewiętnastego lipca, tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku”.

Oświadczenie zostało napisane w dniu, kiedy młody Stunnington przybył do kliniki doktora Harrocksa.

Kim była matka Uthera?

Ocalałe z rzezi ostatnie dziecko kobiety pozbawionej bliskich. Okruch ludzki między głodem, ogniem, zbrodnią, miotany przetaczającymi się frontami po ugorującej ziemi, gdzie zamiast zboża kłosiły się miny. Miny przeciw ludziom, miny przeciw zwierzętom, miny przeciw drzewom i roślinom.

Okruch ludzki z rozstrzelanej wsi, w zamordowanym miasteczku. Ośmioletnia emigrantka z upiornego świata, którego ni ogarnąć, ni zrozumieć. Niepiśmienne dziecko z matką umiejącą nakreślić swoje nazwisko, z jednej nędzy w inną nędzę, ze zrównanej z ziemią wsi w kamienną obcość miasta mrowiącego się wielonarodową biedą, ciemną jak i one.

Mieszkanka odmiennego ładu, żyje obok bogactwa, obfitości, niesłychanego zbytku i marnotrawstwa, karmiona legendą sukcesu, powielaną przez masowe media kultury.

I epilog, też zamknięty w tej kasecie obszytej krokodylą skórą. Zupełnie świeżej daty raport wyspecjalizowanej agencji wywiadowczej Harrisa:

„Jadwiga Wachniewicz z domu Bartnik-Surazyńska, pseudonim artystyczny Gaja. Rozwiedziona, córka Hanna lat czternaście, matka Stanisława. Zamieszkałe: Warszawa, Sadyba... Plastyczka, scenograf, kobiernik. Wystawy: Paryż, Nanterre, Warszawa, opcja u Hermesa, galeria przy Madison Avenue...”

Na wewnętrznej stronie okładki wklejona duża fotografia.

Wielkie, wspaniałe włosy, zebrane w ciężki węzeł, łagodnie oczy, trochę smutne, trochę zmęczone. Twarz bez uśmiechu, uparte czoło i dwie gorzkie bruzdy od cienkich

chrapek w dół ku kącikom warg. Wciąż jeszcze czysty owal twarzy nad gładką szyją, a może tylko komplement kamery.

„Mr Oskierko, jeśli nie przeżyję... I loved my child, i loved myself, kochałem moje dziecko, kochałem siebie...” – umierając napisał ten człowiek na kartce wydartej z notesu. A chociaż mógł, nie zniszczył żadnego z tych świadczących przeciwko niemu papierów. Nareszcie zachował się uczciwie wobec tamtych dwojga.

11

Miałam nie lada zgryz. Nie zawiadomiłam Stunningtona o dokumentach z kliniki „Continental” odkrytych w kasie Vanessy. Bałam się przyznać, że potrafię się dostać do jej sejfu, a jeszcze bardziej bałam się wiedzy zawartej w tych dokumentach. Po co je brałam? Odruch. Jako usprawiedliwienie przed starym grzechotnikiem mojej ucieczki od Vanessy bez jego zezwolenia. Niedobrze zrobiłam.

Ani tego przełknąć, ani tego wypluć.

Oddać staremu Stunningtonowi? Przecież nie wmówię mu, że nie zajrzałam do środka. A on może sobie nie życzyć takiego współnika do rodzinnych tajemnic. I jeszcze coś mi się przytrafi, jak temu bostońskiemu kolekcjonerowi intymnych informacji o klientach kliniki.

Oddać Utherowi? W takim wypadku jego tato z pewnością mnie skreśli. I naprawdę poszuka nawet w Patagonii, i odnajdzie, jak obiecał. Wierzę mu bez zastrzeżeń. Zdążyłam się przekonać, co potrafi i jaki bywa słowny.

Ukryć i nikomu ani słowa? Równie dobrze mogę usiąść na worku ze zmijami. Vanessa może mnie dopaść, bo też ma hyzia, pieniądze i z pewnością siwieje ze strachu na myśl o kompromitujących dokumentach, które wydostały się z jej kasy.

Wyzwoliłam dzinna.

Biada słabym, którzy dostali się między ostrza potężnych szermierzy! Tyle Szekspir. Właśnie się dostałam i dopiero pojęłam dosłowność tej frazy.

Nie obronię się przeciw wszystkim.

Najpierw wynieść się stąd i dobrze ukryć papiery. U mojej matki musi być dom czysty. Nie mogę jej robić takiego gnoja, żeby na starość szarpała ją policja albo jakieś łapsy. A i sama nie miałabym już żadnego miejsca na ziemi.

Muszę jednak zabezpieczyć sobie jakieś mety w odwodzie. Nie do pogardzenia na początek wydały się oba lokale Uthera, zanim się za czymś rozejrzę, o co w Warszawie dla tubylca niełatwo. Znów ludzie bali się wynajmować, bo jakieś młodzieżowe pismo właśnie poszczuło tych, co mieszkań nie mają, na tych, co mają. Powiało grozą.

A póki nie było najzupełniej konieczne, nie chciałam występować jako cudzoziemka dewizowa Suzanne Cartet. Ja miałabym dać się łupić rodakom, karmić wielopiętrową biurokracją obsiadłą przedsiębiorstwa wynajmu! Przecież to wbrew naturze, to jakby mysz ganiała kota.

No i jak najmniej narażać Suzanne Cartet, ostatnią strzałę w kołczanie. W Warszawie o dobre dokumenty trudniej niż o dach nad głową. Samo dotarcie do takiego źródła kosztuje majątek, zżerany przez armię pośredników.

Odebrałam pozostawione przez Uthera klucze.

„Czuj się jak u siebie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, porozum się z panią Witaszkową, jest moją gospodynią, mieszka we wsi, numer domu dziesięć” – napisał na dołączonym bilecie.

Pojechałam na Stegny, gdzie miał mieszkanie w mieście.

Pod moją nieobecność wykończono tę część dzielnicy między Sobieskiego, Bonifacego a Wilanowską. Graniastosłupy ustawione w szachownicę i niskie pawilony usług, jednakowe, jak spod sztancy. Poprawne, symetryczne

i anonimowe wśród nie wyrosniętej jeszcze zieleni, która nie jest w stanie przydać charakteru owym wieżom z betonu, tak nowoczesnym, aż ludzie nie mogą w nich wytrzymać.

I chyba tylko dzięki owej schludnej monotonii, prześwi-  
tom przestronnym jak boiska, uliczkom otwartym na prze-  
ciągi i wszystkie strony świata – dostrzegłam jakiś podej-  
rzany ruch w pobliżu mojej osoby.

Byłam przygotowana na coś podobnego, ale nie spodzie-  
wałam się, że nastąpi tak szybko. I dopiero poniewczasie  
zrozumiałam: Oni tu, kimkolwiek są, byli. Widać mieli  
peleng na adresy Uthera i czyhali jak pajak w sieci.

Pół dnia gubiłam ich po mieście. Wrogowi nie życzę  
trafić w takie opały w Warszawie. Nie postarałam się  
dotąd o wóz, bo to znak rozpoznawczy, ale teraz nie  
miałam czym uciekać. Taksówki są z kategorii towaru, co  
jest, ale go nie ma. Ich istnienie sugerują tylko kolejki  
potencjalnych pasażerów na postojach.

Stolico moja europejska! Ganiałam się w tego berka  
komunikacją publiczną, aż w jednym rozpadającym się  
autobusie pozostawiłam drewniak i prześladowcę. Zacięły  
się na nim drzwi – na prześladowcy, nie drewniak – i nie  
chciały puścić. A że mniej wystawał na zewnątrz niż  
odwrotnie, uwolniono go z uścisku rozkojarzonych pneu-  
matyków ciągnąc do środka. Potem musiał się jeszcze  
przebić przez cały pojazd do pozostałych czynnych drzwi.  
Stracił punkty, zyskałam przewagę. Nie na długo.

Wpadłam do domu. Zebrałam trochę drobiazgów. Nie  
było czasu na zabiegi nad zmianą wyglądu.

– Łapsy? – zafrasowała się moja mama.

– Ale nie państwowe.

– I za to podziękować Bogu – westchnęła pobożnie. –

Trafiają za tobą, jak myślisz, moje dziecko?

– Nie wiem. Jeśli przyjdą, powiedz, że ja to nie ja.

Resztę dnia przeczekałam w muzeum. Cisza, klimatyzacja,

spokój dzieł sztuki, znamion umarłego czasu, nieliczni  
ludzie. Tu jeszcze łatwiej zauważyć tropicieli niż na prze-  
wiewnych Stegnach. Nikt mnie jednak tutaj nie szukał.

Po zmierzchu znalazłam numery i adresy Oskierków  
w książce telefonicznej. Połączyłam się z kancelarią –  
cisza. W mieszkaniu słuchawkę podniosła kobieta.

Rozłączyłam się bez słowa. Ważne, że w ogóle ktoś jest  
w domu. Złożę u nich papiery i stamtąd odezwę się do  
Stunningtona. Jeśli ściga mnie jego sfora, powinien ją  
przywołać do nogi, skoro się dowie o depozycie u adwoka-  
ta, jeśli mam na karku wysłanników Vanessy, zyskam  
w nim sprzymierzeńca, chociaż to sojusznik podobny do  
wroga. Ale wyboru nie miałam.

I tu na mnie czekano. I tu sprzyjał traf, przyjaciel  
sciganych. Kiedy się ściemniło, stanęłam przed furką  
mecenasa na końcu bezładnej uliczki Rajskich Ptaków, ze  
ścianą Kabackiego Lasu o rzut kamieniem i gdy wyrosły za  
mną dwie sylwetki, w tym samym momencie w willi  
otwarły się drzwi i spod podcieni wyskoczył z wielkim  
wrzaskiem olbrzymi czarny pies, a za nim ukazali się  
ludzie.

Już sięgające po mnie łapy rozplynęły się w ciemności,  
jak gdyby były tylko zgęszczonym mrokiem.

– Czy Oskierko senior w domu?! – zawołałam, aby  
odstraszyć łapsów, aby ponaglić tamtych, co wyszli przed  
próg, i dla dodania sobie otuchy.

– Proszę – podbiegł i otworzył furkę Bej, przy czym  
wymknął się na ulicę jego wielki pies i z szalonym ujad-  
aniem runął w oćmę nie oświetlonej uliczki.

Dzień od rana kił w mrzawce, atramentowy wieczór  
z zasnutym niskim niebem rozpadał się drobnym, zimnym  
deszczem i bardziej przypominał listopad niż drugą po-  
łowę sierpnia. Ciepło ziemi, parujące w chłodzie powietrza,  
u dołu kłębiło się oparem, ludzie, zatuleni w nieprzema-  
kalne folie, w miodowym blasku latarni nad wejściem,

odrealnieni tym obłokiem u nóg, odpływali za krawędź światła wchłaniani przez mrok.

– Lord, Lord! – za psem pognał Bej, grupa jego przyjaciół przystanęła przy furtce. Nurknęłam w ogród. Bezpieczna za ich plecami przebiegłam na drugi koniec posesji, przez parkan wyostałam się na nie zabudowaną działkę już na innej ulicy, a po kilku krokach niemal potknęłam się o zaparkowany samochód naprzeciwko zakładu krawieckiego.

Jeszcze wciąż niesło się stłumione szczekanie Lorda, kiedy udało mi się otworzyć drzwiczki fiata i uruchomić motor. Dojeżdżałam do Puławskiej, gdy reflektory wyłuskały na skraju pustej, zarośniętej byliną przestrzeni samotny słupek z granatową tablicą i białymi literami: ulica Żoły. Miałam zamiar odstawić później wóz na swoje miejsce.

Powróciłam na daleką moją bezpieczną Wolę.

– Lunia, one tu niedawno byli!

– To zaraz nie wrócą, jak wyglądali?

– Jeden mówił, drugi się nie odzywał. Krępy, małpi, kawał byka. W portkach niebieskich, takich jak i ty, bój się Boga, dziewczyno, z sadzawki cię wyjęli! – ostatni okrzyk dotyczył mojego wyglądu.

Moja dzielna mama, córka i wnuka koniokradów, wywiodła ich zgrabnie.

– Felicja Adamiec, owszem, moja córka. Pewno, że mieszka, a gdzie ma mieszkać! – zapytana, przyznała się bez wahania – ale jest na urlopie. Jednak mnie się widzi, znowu jakaś szumowina narozrabiała. Bo trzeba panom wiedzieć, memu dziecku ukradziono wszystkie dokumenty i ktoś je przyswoił. Od tej pory wciąż jakaś heca, chociaż się w prasie ogłosiło o zgubie. Z komisariatu przychodzą i fotografie do oglądania podtykają, złodzieja szukając. Chodźmy razem do śledczego, panowie jemu zaraz powie-

dzą, co znowu zrobiono na rachunek mojej córki, bo już skaranie boskie się robi!

Nie wiadomo, czy chociaż na moment nadkruszyło to ich przekonanie, ale się wynieśli zbrzydzeni desperacką gotowością matki pójścia z nimi na milicjanowo. Rozmowa miała miejsce na podwórku, mama przezornie nie zaprosiła ich do domu, za płotem w ogródku coś robili sąsiedzi.

– Znalazłaś się, jak lepiej nie można – pochwaliłam. Zrzuciłam ubłocone dzinsowe ubranko. Musiałam się odmienić. Jasna peruka, szkła kontaktowe z niebieskim kolorem oczu, czarne aksamitne spodnie, czarne botforty, nieprzemakalna kurtka.

Co dalej?

Skończyły się adresy, pozostał jedynie Oryl. Z pewnością też namierzony, ale nie powinno przyjść im do głowy, przynajmniej zaraz, szukać tropionej zwierzyny właśnie tam.

Potrzebowałam telefonu i chociaż godziny odetchnienia w mordeczym biegu. Koniecznie musiałam porozumieć się ze Stunningtonem albo ze Steve'em. W wiejskim domu Uthera, z dala od Warszawy, w lesie, miałam szansę ucieczki i łączność bez ograniczeń.

Bałam się, ale pojechałam do Oryla. Po drodze pomyślałam o legendzie dla gospodyni Uthera. Przyszło na myśl nazwisko z plakatu widzianego w mieście. Vigiella Mello-gina. Sopran koloraturowy. Włoszka. Może być. I tak będzie miała krótki żywot, nikt nie zdąży sprawdzić jej talentów wokalnych. Witaszków potrzebowałam tylko po to, aby u nich ukryć wóz.

Dom numer dziesięć. Na podwórku skończyła się benzyna w baku, musieliśmy wtoczyć fiata na klepisko do stodoły, gdzie został zamknięty.

– Zaczarowała pani Burka – niby żartem, ale z cieniem

urazy powiedział Witaszek, gdy jego groźny towarzysz zamiast na mnie szczebrać, merdał.

– Mnie lubią wszystkie psy – wyjątkowo nie skłamałam. Może dziedziczyłam po dziadku, tym, co zszedł na psy, sympatię czworonogów, może przyjęły mnie raz na zawsze do swojej społeczności, odkąd w dzieciństwie pomieszkiwałam w ich budach, a te znajdy sypiały w moim łóżku i razem braliśmy w skórę, jeśli któreś z nas, obojętne, kundel czy dziecko, próbowało zagnieździć się na pluszowej kanapie, nazywanej otomaną. Może od tamtej pory one wszystkie czują we mnie brata-łapę.

– Uther na wyjeździe, pewno dał pani klucze – badała Witaszkowa, ciekawa, skąd się wzięłam, i wtedy legenda na doraźny użytek sama spłynęła mi z ust.

Złapałam się na tym, że włoskie zwroty wymawiam z akcentem signory Owerola, gwarą południa, jak italscy chłopcy ze wsi gdzieś za Neapolem, skąd przybyła do Paryża, wygnana nędzą, włoska matka francuskich obywateli.

Witaszkowa, prowadząc mnie skrótami nad brzegiem Bugu, skrajem łągów i rezerwatem wyniosłych jałowców, zdążyła opowiedzieć o zwyczajach kolonii profesorskiej, Brykałach, o sobie samej, o Miśkowiaku, a także o wielkim poważaniu w Orylu dla mecenasa Oskierko.

– Będzie ci tu jak u Pana Boga za piecem – powiedziała prezentując wygodę siedziby Uthera. – Jak kto przyjdzie, to się zapowie, a ty usłyszysz. Wtedy ten guzik naciśniesz, tylko nie pomył zielonego z czarnym. Zielony od bramy, czarny od wyjścia. Wyjście jest włączone. To stróż. Jak kto śmiałyby parkan tknąć, on zara olaboga! Zmyślna gadzina – pouczyła Witaszkowa i poszła.

Dom tchnął spokojem i bezpieczeństwem.

Nie kusić losu! Przeobrazić się w babę, w mało rozgarniętą służkę. Powierzchnowość i ubiór zapożyczyłam od Witaszkowej, nawet odpowiadała mi kompleksją.

Na twarz mastyks, łudzaco ściągający skórę jak praw-

dziwe zmarszczki, a na moje własne włosy farba. W mgnieniu oka poszarzały, zrobiły się szpakowate. Ściągnięte na czubku głowy w kukielkę pod koronkowym stroikiem wyglądały jak ciasno upięty przerzedzony warkoczek noszony przez Witaszkową. W pomieszczeniu za kuchnią znalazłam odpowiednią garderobę.

Nierówno i krótko ścięłam paznokcie, a na ich obrzeża wtarłam miążki grafit. Po zewnętrznych stronach dłoni brązowe kleksy henny, a na całe – postarzający preparat.

Nawet z bardzo bliska są to teraz zniszczone stare ręce, pokryte wątrobianymi plamami. Mają jeden feler, zmoczone młodnieją. Dające naturalne efekty barwniki rozpuszczają się w wodzie.

Często odzywa się telefon, mechaniczna sekretarka wygłasza swój tekst w trzech językach, ale nikt się nie odzywa, słysząc tylko dźwięk odkładanej słuchawki.

Teraz przychodzi mi na myśl, że jeśli będę długo zajmowała linię, zdradzę obecność żywej istoty w domu. Powinam więc rozmawiać jak nakrócej, najlepiej tyle, ile może potrwać przekazanie automatowi zlecenia przez osobę telefonującą z zewnątrz. Spróbuję nie ryzykować połączenia z Kalifornią, muszę nakłonić do pomocy Oskierkę.

Unieruchomiłam taśmę i wybrałam na tarczy numer mecenas. Zrobiłam, co mogłam, aby go nie naprowadzić na Oryl, niezdrowy teraz dla nas obojga. Jego albo już dawniej namierzyli, albo ja tam przywlokłam ogon. Z kolei – znów za nim sfera może przyciągnąć tutaj. Niedobrze, jeśli moje miejsce pobytu zdradzi ten pulsujący, ledwo uchwytny rytm w membranie, lecz na właściwości aparatury nie miałam wpływu.

Nareszcie za mną ta rozmowa. Całej prawdy nie powiedziałam, skutek osiągnęłam, poczułam się pewniej.

Trochę taje napięcie i trochę zadrzemałam w fotelu, kiedy skądś bierze się pewność, że na nic wszystkie ostrożności. Idą!

Zamieniam się w uszy, w radar, jestem kamertonem. I chwila paraliżującej paniki. Zmaleć, zniknąć, stać się niewidzialną. I zaraz wręcz przymus, aby podjąć grę. Jak długo można uciekać, nie wiedząc nawet przed kim. Przy najmniej dowiem się, co mi może grozić. Przyjmując wyzwanie nie czekając na mniej korzystne warunki. A tutaj mam odrobinę przewagi. Jestem na swoich śmieciach, a oni, jakiego by nie użyli wybiegu, nachodzą cudzy dom.

– Mówi kolega Uthera, proszę otworzyć – odzywa się domofon.

Stało się, ale jeszcze mam możliwość ucieczki. Nie! Będzie, co postanowiłam. Prędko krople do oczu, zapiekło, zaogniły się spojówki – o to chodziło, chociaż wywoła prawdziwe zapalenie. Drastyczny środek, rzadko przeze mnie stosowany. I tampon do ust trochę z boku nad górną szczękę. Policzek wydał się jak spuchnięty i zmniejszył jedno oko. Podwiązuję chustką bolące zęby.

– Mówi kolega Uthera, jest tam kto?

– Witaszkowa – mamrocze w membranę domofonu ustawiając głos, wychodzi głuchy, bełkotliwy. – Zara odkluczam, tylko zawołam psa, bo pędza po ogrodzie.

Nie muszę wołać. Sawa leży koło mnie, na słowo: pies, uchyla jedno oko i stawia ucho.

– Chodź, piesku, tak będzie dla nas obu najlepiej – biorę ją za obrozę, gładzę płowy łeb. Dźwiga się niechętnie, jest w niej niepokój, pewno czuje tamtych, chociaż są daleko za ogrodzeniem. Uwiązuję ją przy budzie. Deszcz wciąż pada. Wracam do domu i uruchamiam automat zwalniający furtkę. Teraz już nie mam wyboru. Czas, zanim oni przebywają ścieżkę, trwa wieczność. Wreszcie stukanie do drzwi.

– Ide, ide, leecce! – człapię przez obszerną sień, boję się przerażająco, przyrzekam sobie, że już nigdy więcej takich numerów, tylko niech się ten uda. Nic nowego, za każdym razem tak sobie obiecuję. Gmeram przy zamkach, tak aby słyszeli, dygocą mi ręce.

Otwieram.

– Uther gdzieś baluje – znika strach i znikam ja. Na progu stoi stara, nierozgarnięta Baba z zapaleniem okostnej i zniekształconą wymową. I pozostaję Babą, chociaż zderzam się twarzą w twarz z zagrożeniem, że już o gorsze trudno. Znajomi.

Dwóch. Jeden militarny, cały khaki z odkrytą głową, szpakowaty, drugi w szarym stetsonie. W zielonym rozpoznaję Baraszkę, ananasa wynalezionego przez Oskierków, importowanego przez Uthera i sprzątniętego mu sprzed nosa przez Vanesę w Paryżu, a pod rondem teksańskiego kapelusza – Victora, jej kompana z rezerwatu „Chez-Soi” na Clignancourt. Tandem urwany ze stryczka.

Żaden z tej pary nie ganiał za mną po mieście, gdybym wiedziała, nie jestem pewna, czy odważyłabym się stawić im czoła nawet w skórze Baby.

W izbie z kominkiem wytracili impet, rozleźli się po domu. Zaszylałam się w najciemniejszy kąt, kupka gałganów. Ale Stetson manipuluje światłami i na moment bucha spod sufitu oślepiająca jasność trzech żyrandoli. Trzy razy po sześć świecówek osiemdziesiątek obsadzonych w rzeźbione drewno.

Kulę się w swoich ochronnych szmatach, ale on zaraz wygasza iluminację. Też woli oszczędne światło, pozostawia tylko ascetyczną lampkę osłoniętą abażurem, którą paliłam, zanim weszli. Wraca półmrok. Dudnią schody pod stopami Baraszki w wysokich juchtowych butach schlapanych błotem. Wchodzę do gry. Interweniuje.

– Niech trzewiki wytrom, jakże z takimi na pokoje!

– Co ona mówi? – duka po angielsku Victor. Udaje zamorskiego ważniaka, mnie nie obdarza nawet spojrzeniem, ganguś!

– Brudzimy – wskazuje swoje cholewy Baraszko. Bez protestu, pojedynczo wycofują się do sieni i starannie wycierają nogi wilgotną ścierką.



Jestem Babą.

– Kto stąd rozmawiał, wy? – wymierza we mnie palec Baraszko. Trzęsę głową przecząco. – Linia była zajęta, więc jeśli nie wy, to ktoś dzwonił tutaj – upiera się. To znaczy wiedzą, że w tym czasie numer Oskierki także był zajęty.

– Ja ta nie wiem, maszyna odbiera, maszyna pisze.

Przesłuchują taśmę. Oczywiście nie ma tam żadnego tekstu, tylko dźwięk odwieszanej słuchawki anonimów, którzy się nie pojawiali. Rozumiem, to oni sprawdzali, czy w domu ktoś jest.

– Co się dzieje z tym telefonem? – nie daje za wygraną Baraszko, a mnie ich wypytywanie przyprawia o szalone napięcie. Niedługo. Zaraz mają inne zmartwienie.

Wpada trzeci w dzinsowym ubranku. Rozpoznaję faceta ściśniętego drzwiami w autobusie. Ma końską ksywę: Mierzyn, i tylko on nosi przezwę.

– Uszkodziłem mecenasa – powiada łamignat. Robi mi się niedobrze.

– Damn you! – klnie Stetson i obaj wylatują jak z procy. Niebawem taszczą Oskierkę.

Stetson jest wściekły, piekielnie wściekły przez nawalankę z mecenasem, chociaż się hamuje. Bluzga tylko po angielsku, gada natomiast dziwną polszczyzną, jakąś zamierzchłą gwarą, a pozostali usiłują go naśladować. W pewnej chwili Mierzyn tłumacząc się, mówi do niego: „Steve!”

Nareszcie rozumiem. Victor, bandyta z Clignancourt, udaje goryla starego Stunningtona. Ten amerykański wygląd i ta mowa. Puścizna po chłopskich przodkach, zachowana przez następne pokolenia w nie zmienionym kształcie, jak stały modlitewnik, obrazek Częstochowskiej czy bicz koralii po wieśniaczej prababce.

Wiem od Uthera. Steve, zasymilowana i daleka generacja, pochodzi od polskich emigrantów. Nie wiedziałam,

jak i na ile włada językiem przodków, ale Victorowi, z twarzą ocienioną teksańskim kapeluszem, kiedy mówił do pomocników, a zwłaszcza do mecenasa, mowa służyła jak ubiór i maska na twarzy.

Rozumiał to nawet Mierzyn, już nie mówiąc o przebranym w uniform khaki Baraszce, dlatego też mazurzył jak idiota, chociaż wszystkimi porami wyłaził z niego prymitywny żargon podwarszawskiej szpany, i mógł równie dobrze pochodzić spod Thuszcza, jak i spod Piaseczna.

Rządził Victor, chociaż przeważnie gadał Baraszko, ale on grał określoną osobę i czuł się bezkarnie. Wszystko, co czynił, i tak miało pójść na konto Steve'a, nieodłącznego towarzysza Stunningtona. Pewno też z tego powodu, a trochę z lekceważenia, nie osłonili twarzy przed Babą, nierozgarniętą sługą, starą, ciemną prostaczką. Dopiero kiedy mecenas zaczął otwierać oczy, nałożyli swoje maskaradowe domina, a Mierzyn naciągnął na głowę pończochę.

Później widziałam ich jeszcze raz. W komplecie. Także tutaj. Leżeli za kępą jałowców strzelistych jak gotyckie wieże, przypominali przewrócone makiety strzelnicze. Nie żyli.

Dociera do mnie jeszcze jedna prawda. Chroni mnie nie tylko charakterystyka i dobre udawanie. Ukrywa mnie także ich nieuwaga. Nie przyszli szukać tu mnie. Nie podejrzewają dziewczyny, która pod Paryżem ukradła dokumenty Harrocksa, o taką metamorfozę na ich oczach w Orylu. Są przekonani, że ze strachu zdeponowała papiery u Oskierki i dlatego uprowadzili Oskierkę, bo im przede wszystkim zależy na dokumentach.

Ale nie mogłam pozostać. Moja mimikra nie przetrzymałaby operacji przymusowego usypiania, a patrząc, jak budził się Oskierko, nietrudno było się domyślić, co nas jeszcze czeka.

Drogę ucieczki miałam jedną – okno mansardy, ale nie potrafiłam przewidzieć, jak szybko odkryją moją nieobec-

ność i czy przez ten czas zdołam wydostać się z terenu posiadłości i ująć bezpiecznie przed nieuchronnym pościgiem.

Kryjówkę miałam upatrzoną na miejscu. Więc bez wahania wśliznęłam się do psiej budy, a pies odsunął się dając schronienie i legł u wejścia. Płowe ciało Sawy wypełniało otwór drzwiczek odgradzając mnie od prześladowców.

Prędko odkryli moje zniknięcie, przez ten czas nie zdążyłabym nawet dotrzeć do żwirówki. Słyszałam, jak opuszczali dom. Rozbiegli się pośród jałowców, niczym złe oczy błyskały ich ślepe latarki w siekającej deszczem ciemności.

Sawa szalała. Jej wściekłe ujadanie wsiąkało w tuman wilgoci. Nikt nawet nie zajrzał w jej pobliże.

Ścieżkę okrywał mrok, zanim nadeszli, wyłączyłam automat zapalający lampy. Teraz snuli się jak duchy, bez jednego słowa. Zanikały za nimi szelesty. Dobiegł jak przez watę pomruk samochodowego starteru.

Nie ruszyłam się, przytuliłam plecy do ciepłego boku suki. O świcie opuściłam legowisko czworonożnego przyjaciela. Wyprowadziłam z garażu morrisa Uthera. Nie miałam odwagi zajrzeć do domu.

Wiałam stamtąd, aby nikogo nie spotkać. Zawiadomiłam właściciela fiata, gdzie znajduje się jego wóz, nie mogłam narażać się, aby do tego wszystkiego jeszcze zaczęto mnie tropić za kradzież samochodu.

Morrisa pozostawiłam na parkingu w śródmieściu i przekradłam się na Stegny. Tym razem nikt w pobliżu nie czyhał, więc zadekowałam się w kawalerce Uthera. Wieczorem ze złymi przeczuciami zatelefonowałam do domu Oskierki. Jednak istniał. Odetchnęłam. O nic nie zapytał, powiedział, że Stunningtona należy spodziewać się za trzy dni. Zatrzyma się w „Victorii”.

Cały ten czas przetrwałam na Stegnach nie wychodząc i nie dając znaku życia, zamknięta w mieszkaniu. W okre-

ślonym terminie, zachowując wszelkie środki ostrożności, odnalazłam starego w hotelu.

– Proszę – położyłam przed nim szarą kopertę z pakietem Harrocksa i zawiadomiłam o ostatnich wydarzeniach.

– Niech mi pan pomoże, nie wiem, gdzie się podziać, boję się tych pitekantropów!

– Czytałaś? – spojrzał na mnie ponuro, odruchowo wyglądał papiery. Były trochę pomięte, przez tę najcięższą noc w Orylu tkwiły pod psem w legowisku Sawy, a później nosiłam je pod bluzką.

– Jeśli zaprzeczę, pan uwierzy?

– Zrobiłaś kopie? – Stunnington przyjrzał mi się jeszcze bardziej ponuro.

– Nie.

– W jaki sposób je zdobyłaś?

– Nie ma pan większych zmartwień?

– Nie bądź bezczelna.

– Jednak przyniosłam dokumenty panu, chociaż gonili mnie przez pół Europy.

– Ale nie dałaś znać, gdy przesyłka wpłynęła do Nogent, nie uprzedziłaś, kiedy Vanessa kupiła tę małą kanalię, tego shit! – Baraszko, ledwo się domyśliłam, o kim mówił, tak zniekształcał nazwisko. Rozmawiał ze mną po francusku, ale brzydkimi wyrazami rzucał w języku rodzimym.

– Pan ją na mnie poszczu! – nareszcie mnie oświeciło. – Przez pana musiałam nawiewać i wszystko zostawić. I nie wstyd panu, żebym jeszcze musiała do pana pieniądze dokładać, jak do jakiej nędzy ze świadectwem ubóstwa! Pan ma za nic człowieka, ale żąda lojalności, i po co się narażałam dla pańskiej makulatury!

A więc beze mnie wiedział, co się dzieje u Vanessy. Nie tylko mną się posługiwał. Dopiero właściwie zrozumiałam rotację Pauli. Pewno dlatego uciekając od Vanessy nie zastałam piątego Paula przy bramie. W dyżurce osłoniętej rozpiętą na kratach winoroślą znajdowało się jego łóżko

i miejsce, gdzie miał obowiązek przebywać, jeśli akurat nie robił czego innego. A on wykorzystywał nieobecność szefowej, żeby węszyć po domu i kablować staremu. Tylko ja okazałam się nieposłuszna i dlatego Stunnington mnie skreślił.

– Ale tych dokumentów nie zdobyłby żaden z pańskich Pauli! – nie odmówiłam sobie drobnej satysfakcji.

– Nie. Nie one są jednak najważniejsze.

– Mówi pan tak, żeby mnie pomniejszyć. Pan by się chyba udławił odzywając się do człowieka dobrym słowem.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz?! Ona chce zabić mojego syna. Jest szalona. Żyłaś przecież obok niej, widywałaś ją dzień po dniu przez tyle czasu i ani razu mnie nie przestrzegłaś, naprawdę nic nie zauważyłaś?

Dopiero teraz zastanowiłam się nad postępowaniem Vanessy.

Przebieranka w Nowym Jorku, gdy wracając z Kalifornii po pogrzebie syna przystanąła w hotelu „Plaza”. Czy nie wtedy uruchomiła tryby, które zmiażdżyły Orlano Harrocksa?

Jej pijane monologi: „Pendragon jest z długowiecznych, może żyć jeszcze i dwadzieścia lat. Dwa dziesiątki lat życia – nie tak dużo. Dwa dziesiątki lat piekła – nieskończoność. Oni zabili moje dziecko, po synu dziedziczy ojciec, ale po nim nie będzie komu dziedziczyć”.

Wszystko puszczałam mimo uszu. Ot, gadanie nieszczęśliwej, samotnej i nietrzeźwej.

Co dotychczas w jej zachowaniu wydawało się skutkiem złej doli, nałogu i skłonności do ekstrawagancji, teraz nabrało innego ciężaru: od dawna narastających symptomów manii prześladowczej. Utajona, nagle wybuchła gwałtownie.

Stunnington, zajęty dążeniem do ograniczenia swobód

finansowych Vanessy, też nie zdawał sobie sprawy z postępującego zagrożenia, skoro spostrzegł się dopiero, gdy mechanizm zniszczenia został puszczony w ruch przez niepoczytalną kobietę.

Groza sięgnęła mi do pięt.

– Pańskiego goryla udawał Victor, bardzo nieprzyjemny gość z Clignancourt.

– Nie nazywaj Steve’a gorylem, to przyjaciel.

– Jak pan sobie życzy. – Kto by pomyślał, patrzcie, on ma przyjaciela, nie tylko samych najmitów. – Widywałam Victora w „Chez-Soi”, rezerwacie szpary z całego osiemnastego arrondissement.

– Wiem – rozłożył przede mną w wachlarz kilka fotografii. Zauważyłam, wszystkie nosiły w prawym górnym rogu tłoczoną pieczętkę agencji Harrisa.

– Kogoś poznajesz?

– Victor – Stetsona namierzyłam od razu, trudniej poszło z Baraszką. Zdjęcie niezbyt aktualne, gość, którego widziałam raz jeden u Vanessy i kilka dni temu w militarnym khaki, na tym portrecie był o dwadzieścia lat młodszy.

– Wieczorem jedziemy do Oryla. Napisz, jakich rzeczy potrzebujesz. Każę kupić.

– Obejdzie się – mruknęłam w jego tonacji. Ale zrobiło mi się lepiej, stary grzechotnik brał mnie pod swoją zbliżoną do niewoli opiekę.

Do Oryla przyjechaliśmy nocą. Steve już tam urzędował i zaraz zdał Stunningtonowi sprawozdanie, w jakich warunkach i w jakich układach mieszka Baraszko.

Okazało się, że sam, w trzyizbowym domku z wygodami na podwórzu, na działce liczącej tyle i tyle akrów, w takiej i takiej odległości od torów kolejowych i łoskot elektryczki przebiegającej z taką i taką częstotliwością ma tam znakomity rezonans.

– Zwinę go, zanim usłyszy własny głos – zapewnił.

Zrozumiałam, że szykuje się dostawa ścierwnika do Oryła, a bieżące informacje zbiera nie Steve, tylko nadają je z miasta jacyś wyrobnicy, pewno też od Harrisa.

– Poczekamy dzień – zdecydował Stunnington i pilnował przełączonego na głośnik telefonu, oczekując dalszych raportów o atmosferze wokół Baraszki.

Steve warował na strychu, ja po odprawieniu Witaszkowej pokazałam się we wsi i tam na agorze, czyli w sklepie, gdzie miałam frapujący wybór między musztardą a octem, zadawałam szyku jako dziewczyna Uthera, co nie było niemiłe, ale chociaż towarzyszyła mi Sawa, z ulgą powróciłam na kolonię do domu Stunningtonów.

– Wciąż jest sam – wieczorem zawiadomił Stunnington o sytuacji u Baraszki i zmienił swojego przyjaciela na czujce, a Steve pojechał i wywłókł ścierwnika za kark w momencie, gdy odgłosy przemocy zagłuszał łoskot ostatniego pociągu zdążającego do Warszawy przed nocną przerwą.

– Zejdź do living-roomu, posłużysz za tłumacza. Zaraz Steve przywiezie tego, tego shit! – znalazł mi zajęcie Stunnington i widząc moją rezerwę: – Nie bój się, to tylko mała kanalia!

– Dla kogo mała, dla kogo nie. A moja twarz jest moim największym kapitałem, szefie. Nie chcę, aby ją zapamiętał. Przerobię się na Babę, co?

– Możesz. Nawet mi trochę oszczędzisz niepotrzebnego gadania – mruknął. Po raz pierwszy dodał coś w rodzaju wyjaśnienia. Niesłychane, zupełnie jakby zaczynał podejrzewać we mnie człowieka.

Kiedy Baraszko zobaczył Babę, zachował się jak jeden z kundli mojego dziadka. Widząc mocniejszego siadał do niego tyłem i udawał, że tamtego nie ma. Dziadek, filozof samouk, przezwał go solipcystą.

– Wiem o tobie wszystko i z mety mogę cię zapuszkować

– kiedy przełożyłam pierwsze zwięzłe zdanie Stunningtona, ganguś zbaraniał, ale zaraz pozbierał się i nadal nie przyjmował do wiadomości mojego wyglądu.

Stunnington otworzył przygotowaną teczkę w taki sposób, żeby ścierwnik mógł widzieć, co jest w środku. Wprawdzie znajdujący się tam tekst napisany był po angielsku, lecz wpięta na pierwszej stronie duża odmłodzona podobizna Baraszki, z wypukłą pieczętką Harrisa, nie pozostawiała wątpliwości co do istoty fabuły zgromadzonej w skoroszyce.

– Zapytasz, dlaczego dotychczas nie zwołałem policji. Ponieważ wolę domówić się z tobą, jeśli jednak nie spełnisz moich warunków albo spróbujesz kantować, będziesz kiblował – dobór określeń polskich należał do mnie.

– Czego chcecie od biednego człowieka? – wyjąkał ścierwnik. Zapodział się gdzieś ze szczeniem waleczny Ojciec Chrzestny Mierzyna, prawa ręka zagranicznego bravi, jakby wraz z militarnym ubrankiem khaki zdjął z siebie i charakter. Przed Stunningtonem wiła się człekokształtna glista odziana schludnie i nijako.

– Ilu jest twoich kamratów?

– Jeden Amerykaniec i dwóch tutejszych, Jachu i Mierzyn, ale to jego wynalazki, nic o nich nie wiem. Przy sięgam.

– Bozia cię ukarze za krzywoprzysięstwo, i nie żaden Amerykaniec, tylko tutejszy. Poszukiwany za zabójstwa i napady rabunkowe przez policje Polski, Francji i Maroka – Stunnington w taki sam sposób, jak poprzednio teczkę Baraszki, zaprezentował teraz dossier Victora. Ścierwnik łypnął na fotografię i sflaczał doszczętnie.

– Zbyt zasłużony kolega, nie? – zauważyłam.

– Co mam robić?

Stunnington dał mu podrobiony list Uthera i wyjaśnił, czego oczekuje.

– Poza tym, uprzedzam, za Surażyńską nie wyciśniesz już od nikogo ani grosza, ale tu powiesz, jak ją odnalazłeś!  
– Stunington badał go wzrokiem, wyraźnie ciekaw człowieka, który lata temu, ani wiedząc, wpisał się w jego los i żaden nie przeczuł, że razem dopełni się ich przeznaczenie, chociaż potężnego bogacza i nikczemnego pariasa dzieliło pół globu i dwa bieguny społeczne.

Ścierwnik popatrywał spode łba. Milczał. Nie biją w mordę, dają zaliczkę, znaczy, potrzebują go. Gangus zaczynał się prostować.

– Wiem bez ciebie. Ona mieszka na Sadybie i pracuje w teatrze, a ty sprzedajesz tam szmaty. Chciałem usłyszeć, jak ją rozpoznałeś, przecież widziałeś ją jako dziecko, a od tamtej pory minęło blisko czterdzieści lat. Ale nieważne, możesz nie mówić.

– Raz natknąłem się na jej matkę, gdy wychodziła z pracowni teatralnej scenografa... – Oczywiście, wtedy dał nogę, bo nie miał żadnego interesu im się przypominać, ale skorzystał ze swojej przypadkowo zdobytej wiedzy, kiedy przeczytał w gazecie pamiętne ogłoszenie.

Steve odwiózł go do domu przed świtem.

Handlarz teatralną garderobą nie dotrzymał zobowiązania, a może tamci nie dopuścili, aby dotrzymał, nie pokazał się w Orylu w umówionym dniu. Zjawił się pod bramą nie zapowiedziany, w momencie gdy Stetson z pomocnikami zaczęli przeprowiać się korytem rzeki, maskowani fałszywym alarmem elektronicznego strażnika. A gdy już zalegli pod osłoną jałowców, pewni siebie, zaczęli od usunięcia kłopotliwego świadka. Zabili ścierwnika! Widać żywa noga nie miała stąd ujsć. Stało się inaczej, to oni zginęli. Wszyscy.

Stunington nawet nie poszedł, aby na nich popatrzeć. Padł na fotel i zatulił się w koc. Nie miałam pojęcia, że życie niespożytego starca właśnie dobiega kresu. Jego apatię wzięłam za jakże zrozumiałą reakcję po niesamowi-

tym napięciu ostatnich paru dni, a zwłaszcza po przeżyciach tego wieczoru.

– Idź, przyjrzyj się im, chcę wiedzieć, czy to na pewno ci sami – rozkazał. Dygotał pod pledem i nie mógł się rozgrzać, chociaż opatuliłam mu nogi.

Chlusnęłam denaturatu na drwa przygotowane na ruszcie kominka i przytknęłam płonącą zapałkę. Buchnął niebieskawy ogień.

– Czy to ta wódka, którą można trawić żelazo? – uchylił przymknięte powieki i spojrzał na zajmujące się polana.

– Nie. Też spirytus, ale skażony. Tani – przysunęłam fotel z nim bliżej ognia. Karbowy! Razem z gorylem naszatkowali ludzi, sam ledwo zipie, ale nie zapomina o oszczędzaniu.

– No idź – zniecierpliwił się – i podaj mi telefon.

Wyprawiał mnie w złowrogą ciemność za oknem i dlatego jeszcze, że chciał z kimś rozmawiać bez świadków. Musiałam jednak wiedzieć, z kim, może z milicją. W takim razie beze mnie. A w ogóle najwyższy czas pomyśleć o sobie.

– Proszę Gaję – powiedział. – Nie ma jej, a gdzie jest?! – zniecierpliwiony, apodyktyczny ton. – Nie wie pani? Z kim rozmawiam, z córką Gai? Ach tak! Moje dziecko, powiedz matce, żeby do mnie w żadnym razie nie przyjeżdżała. Tak, byliśmy umówieni, miała być u mnie przed dziesiątą, sądzę, że już się nie pokaże, ale na wszelki wypadek bardzo proszę, powtórz jej, że kategorycznie odwołuję spotkanie! Nie zapomnij: kategorycznie! I niech koniecznie leci do Nowego Jorku, tam się z nią skomunikuję!

Usłyszałam trzask spadającego aparatu, pomyślałam, że ze złości, bo coś nie poszło po jego myśli, cisnął go o podłogę.

Powlokłam się w mrok jałowcowego gąszczu, musiałam się przemóc, żeby nie uciec. Łatwo powiedzieć: – Idź i przyjrzyj się! – Boję się martwych.

Leżeli jak połamane manekiny. Rozpoznałam Victora i Mierzyna, tych samych, przed którymi kryłam się w skórę Baby, tych samych, przed którymi uciekłam do legowiska psa. Trzeciego z nich nie widziałam nigdy, ale słyszałam, jak mówili o nim „Jachu”.

– Na nic więcej się panu nie przydam. Proszę pozwolić mi odejść. Przecież obiecał mi pan wolność po wszystkim – poprosiłam po zdaniu sprawy z oględzin. Chciałam rozstać się z nim w zgodzie. Wciąż się go bałam.

– Zostaniesz, dopóki nie powróci Steve – rozkazał. I po chwili milczenia, z wysiłkiem: – Byłem umówiony z Gają. Nie chcę, aby mnie zobaczyła w takim stanie, nie chcę, aby zorientowała się, co tu zaszło, nie chcę jej w to wikłać. Nie wiem, czy w ogóle przyjdzie, ale poczekaj na dworze, gdyby się pojawiła, zawróć ją stąd, użyj, jakich chcesz argumentów, zresztą kręcić lepiej potrafisz ode mnie, nie muszę cię uczyć. Lecz o czym dowiedziałaś się służąc Vanessie, a teraz mnie, milcz! Nie waż się wspomnieć nikomu. Dowiedzą się ode mnie, tylko ode mnie. Nie od obcych!

Gdy powróci Steve, możesz się w domu nie pokazywać. Aby się stąd wydostać, weź samochodzik – tak nazywał malucha, jeden z dwóch wozów Uthera. – Zostawisz go pod „Victorią”, a kluczyki w recepcji.

– Masz pieniądze – podał mi czek wypełniony na okaziciela – nie byłaś zła – udzielił jedynej pochwały. – A teraz już idź! – przymknął oczy.

Miałam zamiar czekać na Gaję albo na Steve’a w pobliżu furtki, skąd blisko do garażu. Ale przyszło mi na myśl, że Stunington pod wpływem swej niedyspozycji zapomniał o czymś istotnym. Przede wszystkim należało przeszukać kieszenie tych ludzi.

Groza sięgnęła mi do pięt, ale zrobiłam to. I w portfelu Baraszki znalazłam notes z adresem Gai i wycinek z pamiętnym ogłoszeniem, którym Uther poszukiwał matki.

Zabrałam skrawek druku, należało zlikwidować ślad, jeśli gliny nie miały z punktu dotrzeć do tej kobiety.

Zanim poszłam przetrząsnąć kieszenie Victora i jego kamratów, na wszelki wypadek wyłączyłam światła na ścieżce i koło garażu, pozostawiając tylko przyścienne latarnie ganku, tak że dom wyglądał, jakby w nim nikogo nie było. Przy tamtych nie znalazłam nic. Żadnego świstka.

Wracając usłyszałam czyjaś obecność. Uchyliłam łapki jałowców i zobaczyłam klęczącą kobietę. Znałam ją z fotografii. Przede wszystkim jej wielkie włosy zebrane w ciężki węzeł, podobne do włosów Vanessy. Tylko głowa Gai miała ton żytniej słomy, a Vanessy gorącego złota dojrzałej kukurydzy.

## 12

Nalewam koniak, przyjmuję gratulacje, na kremowym welinie kart książki pamiątkowej o wyłożonych brzegach wysuszam bibułą atrament po mont blancach, watermannach, schaffersach i widzę, jak batuta spikera zatacza łuk, zbierając na wypolerowanym obuszku światła odbite w soplach kryształowych pajaków.

– Sold, sprzedane! – obwieszcza spiker pod dźwięk srebrnego młotka, a pracownik Hermesa przypina wizytówkę nabywcy do weduty zajmującej ścianę naprzeciwko mnie.

– Zmęczona jesteś – troszczy się Hermes i podaje środek na podtrzymanie formy. Pewno zażycie przeze mnie czegoś takiego zaprogramował już w scenariuszu wystawy, więc nie ma sensu tłumaczyć, że nigdy nie stosuję żadnych ożywiających pigułek.

Przyjmuję płaskie opakowanie. Leżą w nim trzy pastylki, widać odmierzona doza, trzy delikatnie różowe kulki,

podobne do pereł opasujących szyję damy witającej się właśnie z Hermesem.

Od stóp do głów zamotana w modne przejrzyste żorzęty koloru konchy. Na platynowych włosach leżą różowe refleksy, chwieje się egreta z różowych piór i brylantów i różowa jest brosza spinająca paciorki. Tylko rękę, gdy ją podaje Hermesowi, oblewają białobłękitne błyskawice, chociaż diamenty nanizane na palce też są różowe.

Cała w tonacjach rose Pompadour, jak cenny wyrób z Vincennes, i dysonans w tej harmonii – pergaminowa skóra na skroniach, napiętki splamione brązowym pigmentem i twarz jak dzieło sztukatora.

– Miło cię poznać, Gaja – wymieniamy uśmiechy. Wyciąga do mnie rozmigotaną dłoń niczym czek, jakim przed chwilą zapłaciła za: „Miasto o zmierzchu”.

Dyskretnie pozbywam się różowych draży. Wpuszczam je w kałamarz z grubościennego szkła, osiemnastowieczny bakarat bez atramentu, bo wetknięte w niego gęsie pióro ma wpasowany w stosinę długopis, i podaję damie kieliszek.

Upijamy łyk.

Poruszają się uczepione płatków jej uszu dwie wielkie krople, cudownie asymetryczne łzy, lśnią pastelowym odbiciem porannej zorzy, ciężą ku ramionom, jakby zaraz miały spłynąć w pajęczy jedwab.

I nagle za plecami różowej damy pojawia się ktoś z innego czasu. Pod łukiem arkady, jak w kamiennej ramie, ukazuje się widmo. Powoli rusza ku naszemu podium wierny obraz człowieka, który dawno temu zaważył na moim losie, zjawa wpatrzona we mnie oczyma barwy słodowego piwa. Nosi żałobę. Klapę smokingu przekreśla pas czarnej krepy.

Podobieństwo do mężczyzny z innej generacji jest tak niebywałe, że wzbudza lęk. Nie mogę oderwać wzroku od tych oczu jak brunatne kasztany.

Ale tamten, gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, miał skronie przyprószone bielą. A jego głowa jest ciemna i twarz młoda, nawet jeszcze z jakimś ujmującym chłopięcym wyrazem.

I tak nadchodzi z sąsiedniej sali, nadchodzi z dalekiej przeszłości, nadchodzi z innego życia, i pewno dlatego ta wędrówka trwa tak nieskończenie długo.

Do mojej porażonej transcendentalną grozą świadomości przedziera się głos Hermesa:

– May I introduce you! Pozwól, Gaja, to Uther-Caradoc Stunnington.

„Czytelnik”. Warszawa 1984. wydanie I.

Nakład 160320 egz. Ark. wyd. 17,2; ark. druk. 23.

Papier offset. kl. VII, 60 g. 93 cm

Oddano do składania 4 I 1983 r.

Podpisano do druku 14 VII 1983 r.

Druk ukończono w grudniu 1983 r.

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w W-wie.

Zam. wyd. 573; druk. 632/K/83. M-3.

Printed in Poland



zł 120,-

ISBN 83-07-00939-1